

MARY WESTMACOTT
czyli
AGATHA CHRISTIE



Chleb
olbrzyma



Przekład: J. Słowik

MARY WESTMACOTT
CZYLI

AGATHA CHRISTIE

CHLEB OLBRZYMA

PRZEŁOŻYŁA BOGUMIŁA MALARECKA

TYTUŁ ORYGINAŁU GIANT'S BREAD

Pamięci

najlepszej i najprawdziwszej przyjaciółki: mojej Matki

PROLOG

Na uroczystym otwarciu nowej siedziby Opery Narodowej w Londynie —

wydarzeniu bądź co bądź niecodziennym — zjawiała się rodzina królewska, dziennikarze, liczni przedstawiciele eleganckiego świata, a nawet muzycy, choć ci w większości musieli się zadowolić ostatnim rzędem krzeseł na najwyższym balkonie.

Wystawiano Olbrzyma, utwór Borisa Groena, jak dotychczas nikomu nie znanego kompozytora. W przerwie, po pierwszym akcie, słyszało się następujące strzępki rozmów:

— Absolutnie boskie, moja droga.

— Mówią, że to po prostu... po prostu najnowsza moda! Zamierzona kakofonia dźwięków... Choć żeby się w tym połapać, trzeba by najpierw poczytać Einsteina...

— Och, kochana, będę opowiadać na prawo i lewo, że to nadzwyczajne, lecz powiedzmy sobie po cichu: od takiej muzyki jedynie boli głowa!

— Dlaczego w dniu otwarcia nowego gmachu nie wystawiono opery przyzwoitego brytyjskiego kompozytora? Do diabła z tą całą rosyjską błazenadą! — Ta uwaga padła z ust pewnego porywczego pułkownika.

— Co racja, to racja — wycedził jego towarzysz. — Tylko że niestety nie istnieją żadni brytyjscy kompozytorzy. Smutne, lecz prawdziwe.

— Mówi pan od rzeczy. Oni po prostu nie chcą dać im żadnej szansy.

Bo i kimże jest ten Levinne? Jest ohydny cudzoziemcem, Żydem. Ot co!

Stojący w pobliżu, na pół ukryty za kotarą mężczyzna, wysoki i opasły, o żółtej, beznamietnej twarzy, paciorkowatych oczach i wielkich, odstających uszach (stałej pożywce karykaturzystów) pozwolił

sobie na uśmiech. To on był Sebastianem Levinne'em, wyłącznym właścicielem gmachu Opery Narodowej, uchodzącym powszechnie za największego w świecie specja od wszelkich widowisk teatralnych.

Padły kolejne uwagi...

— Dekadenckie...

— Chorobliwe...

— Neurotyczne...

— Dziecinne...

To byli krytycy.

— Porażające...

— Wprost boskie...

— Cudowne, moja droga...

Tak mówiły kobiety.

— To wspaniały spektakl.

— W drugiej odsłonie możemy oczekiwać zdumiewających efektów.

Technicznych, ma się rozumieć. Pierwsza część, Kamień, to za ledwie coś w rodzaju wprowadzenia. Powiadają, że stary Levinne przeszedł

sarn siebie. Dzieło bez precedensu.

— Niesamowita muzyka, nieprawdaż?

— Przypuszczam, że te hałaśliwe orkiestry to bolszewicki wymysł.

Ci dwaj młodzi ludzie byli inteligentniejsi od rozentuzjasmowanych kobiet, a przy tym obce im było nieprzychylnie nastawienie krytyków.

— Nie chwyci. Zwykłe kuglarstwo.

— Bo ja wiem... ludzie wciąż dają się nabierać na kubizm.

— Levinne to facet z polotem.

— Nie wyrzucałby forsę w błoto, gdyby nie miał z tego zysku.

— Mówisz o zyskach...?

Kiedy padło kilka cyfr, głosy natychmiast zniżyły się do tajemniczego szeptu.

To byli przedstawiciele jego własnej rasy. Sebastian Levinne uśmiechnął się.

Rozległ się dzwonek. Tłum zafalował; publiczność z wolna zaczęła powracać na swoje miejsca.

Nastąpiła chwila oczekiwania, wypełniona paplaniną i śmiechem. W

końcu pogasły wszystkie światła. Dyrygent stanął za swoim pulpitem.

Miał przed sobą orkiestrę sześciokrotnie liczniejszą niż którakolwiek z Covent Garden i w niczym nie przypominającą zwykłej orkiestry.

Instrumenty muzyczne, wykonane z połyskliwego metalu, były niczym pozbawione kształtu monstra; mało tego — z jednego kąta rzucał

niezwykle ognie jakiś kryształ. Dyrygent uniósł batutę, a następnie opuścił; w tej samej chwili rozległ się głuchy, rytmiczny dźwięk, przypominający uderzenie młota w kowadło. Rozległ się i ucichł, lecz chyba tylko po to, by co jakiś czas, ni stąd, ni zowąd, powracać i wypływać ponad inne dźwięki.

Kurtyna poszła w górę...

W głębi loży na drugim balkonie stał Sebastian Levinne. Stał i obserwował swoje dzieło.

To nie była opera w potocznym znaczeniu tego słowa. Kompozytor nie proponował widzom żadnej opowieści ani nie kreował jednej postaci.

Przedstawienie przypominało raczej gigantyczny rosyjski balet, a spektakularne efekty, zwłaszcza świetlne, były pomysłem samego Levinne'a. Jego przedstawienia od dawna traktowano jako ostatnie słowo w świecie teatru. W to, które właśnie rozgrywało się przed jego oczami, Levinne, bardziej artysta niż producent, włożył całą swą wyobraźnię i doświadczenie.

Prolog przedstawiał epokę kamienną — raczkowanie ludzkości.

Ta odsłona, kwintesencja dzieła, była najwyższej klasy pokazem techniki, pokazem fantastycznym, niemal przerażającym. Elektrownie, prądnice, kominy fabryczne, dźwigi, wszystko połączone ze sobą w ciągłym ruchu. No i ludzie, całe armie ludzi, o zdeformowanych, kubistycznych twarzach robotów.

Muzyka potężniała i nasyciała powietrze. Nowe instrumenty o dziwnych kształtach czyniły wiele hałasu, lecz ponad cały ten zgiełk wybijała się osobliwa, wysoka i melodyjna nuta, przypominająca dzwonienie niezliczonej liczby szklanek...

Na moment pojawiły się drapacze chmur: Nowy Jork widziany z góry niby z samolotu krążącego nad nim, we wczesnych godzinach brzasku.

Muzyka nie cichła. Niesamowity, daleki od wszelkiej harmonii rytm był

wybijany z coraz większą częstotliwością, coraz bardziej monotonicznie, coraz groźniej. Ten rytm towarzyszył kolejnym epizodom scenicznym, aż dotarł do punktu kulminacyjnego, kiedy to tysiące stalowych ludzkich twarzy zlały się w jednego człowieka, człowieka kolektywnego, człowieka olbrzyma...

Epilog nastąpił natychmiast; nie było przerwy, nie rozbłysły światła.

Odezwała się jedynie część orkiestry; ta, która używała instrumentów określanych mianem „szkło”.

Zabrzmiał róg.

Kurtyna ustąpiła miejsca mgłę... mgła rozstąpiła się... nagły blask poraził oczy widzów.

Lód, nic, tylko lód... wielkie, błyszczące góry... lodowce...

A na szczycie potężnej iglicy maleńka postać z twarzą odwróconą od publiczności, wpatrzona w blask nie do zniesienia, blask wyobrażający wschód słońca...

Śmieszna, drobna postać człowieka...

Blask narastał, potężniał, aż rozjarzył się do białości światła magnezowego. Ręce same powędrowały w górę, aby przesłonić oczy, ochronić je przed bólem.

Zadzwoniło szkło, nutą wysoką i słodką, następnie czysty ton pękł, dosłownie rozbił się na podzwaniające z osobna dźwięki.

Opadła kurtyna i zapaliły się światła.

Sebastian Levinne z niewzruszoną twarzą przyjmował gratulacje i lekkie docinki.

— Tym razem poszedłeś na całość, Levinne. Żadnych półśrodków, co?

— Piekielnie dobre przedstawienie, staruszk. Choć niech mnie diabli, jeśli wiem, o co w nim chodzi.

— Olbrzym, mówisz? To prawda, żyjemy w wieku techniki.

— Och, panie Levinne, tego po prostu nie da się wyrazić słowami!

Będę śnić o tym strasznym, stalowym olbrzymie.

— Technika jest jak olbrzym, który sieje zniszczenie, czyż nie tak? Jesteś bardzo bliski prawdy, Levinne. Przydałby się nam powrót do matki natury. Kto to jest ten Groen? Rosjanin?

— No właśnie, kto to jest Groen? Zresztą, kimkolwiek jest, jest geniuszem. Bolszewicy mogą się

wreszcie poszczycić jakimś kompozytorem.

— No, no, Levinne, stajesz się bolszewikiem. Kolektywny człowiek, kolektywna muzyka...

— No cóż, Levinne, powodzenia. Nie powiem, by podobały mi się te cholerne wrzaski, które dzisiaj pretendują do nazwy muzyki, ale samo przedstawienie jest świetne.

Jako jeden z ostatnich podszedł do Levinne'a drobny staruszek, lekko przygarbiony, z krzywym ramieniem. Bardzo dokładnie wymawiając słowa, zapytał:

— Nie napilibyśmy się, Sebastianie?

Levinne skinął głową. Ten mały człowieczek to był Carl Bowerman, najznamienitszy angielski krytyk muzyczny. Przeszli razem do gabinetu Levinne'a i zagłębili się w fotelach. Gospodarz postawił przed swoim gościem whisky z wodą sodową i popatrzył pytająco. Z trwogą oczekiwał

werdyktu tego człowieka.

— A zatem...?

Bowerman milczał. Zaczął mówić dopiero po kilku minutach, niespiesznie.

— Jestem starym człowiekiem. Są rzeczy, które sprawiają mi przyjemność, i są inne, takie jak muzyka na dzisiejszym przedstawieniu, w których nie gustuję. Mimo to, kiedy spotykam geniusza, potrafię go rozpoznać. Może być stu szarlatanów, stu nowatorów, zrywających z tradycją, takich, którym się zdaje, że swoimi poczynaniami dokonują czegoś cudownego ale kiedyś przychodzi ten sto pierwszy, przychodzi twórca, kreator, człowiek stąpający śmiało w przyszłość... — Przerwał, by kontynuować po krótkiej chwili: —

Tak, potrafię rozpoznać geniusza. Co nie znaczy, że podoba mi się to, co wyczynia ze swoim talentem. Groen, obojętne, kto to jest, ma talent... Jego muzyka, to muzyka jutra... — Znowu przerwał, a Levinne, tak jak poprzednio, nie popędzał go, czekał. — Nie wiem, czy twoje najświeższe przedsięwzięcie będzie sukcesem, czy też okaże się chybione. Stawiam na sukces, lecz jeśli istotnie go odniesiesz, to głównie dzięki własnej osobowości. Posiadasz dar przekonywania publiczności do akceptowania tego, co chcesz, by akceptowała. Jesteś człowiekiem stworzonym do odnoszenia sukcesów. Robisz z Groena tajemnicę, lecz, jak przypuszczam, jest to część twojej kampanii prasowej. — Popatrzył przenikliwie na Sebastiana. — Nie chcę się do niej mieszać, lecz powiedz mi, proszę, tylko jedno: Groen jest Anglikiem, prawda?

— Tak. Skąd pan to wie, Bowerman?

— Narodowość muzyka jest łatwa do rozpoznania. Owszem, Groen studiował w rosyjskiej rewolucyjnej szkole, lecz, powtarzam, narodowość jest nie do ukrycia. Miał prekursorów, ludzi, którzy tytułem próby robili to, co dopiero jemu w pełni się udało. Istnieje nasza angielska szkoła: Holst, Vaughan-Williams, Arnold Baz. Na całym świecie muzycy zbliżają się do nowego ideału — absolutu w muzyce. Ten człowiek, według mnie, jest w prostej linii sukcesorem tamtego chłopca, który został zabity podczas wojny. Jak on się nazywał?

Deyre, Vernon Deyre. Tak, to był obiecujący młody człowiek. —

Westchnął. — Zastanawiam się, Levinne, jak wiele straciliśmy przez wojnę.

— To trudno powiedzieć, proszę pana.

— Lepiej o tym nie myśleć. Tak, lepiej nie myśleć. — Bowerman podniósł się z fotela. — Nie powinienem cię zatrzymywać. Masz mnóstwo pracy, to jasne. — Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu. —

Olbrzym! Mam wrażenie, że obaj z Groenem trochę sobie zażartowaliście. Każdy utożsamia waszego tytułowego bohatera z molochem, jakim jest świat wszelkich mechanizmów. Publiczność nie rozumie, że prawdziwym olbrzymem jest tamta mała postać: człowiek.

Człowiek wyłączony z tłumu, indywidualista, bardziej wytrzymały niż kamień i żelazo, ten, który na przekór rozpadającym się i ginącym cywilizacjom toruje sobie drogę pośród kolejnej epoki lodowcowej ku nowej cywilizacji, takiej, o jakiej nawet nie śnimy... — Uśmiechnął się szerzej. — Im bardziej się starzeję, tym większego nabieram przekonania, że nie ma nic tak żalostnego, tak śmiesznego, tak absurdalnego i tak absolutnie cudownego jak człowiek... — Zatrzymał się przy drzwiach, z ręką na gałce. — Ciekawe — powiedział — jak doszło do powstania takiego dzieła. Jaka myśl je spłodziła? Dziedzictwo kształtuje warsztat twórcy, środowisko dodaje mu koloru, seks pobudza... Lecz jest coś jeszcze. Jest jeszcze jego pokarm.

A psik! A psik! A psik!

Człowieka czuję krew.

Czy martwy on, czy żywy,

Ja zmielę jego kości i zrobię sobie chleb.

Talent to okrutny olbrzym, Levinne! To potwór, karmiący się ciałem i krwią, to ludojad. Niczego nie wiem o Groenie, a mimo to przysięgłbym, że karmił swojego olbrzyma własnym ciałem i własną krwią, a prawdopodobnie także ciałem i krwią innych... Ich kości zmełł

na chleb dla olbrzyma... Jestem starym człowiekiem, Levinne, więc wolno mi mieć swoje zachcianki. Widzieliśmy dzisiejszego wieczoru koniec; nie taję, chciałbym poznać początek.

— Dziedzictwo... środowisko... seks — powiedział powoli Levinne.

— Tak. O to mi chodzi. Co nie znaczy, że mam nadzieję cokolwiek od ciebie usłyszeć.

— Sądzi pan, że ja coś wiem?

— Jestem tego pewien. Zapadła cisza.

— To prawda — odezwał się w końcu Levinne. — Istotnie, wiem. I opowiedziałbym panu całą historię, gdybym tylko mógł. Ale nie mogę.

Są ku temu powody... — Powtórzył: — Są powody...

— Szkoda. To mogłoby być interesujące. — Nie jestem pewny...

KSIĘGA I

MOŻNE OPACTWA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W świecie Vernona tak naprawdę liczyły się tylko trzy osoby: Niania, Bóg i pan Green. Oczywiście, były także inne nianie. Winnie, ta obecna, a przed nią Jane i Annie, i Sarah, i Gladys. Te Vernon zapamiętał, ale poza nimi przez dom przewinęło się wiele innych.

Młode nianie nigdy nie zagrzewały długo miejsca, a to dlatego, że nie zgadzały się z tą najważniejszą, z Nianią. W świecie Vernona niewiele znaczyły.

Było także coś w rodzaju bliźniaczego bóstwa, zwanego mamusio-

tatusiem, które to bóstwo Vernon wspominał w swoich modlitwach, a także wiązał ze schodzeniem na dół na leguminę. Oboje, mamusia i tatuś, byli tajemniczymi postaciami, pięknymi, wprost cudownymi —

zwłaszcza mamusia — lecz nie należeli do jedyne go prawdziwego świata, świata Vernona.

Rzeczy w świecie Vernona istniały naprawdę. Choćby taki dywanik z pokoju dzieciennego. Był w zielone i białe pasy i kłuł w gołe kolana, a w jednym rogu miał dziurę, którą Vernon własnymi palcami pracowicie, acz ukradkiem, stale powiększał. Były ściany pokoju dzieciennego, gdzie zawijasy fiołkoworóżowych irysów raz przypominały diamenty, a raz, jeśli patrzyło się wystarczająco długo, krzyże. To wydawało się Vernonowi bardzo interesujące i trochę tajemnicze.

Pod jedną ze ścian był koń na biegunach, lecz Vernon rzadko na nim jeździł. Była pleciona lokomotywa i plecione wagoniki, którymi często się bawił. Była niska szafka, pełna bardziej lub mniej zniszczonych zabawek. Na jej górnej półce leżały przyjemniejsze przedmioty, którymi można się było bawić w deszczowy dzień albo wówczas, kiedy Niania była w niezwykle dobrym humorze. Było tam pudełko z farbami do malowania i prawdziwe pędzle z wielbłądziego włosia, i sarta ilustrowanych czasopism, z których wycinało się obrazki. Było wszystko. Wszystko to, co Niania nazywała „tym bałaganem, co to nie idzie z nim wytrzymać”. Innymi słowy, wszystko, co najlepsze.

Nad tym realnym wszechświatem pokoju dzieciennego panowała najrealniejsza z realnych Niania. Osobistość numer jeden Trójcy Świętej Vernona. Bardzo wysoka i szeroka, bardzo sztywna i szeleszcząca. Wszechwiedząca i wszechmocna. Niani w niczym nie dało się przechytrzyć. Wszystko wiedziała lepiej niż mali chłopcy. Często to powtarzała. Całe życie spędziła na doglądaniu małych chłopców (a od czasu do czasu także małych dziewczynek, lecz te nie interesowały Vernona) i wszyscy co do jednego dorastali tylko po to, aby być dla niej chlubą. Tak mówiła i Vernon w to wierzył. Nie wątpił ani przez chwilę, że także i on powinien dorosnąć, aby stać się jej chlubą, choć czasami wyglądało na to, że może stać się jej zawodem. W Niani było coś, co wzbudzało w nim lęk, choć jednocześnie czuł się przy niej nieskończenie bezpiecznie. Niania na wszystko miała gotową odpowiedź. Na przykład Vernon podnosił zagadkową sprawę diamentów i krzyży na tapecie, a z ust Niani padało natychmiast:

— Ach, to! Cóż, na wszystko da się patrzeć w dwojaki sposób.

Musiałeś o tym słyszeć.

A ponieważ któregoś dnia Vernon istotnie słyszał, jak Niania mniej więcej tak samo mówi do Winnie, takie wyjaśnienie schlebiało mu i zaspokajało ciekawość. Pytana o cokolwiek, Niania nieodmiennie powtarzała, że zwykle są dwie strony zagadnienia, toteż w przyszłości Vernon zawsze wyobrażał sobie „zagadnienie” nie inaczej jak coś w kształcie litery A z krzyżami, pnącymi się ku górze z jej jednej strony i diamentami, opadającymi w dół z drugiej.

Po Niani był Bóg. Bóg dla Vernona był zawsze bardzo realny, a to głównie dlatego, że niezmiernie często występował w rozmowach Niani.

Niania wiedziała o większości rzeczy, które się robiło, lecz Bóg wiedział o wszystkim i był, jeżeli to możliwe, jeszcze bardziej wymagający niż ona. Nie można go było zobaczyć, co na wycucie Vernona dawało mu nieuczciwą przewagę nad człowiekiem, ponieważ on człowieka mógł oglądać do woli, nawet po ciemku. Czasami, wieczorem, kiedy był już w łóżku, na myśl o Bogu, widzącym w ciemnościach, przechodziły mu ciarki po plecach.

Lecz tak w ogóle, w porównaniu z Nianią Bóg był postacią niezauważalną. Bez kłopotu można było nie pamiętać o nim przez większość dnia. To znaczy dopóty, dopóki Niania ni stąd, ni zowąd nie wprowadziła go do rozmowy.

Pewnego razu Vernon postanowił się zbuntować.

— Nianiu, czy wiesz, co zrobię, kiedy umrę? Niania, która właśnie robiła na drutach pończochy, odparła:

— Jeden, dwa, trzy, cztery, masz tobie! Zgubiłam gdzieś oczko.

Nie, paniczu Vernon, tego nie wiem.

— Pójdę do nieba... pójdę do nieba... pójdę prosto do Pana Boga...

prosto do niego i powiem: Jesteś wstrętny! Nienawidzę cię!” Cisza. Stało się. Powiedział to. Nie do wiary, niesłychane zuchwalstwo! I co teraz będzie? Jaka okropna kara ziemską czy niebiańską spadnie na niego? Czekał z zapartym tchem.

Niania znalazła zgubione oczko. Popatrzyła na Vernona sponad okularów. Miała pogodną, niewzruszoną twarz.

— Niepodobna — zauważyła tylko — by Wszechmogący zawracał sobie głowę tym, co mówią mali, niegrzeczni chłopcy. Winnie, podaj mi, proszę, nożyczki. Vernon, zbity z tropu, ustąpił. Nic z tego. Niani nie da się pokonać. Powinien o tym wiedzieć.

No i jeszcze był pan Green. Pan Green był niewidzialny podobnie jak Bóg, lecz dla Vernona istniał naprawdę. Na przykład Vernon wiedział, i to dokładnie, jak pan Green wygląda: średniego wzrostu, grubawy, nieco przypominający wiejskiego sklepikarza, który śpiewał

niewyrobnym barytonem w wiejskim chórze i miał błyszczące, czerwone policzki, bokobrody i niebieskie, ale to bardzo niebieskie oczy.

Najważniejsze było to, że pan Green wprost uwielbiał się bawić.

Jakąkolwiek grę wymyślił sobie Vernon, ta gra natychmiast stawała się ulubioną grą pana Greena. O panu Greenie można było powiedzieć jeszcze parę innych rzeczy. Choćby to, że miał setkę dzieci. I jeszcze troje innych. Setka stanowiła jedynie tło zabaw: wesoła hałastra, całymi dniami uganiająca się po cisowych alejkach za Vernonem i panem Greenem. Co innego pozostała trójka. Pozostała trójka nosiła najpiękniejsze, znane Vernonowi, imiona: Pudel, Wiewiórka i Drzewo.

Jeśli Vernon był samotnym małym chłopcem, to nigdy się o tym nie dowiedział. Ponieważ, co tu dużo mówić, miał do zabawy pana Greena, Pudła, Wiewiórkę i Drzewo.

Przez długi czas Vernon był niepewny co do tego, gdzie znajduje się dom pana Greena. I oto kiedyś oświeciła go myśl, że oczywiście pan Green mieszka w lesie. Las od dawna fascynował Vernona. Przylegał

do niego park, a na granicy, między jednym a drugim, był wysoki, zielony płot i Vernon zwykle myszkował wzdłuż niego w nadziei na znalezienie jakiejś szczeliny, przez którą mógłby wyrzeć na drugą stronę. To tam, to po tamtej stronie pełno było naszeptów i westchnień, i szelestów, jak gdyby jedno drzewo rozmawiało z drugim.

Gdzieś w połowie płotu znajdowała się furka, niestety, zawsze zamknięta i to dlatego Vernon nie mógł zobaczyć, jak jest naprawdę w samym środku lasu.

Niania, naturalnie, nigdy by go tam nie zabrała. Zwyczajem wszystkich niań zdecydowanie wolała spacer bitą drogą od brożenia po wstrętnych zbutwiałych liściach. No więc Vernon nie chodził do lasu, za to coraz częściej o nim myślał. Pewnego dnia na pewno pójdzie na herbatę do pana Greena, a Pudel, Wiewiórka i Drzewo będą musieli na taką okazję włożyć nowe garniturki.

Vernonowi znudził się pokój dziecinny. Stał się za mały. Ogród to co innego. Ogród był prawdziwie ekscytujący i było w nim tak wiele przeróżnych zakątków. Długie spacerunki między przyszczyżonymi cisowymi żywopłotami, w których gnieździły się barwne ptaki, stawy z tłustymi, złotymi rybami, ogrodzony warzywnik, zdziczały sad, a w nim drzewa migdałowe i srebrzysty brzożowy zagajnik z dzwonekami pod każdym drzewem, i (najlepsze ze wszystkiego, odgrodzone od reszty) ruiny starego opactwa. Vernon marzył, by zostawiono go tu kiedyś samego.

Już on by wiedział, gdzie należy się wspiąć i co obejrzeć. Ale to były tylko marzenia. W pozostałej części ogrodu mógł robić to, na co miał ochotę. Co prawda, wysyłano go tam pod opieką Winnie, lecz zważywszy, że przez godny uwagi zbieg okoliczności zawsze zachodził

im drogę młodszy ogrodnik, Winnie z tą opieką za bardzo się nie narzucała.

Stopniowo świat Vernona stawał się coraz szerszy. Bliźniacza gwiazda, mamusio–tatuś, rozdzielona, okazała się dwojgiem różnych ludzi. Postać tatusia co prawda nadal rysowała się Vernonowi dość mgliście, ale mamusia od razu nabrała cech konkretnej osoby. Mamusia często składała wizyty w pokoju dziecinnym, aby pobawić się z jej, jak mawiała, „drogim chłopczykiem”. Vernon znosił te wizyty ze stoickim spokojem, choć zwykle oznaczały porzucenie zabawy, którą sam sobie wymyślił, i zgodzenie się na inną, w jego przekonaniu zupełnie nieciekawą. Od czasu do czasu razem z mamusią zjawiały się goszczące u niej przyjaciółki, a wówczas mamusia ścisnęła Vernona z całych sił

(czego nienawidził) i wołała:

— Och, jakie to cudowne być matką! Chyba nigdy się do tego nie przyzwyczaję! Mieć wyłącznie dla siebie takiego kochanego małego chłopczyka!

Vernon, bardzo czerwony, wrywał się z uścisku. Pomijając wszystko inne, nie był małym chłopczykiem. Miał przecież trzy lata.

Rozglądając się pewnego dnia po pokoju, tuż po jednej z takich scen, zauważył ojca, który stał w drzwiach i przyglądał mu się z kpiącym uśmiechem. W dwóch parach oczu, w oczach ojca i syna, rozbłysła i natychmiast zgasła iskierka wzajemnego ni to zrozumienia, ni to pokrewieństwa.

Przyjaciółki matki mówiły dalej:

— Jaka szkoda, Myro, że nie jest podobny do ciebie. Choć twoje włosy byłyby za piękne dla dziecka.

Vernon poczuł się dumny. Był podobny do swego ojca.

Vernon zawsze pamiętał dzień, w którym przyszła na lunch pewna Amerykanka. Trzeba by zacząć od tego, że dzięki Niani wiedział to i owo o Ameryce, choć, jak się potem okazało, Niani pomieszała się Ameryka z Australią.

W porze deseru zszedł na dół, przejęty grozą. Jeśli ta kobieta czuje się we własnym kraju jak u siebie w domu, tutaj prawdopodobnie będzie chodziła do góry nogami, z wiszącą do dołu głową. Już to by wystarczyło, by napędzić mu strachu. A przecież, jak przypuszczał, na pewno używa dziwnych słów na określenie najprostszyc rzeczy.

— Och, jaki rezolutny chłopczyk. Popatrz, kochanie, co ci przyniosłam. — Tu dziwnie nazwała zawartość trzymanego w ręku pudełka.

Vernon podszedł ostrożnie i przyjął prezent. Ta kobieta najwyraźniej nie miała pojęcia, o czym mówi. To nie były żadne

„candy”, tylko cukierki, prawdziwe „Edinburgh Rock”.

W całej scenie uczestniczyli także dwaj dżentelmeni. Jeden był

mężem Amerykanki i to właśnie on zwrócił się do Vernona:

— Czy rozpoznałbyś półkoronówkę, mój mały, gdybym ci ją pokazał?

I jak się niebawem okazało, ta półkoronówka miała stać się jego, Vernona, najprawdziwszą własnością. Niewątpliwie był to cudowny dzień.

Vernon nigdy nie rozmyślał wiele o własnym domu. Wiedział, że jest większy od plebanii, dokąd czasami chadzał na herbatę, i na tym kończyły się jego możliwości porównawcze, rzadko bowiem bawił się z innymi dziećmi i rzadko bywał w ich domach. Toteż tamtego dnia wiedza o nim poraziła go. Oprawadzano gości po domu, a głos Amerykanki wznosił się coraz wyżej.

— Nie do wiary! Och, jakie to wspaniałe! Czy ktoś widział coś podobnego? Pięćset lat, naprawdę? Frank, posłuchaj tylko. Henryk VIII... jakbym była na lekcji historii. I do tego stare opactwo...

Goście, chodząc po domu i podziwiając wnętrza, dotarli do długiej galerii obrazów, gdzie wąskie twarze, niezwykle podobne do twarzy Vernona, z ciemnymi, blisko siebie osadzonymi oczami, spoglądały z płóciennych obrazów arogancko lub z chłodną tolerancją. Poza portretami mężczyzn były tam także portrety łagodnych, potulnych kobiet w krezach, z wplątanymi we włosy perłami (kobiety Deyre’ów, poślubione szalonym lordom, nie znającym ani strachu, ani litości, musiały być łagodne i potulne). Teraz te kobiety spoglądały taksującym wzrokiem na Myrę Deyre, ostatnią z nich. Z galerii goście wraz z gospodarzami przeszli do czworobocznego hallu, a stamtąd do Księżej Sali.

Vernona już jakiś czas przedtem zabrała Niania. Teraz odnaleziono go w ogrodzie, zajętego karmieniem złotej rybki. Ojciec Vernona wrócił do domu po klucze od ruin opactwa. Goście zostali

sami.

— Nie do wiary, Frank — powiedziała Amerykanka — czyż to nie urocze? Wszystkie te lata. Posiadłość przekazywana z ojca na syna.

Romantyczne, powiedziałabym, przede wszystkim romantyczne. Wszystkie te lata. Po prostu jak w bajce. Jak to powstało?

To wtedy odezwał się ów drugi dżentelmen. Nie sprawiał wrażenia wprawnego mówcy i jak dotąd Vernon nawet nie słyszał jego głosu.

Teraz jednak otworzył zaciśnięte usta i wymówił jedno słowo; słowo tak zachwycające, tak czarowne, tak tajemnicze, że Vernon zapamiętał

je na całe życie.

— Tandeta — powiedział ów drugi dżentelmen.

I nim Vernon zdążył zapytać (a zamierzał to zrobić), co to niezwykle słowo znaczy, jego uwagę odwróciło co innego.

Z domu wyszła matka. Był zachód słońca, prawdziwie malarski, cały w złocie i w czerwieni. I na tle tego złota i czerwieni Vernon zobaczył matkę tak, jakby widział ją pierwszy raz w życiu: wspaniałą kobietę o białej cerze i rudozłotych włosach, istotę niczym z ilustracji w książce z bajkami; pojawiła się nieoczekiwanie, na kształt cudownego zjawiska.

Miał nigdy nie zapomnieć tamtej osobliwej chwili. Była jego matką i była piękna, i on ją kochał. Poczł w sercu coś, co przypominało ból, tylko że to nie był ból; poczul w głowie ogłuszający hałas, który trwał i trwał, aż skończył się wysoką i słodką nutą, podobną do śpiewu ptaka. Absolutnie cudowny moment.

Ogłuszający hałas, wysoka, ptasia nuta i tajemnicze słowo

„tandeta” zlały się w jedno.

ROZDZIAŁ DRUGI

Winnie odeszła. Wszystko wydarzyło się nagle. Inne służące poszeptywały po kątach. Winnie płakała. Płakała i płakała. Niania dała jej coś, co nazwała burą, a ta bura wywołała jeszcze gorętsze łzy dziewczyny. W wyglądzie Niani było coś, co mogło sprawić, że każdego przechodziły dreszcze, a ona sama zdawała się jeszcze większa niż zazwyczaj i jeszcze bardziej szeleszcząca. Winnie, o czym Vernon wiedział, odchodziła z powodu ojca, choć ten przyjmował fakt jej odejścia bez szczególnego zainteresowania czy ciekawości. Innym nianiom też zdarzało się czasami odchodzić z jego powodu.

Matka zamknęła się w swoim pokoju. Ona również płakała. Vernon słyszał to przez drzwi. Nie posłała po niego, a jemu samemu nie przyszło na myśl, aby pójść do niej. W istocie jej szczelna izolacja raczej sprawiła mu ulgę. Nienawidził odgłosów płaczu, zdławionych oddechów, pociągania nosem, tego wszystkiego, co jeśli już się dzieje, to na ogół dzieje się za blisko czyichś uszu. Ludzie, którzy płaczą, zawsze lubią brać kogoś w objęcia. Vernon nienawidził tego rodzaju hałasów. Na całym świecie nie było niczego takiego, co przeszkadzałoby mu bardziej niż obrzydliwy, bezładny hałas. Zdawało mu się, że wtedy wszystko się w nim kurczy i że on sam się kurczy.

Pan Green był pod tym względem bez zarzutu: nigdy nie robił żadnego hałasu.

Winnie pakowała swoje kufěrki. Towarzyszyła jej Niania, teraz już mniej groźna, „Niania prawie ludzka”.

— To powinno być dla ciebie przestrogą, moja droga — mówiła. —

Żadnych flirtów w nowym miejscu.

Winnie wyczuła, że burza już minęła.

— Mam nadzieję, że za moich rządów już nic takiego tu się nie przydarzy — ciągnęła Niania. — To przez te rude włosy. Rudowłose dziewczęta zawsze są niestałe, jak zwykła powtarzać moja mamusia. Nie mówię, że jesteś złą dziewczyną. Ale to, co zrobiłaś, jest niestosowne. Niestosowne. To wszystko, co mam do powiedzenia.

I, jak to Vernon często zauważał, po wygłoszeniu takiej uwagi, mówiła dalej, i to całkiem sporo. On jednak już nie słuchał; zadumał

się nad słowem „niestosowne”. Stosowne, o czym wiedział, było coś, co wiązało się z kapeluszem. Ale co ma kapelusz do Winnie?

— Co to znaczy „niestosowne”, Nianiu? — zapytał jeszcze tego samego dnia.

Niania, przytrzymując wargami szpilki, jako że właśnie kroić miała lniany garnitur dla Vernona, odparła krótko:

— Nieodpowiednie.

— A co to jest „nieodpowiednie”?

— Nieodpowiedni są mali chłopcy, którzy nie przestają zadawać głupich pytań — wywinęła się zrecznie, jak przystało na kogoś, kto miał za sobą lata zawodowej kariery.

Tamtego popołudnia to ojciec przyszedł do pokoju dzieciennego. Miał dziwnie tajemniczy wygląd: nieszczęśliwy i jednocześnie wyzywający.

Skrzywił się lekko, widząc zaciekawione spojrzenie syna.

— Dzień dobry, Vernon.

— Dzień dobry, tatusiu.

— Wyjeżdżam do Londynu. Żegnaj, staruszk.

— Czy wyjeżdżasz dlatego, że pocałowałaś Winnie? — zainteresował się Vernon.

Tu z ust ojca padło słowo, którego Vernon nie powinien był

usłyszeć, choć chłopiec dobrze wiedział, że mężczyźni się nim chętnie posługują. Był wprost zafascynowany, zwłaszcza że to tym słowem zwykle popędzał się do snu, powtarzając je razem z innym, również zakazanym. To inne brzmiało „gorset”.

— Psiakość. Kto ci to, do licha, powiedział?

— Nikt, tatusiu — odparł Vernon po chwili zastanowienia.

— No to skąd wiesz?

— A nie zrobiłaś tego? — Vernon dociekał dalej.

Ojciec przemierzał pokój w milczeniu.

— Winnie całuje mnie czasami — zauważył Vernon — ale mnie się to nie bardzo podoba. Muszę się odcałowywać. Ogrodnik całuje ją i całuje. On to chyba lubi. Ja myślę, że całowanie jest głupie.

Tatusiu, kiedy dorosnę, czy też będę ją chętnie całował?

— Możliwe — przyznał niechętnie ojciec. — Chyba tak. Widzisz, synowie czasami są bardzo podobni do ojców.

— Chciałbym być taki jak ty — ucieszył się Vernon. — Jesteś wspaniałym jeźdźcem. Sam mi to powiedział. Powiedział, że nie ma równego tobie w hrabstwie i że jak żyje, nie widział kogoś, kto by się lepiej od ciebie znał na koniach. — Ostatnie słowa Vernon wyrzucił z siebie w pośpiechu: — Wolałbym być podobny do ciebie, nie do mamusi. Mamusia kłuje konia ostrogą. Sam tak mówi. — Zamilkł, po czym wyrecytował jednym tchem: — Mamusiężłoczyłból głowy.

— Wiem.

— Pożegnałeś się z nią?

— Nie.

— Jeśli chcesz to zrobić, to się pośpiesz. Dwukółka już podjeżdża.

— W takim razie nie zdążę.

Vernon pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Nic nie szkodzi. Ja sam nie znoszę całowania kogoś, kto płacze.

No i w ogóle nie lubię pocałunków mamusi. Za bardzo mnie ściska i mówi prosto do ucha. To już wolałbym całować się z Winnie. A ty, tatusiu?

Nagła ucieczka ojca wprawiła go w zakłopotanie. Niania, która chwilę wcześniej weszła do pokoju, z szacunkiem przepuściła swego pracodawcę. Vernonowi przyszła do głowy niejasna myśl, że to na jej widok ojciec poczuł się nieswojo.

Zjawiła się Katie, młodsza pokojówka, z nakryciem do herbaty.

Vernon, już na powrót wtopiony w spokojną atmosferę dziecięcego pokoju, układał w kącie klocki.

Nie trwało to długo. W drzwiach, przyjmując teatralną, nieszczęśliwą pozę, z chusteczką przy spuchniętych od płaczu oczach, stanęła jego matka.

— Wyjechał — zaszlochala. — Bez jednego słowa. Bez słowa. Och, mój syneczku. Moja dziecino.

Rzuciła się ku Vernonowi i schwyciła go w ramiona. Wieża, przynajmniej o jedno piętro wyższa od wszystkich, które udało mu się dotychczas zbudować, zawaliła się. Tymczasem w uszy wwiercał mu się roztrzęsiony głos matki.

— Moje dziecko, mój syneczek... przyrzeknij, że ty nigdy mnie nie opuścisz.... przyrzeknij... przyrzeknij...

Podeszła do nich Niania.

— Dobrze już, dobrze, proszę pani, nie trzeba tak rozpaczać —

powiedziała surowym, apodyktycznym tonem. — Lepiej położyć się do łóżka. Edith przyniesie pani filiżankę dobrej, gorącej herbatki.

Matka, ściskając go w objęciach, łkała nadal. Vernon, zeszywniały w niemym sprzeciwie, z trudem znosił tak uściski, jak i odgłosy łkania i zrobiłby wszystko, czego by od niego zażądała, byleby tylko zostawiła go w spokoju.

— Musisz mi wynagrodzić ból, który zadał mi twój ojciec, Vernonie.

Och, mój Boże, i co ja teraz pocznę?

Vernon zdawał sobie podświadomie sprawę z obecności Katie, obserwującej z podekscytowaniem całą scenę.

— Już dosyć, proszę pani — powiedziała Niania. — Pani jedynie wytrąci dziecko z równowagi.

Tym razem jej głos był na tyle stanowczy, że matka Vernona uległa i lekko wsparta na ramieniu Niani pozwoliła wyprowadzić się z pokoju.

Niania za kilka minut była z powrotem. Na twarzy miała wypieki.

— O rety! — zawołała Katie. — Żeby aż tak rozpaczać! Toż to prawdziwa histeria, jak państwo mówią! Żeby tylko nie zrobiła sobie jakiej krzywdy. Tyle tych wstrętnych stawów w ogrodzie. No bo też niezły numer z naszego pana. Choć nie powiem, nie ma z nią łatwego życia. Wszystkie te sceny i napady złego humoru...

— Dość tego, moja panno — przerwała Niania. — Możesz wrócić do swoich zajęć. Roztrząsanie osobistych spraw państwa przez służbę jest czymś, z czym się nigdy nie zetknęłam w przyzwoitym

domu. Twoja matka powinna cię lepiej wychować.

Katie pogardliwie podrzuciła głową i wyszła, a Niania, obchodząc dookoła stół, wzięła się do poprawiania filiżanek i talerzyków.

Poruszała się trochę niezgrabnie i mruczała sama do siebie:

— Mówić o czymś takim przy dziecku. Nie mam do tego nerwów...

ROZDZIAŁ TRZECI

Na miejsce Winnie przyszła kolejna młoda niania, chuda, blada dziewczyna z wyłupiastymi oczami. Miała na imię Isabel, ale zmieniono jej imię na Susan, uznając je za „bardziej stosowne”. Vernon był tym niezmiernie zaintrygowany i poprosił Nianię o wyjaśnienie.

— Są imiona stosowne dla ziemiaństwa, paniczu Vernon, i imiona stosowne dla służby. To wszystko.

— To dlaczego nazwano ją w domu „Isabel”?

— Są ludzie, którzy chrzcząc swoje dzieci, podają się za lepszych.

Lubią małpować swoich państwa.

Słowo „małpować” wprost oszołomiło Vernona. Przecież miało związek z małpami. Czy ludzie chrzczą swoje dzieci w zoo?

— Myślałem, że ludzi chrzci się w kościele.

— Oczywiście, paniczu Vernon.

Bardzo zagadkowe. Dlaczego wszystko jest takie zagadkowe? Dlaczego niektóre rzeczy są bardziej zagadkowe, niżby się zdawało? Dlaczego ktoś jeden mówi ci tak, a ktoś inny inaczej?

— Nianię, jak się rodzą dzieci?

— Już mnie panicz o to pytał, paniczu Vernon. Przynoszą je aniołki w nocy, przez okno.

— Tamta Am–am–am...

— Nie wypada się jąkać, paniczu Vernon.

— Tamta Amakanka powiedziała, że mamusia znalazła mnie pod krzakiem agrestu.

— Tak się rodzą amerykańskie dzieci — oznajmiła Niania pogodnie.

Vernon odetchnął z ulgą. Oczywiście! Oczywiście! Poczł przyływ wdzięczności dla Niani. Niania wie wszystko. Niania sprawia, że chwiejny świat nadal tkwi w swych posadach. I nigdy się z niego nie śmieje. Jego matka się śmieje. Słyszał, jak mówiła do swoich przyjaciółek: „Zadaje mi takie niezwykle oryginalne pytania. Tylko posłuchajcie. Czyż dzieci nie są przezabawne i cudowne?” Vernon wcale nie uważał, że jest przezabawny czy cudowny. On chciał po prostu wiedzieć. Każdy musi wiedzieć tak naprawdę. Wiedza jest częścią dorastania. Kiedy się dorasta, wie się wszystko i ma się w kieszeni suwerena.

Świat robił się coraz szerszy.

Okazało się na przykład, że istnieją wujkowie i ciocie.

Wujek Sydney był bratem mamy. Był niski i gruby, a jego twarz zawsze była czerwona. Miał zwyczaj podśpiewywania pod nosem i podzwaniania monetami w kieszeniach spodni. Uwielbiał żartować, lecz Vernon nie uważał, by jego żarty były bardzo zabawne.

— Przypuśćmy — mawiał wujek Sydney — że włożyłbym twój kapelusz.

No? Jak myślisz, jak bym wyglądał?

Dziwne, że dorośli zawsze zadają pytania! Dziwne, a także trudne, jeśli bowiem było coś, co Niania wpoila Vernonowi, to na pewno to, że mali chłopcy nie powinni pozwalać sobie wobec nikogo na osobiste uwagi.

— No, dalej — wujek Sydney nie rezygnował. — Jak bym wyglądał? —

Schwycił Iniany przedmiot dociekań i umieścił go na czubku swojej głowy. — No i jak? Jak wyglądam?

No cóż, jeśli się musi odpowiedzieć, to się musi. Vernon odparł

uprzejmie, choć dość niechętnie:

— Myślę, że trochę głupio.

— Ten twój chłopiec nie ma poczucia humoru, Myro — uznał wujek Sydney. — Ani krztyny. Szkoda.

Ciocia Nina, siostra ojca, była całkiem inna.

Ładnie pachniała, tak jak pachnie ogród w letni dzień, a jej głos był łagodny i podobał się Vernonowi. Miała ponadto inne zalety: nie całowała nikogo, kto nie chciał być całowany, i nie pozwalała sobie na żarty. Jednak ciocia Nina rzadko przyjeżdżała do Możnych Opactw.

Vernon uważał, że jest bardzo dzielna, ponieważ to właśnie dzięki niej uświadomił sobie, że ktoś mógłby ujarzmić Bestię.

Bestia żyła w dużym salonie. Miała cztery nogi i błyszczące, brązowe cielsko. Miała także długi rząd czegoś, co Vernon, kiedy był

mały, brał za zęby, za wielkie, żółte, Lśniące zębiska. Jak daleko sięgał pamięcią, nieodmiennie go fascynowała i przerażała. Bo otóż, kiedy się ją zirytowało, potrafiła tak gniewnie zagrzmieć lub piskliwie zajęczeć, że w jakiś dziwny sposób to jej hałasowanie zadawało większy ból niż cokolwiek innego w świecie. Po prostu raniło duszę. Ten cały zgiełk i harmider sprawiał, że mały

człowiek, jakim był Vernon, trząsał się i dostawał mdłości, a jego oczy płonęły gorączką, lecz mimo to, jak zaczarowany, nie potrafił uciec z salonu.

Wszystkie smoki z bajek jawiły się Vernonowi pod postacią Bestii z salonu. Jeśli chodzi o zabawy z panem Greenem, to najlepsze były te, podczas których Vernon na tle śpiewu i wiwatujących okrzyków setki dzieci zanurzał miecz w błyszczącym, brązowym cielsku i zabijał

Bestię.

Teraz, kiedy był już dużym chłopczykiem, wiedział więcej, to oczywiste. Wiedział, że Bestia nazywa się fortepian i że rozmyślne atakowanie jej zębów nosi nazwę „granienafortepianie”, i że robią to panie po kolacji, dla panów. Lecz w najtajniejszym zakamarku swego serca nadal się bał i nadal czasami budził się z okrzykiem przerażenia, śnił bowiem, że Bestia ściga go po schodach i wpada za nim aż do pokoju dziecinnego.

W jego dziecięcej wyobraźni ta dzika i okrutna Bestia mieszkała w lesie, a on nie był w stanie znieść okrutnych hałasów, jakie zdarzało jej się wszczynać.

Mamusia czasami robiła „granienafortepianie”, co doprowadzało Vernona niemal do rozpacz. Bo i jakże Bestia mogłaby się nie przebudzić po mamusiniach wyczynach? Jednak dzień, w którym zagrała ciocia Nina, był całkiem innym dniem.

Vernon zaszył się w kącie pokoju i bawił się w jedną ze swych wyimaginowanych zabaw. On, Wiewiórka i Pudiel urządzili sobie piknik i zajadali homary i czekoladowe ekierki. Ciocia Nina nawet nie zauważyła jego obecności. Usiadła na taborecie przy fortepianie i zaczęła leniwie wygrywać jakąś melodię.

Vernon, oczarowany grą, skradał się bliżej i bliżej. Nina w końcu zauważyła wpatrzona w siebie oczy, spływające po twarzy chłopca łzy i wstrząsające drobnym ciałkiem łkanie. Przerwała grę.

— Vernonie, co ci się stało?

— Nienawidzę tego — szlochało dziecko. — Nienawidzę! Nienawidzę!

Aż mnie tutaj boli! — Uderzył dłońmi w żołądek.

W tej właśnie chwili weszła do salonu Myra. Roześmiała się.

— Czyż to nie dziwne? To dziecko po prostu nie cierpi muzyki.

— Naprawdę? To dlaczego nie pójdzie sobie?

— Nie mogę — załkał w odpowiedzi sam Vernon.

— Czy to nie śmieszne? — spytała Myra.

— Chyba raczej interesujące.

— Prawie wszystkie dzieci lubią brzdąkać na pianinie. Przedwczoraj usiłowałam nauczyć go zwykłych Chińskich pałeczek, lecz nie uznał

tego za zabawne.

Nina nie spuszczała oka z małego bratanka.

— Nie mogę wprost uwierzyć, by moje dziecko było niemuzyczne —

ciągnęła Myra urażonym głosem. — Kiedy miałam osiem lat, grałam już całkiem trudne kawałki.

— Och, wiesz! — powiedziała Nina wymijająco — można być muzycznym na różne sposoby.

Och, wiem, wiem, pomyślała sobie Myra. Rodzina mojego męża na ogół

mówi same głupstwa. Albo się jest muzycznym i potrafi się zagrać to i owo na fortepianie, albo się nie jest. Vernon nie jest, to jasne.

Zachorowała matka Niani. Niesamowita, z niczym nieporównywalna katastrofa pokoju dzieciennego. Niania, z bardzo czerwoną twarzą, zawzięcie pakowała się przy pomocy Susan Isabel, a Vernon, zmartwiony, współczujący, lecz nade wszystko ciekawy, stał w pobliżu, i z tej zwykłej ciekawości zadawał pytanie za pytaniem.

— Czy twoja matka jest bardzo stara, Nianiu? Czy ma sto lat?

— Oczywiście, że nie, paniczu Vernon. Dobre sobie, sto lat!

— Czy ona umrze? — pytał dalej, starając się być grzecznym i okazać zrozumienie. Przecież matka kucharki była chora i umarła.

Niania nie odpowiedziała. Zamiast tego rzuciła ostro:

— Wyjmij pudła na buty z dolnej szuflady, Susan. Ruszaj się żwawiej, moja panno.

— Nianiu, czy twoja matka...

— Nie mam czasu na odpowiedzi, paniczu Vernon.

Vernon usiadł w rogu pokrytej perkalem kanapy i oddał się rozmyśleniom. To prawda, Niania powiedziała, że jej matka nie ma stu lat, ale on był przekonany, że jest w bardzo podeszłym wieku. Już sama Niania zawsze zdawała mu się potwornie stara. Myśl, że gdzieś istnieje ktoś starszy i mądrzejszy od jego Niani, wprawiła go w stan absolutnego oszołomienia. Co więcej, sprowadziła Nianię do rzędu zwykłych istot ludzkich. I tak oto Niania przestała być postacią ustępującą miejsca jedynie Panu Bogu.

Wszechświat drgnął. Zmieniła się skala wartości. Niania, Bóg i pan Green — wszyscy troje stracili na znaczeniu, siali się niewyraźni i zamazani. Wyglądało na to, że ich miejsce mieli zająć inni: mamusia, ojciec czy choćby ciocia Nina. Zwłaszcza mamusia. Mamusia była jak księżniczka o pięknych, długich, złocistych włosach. Dla mamusi mógłby walczyć ze smokiem, z brązowym, błyszczącym smokiem, takim jak Bestia.

Jak brzmiało tamto słowo? Magiczne słowo? Tandeta, no właśnie, tandeta. Czarowne, zachwycające słowo! Księżniczka Tandeta! Słowo godne powtarzania przed samym sobą, w tajemnicy, szeptem, wieczorem, razem z dwoma innymi. Te dwa inne brzmiały „psiakość” i „gorset”.

Lecz nigdy, przenigdy mamusia nie może tego słowa usłyszeć, ponieważ doskonale wiedział, że mogłaby się śmiać. Mamusia zawsze się śmiała, a jej śmiech był taki, że on, Vernon, najchętniej zmarszczyłby się i skurczył niby ziarenko grochu. No i mogłaby coś powiedzieć. Mamusia zawsze mówiła takie rzeczy, których on nienawidził. „Czyż dzieci nie są zabawne?” A Vernon wiedział, że wcale nie jest zabawny. Nic wyglądał na kogoś zabawnego. Tak przynajmniej powiedział wujek Sydney. Niechby tylko mamusia... Niechby mamusia...

Dalej siedział na kanapie i marszczył z zakłopotaniem czoło. Nagle zobaczył przed sobą, jak żywe, dwie mamusie. Jedna była księżniczką, piękną mamusią, o której śnił, którą łączył w myślach z zachodami słońca, z czarami, z zabijaniem smoków, a druga to była ta, która śmiała się i mówiła: „Czyż dzieci nie są zabawne?” Tylko że oczywiście obie były tą samą...

Westchnął niespokojnie. Niania czerwona z wysiłku, jaki wkładała w zamknięcie swego kufierka, zwróciła się do niego z życzliwym zainteresowaniem:

— Czy coś się stało, paniczu Vernon?

— Nic, proszę Niani.

Zawsze trzeba odpowiadać „nic”. Zawsze. W ten sposób nikt się nigdy nie dowie, o czym się myśli.

Pod rządami Susan Isabel pokój dziecinny zupełnie się odmienił.

Vernon bezkarnie mógł bywać niegrzeczny, toteż całkiem często taki bywał. Susan zabraniała robić pewne rzeczy, a on je mimo wszystko robił! Susan mawiała: „Powiem twojej matce”, lecz nigdy się do tego nie posunęła.

Z początku cieszyła się pozycją i autorytetem, przywilejami, które, siłą rzeczy, pod nieobecność Niani stały się jej udziałem. I gdyby nie Vernon, cieszyłaby się nimi dalej.

— Nie mam pojęcia — zwierzała się jak zwykle Katie, młodszej pokojówce — co w niego wstępuje. Czasami to istne półdiablę. A pomyśleć, że przy pani Pascal był taki miły i grzeczny.

— Ach, przy tej! Taka to każdego potrafi utrzymać w ryzach.

Tu następowały, również jak zwykle, dłuższe szepty i chichoty.

— Kto to jest pani Pascal? — zapytał któregoś dnia Vernon.

— A to ci dopiero! Czyżby panicz nie znalazł nazwiska własnej niani?

Zatem jego Niania to jakaś pani Pascal. Kolejny szok. Przecież zawsze była po prostu Nianią. Równie dobrze mogłoby się okazać, że Pan Bóg to pan Robinson.

Pani Pascal! Niania! Im dłużej Vernon o tym myślał, tym bardziej zdawało mu się to niezwykle. Pani Pascal! Po prostu tak jak mamusia jest panią Deyre, a tatuś panem Deyre. Zastanawiające, że Vernon nigdy nie rozważał możliwości istnienia jakiegoś pana Pascala. (Tu trzeba przyznać, że żaden pan Pascal nie istniał. Określenie „pani” było cichym dowodem uznania dla pozycji Niani i jej autorytetu).

Niania była wyniesiona na piedestał sama, podobnie jak pan Green, który, mimo że posiadał setkę, dzieci (oraz Pudła, Wiewiórkę i Drzewo), w wyobraźni Vernona nigdy nie był związany z jakąś panią Green!

Dociekliwość Vernona szła w innym kierunku.

— Susan, czy lubisz, jak mówimy na ciebie Susan, a nie Isabel?

Susan (czy Isabel) jak zwykle zachichotała.

— Nieważne, co ja lubię, paniczu Vernon.

— Dlaczego?

— Ludzie mają robić to, co im się każe. Tak już jest na tym świecie.

Vernon zamilkł. Do niedawna sam tak uważał. Jednak w ciągu ostatnich kilku dni zdążył spostrzec, że to nieprawda. Nie musi się wykonywać każdego polecenia. Wszystko zależy od tego, kto je wydaje.

Nie chodziło bynajmniej o karę. Był przez Susan bezustannie sadzany na krzesłach, stawiany do kąta i pozbawiany słodyczy.

Tymczasem wystarczyło, żeby Niania popatrzyła surowo przez okulary i przyjęła odpowiedni wyraz twarzy, a chłopiec natychmiast kapitulował.

Susan z natury nie miała w sobie żadnej mocy rozkazywania. Vernon, spostrzegłszy to, prędko zasmakował w dreszczyku, jaki wywołuje uwięzione powodzeniem nieposłuszeństwo. Nie koniec na tym. Vernon lubił dokuczać Susan. Im bardziej dziewczyna była zmartwiona, traciła głowę, im bardziej rzedła jej mina, tym on się bardziej cieszył.

Vernon nadal, co usprawiedliwiał jego wiek, był w epoce kamiennej: delectował się okrucieństwem.

Susan, w przeciwieństwie— do Niani, pozwalała Vernonowi na samotne wyjścia i zabawy w ogrodzie. Nie będąc zaś tak atrakcyjną dziewczyną jak Winnie, nie miała powodów do gustowania w spacerach. A poza tym, cóż złego mogłoby się dziecku przydarzyć?

— Paniczu Vernon, spodziewam się, że panicz nie będzie podchodził

do stawów — upewniała się pewnego razu.

— Nie będę — odpowiedział Vernon, choć właśnie zamierzał to zrobić.

— Panicz będzie się bawił swoim kółkiem jak greczny chłopczyk, prawda?

— Tak, Susan.

Pokój dziecinny pograżył się w ciszy. Susan wydała z siebie westchnienie ulgi i wyjęła z szuflady książkę w papierowych okładkach, zatytułowaną Księżę i krowiarka.

Biegając za swoim kółkiem, Vernon okrążał ogród warzywny. W pewnej chwili kółko wymknęło się spod jego kontroli i wskoczyło na mały spłachetek ziemi, któremu właśnie poświęcał całą swą uwagę Hopkins, starszy ogrodnik. Hopkins nie znoszącym sprzeciwu tonem kazał

Vernonowi przenieść się w inne miejsce, i Vernon czym prędzej to zrobił. Vernon czuł respekt przed Hopkinsem.

Po pewnym czasie porzucił kółko i wspinał się na drzewo, potem na drugie. Dla ścisłości należy powiedzieć, że osiągnął wysokość mniej więcej sześciu stóp, licząc od ziemi, z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Zmęczony tak niebezpieczną zabawą, usiadł okrakiem na jednej z gałęzi i zaczął się zastanawiać, co by tu jeszcze zrobić.

Ogółem wzięwszy, myślał o stawach. Zdecydowanie go fascynowały, zwłaszcza po tym, kiedy Susan zabroniła mu się do nich zbliżać. Tak, mógłby tam pójść. Już ruszał z miejsca, kiedy przyszedł mu do

głowy całkiem inny pomysł, a to z powodu niezwykłego widoku: furtka do lasu była otwarta!

A to ci gratka, Ileż to razy naciskał potajemnie nieszczęsną klamkę: furtka zawsze była zamknięta.

Skradał się do niej z namysłem, ostrożnie. Las! Rósł tam, za ogrodzeniem, za ledwie kilka kroków dalej! Można sio było w jednej chwili zanurzyć w jego chłodni), zielona, głębię. Serce Vernona zaczęło bić przyspieszonym rytmem.

Od dawna pragnął wejść do lasu i oto nareszcie ma okazję. Kiedy wróci Niania, o czymś takim nie będzie mowy.

A jednak jeszcze się wahał. Lecz. to nie lęk przed karą za nieposłuszeństwo był tym czymś, co go powstrzymywało przed zrobieniem decydującego kroku. Dokładnie rzecz ujmując, nikt mu nigdy nie zabraniał pójścia do lasu. Ufny w swą dziecięcą przebiegłość, gotów byłby skorzystać z takiej wymówki.

Nie, to było coś innego. Strach przed nieznanym, przed tamtymi ciemnymi, liściastymi głębiami. Powstrzymywały go odziedziczone po dalekich przodkach wspomnienia...

Chciał iść i nie chciał. Uważaj, Vernon, całkiem możliwe, że tam Coś jest. Coś takiego jak Bestia. Coś, co podejdzie od tyłu, co cię zaatakuje...

Przestępował niespokojnie z nogi na nogę. Lecz przecież to Coś nie będzie się za nim uganiało w samym środku dnia. A poza tym w lesie mieszka pan Green. I choć pan Green stracił nieco na poprzedniej wyrazistości, to jednak odkrycie i zbadanie miejsca jego zamieszkania niewątpliwie byłoby dość miłe. Trzeba by też sprawdzić, czy Pudel, Wiewiórka i Drzewo mają własne, zrobione z liści, oddzielne mieszkania.

— No, dalej, Pudlu powiedział Vernon do niewidzialnego towarzysza zabaw. — Masz ze sobą łuk i strzały. Świetnie. Chodźmy zatem na spotkanie z Wiewiórką.

Żwawo ruszył z miejsca. Tuż obok, w jego wyobraźni, kroczył Pudel, ubrany jak Robinson Crusoe z książki z obrazkami.

W lesie było cudownie: tajemniczo, mrocznie i zielono. Ptaki śpiewały i przefruwały z gałęzi na gałąź. Vernon nie przestawał

rozmawiać ze swoim przyjacielem; wreszcie mógł sobie pozwolić na taki luksus bez obawy, że ktoś go podsłucha i powie: „Czyż on nie jest zabawny? Udaje, że bawi się z innym chłopczykiem”. W domu rzadko to robił. W domu zawsze trzeba być ostrożnym.

— W porze lunchu pójdziemy do zamku, mój Pudlu. Mają być opiekane na ruszcie lamparty. Och! Przecież to Wiewiórka! Jak się masz, Wiewiórko? A gdzie jest Drzewo? Wiesz co, ten spacer jest dość nużący. Lepiej dosiądźmy koni.

Rumaki były przywiązane do sąsiedniego drzewa. Vernon wybrał sobie mlecznobiałego, dla Pudla

przeznaczył czarnego jak węgiel, a na maść trzeciego rumaka, rumaka dla Wiewiórki, nie mógł się zdecydować.

Pogalopowali między drzewami, nie zważając na śmiertelnie niebezpieczne pułapki: ani na bagniska, ani na syczące węże, ani na rzucające się do ataku lwy; wierne rumaki wybawiały swoich jeźdźców z każdej opresji.

Jakże był niemądry, bawiąc się w ogrodzie czy gdziekolwiek indziej poza lasem! Już prawie zapomniał, jak wyglądały zabawy w panem Greenem, Pudlem, Wiewiórką i Drzewem. Lecz czyż mogło być inaczej, skoro zawsze znalazł się ktoś, kto przypominał mu, że jest małym, zabawnym chłopcem i że jego zabawy są zabawami na niby?

Vernon, dumny jak paw, zagłębiał się w las, to podskakując i brykając wesoło, to maszerując z uroczystą powagą. Był duży, był

potężny, był wspaniały! Jeszcze mu tylko czegoś brakowało, choć sam o tym nie wiedział; brakowało mu tam-tamu, na którym wybijałby rytm hymnu ku własnej chwale.

Las! Wiedział, zawsze wiedział, że las jest właśnie taki, i nie zawiódł się! Nagle wyrósł przed nim rozsypujący się, porośnięty mchem mur. Zamkowe mury! Czy istniało na świecie coś wspanialszego? Zaczął

się wspinać.

Wspinanie doprawdy szło mu dość łatwo, choć mur był najeżony niezwykle niebezpiecznymi występami. Czy miał to być zamek pana Greena, czy też miałyby zamieszkiwać go olbrzym ludojad, o tym Vernon jeszcze nie zdecydował, I jeden, i drugi wariant był równie nęcący, choć Vernon skłaniał się raczej ku temu drugiemu: był w wojowniczym nastroju. Z wypiekami na twarzy dotarł do krawędzi muru i spojrzał na drugą stronę,

I tu, na jeden krótki ustęp, wkracza do opowieści pani Somers West, która, będąc (chwilowo) miłośniczką romantycznych pustelni, kupiła sobie „Leśną Chatkę”, stojącą, w jej mniemaniu, w samym sercu lasu, „Jest tak uroczo oddalona od świata, nic poza naturą, jeśli wiecie, co mam na myśli”. A ponieważ pani Somers West była równie romantyczna, jak i muzykalna, zburzyła jedną ścianę i z dwóch pokoi zrobiła jeden, co pozwoliło jej na wygospodarowanie takiej przestrzeni, na jakiej mógłby się zmieścić fortepian.

Otóż trzeba było trafu, że kiedy Vernon stanął na krawędzi muru i spojrzał na jego drugą stronę, to w tym samym czasie kilku spoconych, potykających się z nadmiernego wysiłku mężczyzn popychało wyżej wzmiankowany fortepian ku oknu. A ku oknu dlatego, że przez drzwi nijak nie chciał przejść. Ogród, przylegający do „Leśnej Chatki”, stanowił zwykłą gmatwaninę chaszczki typowych dla podszycia lasu: dzika natura, jak słusznie nazwała go pani Somers. Zatem, ni mniej, ni więcej, to, co zobaczył Vernon, było Bestią! Bestia żyła naprawdę powoli, lecz rozmyślnie, pełzła ku niemu, mściwa i złośliwa...

Przez moment nie był w stanie się poruszyć. Zdawało mu się, że wrósł w ziemię. Następnie, z

przeraźliwym krzykiem, rzucił się do ucieczki po krawędzi cienkiego, rozsypującego się muru. Bestia rzuciła się za nim, Bestia go ścigała... była coraz bliżej, wiedział to bez oglądania się za siebie. Biegł, biegł prędzej, niż kiedykolwiek przedtem potrafił biegać. Noga zaplątała się w wierzbowe witki, przewrócił się... spadał... spadał...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Upłynęło dużo czasu, nim się obudził. Leżał w łóżku. To oczywiście było naturalne. Łóżko na ogół jest tym miejscem, w którym człowiek się budzi, ale nienaturalny był wielki garb, sterczący przed nim na pościeli. Właśnie kiedy go sobie oglądał, ktoś się odezwał. Tym kimś był doktor Coles, znany Vernonowi od zawsze.

— Proszę, proszę. I jak się czujemy?

Vernon nie miał pojęcia, jak się czuje doktor Coles. Jeśli chodzi o niego, czuł się nie najlepiej, i tak też odpowiedział.

— Zapewne, zapewne — podchwycił doktor Coles.

— I zdaje mi się, że gdzieś się skaleczyłem — ciągnął Vernon. —

Chyba bardzo.

— Zapewne, zapewne — powtórzył swoje lekarz, choć Vernonowi niewiele to mówiło.

— Może poczułbym się lepiej, gdybym się podniósł. Czy mogę wstać z łóżka?

— Obawiam się, że raczej nie w tej chwili. Cóż, chłopcze, miałeś wypadek.

— To prawda — przyznał Vernon. — Goniła mnie Bestia.

— Słucham? Co takiego? Bestia, powiadasz? Jaka bestia?

— Och, nieważne.

— Może to był pies — dociekał doktor. — Skoczył na mur i zaszczekał znienacka. Nie trzeba bać się psów, mój mały.

— Ja się nie boję.

— Hm! A co robiłeś tak daleko od domu? W miejscu, w którym się znalazłeś, nie miałeś czego szukać.

— Nikt mi nie powiedział, bym tam nie chodził.

— Hm, hm, ciekawe... No cóż, musisz teraz zmierzyć się ze swoją karą. Czy wiesz, że złamałeś nogę?

— Naprawdę? — No, to dopiero nagroda, pomyślał uszczęśliwiony. Ma złamaną nogę. Jest kimś bardzo ważnym.

— Naprawdę. Będziesz musiał trochę poleżeć w łóżku, a potem przez pewien czas będziesz chodził

o kulach. Czy wiesz, co to są kule?

Tak, Vernon wiedział. Kule miał pan Jobber, kował ojca. A teraz będzie je miał on, Vernon! To cudownie!

— Czy mógłbym wypróbować je już teraz?

— Widzę, że podoba ci się pomysł z kulami — zaśmiał się doktor Coles. — Niestety, na to trzeba trochę poczekać. Postaraj się być dzielnym chłopcem, a na pewno prędko wydobrzejesz.

— Dziękuję panu — powiedział Vernon. — Chyba jednak naprawdę nie czuję się najlepiej. Czy może pan zdjąć tę śmieszna rzecz z mojego łóżka? Myślę, że byłoby mi wygodniej.

Cóż, okazało się, że ta dziwna rzecz nazywa się klosz, że osłania mu nogę i że absolutnie nie wolno jej usunąć. Okazało się ponadto, że Vernon nie może się nawet poruszyć, ponieważ jego noga jest przywiązana do dziwnego, długiego kawałka drewna. Mimo wszystko wcale nie było przyjemnie mieć coś złamanego.

Dolna warga Vernona zaczęła lekko drżeć. Naturalnie nie miał

zamiaru płakać, był przecież dużym chłopcem, a duzi chłopcy nigdy nie płaczą. Tak powiadała Niania. On chciał mieć przy sobie Nianię.

Pragnął tego rozpaczliwie. Pragnął jej uspokajającej obecności, jej wszechwiedzy, jej sztywnego, wykrochmalonego i szeleszczącego majestatu.

— Wkrótce wróci — obiecał doktor Coles. — Bądź tego pewien. Na razie będzie się tobą opiekować pielęgniarka, siostra Frances, twoja nowa niania.

Siostra Frances pojawiła się w polu widzenia Vernona, a on obserwował ją w milczeniu. Ona także miała na sobie sztywną od krochmalu sukienkę. To już coś. Lecz wcale nie była tak duża jak jego prawdziwa Niania; była szczuplejsza nawet od mamusi, prawie tak szczupła jak ciocia Nina. Nie był pewien...

Wtedy napotkał jej spojrzenie. Spojrzenie poważnych, bardziej zielonych niż szarych oczu, i poczuł to, co zwykle czuli ludzie w obecności siostry Frances: a mianowicie, że przy niej „wszystko będzie dobrze”.

Uśmiechnęła się do niego, lecz nie tak, jak uśmiechali się do niego goście. Uśmiech siostry Frances, choć powściągliwy, był szczęty i przyjazny.

— Jest mi przykro, że nic czujesz się najlepiej — powiedziała. —

Nie napiłbyś się soku pomarańczowego?

Vernon rozważył pytanie i przyznał, że napiłby się. Doktor Coles opuścił pokój, a siostra Frances przyniosła sok pomarańczowy w przedziwnej filizance z długim dzióbkiem.

— Będziesz przez niego pić — powiedziała siostra Frances.

Zaśmiał się, lecz śmiech wywołał ból, zatem przestał się śmiać.

Siostra Frances podsunęła mu myśl o ponownym spaniu, ale Vernon zapewnił ją, że nie jest ani trochę senny.

— W takim razie ja też nie powinnam spać. Ciekawa jestem, czy potrafisz policzyć, ile jest irysów na tamtej ścianie? Możesz zacząć od prawej strony, a ja zacznę od lewej. Potrafisz liczyć, prawda?

Vernon odparł dumnie, że potrafi, i to do stu.

— To dużo — odparła siostra Frances. — A co do irysów, to na naszej ścianie na pewno jest ich trochę mniej. Stawiałabym na siedemdziesiąt dziewięć. A ty?

Vernon postawił na pięćdziesiąt. Był pewien, że nie ma ich więcej.

Zaczął liczyć, lecz w dziwny sposób, nie wiedząc kiedy, powieki mu opadły i zasnął...

Hałas... Hałas i ból... Obudził się gwałtownie. Było mu gorąco, bardzo gorąco i bolał go jeden bok. Hałas narastał, był coraz, bliżej, a taki hałas zwykle kojarzył mu się jedynie z mamusią...

Wpadła do pokoju jak burza, spowita w coś w rodzaju pelerynki.

Była jak ptak; jak wielki, szerokoskrzydły ptak i tak jak ptak sfrunęła w dół, na niego.

— Vernonie, skarbie, kochany mamusiny skarbie... Co oni ci zrobili?

Jakie to straszne, jakie okropne... Moje dziccko!

Płakała. Vernon też się rozplakał. Nagle się przestraszył; Myra lamentowała dalej.

— Moja dziecina. Moje wszystko, co mam na tym świecie. Boże, nic zabieraj mi go. Nie zabieraj! Jeśli on umrze, umrę i ja!

— Pani Deyre...

— Vernon... Vernon... mój maleńki...

— Pani Deyre... proszę. — Siostra Frances nie prosiła; głos siostry Frances brzmiał niby szorstki rozkaz. — Proszę go nie dotykać. Urazi go pani.

— Urażę go? Ja, jego matka?

— Pani Deyre, pani chyba nie zdaje sobie sprawy, że dziecko ma złamaną nogę. Jestem zmuszona poprosić panią o opuszczenie pokoju.

— Ukrywacie coś przede mną... Czy noga ma być amputowana?

Vernon załkał. Nie miał pojęcia, co znaczy słowo „amputowana”, lecz samo jego brzmienie wywoływało ból, a co gorsza, strach; łkanie przeszło w krzyk.

— On umiera! — wołała Myra. — On umiera, a oni nie chcą mi nic powiedzieć! Ale umrze w moich ramionach!

— Pani Deyre...

W sobie tylko wiadomy sposób siostra Frances w jednej chwili znalazła się między łóżkiem a matką dziecka. Ujęła Myrę Deyre za ramiona, a jej głos zabrzmiał jak głos Niani, kiedy tej zdarzało się napominać Katie, młodszą pokojówkę.

— Pani Deyre, proszę mnie posłuchać. Musi pani nad sobą zapanować.

Musi pani! — Podniosła wzrok. W drzwiach stał ojciec Vernona. — Panie Deyre, proszę zabrać

żonę z pokoju dziecka. Nie mogę pozwolić, by mój pacjent się denerwował.

Ojciec skinął głową na znak zrozumienia. Rzucił Vernonowi jedno spojrzenie i powiedział:

— A to pech, staruszk. Sam kiedyś miałem złamaną rękę.

W jednej chwili świat stał się mniej przerażający. Inni ludzie też łamali ręce i nogi. Ojciec ujął ramię matki i wbrew protestom poprowadził ją ku drzwiom, mówiąc coś przyciszonym głosem. Głos matki był wysoki i piskliwy z przejęcia.

— Ty miałbyś to rozumieć? Ty? Ty nigdy nie przejmowałaś się chłopcem tak jak ja. W takiej chwili potrzebna jest matka. Jak mogę pozostawić własne dziecko pod opieką kogoś obcego? Ono potrzebuje matki... Niczego nie rozumiesz... Kocham go, Kocham. Nie ma nie lepszego od troskliwych rąk matki, każdy ci to powie... Vernon, Kochanie —

wyrwała się z uścisku męża i podbiegła do łóżka — przecież chcesz, żebym była przy tobie, prawda? Chcesz do swojej mamusi, proszę, powiedz to!

— Ja chce do Niani — łkał Vernon — chcę do Niani... — Miał na myśli swoją Nianię, nie nianię Frances.

— Och! — wykrztusiła Myra. Stała nad Vernonem, drżąc na całym ciele.

— Chodź, moja droga — powiedział łagodnie ojciec. — Wyjdźmy stąd.

Myra wsparła się na ramieniu męża i oboje wyszli z pokoju. Zza drzwi dobiegły Vernona cichnące w oddali słowa matki:

— Moje własne dziecko... Żeby woleć ode mnie jakąś obcą osobę...

Siostra Frances wygładziła prześcieradło i zaproponowała, by Vernon napił się wody.

— Twoja prawdziwa niania wróci już wkrótce — pocieszyła go. —

Napiszemy do niej jeszcze dzisiaj, dobrze? I to ty ułożysz list.

Vernona ogarnęło nie znane mu dotychczas uczucie, coś w rodzaju wdzięczności. Ktoś go wreszcie rozumie...

Po latach, kiedy spoglądał wstecz na swoje dzieciństwo, miał

wyraźnie oddzielać ten okres swojego życia od pozostałych, a określenia „wtedy, kiedy złamałem nogę” używać jako synonimu pewnej specyficznej epoki.

Miał także przywiązywać wagę do rozmaitych drobnych incydentów, które wówczas oczywiście urastały w jego oczach do rangi problemu. Na przykład, dość burzliwa wymiana zdań między doktorem Colesem a matką.

Naturalnie nie doszło do niej w pokoju Vernona, lecz podniesiony głos Myry zdołał przeniknąć przez zamknięte drzwi. Vernon dobrze słyszał

oburzone okrzyki w rodzaju: „Nie rozumiem, co ma pan na myśli, mówiąc, że go wyprowadzam z równowagi... Uważam, że to ja powinnam opiekować się własnym dzieckiem... Oczywiście, byłam strapiona, nie należę do ludzi, którzy nie mają serca. Proszę popatrzeć na Waltera, ten ani nie mrugnie!”

Zdarzały się także liczne utarczki, żeby nie powiedzieć —

rozstrzygające bitwy, między Myrą a siostrą Frances. W tych przypadkach zwyciężała nieodmiennie siostra Frances, choć wiele ją to kosztowało. Myra Deyre była bowiem wściekle zazdrosna o osobę, którą nazywała „tą płatną pielęgniarką”. Była zmuszona zastosować się do zaleceń doktora Colesa, lecz robiła to z wielką łaską i z jawną niechęcią, czego siostra Frances zdawała się nigdy nie zauważać.

Po latach Vernon nie pamiętał bólu i nudy, a przecież na pewno doświadczał i jednego, i drugiego. Pamiętał jedynie długi szereg szczęśliwych dni, podczas których bawił się i rozmawiał jak nigdy przedtem. W niani Frances znalazł tę dorosłą osobę, która nie nazywała każdej rzeczy „zabawna” lub „niezwykłą”; kogoś, kto potrafił

uważnie słuchać i w porę podsuwać rzeczowe sugestie. Z nianią Frances mógł rozmawiać o Pudlu, Wiewiórcie i Drzewie, a także o pozostałej setce dzieci pana Greena i o nim samym. Niania Frances, zamiast wykrzykiwać „Jaka zabawna historyjka!”, najzwyczajniej w świecie pytała, czy ta setka to dziewczynki, czy chłopcy. A ponieważ Vernon nigdy przedtem nic rozważał tej sprawy, za obopólną zgodą, niani Frances i Vernona, pan Green odtąd miał pięćdziesiątkę jednych i pięćdziesiątkę drugich, co zdawało się bardzo rozsądnym rozwiązaniem.

Jeśli czasami nie miał się na baczności i wiódł głośno swoje zmyślane dialogi, niania Frances zdawała się nie widzieć w tym niczego niezwykłego. Odznaczała się tym samym spokojem, jaki emanował

z Niani, lecz poza tym była obdarzona czymś, co dla Vernona znaczyło dużo więcej, a mianowicie umiejętnością odpowiadania na pytania.

Vernon nigdy nie wątpił w szczerość i prawdziwość jej odpowiedzi.

Zdarzało się, że mawiała: „Tego sama nie wiem” albo: „Musisz zapytać kogoś innego. Nie jestem dość mądra, aby ci to wytłumaczyć”. Niania Frances nie miała inklinacji do udawania osoby wszechwiedzącej.

Czasami, po herbacie, opowiadała Vernonowi bajki i różne przypowiadki. Nigdy nie powtarzała tych samych dwa dni pod rząd: jeżeli jednego dnia występowali w nich niegrzeczni chłopcy i nieznośne dziewczynki, to następnego Vernon mógł się spodziewać bajek o zaczarowanych królewnach. Te ostatnie lubił najbardziej, a jedną z nich wprost uwielbiał. Była to bajka o złotowłosej królewnie zamkniętej w wieży i o księciu wędrowniczku w obszarpanym, zielonym kapeluszu. Bajka kończyła się sceną w lesie i być może był to powód, dla którego Vernonowi tak się podobała.

Zdarzali się również dodatkowi słuchacze. Myra Deyre przychodziła zwykle do syna wczesnym popołudniem, kiedy siostra Frances miała wolne, lecz ojciec Vernona odwiedzał pokój dziecienny na ogół po herbacie, w porze opowiadania bajek. Powoli stało się to jego codziennym zwyczajem. W czasie takich odwiedzin Walter Deyre siadywał

w cieniu, tuż za krzesłem siostry Frances, skąd najwygodniej mu było obserwować nie własne dziecko, lecz pielęgniarkę. Pewnego razu Vernon zauważył, że dłoń ojca wysuwa się potajemnie i łagodnie zaciska na nadgarstku jego niani.

I wtedy wydarzyło się coś zaskakującego. Siostra Frances podniosła się z krzesła.

— Obawiam się, że dzisiejszego popołudnia musimy poprosić pana o zostawienie nas samych, panie Deyre — powiedziała spokojnie. — Vernon i ja mamy jeszcze coś do zrobienia.

Vernon zdziwił się bardzo, gdyż nie wyobrażał sobie, co takiego mieliby robić. Zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy ojciec też się podniósł i powiedział cicho:

— Przepraszam najmocniej.

Siostra Frances lekko skinęła głową, lecz stała nadal, jej oczy z powagą wytrzymały spojrzenie Waltera Deyre'a.

— Czy uwierzy pani, że naprawdę czuję się zażenowany, i czy wolno mi będzie przyjść tu jutro? — zapytał, nadal nie podnosząc głosu.

Po tym drobnym incydencie w sposób trudny dla Vernona do zdefiniowania zachowanie jego ojca uległo zmianie. Już nigdy nie siadał blisko siostry Frances, natomiast poświęcał więcej uwagi Vernonowi i od czasu do czasu razem z nimi grywał w jakąś grę.

Najczęściej w starą pannę, za którą Vernon przepadał. To były szczęśliwe popołudnia dla całej trójki.

Pewnego dnia, pod nieobecność siostry Frances, Walter Deyre zapytał ni stąd, ni zowąd:

— Czy lubisz swoją nianię, Vernonie?

— Nianię Francs? Bardzo. A ty, tatusiu?

— Ja też ją lubię — odparł Walter Deyre. Z jego głosu przebijał jakiś smutek, co nie uszło uwagi Vernona.

— Czy coś się stało, tatusiu?

— Nic, co dałoby się naprawić. Koń, który zostaje z tyłu na starcie, na ogół nic ma szans na nadrobienie straty, a fakt, że sam jest sobie winien, nie poprawia mu samopoczucia. Ale to, co mówię, przyjacielu, pewnie brzmi w twoich uszach jak chińszczyzna. Tak czy inaczej, ciesz się swoją niania Francs, dopóki jest przy tobie. Na świecie niewiele jest takich jak ona.

Siostra Frances wróciła i zaczęli grać w leśnego rozbójnika .

Jednak słowa Waltera Deyre'a pobudziły wyobraźnię Vernona.

Następnego ranka przystąpił do akcji:

— Czy będziesz u nas zawsze?

— Nie. Tylko do czasu, kiedy wyzdrowiejesz, a przynajmniej kiedy poczujesz się nieźle.

— To znaczy, że nie zawsze? Szkoda, chciałbym, żeby tak było.

— Widzisz, nie miałabym tutaj zajęcia. Moja praca polega na opiekowaniu się chorymi ludźmi.

— A lubisz to robić?

— Tak, bardzo.

— Dlaczego?

— Każdy człowiek ma jakąś pracę, która lubi i która odpowiada jego zdolnościom.

— Mamusia nie ma.

— Ależ ma, zapewniam cię. Jej praca polega na doглядaniu wielkiego domu i pilnowaniu, by wszystko było zrobione jak należy, a także na dbaniu o ciebie i twojego ojca.

— Mój tatuś był kiedyś żołnierzem. Powiedział mi, że gdyby jeszcze kiedyś była wojna, poszedłby na nią, żeby znów być żołnierzem.

— Bardzo kochasz swojego tatusia, Vernonie?

— Najbardziej kocham mamusię, oczywiście. Mamusia mówi, że mali chłopcy zawsze najbardziej

kochają swoje mamusie. Z tatusiem lubię przebywać, ale to co innego. Tatuś jest mężczyzną. Wiesz, kim będę, kiedy dorosnę? Chcę być marynarzem.

— A może będziesz pisał książki?

— O czym?

Siostra Franees uśmiechnęła się leciutko.

— Może o panu Greenie, o Pudlu i Wiewiórcie, i Drzewie.

— Pewnie każdy by mówił, że to jest głupie.

— Mali chłopcy nie powinni tak myśleć. A poza tym, kiedy już będziesz mężczyzną, twoja wyobraźnia zaludni się innymi postaciami, podobnymi do pana Greena i jego dzieci, tylko że dorosłymi. I wtedy będziesz mógł o nich pisać.

Vernon rozmyślał przez długi czas, a potem potrząsnął głową.

— Myślę, że będę żołnierzem, jak tatuś. Mamusia mówi, że Deyre'owie po większej części byli żołnierzami. Oczywiście, żeby być żołnierzem, trzeba być bardzo dzielnym, ale przypuszczam, że ja będę wystarczająco dzielny.

Siostra Franees zamilkła na chwilę. Myślała o tym, co Walter Deyre powiedział któregoś dnia o synu. „Vernon to zuch, co się zowie. Nie wie, co to strach! Powinna go pani zobaczyć na kucyku”.

Tak, Vernon w pewnym sensie nie znalazł strachu. Był wytrzymały i cierpliwy. Znosił ból i niewygody związane ze złamaną nogą niezwykle dobrze jak na tak małe dziecko.

Ale były jeszcze inne lęki. Powoli dobierając słowa, aby nie spłoszyć chłopca albo nie wypaść śmiesznie, poprosiła:

— Opowiedz mi raz, jeszcze, jak tamtego dnia spadłeś z muru. —

Wiedziała wszystko o Bestii, minio to uważnie przysłuchiwała się opowieści, a kiedy Vernon skończył mówić, zauważyła delikatnie: —

Przecież wiedziałeś od dłuższego czasu, że Bestia nie jest prawdziwym potworem. Że jest to jedynie rzecz, rzecz zrobiona z drewna i strun.

— Wiem o tym — odparł Vernon. — Ale w moich snach Bestia bywa inna. Kiedy więc zobaczyłem tę inną w ogrodzie, kiedy się ta inna do mnie zbliżała...

— Uciekłeś. A chyba szkoda, prawda? O wiele lepiej byłoby zostać na miejscu i dobrze jej się przyjrzeć. Zobaczyłbyś wówczas tamtych mężczyzn i domyśliłbyś się, co to jest. Nim się coś zrobi, lepiej jest najpierw popatrzeć. Uciekać można potem, jeśli nadal ma się ochotę na ucieczkę, ale na ogół już się jej nie ma. I wiesz, powiem ci coś jeszcze.

— Tak, nianiu?

— Strachy, które są przed tobą, nigdy nie wzbudzają takiego lęku jak te, które są za tobą. Zapamiętaj to. Wszystko zdaje się potwornie przerażające, kiedy znajduje się za twoimi plecami, a ty nie możesz tego zobaczyć. To dlatego zawsze lepiej jest obrócić się i stanąć twarzą w twarz z tym, czego się boisz, bo wówczas bardzo często okazuje się, że to coś wcale nie jest groźne.

— Gdybym się obrócił, nie złamałbym nogi, prawda?

— Prawda. Vernon westchnął.

— Nie przejmuję się tak bardzo swoją nogą. Bardzo przyjemnie mi się z tobą bawi. — Zdawało mu się, że niania Frances mruknęła coś w rodzaju „biedne dziecko”, ale to oczywiście był absurd.

Niania się uśmiechnęła i powiedziała:

— Ja też się cieszę z naszych zabaw. Moi niektórzy podopieczni nie lubią się bawić.

— Naprawdę lubisz się bawić, nianiu? Zupełnie jak pan Green. — Po chwili dodał dość sztywno, zawstydzony swoją prośbą: — Proszę, nie odchodź zbyt prędko...

Tak się jednak zdarzyło, że siostra Frances odeszła o wiele prędzej, niż zamierzała. Stało się to nagle, jak w przypadku innych opiekunek, które pojawiły się w życiu Vernona.

Początek, oczywiście, był całkiem niewinny: Myra chciała w czymś pomóc Vernonowi, na co on jej odpowiedział, że woli, by zrobiła to niania Frances.

Vernon ćwiczył już chodzenie o kulach i każdego dnia zajmowało mu to kilka bolesnych chwil. Była to dla niego radosna odmiana, jednak zmęczenie przychodziło prędko, toteż nie wzbraniał się przed powrotem do łóżka. Tego dnia obecna w pokoju matka zaproponowała w pewnym momencie, żeby się już położył, i powiedziała, że może mu w tym pomóc. Vernon jednak zdążył już doświadczyć jej pomocy. Wiedział, jak niezdarne są te duże, białe dłonie: sprawiały ból tam, gdzie miały przynosić ulgę. Nie zważając na jej dobre intencje, oznajmił, że wolałby poczekać na nianię Frances, która nigdy go jeszcze nie uraziła w żadne bolące miejsce.

Vernon wypowiedział te słowa powodowany zwykłą szczerością dziecka, lecz w uszach jego matki zabrzmiały one jak nietakt: Myra Deyre omal nic dostała białej gorączki. Ledwo siostra Frances zdążyła wrócić do pokoju, posypał się na nią grad wymówek.

Nastawiać chłopca wrogo wobec własnej matki... to okrutne... to nikczemne... Wszyscy są tacy sami... każdy jest przeciwko niej... Ona nie ma na tym świecie nikogo poza Vernonem, a teraz nawet własne dziecko jest przeciwko niej.

I tak dalej... Nieprzerwany potok. Siostra Frances zniosła to dość spokojnie. Nie okazała po sobie ani zaskoczenia, ani rozgoryczenia.

Wiedziała, że pani Deyre jest tego rodzaju kobietą, której urządzenie scen przynosi ulgę. A jeśli chodzi o przykre słowa, te (jak stwierdziła potem z zaprawionym gorczą humorem) ranią człowieka tylko wówczas, kiedy ten, kto je wymawia, jest mu drogi i bliski.

Było jej żal pani Deyre, ponieważ zdawała sobie sprawę, jak wiele prawdziwego nieszczęścia i cierpienia kryje się za takimi atakami histerii.

Walter Deyre wybrał niezbyt fortunny moment, aby zjawić się w pokoju dzieciennym. Przez chwilę stał, zaskoczony, a potem poczerwieniał ze złości.

— Doprawdy, Myro, wstydzę się za ciebie. Już sama nie wiesz, co mówisz.

Myra Deyre, rozjuszona, odwróciła się twarzą do niego.

— Doskonale wiem, co mówię. Wiem też, na co ty sobie pozwalasz.

Wślizgujesz się tutaj każdego dnia, widziałam to na własne oczy.

Zawsze się musisz umizgiwać do tej czy do tamtej. Nianie, pielęgniarce ze szpitala, wszystko ci

jedno...

— Myro! Uspokój się!

Teraz był zły nie na żarty. Myrę Deyre przeszył dreszcz strachu.

Nie potrafiła jednak powstrzymać się przed wyrzuceniem z siebie ostatniej porcji inwektyw.

— Wszystkie jesteście takie same, wy, pielęgniarki. Wszystkie co do jednej flirtujecie z żonatymi mężczyznami. Powinna się pani wstydzić przed samą sobą, no i oczywiście przed tym niewinnym dzieckiem. Wkładać mu do głowy takie rzeczy! Pora, żeby się pani wyniosła z mojego domu. Tak, wyniosła! I to w tej chwili. Nie omieszkam powiedzieć doktorowi Colesowi, co o pani myślę.

— Czy mogłabyś kontynuować to umoralniające przedstawienie gdzie indziej? — Głos Waltera Deyre'a był chłodny i szyderczy, taki, jakiego Myra nienawidziła najbardziej. — Tracisz rozsądek, i to na oczach twojego niewinnego dziecka. Przepraszam, siostrzo, za wszystko, co powiedziała moja żona. Chodź, Myro.

Myra Deyre wyszła, lecz przed wyjściem jeszcze zdążyła się rozplakać. Trochę czuła się winna; jak zwykle powiedziała więcej, niż chciała.

— Jesteś okrutny — łkała już przy drzwiach. — Okrutny. Chciałbyś, żebym umarła. Nienawidzisz mnie.

Drzwi zamknęły się. Siostra Frances położyła Vernona do łóżka.

Chciał ją o coś zapytać, ale ona już mu opowiadała o jakimś psie, o wielkim bernardynie, którego miała dawno, dawno temu, kiedy była małą dziewczynką, a jemu tak bardzo podobała się ta opowieść, że zapomniał

o całym bożym świecie.

W jakiś czas potem, wieczorem, ojciec Vernona jeszcze raz przyszedł do pokoju dziecinnego. Był blady i wyglądał na chorego.

Siostra Frances wstała i podeszła do drzwi, do miejsca, w którym się zatrzymał.

— Nie wiem, co powiedzieć... w jaki sposób mogę panią przeprosić...

To, co powiedziała moja żona...

— Ocli, wszystko w porządku — odpowiedziała siostra Frances rzeczowym tonem. — Rozumiem. Myślę jednak, że naprawdę lepiej będzie, jak odejdę stąd tak szybko, jak to możliwe. Mój pobyt tutaj sprawia, że pani Deyre czuje się nieszczęśliwa. Mam nadzieję, że wkrótce przyjdzie do siebie.

— Gdyby zdawała sobie sprawę, jak niestosowne są jej oskarżenia, jak bardzo panią nimi obraża...

Siostra Frances zaśmiała się, choć jej śmiech nie zabrzmiał zbyt przekonująco.

— Według mnie uskarżanie się na to, że się jest obrażanym, to czysty absurd — stwierdziła pogodnie. — Obraża to takie pompatyczne słowo, nie sądzi pan? Proszę się nie martwić, nie dbam o takie rzeczy. Pańska żona, panie Deyre, jest...

— Słucham?

Głos siostry Frances stał się poważny i smutny.

— Pańska żona to bardzo nieszczęśliwa i samotna kobieta.

— Czy uważa pani, że to wyłącznie moja wina?

Nastąpiła przerwa. Siostra Frances spojrzała na Waltera Deyre'a swymi poważnymi, zielonymi oczami.

— Tak — odparła. — Właśnie tak uważam. Walter Deyre głęboko wciągnął powietrze.

— Nikt przed panią nie powiedział mi czegoś podobnego. Myślę, że przez panią przemawia absolutna, nie idąca na żadne kompromisy, nieustraszona uczciwość. To chyba ona sprawia, że podziwiam panią tak bardzo. Szkoda, że Vernon straci panią przedwcześnie. Żal mi go.

— Proszę się nie oskarżać niepotrzebnie. To się stanie nie przez pana.

— Nianiu Frances. — To był Vernon, jego żarliwy głos. — Nie chce, żebyś odeszła. Nie odchodź, proszę, nie dzisiaj wieczorem.

— Oczywiście, że nie — zapewniła go siostra Frances. — Najpierw musimy o tym porozmawiać z doktorem Colesem.

Siostra Frances odeszła trzy dni później. Vernon szlochał gorzko.

Stracił pierwszego w życiu prawdziwego przyjaciela.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Lata między piątym a dziewiątym rokiem życia zapisały się w pamięci Vernona dość mgliście. Świat wokół niego zmieniał się, ale kolejne zmiany następowały na tyle stopniowo, że Vernon ledwo je zauważał. Niania nie powróciła. Już nigdy nie objęła rządów nad dziecięcym pokojem. Pozostała przy swojej matce, która po ataku apopleksji stała się całkowicie bezradna i wymagała ciągłej opieki.

W pokoju Vernona zainstalowała się guwernantka, panna Robbins.

Stworzenie tak niezwykle bezbarwne, że w późniejszych latach Vernon nigdy nie potrafił sobie przypomnieć choćby jej wyglądu.

Prawdopodobnie nie bardzo potrafiła nad nim zapanować, gdyż wysłano go do szkoły natychmiast po ukończeniu ośmiu lat. Kiedy przyjechał do domu na pierwsze wakacje, w jego pokoju mieszkała kuzynka Josephine.

Ciocia Nina nigdy przedtem nie przywoziła do Możnych Opactw swojej małej córeczki. Prawdę mówiąc, w miarę upływu czasu wizyty cioci Niny stawały się coraz rzadsze. Vernon, który, jak to bywa z dziećmi, potrafił wiedzieć o czymś niemal poza swoją świadomością, doskonale zdawał sobie sprawę z dwóch faktów: z tego, że jego ojciec nie lubi wujka Sydneya, choć zawsze jest dla niego uprzedzająco grzeczny, a także z tego, że jego matka nie lubi cioci Niny i wcale się z tym nie kryje.

Czasami, kiedy Nina siedziała w ogrodzie z Walterem, Myra dołączała do nich i wykorzystując chwilową przerwę w rozmowie, mówiła:

— Chyba będzie lepiej, jak sobie pójdę. Najwyraźniej przeszkadzam.

Nie, dziękuję, Walterze (to w odpowiedzi na protest męża, wymamrotany przez zwykłą uprzejmość). Potrafię zdać sobie sprawę, kiedy moje towarzystwo jest pożądane, a kiedy nie.

Odchodziła, zagryzając wargi, nerwowo splatając i rozplatając palce, ze łzami w brązowych oczach. Walter Deyre ograniczał się do uniesienia brwi.

Któregoś dnia ciocia Nina wybuchła:

— Ona jest niemożliwa! Nie mogę z tobą porozmawiać przez dziesięć minut, żeby natychmiast nie narazić się na absurdalną scenę.

Walterze, dlaczego ona to robi? Dlaczego?!

Vernon zapamiętał, że ojciec rozejrzał się wokoło, obrzucił

spojrzeniem dom, a następnie przeniósł je ku polom, do miejsca, gdzie widniały ruiny starego opactwa.

— To miejsce spędza mi sen z oczu — powiedział powoli. — Mam je we krwi, jak przypuszczam. Za nic nie chciałbym go stracić.

Zapadła cisza, a potem Nina zaśmiała się dziwnym, urywanym śmiechem.

— Nic jesteśmy zbyt udaną rodziną — przyznała. — Narobiliśmy niemało zamieszania, ja i ty, braciszku.

I znów chwila milczenia. Tym razem przerwał je ojciec.

— Czy jest aż tak źle?

Nina wciągnęła duży haust powietrza i skinęła głową.

— Wyobraź sobie. Nie sądzę, Walterze, bym mogła to dłużej ciągnąć.

Fred nie znosi mojego widoku. Och, oczywiście na oczach ludzi zachowujemy się przyzwoicie, nikt niczego nie podejrzewa, lecz, mój Boże, kiedy jesteśmy sami...!

— No tak, ale, moja miła...

I tu, przez moment, Vernon przestał cokolwiek słyszeć. Głosy stały się cichsze, choć chyba gwałtowniejsze, jak gdyby ojciec i ciocia Nina spierali się o coś. W końcu ojciec powiedział głośno:
6— Nie powinnaś robić tak szalonego kroku. Nic zdaje mi się, żeby ci bardzo zależało na Ansteyu.

— Mnie nie, ale on za mną szaleje.

Ojciec powiedział coś, co w uszach Vernona zabrzmiało jak

„towarzyskie ostrogi”. Nina zaśmiała się.

— Ach, to? Tym się żadne z nas nie przejmuje. — Anstey chyba powinien.

— Fred chętnie da mi rozwód, to woda na jego młyn. A wtedy się pobierzemy.

— Nawet wtedy...

— Mój braciszek mówi o towarzyskich konwenansach?! Rozśmieszasz mnie, mój drogi.

— Kobiety i mężczyźni to nie to samo — ojciec Vernona odparował oschle.

— Och, dobrze już, dobrze. Wierz mi jednak: wszystko jest lepsze od tej nieustannej niedoli. Naturalnie, czary goryczy dopełnia to, że wciąż jeszcze zależy mi na Fredzie, zawsze mi zależało. Cóż, kiedy on o mnie nigdy nie dbał.

— Jest jeszcze dziecko — zauważył Walter Deyre. — Nie możesz odejść, zostawiając małą z

Fredem.

— Nie mogę? Przecież wiesz, że ze mnie żadna matka. Mimo wszystko zabiorę ją ze sobą. Fred wcale się tym nie zmartwi. Nienawidzi jej tak samo jak mnie.

Znów oboje zamilkli, tym razem na długo. Pierwsza odezwała się Nina. Mówiła wolno, z namysłem:

— W jak okropne tarapaty, może popaść człowiek. Lecz tak w twoim przypadku, Walterze, jak i w moim, to całkowicie nasza wina. Niezła z nas rodzinka! Przynosimy pecha i sobie, i każdemu, z kim mamy do czynienia.

Walter Deyre wstał. W roztargnieniu nabił fajkę i ruszył wolnym krokiem przed siebie. Dopiero wtedy Nina zauważyła Vernona.

— Dzień dobry, mój mały — powiedziała. — Nie sądziłam, że możesz być tutaj. Ciekawe, ile z tego wszystkiego zrozumiałeś.

— Nie wiem — odparł niepewnie, przestępując z nogi na nogę.

Nina otworzyła torebkę na łańcuszku, wyjęła szylkretową papierośnicę, a z niej papierosa i zaczęła go zapalać. Vernon obserwował ją z zapartym tchem. Nigdy nie widział palącej kobiety.

— O co chodzi, Vernonie? — zapytała Nina.

— Mamusia mówi, że żadna subtelna kobieta nie pali papierosów.

Powiedziała tak do panny Robbins.

— No cóż, Vernonie. — Nina wydmuchnęła kłęb dymu. — Przypuszczam, że twoja mamusia ma rację. Ja nie jestem subtelną kobietą.

Vernon popatrzył na nią zbity z tropu.

— Dla mnie jesteś bardzo ładna — powiedział, zbierając się na odwagę.

— To nie to samo. — Nina uśmiechnęła się szeroko. — Podejdz

bliżej, Vernonie.

Vernon podszedł posłusznie. Nina położyła mu dłonie na ramionach i popatrzyła na niego kpiąco. Znosił to wszystko cierpliwie. Nigdy nie miał za złe cioci Ninie, że go dotyka. Jej ręce były lekkie, nie zaciskały się na nim tak jak ręce matki.

— Tak — powiedziała Nina. — Ty jesteś Deyre, prawdziwy Deyre i Myra nic na to nie poradzi.

— Co to znaczy, ciociu Nino?

— To znaczy, że jesteś podobny do rodziny ojca, nie matki. Tym gorzej dla ciebie.

— Dlaczego tym gorzej?

— Ponieważ Deyre'owie, mój Vernonie, ani nie są szczęśliwi, ani do niczego nie dochodzą.

Jakie zabawne rzeczy mówiła ciocia! Śmiała się przy tym, więc może sama nie brała swoich słów poważnie. A jednak było w nich coś, co, nic wiedzieć dlaczego, wzbudziło w nim lęk.

— Czy byłoby lepiej — pośpieszył z pytaniem — gdybym był podobny do wujka Sydneya?

— O wiele lepiej. O wiele.

— Ale wówczas... — zaczął ostrożnie, po chwili namysłu — kiedy byłbym taki, jak wujek Sydney...

— urwał, usiłując ubrać swoje myśli we właściwe słowa.

— Tak, moje dziecko?

— Gdybym był wujkiem Sydneyem, musiałbym mieszkać w „Modrzewiowym Gaju”, nie tutaj.

„Modrzewiowy Gaj” był solidnym domem z czerwonej cegły, w pobliżu Birmingham, dokąd raz zabrano Vernona, aby został na trochę u wujka Sydneya i cioci Carrie. Miał trzy akry znakomitych gruntów, ogród różany, pergolę, akwarium ze złotymi rybkami i dwie wspaniałe

„wyposażone łazienki.

— A chciałbyś? — spytała Nina, nadal mu się przyglądając.

— Nie! — zawołał Vernon. Z jego małych, dziecięcych piersi wyrwało się głębokie westchnienie.

— Ja chcę mieszkać tutaj. Zawsze, zawsze, zawsze!

Wkrótce potem z ciocią Niną wydarzyło się coś dziwnego. Kiedy matka Vernona zaczynała o niej mówić, ojciec, wskazując na niego wzrokiem, dawał jej do zrozumienia, by mówiła ciszej. Vernonowi udało się dosłyszeć zaledwie kilka zdań: „Żal mi tylko tego biednego dziecka. Wystarczy jeden rzut oka na Ninę, by nie mieć wątpliwości, że jest z gruntu zła i że zawsze taka będzie”.

Biednym dzieckiem, o czym Vernon wiedział, była kuzynka Josephine, której nigdy nie widział, ale której wysyłał prezenty na Boże Narodzenie i która we właściwym czasie tym samym mu się rewanzowała.

Zastanawiał się zatem, dlaczego Josephine miałyby być „biedna” i dlaczego wzbudzała uczucie żalu w jego matce, a także dlaczego ciocia Nina jest z gruntu zła, cokolwiek miałyby to oznaczać. Zapytał pannę Robbins, lecz ta się zaczerwieniła i odpowiedziała, że nie powinien mówić o „takich rzeczach”. O jakich rzeczach? Nadal niczego nie pojmował.

Jednakże nie rozmyślał nad tym długo i był gotów o całej sprawie na dobre zapomnieć, kiedy oto cztery miesiące później ponownie zaczęto mówić o cioci Ninie. Tym razem nikt nie zauważył kręcącego się w pobliżu Vernona. Rodzice byli właśnie w samym środku gwałtownej wymiany zdań. Jego matka jak zwykle była wrzaskliwa i podniecona.

Ojciec by! bardzo spokojny.

— To haniebne! — oburzała się Myra. — Ledwo minęły trzy miesiące od ucieczki z jednym mężczyzną, a już odchodzi do drugiego. To pokazuje ją w prawdziwym świetle. Zawsze wiedziałam, jakie to ziółko.

Mężczyźni, mężczyźni i jeszcze raz mężczyźni. Nic, tylko mężczyźni!

— Mów sobie, co chcesz, proszę bardzo, Myro, choć w ten sposób daleko nie zajdziemy. Wiem, oczywiście, że ta cała sprawa mogła cię zbulwersować.

— Ta cała sprawa bulwersuje każdego, nie tylko mnie! Nie rozumiem cię, Walterze. Uważacie się za stary ród, a przy tym to wszystko...

— Jesteśmy s la rym rodem — wtrącił spokojnie Walter Deyre.

— Zdawało mi się, że zależy ci choć trochę na dobrym imieniu. Ona hańbi twoje nazwisko. Gdybyś był prawdziwym mężczyzną, wykluczyłbyś ją z rodziny. Całkowicie.

— Istotnie, scena jak z melodramatu.

— Na wszystko odpowiadasz kpina i śmieciem! Moralność nic dla ciebie nie znaczy. Absolutnie nic.

— Chciałbym, żebyś zrozumiała, że w tej chwili nie interesuje mnie problem moralności. Chodzi o

moją siostrę, pozbawioną środków tła życia. Muszę pojechać do Monte Carlo i zobaczyć, co się tła zrobić.

Każdy przy zdrowych zmysłach postąpiłby tak samo.

— Dziękuję. Nie jesteś zbyt uprzejmy, nie sądzisz? A czyja to wina, że twoja siostra wpadła w tarapaty? No? Czyja? Miała dobrego męża...

— Nie, to nie tak...

— W każdym razie ożenił się. z nią.

Tym razem to jego ojciec poczerwieniał na twarzy. Powiedział

cicho:

— Nie potrafię cię zrozumieć, Myro. Jesteś dobrą kobietą, dobrą, uczciwą i prawą, a mimo to poniżasz się, stawiając złośliwe, nikczemne zarzuty.

— Walterze! Obrażasz mnie! Choć to dla mnie nic nowego. W rozmowie ze mną nigdy nie zważasz na swoje słowa.

— To nieprawda. Staram się być tak uprzejmy, jak potrafię.

— No tak. I między innymi dlatego cię nienawidzę: nigdy nie mówisz wprost. Zawsze jesteś uprzejmy i zasłaniasz się kpina i ironią. A wszystko to dla zachowania pozorów. I dlaczegoż to, chciałabym wiedzieć? Dlaczego miałabym się przejmować tym, że służba wie, co czuję?

— Nie wątpię, że wie. Masz donośny głos.

— No i proszę: znów ze mnie szydzisz. Tak czy inaczej, cieszę się, że mam okazję powiedzieć, co myślę o twojej najdroższej siostrzyczce.

Ucieczka z jednym mężczyzną, odejście z drugim, no i nie zawadziłoby wiedzieć, dlaczego to ów drugi nie potrafi jej utrzymać. A może nie chce? Może już go znużyła?

— Już ci to powiedziałem, ale ty mnie nigdy nie słuchasz. Jest zagrożony galopującymi suchotami, wobec czego musiał rzucić pracę. No i nie ma żadnych osobistych dochodów.

— Ach, to tak! Nina tym razem po prostu pokpiła sprawę. Rozumiem.

— Nic nie rozumiesz. Nina nic należy do kobiet, które kierują się żądzą zysku. Ona jest po prostu niemądra, diablo niemądra. Bo czyż inaczej narobiłaby wokół siebie tyle zamieszania? Niestety, jej uczucia rozmijają się ze zdrowym rozsądkiem, co w rezultacie doprowadza do opłakanych skutków. Nina nie chce tknąć ani jednego pensa, który pochodzi od Freda. Nie chce słyszeć o żadnych pieniądzech, które Anstey skłania się jej wypłacać. A ja, wyobraź

sobie, zgadzam się z nią. Są rzeczy, których nie powinno się robić.

Natomiast moim obowiązkiem jest pojechać do niej i zbadać całą rzecz na miejscu. Przepraszam, jeśli to cię irytuje, jednak nie mogę postąpić inaczej.

— Nigdy nie postępujesz tak, jakbym ja sobie tego życzyła. Wręcz przeciwnie, celowo mnie unieszczęśliwiasz. Ale coś ci powiem: nie sądz, że sprowadzisz swoją najdroższą siostrzyczkę pod ten dach.

Przynajmniej dopóki ja tu jestem. Nie nawykłam do przestawiania z tego rodzaju kobietami. Czy wyrażam się dość jasno?

— Aż nadto.

— Jeśli przywieziesz ją tutaj, ja wracam do Birmingham.

Nagły błysk w oku Waltera Deyre'a sprawił, że Vernon nie przejął

się groźbą matki. Nie wszystkie słowa, które padły podczas rozmowy, były dla niego zrozumiałe, ale nie umknął mu ich ogólny sens. Gdzieś, chyba daleko stąd, ciocia Nina była chora czy nieszczęśliwa, co mamusię wyraźnie denerwowało. Mamusia powiedziała, że jeśli ciocia Nina zjedzie do Możnych Opactw, ona wróci do wujka Sydneya, do Birmingham. Mamusia potraktowała to jako groźbę, lecz Vernon wiedział, że ojciec jedynie by się cieszył, gdyby naprawdę tak się stało. Wiedział, a nawet był o tym przekonany. Groźba, mamusi przypominała mu karę panny Robbins, polegająca na tym, że nie mógł

się odzywać przez pół godziny. Panna Robbins myślała, że ta kara znaczy dla niego tyle samo co niepodanie konfitur do herbaty. Na szczęście panna Robbins nigdy nie odkryła, że on się tym wcale nie przejmował i że jej kara miała w sobie coś z nagrody.

Walter Deyre przemierzał pokój wzdłuż i wszerz. Vernon obserwował

go spod oka z zaciekawieniem. Wiedział, że ojciec bije się z myślami, nie wiedział jednak z jakimi.

— No więc? — spytała Myra.

W tej chwili wyglądała imponująco: duża, o cudownie proporcjonalnym ciele, z odrzuconą do tyłu głową i ze strumieniem słonecznego blasku na złotorudych włosach. Odpowiednia towarzyszka życia dla żeglarza z epoki wikingów.

— Jesteś panią tego domu, Myro — odparł Walter Deyre. — Jeśli sprzeciwiasz się, abym przywiózł tutaj własną siostrę, nie pozostaje mi nic innego, jak uszanować twoją wolę. — Ruszył ku drzwiom. Jednak w połowie drogi zatrzymał się i spojrzał na żonę. — Jeśli Llewellyn umrze, co zdaje się prawie pewne, Nina musi podjąć jakąś pracę.

Pozostaje zatem kwestia dziecka. Czy twój sprzeciw rozciąga się również na nie?

— A jak myślisz? Czy pod moim bokiem powinna dorastać dziewczyna, która jak nic może pójść w ślady swojej matki?

— Zadowoliliby mnie krótkie „tak” lub „nie” — zauważył cicho ojciec i tym razem wyszedł na dobre.

Myra stała w miejscu, spoglądając na zamknięte za mężem drzwi. Jej oczy wypełniły się łzami. Vernon nie lubił łez, w związku z czym zamierzał wymknąć się chyłkiem z pokoju. Nie zdążył.

— Kochanie... podejdź do mnie.

Nie było innego wyjścia; musiał podejść, wiedział że matka zacznie go za chwilę ścisnąć. Jego uszy wypełniły się brzmieniem wielokrotnie powtarzanych strzępków zdań.

— Musisz mi to wynagrodzić... ty, moje własne dziecko... nie będziesz taki jak oni... nie będziesz ze mnie drwił. Ty mnie nie zawiedziesz...

nigdy mnie nie zawiedziesz, prawda? Przysięgnij, proszę... Mój mały synek, moje własne, jedyne dziecko... Wynagrodzisz mi to...

Znał to aż nadto dobrze. Powiedział, czego się po nim spodziewano.

Powiedział „tak” i powiedział „nie”. Jedno i drugie wre właściwym momencie. Jakże nienawidził tych łez, próśb i oskarżeń. To wszystko działo się stanowczo za blisko jego uszu.

Tego wieczoru, po herbacie, Myra była w całkowicie odmiennym nastroju. Pisała list przy swoim biurku i kiedy Vernon wszedł do pokoju, popatrzyła na niego wesoło.

— Piszę do tatusia. Być może już niedługo twoja ciocia Nina i twoja kuzynka Josephine zjadą tutaj, aby zamieszkać z nami. Czyż to nie będzie urocze?

Jednak tak się nie stało. Myra stwierdziła, że doprawdy trudno zrozumieć Waltera. Przecież z jej strony padło zaledwie kilka słów, naprawdę nic nie znaczących...

Vernon jakoś nie był zaskoczony. Nie przypuszczał, by ciocia Nina mogła z nimi zamieszkać. Ciocia Nina powiedziała kiedyś, że nie jest subtelną kobietą, lecz Vernon nadal uważał, że jest bardzo ładna...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Gdyby Vernon potrafił podsumować wydarzenia następnych kilku lat, powinien określić je jednym słowem: sceny! Nieustanne, wiecznie powtarzające się sceny.

To wtedy zaczął zauważać pewne dziwne zjawisko: po każdej scenie jego matka stawała się większa, a jego ojciec robił się mniejszy.

Nawałnice wymówek i obelg dodawały Myrze animuszu tak w sensie duchowym, jak i fizycznym. Wychodziła z nich odświeżona, uspokojona, co więcej, życzliwie nastawiona do całego świata. Z Walterem Deyre'em działo się coś zupełnie innego. Zamykał się w sobie, kurcząc się przed zacieklą napaścią każdym nerwem i każdym zmysłem swojego ciała.

Nieśmiały, nie wychodzący poza ramy dobrego tonu sarkazm, który był

jego jedyną bronią, nieodmiennie pobudzał żonę do skrajnej furii, a uporczywie demonstrowany spokój i opanowanie wyprowadzały ją z równowagi bardziej niż cokolwiek innego.

I wcale nie chodziło o to, że Myra nie miała prawdziwych powodów do uskarżania się na swój los: Walter Deyre spędzał w Możnych Opactwach coraz mniej czasu, a po każdym powrocie miał worki pod oczami i drżały mu dłonie. Na Vernona ledwo zwracał uwagę, jednak dziecko i tak wyczuwało, że ojciec darzy je sympatią. Było jasne, że Walter Deyre nie chce się „mieszać” do wychowania syna i że uważa, iż osobą, która powinna mieć w tej sprawie coś istotnego do powiedzenia, jest matka. Poza tym, że nadzorował konną jazdę chłopca, Walter usuwał się w cień. Nie chodziło mu przy tym o prowokowanie nowych dyskusji czy wymówek. Nie. Najzwyczajniej w świecie był gotów przyznać, że Myra posiada wszelkie zalety ducha i że jest najbardziej troskliwą i oddaną matką. Mimo to czasami odnosił wrażenie, że mógłby dać chłopcu coś, czego ona mu nie dawała. Kłopot polegał na tym, że obaj czuli wobec siebie wzajemne skrępowanie. Ani ojcu, ani synowi niełatwo było uzewnętrznić swoje uczucia, co dla Myry było rzeczą niepojętą. Pozostawali wobec siebie poważni i uprzejmi.

Jednak z chwilą, kiedy jakaś „scena” rozgrywała się na oczach dziecka, Vernona ogarniało przemożne uczucie sympatii do ojca.

Chłopiec wiedział, i to dokładnie, co ojciec przeżywa, wiedział

bowiem z własnego doświadczenia, jak ten głośny, gniewny głos rani uszy i powoduje zamęt w głowie. Naturalnie wiedział i to, że mamusia ma rację (mamusia zawsze miała rację, tego nikt nie kwestionował), a jednak podświadomie stawał po stronie ojca.

Sprawy przybierały coraz gorszy obrót, aż wreszcie doszło do kryzysu. Mamusia zamknęła się w swoim pokoju i nie wychodziła stamtąd przez dwa dni. Służba szeptała cicho po kątach, a na scenę wkroczył

wujek Sydney, aby zobaczyć, w czym mógłby pomóc. Wujek Sydney niewątpliwie działał kojąco na Myrę. Przechadzał się tam i z powrotem po pokoju, a monety jak dawniej pobrzękiwały w jego

kieszeniach.

Wyglądał grubiej i był bardziej rumiany niż zazwyczaj. Myra wylewała przed nim swoje żale. — Tak, tak, wiem — powiedział wujek Sydney, a monety znów głośno zadzwoniły w jego kieszeni. — Wiem, moja droga.

Nie powiem, że nie zniosłaś wielu krzywd. Zniosłaś. Nikt nie wie tego lepiej ode mnie. Ale trzeba sobie ustępować. Ustępować. Małżeństwo to nic innego jak ciągle wzajemne ustępstwa. Tu Myra wybuchała na nowo.

— Nie biorę w obronę Deyre'ów — powiedział wujek Sydney. — Ani mi to w głowie. Ja po prostu patrzę na całą sprawę jak człowiek światowy. Kobiety wiodą bezpieczny żywot i dlatego pewne rzeczy widzą inaczej niż mężczyźni. I słusznie. Jesteś dobrą, przyzwoitą kobietą, Myro, a dobre i przyzwoite kobiety nie zawsze są w stanie zrozumieć punkt widzenia mężczyzn. Carrie jest taka sama jak ty.

— Chciałabym wiedzieć, co też takiego musi znosić Carrie —

oburzyła się Myra. — Ty nie zabawiasz się z nieprzyzwoitymi kobietami. Ty nie uwodzisz służących.

— N—no nie — odparł jej brat. — Oczywiście, że nie. Porównując ją z tobą, jedynie uogólniam pewne sprawy. Lecz zechciej zauważyć, że Carrie i ja nie we wszystkim się zgadzamy. I nie obywa się też bez sprzeczek, czasami nawet nie rozmawiamy ze sobą przez dwa dni z rzędu. Lecz, Bogu dzięki, zawsze wszystko wraca do normy i wszystko układa się jeszcze lepiej niż poprzednio. Jak mówię, po burzy powietrze jest czystsze. Jedno jest pewne: trzeba iść na ustępstwa. I żadnego wypominania potem. Tego nie zniesie najcierpliwszy mężczyzna.

— Nigdy niczego nikomu nie wypominam — powiedziała Myra płaczliwie. — Jak możesz mówić coś podobnego?

— Ależ nie bój się, staruszek. Nie miałem na myśli ciebie. Po prostu tak sobie uogólniam. Lecz pamiętaj, Deyre nie jest naszego pokroju. To drażliwy człowiek. Przewrażliwiony, powiedziałbym. Byle głupstwo potrafi go wyprowadzić z równowagi.

— Wiem o tym aż za dobrze — zauważyła z goryczą Myra. — On jest wprost niemożliwy. Po co mi było to całe małżeństwo?

— No, no, siostrzyczko, powinnaś się zdecydować na jedno lub na drugie. Zrobiłaś dobrą partię. Muszę przyznać, naprawdę dobrą. Proszę bardzo, żyjesz sobie w eleganckim świecie, znasz najlepsze rody w hrabstwie, brakuje tylko, byś poznała rodzinę królewską. Słowo daję, gdyby żył nasz biedny ojciec, dopiero byłby dumny! Cóż, zmierzam do tego, że zawsze jest ta druga strona medalu. Chcesz mieć choćby marne pół pensa, musisz znieść spokojnie parę kopniaków. Musisz połknąć od czasu do czasu gorzką pigułkę. Te stare rody długo nie pociągną, chylą się ku upadkowi, ot co. Powinnaś ocenić sytuację z punktu widzenia własnych interesów: moje małżeństwo daje mi takie a takie korzyści, a to i to jest jego ujemną stroną. Widzę w tym jedyny sposób na twoje zmartwienia. Zapamiętaj moje słowa: jedyny.

— Nie poślubiłam Waltera dla żadnych, jak to nazywasz, „korzyści”.

Nienawidzę tego miejsca. Zawsze nienawidziłam. Walter, żeniąc się ze mną, miał na względzie Moźne Opactwa, nie mnie.

— Pleciesz głupstwa, siostrzyczko. Byłaś śliczną dziewczyną i nadal jesteś — dodał szarmancko.

— On się ożenił ze mną ze względu na Moźne Opactwa — upierała się Myra. — Przecież wiem.

— Dobrze, już dobrze. Nie wracajmy do przeszłości.

— Gdybyś był na moim miejscu, prędko byś stracił swoją zimną krew

— rzuciła mu cierpko. — Spróbuj z nim pożyć. Robię wszystko, co według mnie mogłoby mu sprawić przyjemność, a on jedynie szydzi sobie ze mnie i traktuje tak, jak traktuje.

— Bo nie dajesz mi spokoju. Zrzędzisz i zrzędzisz. Tylko nie usiłuj zaprzeczać, robisz to i zawsze będziesz robiła

— Niechby mi się przynajmniej odciął! Niechby powiedział

cokolwiek, zamiast siedzieć przede mną jak mumia.

— To prawda, ale on jest taki z natury. Nie możesz zmieniać ludzi według swego widzimisie. Skłaniałbym, mówiąc, że sam za nim przepadam, jak na mój gust jest zbyt pretensjonalny, lalkowaty.

Powierz mu kierowanie pierwszym lepszym przedsiębiorstwem, a zbankrutuje w dwa tygodnie! Ale muszę powiedzieć, że w stosunku do mnie zawsze jest uprzejmy, zawsze na miejscu. Prawdziwy dżentelmen.

Kiedy zaszedłem mu drogę w Londynie, zabrał mnie na lunch do tego swojego eleganckiego klubu, a to, że czułem się tam nieswojo, to już nie jego wina. Oprócz wad Walter ma także zalety.

— Jesteś jak każdy mężczyzna. Carrie na pewno by mnie zrozumiała.

On po prostu nie jest mi wierny, mówię ci. Nie jest mi wierny!

— No wiesz... — Monety znów głośniejsz zabrzęczały, podczas gdy wzrok wujka Sydneya błędził po suficie. — Mężczyzna jest tylko mężczyzną.

— Lecz, Syd, ty przecież nigdy...

— Oczywiście, że nie — wujek Sydney odpowiedział czym prędzej. —

Jakżeby inaczej. Ja, Myro, uogólniam. Uogólniam, rozumiesz?

— Wszystko skończone. Żadna kobieta nie zniosłaby tyle, ile zniosłam ja. A teraz to już koniec. Nie

chcę go widzieć. Nigdy.

— Ach, więc tak to wygląda — jęknął wujek Sydney. Przyniósł

krzesło do stołu i zasiadł na nim z miną kogoś, kto przygotowuje się do rozmowy w interesach. —
Zatem porozmawiajmy poważnie. Rozumiem, że klamka zapadła. Co wobec tego zamierzasz robić?

— Powtarzam raz jeszcze: nie chcę widzieć Waltera na oczy!

— To się rozumie samo przez się — zgodził się wujek Sydney. — Nie chcesz go widzieć. A czego chcesz? Rozvodu?

— Och! — Myra aż podskoczyła — Nie myślałam...

— Cóż, musimy zabrać się do sprawy poważnie. Wątpię, czy dostałabyś rozwód. Mogłabyś, co
prawda, oskarżyć go o okrucieństwo, lecz tu znów użyje słowa „wątpię”. Wątpię, byś mogła posunąć
się aż tak daleko.

— Gdybyś tylko wiedział, ile przez niego wycierpiałam...

— Przypuszczam, że sporo, i nie zamierzam przeczyć twoim słowom.

Ty jednak chcesz czegoś więcej niż zadośćuczynienia z punktu widzenia prawa. Ty wcale nie chcesz
go porzucić. Gdybyś napisała do niego, by wrócił, wróciłby, nieprawdaż?

— Czyż nic powiedziałam ci, że nie chcę go nigdy więcej widzieć?

— No tak, no tak. Jak wszystkie kobiety, powtarzasz jedno i to samo. Popatrzmy jednak na sprawę od
strony formalnej. Nie sądzę, by rozwód w ogóle wchodził w grę.

— Nie chcę rozvodu.

— No to czego chcesz? Separacji?

— Separacji?! Żeby mógł sobie żyć w Londynie z jakąś zdeprawowaną kreaturą? Żyć z nią na stałe?
Chciałabym wiedzieć, co w takim razie będzie ze mną.

— W naszym sąsiedztwie jest całe mnóstwo przyjemnych domów.

Przypuszczam, że mogłabyś zabrać chłopca ze sobą.

— I tym samym pozwolić, by Walter sprowadzał do tego domu jakieś nieprzyzwoite kobiety, to masz
na myśli, prawda? Nie, bynajmniej nie zamierzam ułatwić mu życia!

— Zatem, do diabła, czego ty chcesz, Myro?

Myra znów zaczęła płakać.

— Jestem taka nieszczęśliwa, Syd, taka nieszczęśliwa. Gdyby Walter był choć trochę inny.

— Ale nie jest i nigdy nie będzie. Powinnaś to wiedzieć raz na zawsze. Poślubiłaś mężczyznę, który ma w sobie coś z Don Juana, wobec czego zdobądź się na odrobinę tolerancji. Jeśli lubisz własnego męża, pocałuj go i pogódź się z nim, oto moja rada. Nikt z nas nie jest doskonały. Zawsze trzeba iść na ustępstwa, zapamiętaj to sobie.

Jego siostra płakała cicho.

— Małżeństwo to delikatny interes — ciągnął wujek Sydney, głosem pełnym refleksji. — A my, mężczyźni, w żaden sposób nie dorównujemy kobietom, co do tego nie ma dwóch zdań.

— Przypuszczam — powiedziała Myra przez łzy — że powinno się sobie wybaczać i wybaczać, wciąż i wciąż, nieustannie.

— Święta racja. Kobiety są aniołami, a mężczyźni nie są i kobiety muszą to brać pod uwagę. Zawsze musiały i zawsze będą musiały.

Płacz przycichał. Myra przymierzała się do roli wyrozumiałego anioła.

— To wcale nie jest tak, że nie robiłam wszystkiego, co w mojej mocy — chlipnęła. — Dbam o dom i nikt mi też nie powie, że nie jestem oddaną matką.

— Oczywiście, że jesteś — przyznał ochoczo wujek Sydney. — No i udał ci się twój dzieciak. Szkoda, że ja i Carrie nie mamy chłopca.

Cztery dziewczynki to gruba przesada. A przecież wciąż powtarzam:

„Następnym razem się powiedzie, staruszek”. No i właśnie: tym razem będzie syn. Oboje jesteśmy tego pewni.

Myra się ożywiła.

— Proszę, proszę, a ja o niczym nie wiem. Kiedy się go spodziewacie?

— W czerwcu.

— Jak się miewa Carrie?

— Użala się trochę, że puchną jej nogi. Ale i tak niezłe sobie radzi z całym kramem. Patrzcie państwo, oto i nasz kawaler. Jak długo byłeś tutaj, mój mały?

— Och, długo — odparł Vernon. — Od samego początku, to znaczy od kiedy wszedłeś.

— Zachowywałaś się tak cicho — poskarżył się wujek. — Całkiem inaczej niż twoje kuzynki. Przysiągłbym, że hałas, jaki robią, bywa czasami nie do wytrzymania. A co to takiego, to, czym się bawisz?

— To parowóz.

— Nie. To jest wózek mleczarza!

Vernon milczał.

— Hej! Nie mam racji? To nie jest wózek mleczarza?

— Nie. To parowóz.

— Ani trochę. To wózek mleczarza. Śmieszne, prawda? Ty powiadasz, że to parowóz, a ja się upieram, że to wózek mleczarza. Ciekawe, który z nas ma rację. Vernon wiedział, że on, wobec czego odpowiedź

wydawała mu się zbyt zbyteczna.

— To poważne dziecko — powiedział wujek Sydney, zwracając się do siostry. — Nigdy nie potrafi połapać się w żartach. Wiesz, mój mały, w szkole będziesz musiał przyzwycząć się do różnych docinków i psikusów.

— Naprawdę? — spytał Vernon, który nie bardzo rozumiał, co jedno z drugim ma wspólnego.

— Chłopiec, który znosi docinki i żarty ze śmiechem, na pewno poradzi sobie w życiu. — Kieszeń wujka Sydneya znów zadzwoniła, jakby dla podkreślenia związku między duchem a materią.

Vernon przyglądał mu się w zamyśleniu.

— O czym myślisz? — Wujek Sydney nie dawał za wygraną.

— O niczym.

— Zabierz swój parowóz na taras, kochanie — powiedziała Myra.

Vernon usłuchał.

— Ciekawe, jak dalece malec połapał się w naszej rozmowie —

zaśmiał się Sydney.

— Och, on jest jeszcze taki mały...

— Hm. To o niczym nie świadczy. Niektóre dzieci wszystko chwytają w lot. Choćby moja Etliel. Ale Ethel jest bardzo bystrym dzieckiem.

— Nie zdaje mi się, by Vernon kiedykolwiek na coś zwracał uwagę —

powiedziała Myra. — To w pewnym sensie prawdziwe dobrodziejstwo.

— Mamusiu? — odezwał się Vernon później, tego samego dnia. — Co takiego ma się wydarzyć w czerwcu? — W czerwcu, skarbie?

— Tak, to coś, o czym rozmawiałaś z wujkiem Sydneyem.

— Och, to! — Myra zmieszała się. — To wielka tajemnica.

— Naprawdę? — podchwycił skwapliwie Vernon.

— Wujek Sydney i ciocia Carrie spodziewają się, że w czerwcu przybędzie im jeszcze jedno kochane maleństwo, chłopczyk. Twój przyszły kuzyn, Vernonie.

— Och. — Vernon był wyraźnie rozczarowany. — I to wszystko? — Po kilku minutach podjął temat. — Dlaczego ciocia Carrie puchną nogi?

— No cóż. Ciocia Carrie ostatnio trochę się przemęczała. — Myrę ogarnął lęk na myśl o dalszych pytaniach. Usiłowała przypomnieć sobie, co takiego jeszcze ona i Sydney powiedzieli.

— Mamusiu?

— Słucham cię, kochanie.

— Czy naprawdę wujek Sydney i ciocia Carrie chcą mieć chłopczyka?

— Tak, naturalnie.

— To dlaczego będą czekać aż do czerwca? Dlaczego nie mogą go mieć już teraz?

— Ponieważ, Vernonie, Bóg dobrze wie, co robi. A Bóg chce, żeby mieli go w czerwcu.

— Długo trzeba czekać. Gdybym ja był Bogiem, wszystko robiłbym dla ludzi, od razu, tak prędko, jakby tego chcieli.

— Nie bądź bluźnierczy, skarbie — zauważyła spokojnie Myra.

Vernon zamilkł. Nurtowała go ciekawość, co znaczy słowo

„bluźnierca”. Zdawało mu się, że takim słowem kucharka określiła kiedyś swego brata. Powiedziała, że ten jej brat to człowiek (w tym miejscu padało to dziwne słowo) i że mało kiedy zagłąda do kieliszka.

Kucharka chyba pochwała swego brata. Ale mamusia najwyraźniej nie pochwała jego, Vernona.

Tego wieczoru Vernon dodał specjalną prośbę do codziennej, pośpiesznie wymawianej modlitwy: Panie Boże pobłogosław mamusi i tatusiowi i spraw bymbyłdobrymchłopczykiem. Amen.

Kochany Panie Boże, modlił się, ześlij mi szczeniaka w czerwcu, a jeżeli jesteś bardzo zajęty, to w lipcu.

— Dlaczego dopiero w czerwcu? — zainteresowała się panna Robbins.

— Zabawny z siebie chłopczyk. Raczej bym się spodziewała, że chcesz go mieć już teraz.

— To byłoby bluźnierstwo — odparł Vernon i popatrzył na nią z wyrzutem.

Nieoczekiwanie świat stał się bardzo ekscytujący. W Afryce Południowej toczyła się wojna i ojciec wybierał się na nią.

Wszyscy byli podnieceni i wytrąceni z równowagi. Pierwszy raz w życiu Vernon usłyszał o ludziach zwanych Burami. To właśnie z nimi ojciec zamierzał walczyć. Tymczasem przyjechał do domu. Na kilka dni.

Wyglądał młodziej, był pogodny i pełen energii. On i mamusia byli dla siebie całkiem mili i nic dochodziło tło żadnych scen ani kłótni. Co prawda czasami (nie uszło to uwagi Vernona) ojciec, przysłuchując się temu, co jego żona ma do powiedzenia, wiercił się niespokojnie, a co gorsza, kiedyś nawet zawołał zirytowany:

— Na litość boską, Myro, przestań mówić w kółko o walecznych bohaterach, oddających swe życie za ojczyznę. Nie znoszę takich frazesów.

Jednak matka nie wybuchła gniewem. Powiedziała jedynie:

— Wiem, że nie lubisz, kiedy tak mówię. Ale to prawda.

Ostatniego wieczoru przed odjazdem ojciec Vernona wziął swego małego synka na spacer. Przechadzali się jakiś czas w zgodnym milczeniu, aż wreszcie Vernon zebrał się na odwagę i zapytał:

— Tatusiu, czy cieszysz się, że idziesz na wojnę?

— Bardzo.

— A czy wojna to zabawa?

— Przypuszczam, że nie taka, jak ci się zdaje. Ale w pewnym sensie tak. Wojna podnieca, a poza tym pozwala człowiekowi zapomnieć o codzienności.

— Prawda, że na wojnie nie ma kobiet?

Walter Deyre obrzucił syna przenikliwym spojrzeniem i uśmiechnął

się nieznacznie. To niesamowite, pomyślał, jak temu chłopcu zdarza się całkiem nieświadomie trafić w sedno.

— Kobiety są stworzone na czas pokoju, to chyba oczywiste — odparł poważnie.

Malec skierował swą dociekliwość na inne tory. — Jak myślisz, tatusiu, zabijesz dużo ludzi?

— Trudno to przewidzieć, mój mały.

— Mam nadzieję, że dużo. — Vernon najwyraźniej chciał ojcu sprawić przyjemność. — Mam nadzieję, że zabijesz całą setkę.

— Dzięki, stary.

— Przypuszczam... — zaczął Vernon i przerwał.

— No, śmiało — zachęcał go ojciec.

— Tak sobie myślę, że na wojnie czasami ktoś sam bywa zabity.

Zdanie było dość zawiłe, mimo to Walter Deyre domyślał się, do czego Vernon zmierza.

— Czasami tak — przytaknął.

— Ale chyba to nie będziesz ty, tatusiu, prawda?

— Niewykluczone. Ludzie giną po jednej i po drugiej stronie.

Zabijanie na wojnie to chleb powszedni.

Vernon zamyślił się głęboko. W jakiś niejasny sposób uświadamiał

sobie emocje ojca.

— Zmartwiłbyś się, gdyby tak się z tobą stało?

— To, być może, byłoby najlepszym wyjściem — mruknął Walter Deyre bardziej do siebie niż do dziecka.

— Mam nadzieję, że tak się nie stanie — powiedział Vernon.

— Dziękuję.

Ojciec uśmiechnął się. Życzenie Vernona zabrzmiało grzecznie i konwencjonalnie. Mimo to Walter Deyre nie popełnił błędu, jaki z pewnością przytrafiłby się Myrze, i nie pomyślał, że dziecko jest pozbawione uczuć.

Doszli do ruin opactwa równo z zachodem słońca. Ojciec i syn rozejrzeli się wokół i w tej samej chwili Walter Deyre poczuł w sercu ukłucie. Możliwe, że już nigdy więcej tu nic przystanie. Pomyślał, że niepotrzebne narobił tyle zamieszania.

— Słuchasz mnie, Vernonie?

— Tak, tatusiu.

— Gdybym poległ, Moźne Opactwa będą należeć do ciebie. Chyba wiesz o tym, co, mój mały?

— Tak, tatusiu.

Znów obaj zamilkli. Jak wiele chciałby powiedzieć temu chłopcu, jak rzadko to robił, jak nie wszystko dawało się przełożyć na słowa i jak nieswojo czuł się w obecności tej małej istoty, własnego syna.

Dziwne. Dziwne i zastanawiające. Być może to był błąd, może należało poznać chłopca lepiej. Mogli przecież świetnie się razem bawić.

Unikał syna, a syn unikał jego, A jednak w jakiś sposób byli ze sobą w dziwnej harmonii. Obaj nie lubili za dużo mówić...

— Jestem zakochany w tym starym miejscu — wyznał synowi. —

Spodziewam się, że tak samo będzie kiedyś z tobą.

— Tak, tatusiu.

— Jakie to dziwne, myśleć o tamtych mnichach... stoją tutaj i łowią te swoje ryby... jeden w drugiego grube, pogodne chłopiska. Tak właśnie ich sobie wyobrażam.

Zwlekali z powrotem jeszcze przez jakiś czas. Wreszcie Walter Deyre powiedział:

— No cóż, pora zbierać się do domu. Robi się późno.

Zawrócili. Walter Deyre rozprostował ramiona. Jeszcze tylko przejść przez pożegnanie i będzie po wszystkim. Rozstania bywają bolesne, zatem lepiej byłoby nie robić wokół wiele zamieszania, lecz niestety, pomyślał, Myra ma na ten temat inne zdanie.

Biedna Myra. Mówiąc ogólnie, miała pecha. Urocze stworzenie, lecz on istotnie poślubił ją ze względu na Moźne Opactwa, podczas gdy ona wyszła za niego z miłości. To właśnie było przyczyną całego nieszczęścia.

— Opiekuj się swoją matką, Vernonie — rzucił porywczo. — Jest dla ciebie bardzo dobra, wiesz o tym.

Walter Deyre miał cichą nadzieję, że nie wróci z wojny. Tak byłoby najlepiej. Vernon nie zostałby sam, ma matkę. A jednak Walter Deyre poczuł się trochę jak zdrajca. Jak ktoś, kto porzuca własne dziecko...

— Walterze — zawołała Myra — nie pożegnałeś się z Vernonem!

Walter spojrział na syna, który stał z boku z szeroko otwartymi oczami.

— Żegnaj, staruszk. Baw się dobrze.

— Żegnaj, tatusiu.

To wszystko. Myra była zgorszona. Czyżby nie miał dla chłopca ani odrobiny uczucia? Nawet go nie pocałował, Jakże dziwni byli ci Deyre'owie. Jak obojętni. I cóż to za osobliwy sposób pożegnania: skinienie głowy przez całą szerokość pokoju. Jeden wart drugiego...

Jednak Vernon, powiedziała sobie w duchu, nie będzie w przyszłości taki jak jego ojciec.

Ze ścian wokół niej spoglądali Deyre'owie i uśmiechali się szyderczo...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ojciec odpłynął tło Afryki Południowej, a w dwa miesiące później Vernon poszedł do szkoły. Tak sobie życzył i tak zarządził Walter Deyre, a Myra w tym momencie gotowa była traktować wolę męża jak najwyższe prawo. Miała swojego żołnierza i swojego bohatera; wszystko inne zostało pущzone w niepamięć. Była w tym czasie absolutnie szczęśliwa. Robiła na drutach skarpetki dla żołnierzy; usilnie nakłaniała do energicznej kampanii „białych piór”*; solidaryzowała się i rozmawiała z innymi kobietami, których mężowie również poszli walczyć przeciwko niegodziwym niewdzięcznikom, Burom.

Rozstanie z Vernonem było dla niej prawdziwą męką. Jej skarb, jej maleństwo miało odjechać, i to daleko. Tylko matka wie, co znaczy taka rozłąka! Cóż, skorej takie było życzenie jego ojca.

Biedactwo, na pewno będzie tęsknić za domem! I to okropnie! Już sama myśl o tym zdawała się nie do zniesienia.

Vernon jednak nie tęsknił. Wcale nie był tak bardzo przywiązany do matki. Przez całe życie miał być najczulszym synem, ale na odległość.

Toteż ucieczka od dusznej od emocji atmosfery domu przyniosła mu ulgę.

Vernonowi odpowiadało życie w szkole. Miał zdolności do różnych gier towarzyskich, zarówno wymagających myślenia, jak i sprawności ruchowej. Po nudnych miesiącach spędzonych pod rządami panny Robbins, szkoła okazała się cudownym odkryciem. Jak wszyscy Deyre’owie, umiał współżyć z ludźmi i łatwo zawierał przyjaźnie.

I był małomówny. Bowiem małomówność dziecka, którego odpowiedzi na ogół sprowadzały się tło krótkiego „nic”, stała się powoli jego drugą naturą i, pomijając kilku osób, których nie dotyczyła, miała iść z nim przez życie. Jego szkolni przyjaciele byli dziećmi, z którymi wspólnie „coś robił”. Swoje myśli zachowywał dla siebie i dzielił się nimi jedynie z jedną osobą. Ta osoba miała zaistnieć w jego życiu już niebawem.

Podczas pierwszych wakacji Vernon odkrył istnienie Josephine.

Vernon został powitany przez, matkę w sposób nadzwyczaj wylewny i afektowany. Zniósł to mężnie, mimo iż tego rodzaju sytuacje wprawiały go w zakłopotanie. Po pierwszych uniesieniach Myra powiedziała:

— Mamy dla ciebie miłą niespodziankę, kochanie. Jak myślisz, kto zawitał w nasze progi? Twoja kuzynka Josephine, mała córeczka cioci Niny. Przyjechała, aby u nas zamieszkać. No i czyż to nie urocze?

Vernon nie był tego całkiem pewien. Owe „to”, jego zdaniem, wymagało przemyślenia. Chcąc zyskać na czasie, zapytał:

— A dlaczego ma u nas zamieszkać?

— Dlatego, że jej matka nie żyje. Jest z tego powodu potwornie smutna i my musimy bardzo, ale to bardzo się starać, aby tak wielką stratę, jaką jest dla dziecka śmierć matki, odpowiednio wynagrodzić.

— Ciocia Nina nie żyje? — Zrobiło mu się żal cioci Niny. Pięknej cioci Niny, tak ślicznie wydmuchującej kółeczka dymu z palonego papierosa.

— Tak. Ty jej, oczywiście, nie możesz pamiętać.

Wprost przeciwnie, pamiętał doskonale. Tylko dlaczego miałby o tym mówić?

— Josephine jest w pokoju lekcyjnym. Poszukaj jej tam i spróbujcie się ze sobą zaprzyjaźnić.

Vernon szedł powoli. Nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy nie.

Był w wieku, w którym pogardza się dziewczynami. Dziewczyna! Mieć kogoś takiego u boku to chyba dość nieznośne uczucie. Choć z drugiej strony, byłoby byczo mieć kogoś w ogóle. To zależy, jaki jest ten dzieciak. No i trzeba się przyzwoicie zachowywać, jeśli niedawno straciła matkę.

Otworzył drzwi do pokoju lekcyjnego. Josephine siedziała na parapecie okiennym, wymachując nogami. Podniosła wzrok, i to wystarczyło, by Vernon wyzbył się całej ugrzecznionej wyniosłości.

Była solidnie zbudowanym dzieckiem mniej więcej w jego wieku.

Miała matowe, czarne włosy, przycięte równo nad brwiami, bardzo białą cerę i niezwykle długie rzęsy, a jej lekko wystająca szczeka świadczyła o swego rodzaju stanowczości. Przyszła na świat dwa miesiące po Vernonie, lecz jeśli chodzi o mądrość życiową, czyli to coś, co w jej przypadku stanowiło mieszaninę nudy i buntu, była od niego dwa razy doroślejsza.

— Cześć — powiedziała.

— Cześć — powtórzył za nią Vernon, niezbyt pewnie. Przyglądali się sobie nawzajem, nieufnie, zwyczajem dzieci i psów.

— Jesteś moją kuzynką Josephine, prawda? — powiedział Vernon.

— Tak, ale powinieneś nazywać mnie Joe. Tak jak wszyscy.

— Jak chcesz... Joe.

Nastąpiła przerwa. Aby ją czymś wypełnić, Vernon zaczął gwizdać.

— Dość byczo wrócić do domu — zauważył w końcu.

— To jest okropnie bycze miejsce — zawtórowała Joe.

— Och! — Serce Vernona zaczynało mięknąć. — Naprawdę ci się podoba?

— Okropnie. Najbardziej ze wszystkich, w których mieszkałam.

— Naprawdę? A w ilu mieszkałaś?

— Och, to trudno policzyć. Najpierw mieszkałam w Coombes, z tatusiem. A potem w Monte Carlo z pułkownikiem Ansteyem. A potem w Tulonie z Arthurem... a potem, z powodu płuc Arthura, w wielu miejscach w Szwajcarii. A potem w zakonie, ponieważ trochę później Arthur umarł. Mamusia miała dość kłopotów i beze mnie. Ale nie lubiłam zakonu, zakonnice były takie niemądre. Kazały mi się kapać w koszuli.

A potem, po śmierci mamusi, przyjechała ciocia Myra i sprowadziła mnie tutaj.

— Jest mi strasznie przykro, no wiesz, z powodu twojej mamusi —

powiedział niezdarnie Vernon.

— Tak, to w pewnej mierze okropne, chociaż myślę, że nic lepszego nie mogło jej się przydarzyć.

— Och! — zachnął się Vernon.

— Tylko nie opowiadaj tego cioci Myrze — poprosiła Joe. — Mnie się zdaje, że ciocia Myra łatwo się gorszy, podobnie jak zakonnice.

Trzeba uważać, co się do niej mówi. Wiesz, moja mamusia prawie wcale się mną nie zajmowała. Była okropnie miła, przeokropnie, ale wariowała z powodu mężczyzn. Tak mówili ludzie w hotelu, i tak było naprawdę. Ja wiem, że nic nie mogła na to poradzić, ale mnie się to nie podobało. Kiedy dorosnę, nie będę się zadawać z żadnym mężczyzną.

— Och! — powiedział Vernon. Przy tak zdumiewającej osobce, jaką była Joe, czuł się nad wyraz dziecinnie i niezręcznie.

— Najbardziej lubiłam pułkownika Ansteya — westchnęła Joe, sięgając pamięcią wstecz. — Ale oczywiście mamusia uciekła z nim tylko po to, aby odejść od tatusia. Zatrzymywaliśmy się w o wiele lepszych hotelach z pułkownikiem Ansteyem, Arthur był bardzo ubogi.

Jeżeli kiedyś, kiedy dorosnę, zwariuję na punkcie jakiegoś mężczyzny, to najpierw się upewnię, czy jest bogaty. Z bogatym żyje się o wiele łatwiej.

— Czy twój tatuś nie był dobry?

— Och! Miałam diabła, nie tatusia. Mamusia zawsze tak mówiła.

Nienawidził i jej, i mnie.

— Ale dlaczego?

Joe ściągnęła swoje czarne, proste brwi, najwyraźniej łamiąc sobie głowę nad odpowiedzią.

— Nie bardzo wiem. Myślę, że to miało coś wspólnego z moim przyjściem na świat. Chyba musiał ożenić się z mamusią, ponieważ ona się mnie spodziewała, czy coś w tym rodzaju, i to wywołało jego gniew.

Popatrzyli na siebie, jednakowo poważni i jednakowo zmieszani.

— Wujek Walter jest w Afryce Południowej, prawda? — Joe zmieniła temat.

— Tak. Przysłał mi do szkoły trzy listy. Bycze, mówię ci.

— Wujek Walter jest kochany. Kocham go. Przyjechał do nas do Monte Carlo, musiałeś o tym wiedzieć

W sercu Vernona odżyło wspomnienie jednej z dawnych scen. Tak, to prawda, jego ojciec chciał, aby Joe przyjechała do Moźnych Opactw.

— To on oddał mnie do zakonnicy — powiedziała Joe. — Wielebna matczynka uważała, że jest uroczy. Prawdziwy okaz szlachetnie urodzonego angielskiego dżentelmena, jak się wyraziła zabawnie.

Oboje roześmiali się nieśmiało.

— Chodźmy do ogrodu, dobrze? — spytał Vernon.

— O tak, chodźmy. Wiem, gdzie są cztery ptasie gniazda. Szkoda tylko, że puste.

Opuścili pokój, pochłonięci przyjacielską wymianą zdań na temat ptasich jaj.

Joe wprawiała Myrę w zakłopotanie. Miała miły sposób bycia, odpowiadała inteligentnie, grzecznie i spokojnie zносиła pieszczoty, choć nie odwzajemniała ich. Była bardzo niezależna, a jej pokojówka nie miała prawie nic do roboty. Joe umiała sama naprawiać swoje ubranie i dbać o miły i schludny wygląd bez niczyjego popędzania.

Była w istocie doświadczonego życiowo hotelowym dzieckiem, z jakim Myra nigdy wcześniej nie miała do czynienia. Głębia wiedzy dziewczynki niewątpliwie mogłaby zdumieć i oburzyć jej ciotkę, gdyby nie to, że sprytna i roztargnięta Joe świetnie znała się na ludziach.

Bardzo się pilnowała, by, według własnych słów, „nie gorszyć cioci Myry”. W jej stosunku do wyznaczonej przez los opiekunki było coś, co miało ścisły związek z lekceważeniem.

— Twoja matka — powiedziała do Vernona — jest bardzo dobra, ale jest także odrobinę głupia, chyba sam to przyznasz.

— Ona jest bardzo piękna — zapewnił gorąco Vernon.

— Tak, to prawda — zgodziła się Joe. — Ale te jej ręce! Za to ma śliczne włosy. Sama chciałabym mieć takie czerwonozłote włosy.

— Sięgają jej aż za talię — powiedział z uznaniem Vernon.

Znalazł w Joe cudowną towarzyszkę zabaw, całkiem nie mieszczącą się w jego dotychczasowych wyobrażeniach o dziewczynkach. Joe nienawidziła lalek, nigdy nie płakała, była tak silna jak on, jeśli nie silniejsza, a także chętna i zawsze gotowa do każdej niebezpiecznej zabawy. Razem wspinali się na drzewa, razem jeździli na rowerach, zderzali się, przewracali, rozbijali kolana, a w letnie wakacje razem wybierali gniazda os, z powodzeniem zawdzięczanym bardziej szczęściu niż umiejętnościom.

Z Joe Vernon mógł rozmawiać. Joe otworzyła przed nim dziwny, nie znany mu dotychczas świat, świat, w którym ludzie uciekali z cudzymi mężami i żonami, świat zabaw, hazardu i cynizmu. A także świat, w którym żyła kiedyś jej matka, tak bardzo przez Joe kochana i otoczona jej opiekuńczą czułością. Matka i córka prawie zamieniły się rolami.

— Była zbyt uległa, zbyt łagodna — powiedziała kiedyś. — Ja na pewno nie becie ani uległa, ani łagodna, ani dobra. Jeśli się takim jest, ludzie natychmiast to wykorzystują i stają się pocili. Tak czy inaczej, mężczyźni są potworami, lecz, jeśli się ich uprzedzi i jest się potworem dla nich, są w porządku. Wszyscy mężczyźni rodzą się potworami.

— To niemądre, co mówisz. Nie wierzę, by to była prawda.

— Nie wierzysz tylko dlatego, że sam będziesz mężczyzną.

— Wcale nie. W każdym razie nie jestem żadnym potworem.

— Teraz nie, ale poczekajmy, aż dorośniesz.

— Posłuchaj, Joe, któregoś dnia wyjdiesz za mąż i chyba nie będziesz myślała, że twój mąż to jakiś potwór.

— Niby dlaczego miałabym wyjść za mąż?

— Każda dziewczyna to robi. Chyba nie chcesz być starą panną jak panna Crabtree.

Joe zachwiała się w swych przekonaniach. Panna Crabtree była podstarzałą starą panną. Brała aktywny udział w życiu wsi i obnosiła się z uwielbieniem dla „swoich kochanych dzieciaków”.

— O nie, ja nie byłabym taką starą panną jak ona — zaprotestowała nieśmiało. — Ja... ja... Och! Ja bym coś robiła. Grałabym na skrzypcach albo malowała wspaniałe obrazy.

— Mam nadzieję, że nie grałabyś na skrzypcach.

— Gra na skrzypcach to moje prawdziwe marzenie. Dlaczego tak bardzo nienawidzisz muzyki?

— Sam nie wiem. Nienawidzę i już. Robi mi się od niej niedobrze.

— Dziwne. Mnie się robi miło. A co ty będziesz robić, kiedy dorośniesz?

— Jeszcze nie wiem. Chciałbym poślubić kogoś bardzo pięknego i mieszkać w Możnych Opactwach. I mieć dużo koni i psów.

— Ale nuda — skrzywiła się Joe. — I co w tym pasjonującego?

— Nie zdaje mi się, żebym pragnął czegoś pasjonującego.

— Ja pragnę. Chciałabym, żeby przez cały czas, bez przerwy, działy się same pasjonujące rzeczy.

Joe i Vernon nie mieli wielu rówieśników do zabawy. Pastor, którego dzieci bawiły się z Vernonem, kiedy był młodszy, wyjechał do innej parafii, a jego następcą nie był żonaty. Większość dzieci z rodzin o tej samej pozycji społecznej co Deyre'owie mieszkała daleko od siebie, toteż spotykała się tylko przy wyjątkowych okazjach.

Jedynym wyjątkiem była Nell Vereker. Jej ojciec, kapitan Vereker, pracował u lorda Coomberleigha. Był to wysoki, przygarbiony mężczyzna o wyblakłych, niebieskich oczach i niepewnym sposobie bycia. Był

spokrewniony z wpływowymi osobami, lecz ogólnie rzecz biorąc, nie wiodło mu się w życiu. Na szczęście wszelkie jego braki nadrabiała żona, wysoka, majestatyczna i wciąż jeszcze przystojna kobieta. Pani Vereker charakteryzowała się niezwykle złocistymi włosami i bardzo niebieskimi oczami. Wypchnęła męża siłą na obecne stanowisko, a tym samym wcisnęła się do najlepszych domów w sąsiedztwie. Miała właściwe pochodzenie, lecz tak jak i mąż nie miała pieniędzy. Mimo to była zdecydowana odnieść w życiu sukces.

Oboje, Vernon i Joe, nudzili się śmiertelnie z Nell Vereker. Nell Vereker była drobnym, bladym dzieckiem o jasnych, rzadkich włosach.

Jej powieki i czubek nosa były lekko zaróżowione. Nell Vereker w niczym nie była dobra. Nell Vereker nie potrafiła biegać ani wspinać się na drzewa. Nell Vereker zawsze miała na sobie wykrochmaloną sukienkę z białego muślinu, a jej ulubioną zabawą było urządzenie herbatek dla lalek.

Oczywiście była ulubienicą Myry. Taka prawdziwa mała lady, mawiała zwykle Myra, kiedy pani Vereker przywoziła ją na herbatę. Vernon i Joe zachowywali się wówczas bez zarzutu. Starali się wymyślać gry, które przypadłyby jej do gustu, lecz kiedy tylko, wyprostowana jak struna, zasiadała obok swojej matki w wynajętym powozie i odjeżdżała, jedno i drugie zgodnie wydawało z siebie okrzyk zadowolenia.

To podczas drugich wakacji Vernona, tuż po głośnym epizodzie z gniazdem os, okolicę obiegły pierwsze pogłoski o Jelenich Polach.

Jelenie Pola były posiadłością sąsiadującą z Moźnymi Opactwami.

Należały do starego sir Charlesa Alingtona. Na lunęli przyszło kilkoro przyjaciół pani Deyre i poddano całą sprawę pod dyskusję.

— To szczerą prawdą. Wiem to z absolutnie wiarygodnego źródła...

Tak, sprzedane tym ludziom... Tak, Żydom... Och, a jakże, niezwykle bogaci... Tak, fantastyczna cena, tak... Niejaki Levinne... Nie, podobno rosyjski Żyd... Nieprawdopodobne, wprost nieprawdopodobne... Nieładnie ze strony sir Charlesa, ot co... Tak, a jakże... posiadłość w Yorkshire też...

mówią, że stracił ostatnio mnóstwo pieniędzy... Nie, żadnych wizyt. To oczywiste.

Joe i Vernon byli mile podekscytowani, tym bardziej że coraz częściej plotkowano o Jelenich Polach. W końcu owi cudzoziemcy przybyli i wprowadzili się. W towarzystwie mówiono dalej...

— Och, absolutnie nieprawdopodobne, pani Deyre... Tak, jesteśmy tego samego zdania... Można by pomyśleć, że Bóg wie, co im się zdaje...

Właśnie, czego się spodziewają? Nie zdziwię się, gdy któregoś dnia sprzedadzą wszystko i przeniosą się gdzie indziej... Tak, ma rodzinę...

syna... Mniej więcej w wieku pani Vernona...

— Ciekawe, jacy są Żydzi w ogóle — powiedział Vernon do Joe. —

Dlaczego wszyscy ich nie lubią? Myśleliśmy o jednym chłopcu w szkole, że to Żyd, ale on je bekona na śniadanie, więc chyba nie jest Żydem.

Levinne'owie okazali się bardzo chrześcijańską gałęzią Żydów.

Zjawili się w niedzielę w kościele, gdzie za rezerwowano dla nich całą ławkę. Parafianie wstrzymali oddech. Pierwszy szedł pan Levinne: okrągłutki i zażywny, w ciasno opiętym surducie, z olbrzymim nosem i błyszczącymi policzkami. Za nim kroczyła pani Levinne, widok zaiste zdumiewający. Olbrzymie rękawy! Figura klepsydry! Sznury brylantów!

Olbrzymi kapelusz przybrany piórami, a pod nim czarne, ciasno skręcone loczki! Był z nimi chłopiec, trochę wyższy od Vernona, o długiej, żółtej twarzy i odstających uszach.

Po skończonym nabożeństwie na Levinne'ów czekał powóz zaprzężony w dwójkę koni. Levinne'owie wsiedli doń i odjechali.

— Cóż! — powiedziała panna Crabtree.

Parafianie, w małych grupkach, rozmawiali z przejęciem.

— To zgnilizna — powiedziała Joe.

Ona i Vernon byli w ogrodzie.

— Jaka zgnilizna?

— Ci ludzie.

— Myślisz o Levinne'ach?

— Tak. Dlaczego wszyscy zachowują się wobec nich tak okropnie?

— No bo oni — Vernon starał się zachować bezstronność — bo oni wyglądają dziwnie, sama wiesz.

— Ech, ja myślę, że ludzie to potwory.

Vernon milczał. Joe, wieczna buntowniczka, zawsze przedstawiała mu jakiś nowy punkt widzenia.

— Tamten chłopiec — ciągnęła — wygląda mi okropnie byczo, nawet z odstającymi uszami.

— Ciekawe. Byłoby nieźle mieć jeszcze kogoś do zabawy. Kate mówi, że w Jelenich Polach robią staw do pływania.

— Muszą być strasznie, ale to strasznie bogaci — zauważyła Joe.

Bogactwo dla Vernona niewiele znaczyło. Nigdy się nad nim nie zastanawiał.

Przez jakiś czas Levinne'owie byli głównym tematem rozmów. Te udoskonalenia, które robią w Jelenich Polach! Ci robotnicy, sprowadzani z samego Londynu!

Któregoś dnia przyjechały na herbatę obie panie Vereker. Gdy tylko Nell znalazła się w ogrodzie, natychmiast podzieliła się z Joe i Vernonem fascynującą wiadomością.

— Mają samochód. — Samochód?

Wówczas o samochodach prawie się nie słyszało. Na tutejszych terenach łowieckich jeszcze się żaden nie pokazał. Vernonem wstrząsnął spazm zazdrości. Samochód!

— Samochód i staw do pływania — mruknął pod nosem. — Tego już za wiele.

— To nie jest staw do pływania — oznajmiła Nell. — To jest podwodny ogród.

— Kate mówi, że staw.

— Nasz ogrodnik mówi, że to podwodny ogród.

— Co to jest podwodny ogród?

— Nie wiem — wyznała Nell. — Ale go mają.

— Nie wierzę — powiedziała Joe. — I po co komu coś takiego, kiedy można mieć staw do pływania?

— Niech ci będzie, ale nasz ogrodnik chyba wie, co mówi.

— Już wiem. — W oczach Joe pojawiły się złośliwe błyski. —

Pójdziemy tam i sami się przekonamy.

— Co takiego?

— Pójdziemy i obejrzymy go sobie na własne oczy.

— Och, tak nie można — zaprotestowała Nell. — Dlaczego nie? Możemy się przeczołgać między drzewami.

— Bczy pomysł — przystał Vernon. — Jazda, idziemy.

— Ja nie chcę — broniła się Nell. — Mojej mamusi by się to nie spodobało.

— Och, nie psuj zabawy. Idziemy.

— Mamusi to się nie spodoba...

— W porządku. Zaczekaj tutaj. Nie będziemy długo.

Oczy Nell zaczęły wzbierać łzami. Nic lubiła, kiedy ktoś ją opuszczał. Naburmuszona, kręciła w palcach skraj sukienki.

— Nie będziemy długo — powtórzył Vernon i ruszył biegiem za Joe.

Nell czuła, że tego nie zniesie.

— Vernon!

— Tak?

— Zaczekaj na mnie. Idę z wami. — Czuła się bohaterką. Jednak jej decyzja nie wywarła szczególnego wrażenia ani na Joe, ani na Vernonie. Czekali z wyraźną niecierpliwością aż do nich dołączy.

— Od tej chwili jestem przywódcą — obwieścił Vernon. — Wszyscy mają wykonywać moje polecenia.

Przeleźli przez ogrodzenie parku i schowali się pod drzewami.

Porozumiewając się szeptem i przemykając między krzakami, podchodzili coraz bliżej i bliżej domu. Wreszcie wyrósł przed nimi, w pewnej odległości i trochę na prawo.

— Musimy iść jeszcze dalej i bardziej pod górę — szepnął Vernon.

Joe i Nell podążały za nim posłusznie, kiedy nieoczekiwanie wdarł

się w ich uszy głos dochodzący gdzieś z tyłu, z lewej strony:

— Jesteście na cudzym gruncie.

Obrócili się jak na komendy, wystraszeni. Przed nimi stał chłopiec o żółtej twarzy i odstających uszach. Trzymał ręce w kieszeniach, a jego wzrok taksował ich wyniośle.

— Jesteście na cudzym gruncie — powtórzył. W jego zachowaniu było coś, co minio woli wzbudzało niechęć.

— Och! — wyrwało się Vernonowi, zamiast zamierzonego

„przepraszam”.

On i ten drugi popatrzyli na siebie chłodnym, badawczym wzrokiem dwóch pojedynkujących się przeciwników.

— Przychodzimy z sąsiedztwa — powiedziała Joe.

— Czyżby? W takim razie lepiej tam wróćcie. Moi rodzice wcale was sobie tutaj nie życzą.

Chłopiec wyraźnie się starał, by jego głos brzmiał obraźliwie.

Vernon, choć uświadamiał sobie nic bez przykrości, że nie ma racji, zapłonął gniewem.

— Mógłbyś mówić grzeczniej — powiedział.

— Niby dlaczego? — zapytał chłopiec. Odwrócił się, słysząc czyjeś kroki. — To ty, Sam? Czy mógłbyś odprawić stąd te naruszające cudzą własność dzieciaki?

Stróż, który, jak widać, zjawił się w samą porę, uśmiechnął się od ucha do ucha i uniósł dłoń do czoła. Chłopiec oddalił się wolnym krokiem, jak gdyby stracił zainteresowanie całym incydentem. Stróż posłał dzieciom groźne spojrzenie.

— Wynocha stąd, małe huncwoty! Migiem! Bo spuszczę psy.

— My nie boimy się psów — powiedział Vernon hardo, zbierając się do odejścia.

— Ho, ho! To ci dopiero mądrale. Psów im nie straszno. A nosomroźca, czy jak mu tam, też nie?

Zaraz was nim poszczuję.

Sam ruszył przed siebie majestatycznie, a Nell, przerażona, pociągnęła Vernona za rękaw.

— Poszedł spuścić! — zawołała. — Och, uciekajmy, uciekajmy...

Jej przerażenie udzieliło się pozostałej dwójce. O Levinne'ach kursowało tyle plotek, że groźba stróża zdawała się dzieciom całkiem prawdopodobna. Jednomyślnie rzuciły się do ucieczki, na przełaj, przez krzaki. Vernon i Joe byli już dobrze z przodu, kiedy dobiegł

ich żaloszny krzyk Nell.

— Vernon... Vernon... Och, zaczekaj na mnie! Zaczepiłam się...

Jaka ta Nell jest uprzykrzona! Niczego nie umie, nawet biegać...

Zawrócił, jednym energicznym szarpnięciem uwolnił (z dużym uszczerbkiem) zaplątaną w jeżynach sukienkę i postawił dziewczynkę na nogi.

— Ruszaj się, biegniemy.

— Nie mogę oddychać. Nie zrobię ani kroku dalej. Och, Vernonie, tak bardzo się boję.

— No, dalej!

Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. Dopadli ogrodzenia, wspięli się, zeskoczyli na drugą stronę...

— Uch! Nareszcie — powiedziała Joe, wachlując się bardzo brudnym lnianym kapeluszem. — To dopiero przygoda.

— Moja sukienka jest w strzępach — poskarżyła się Nell. — I co ja teraz zrobię?

— Nienawidzę tamtego chłopca. To jakiś potwór.

— Tak, to najpotworniejszy potwór — Joe zgodziła się z Vernonem. —

Musimy wypowiedzieć mu wojnę. Wypowiemy?

— Jasne!

— I co ja zrobię z sukienką?

— Źle, że mają nosorożca — zamyśliła się Joe. — Jak myślisz, Trzpiotka poszłaby na niego, gdybyśmy ją odpowiednio wytresowali?

— Wolałbym, żeby jej nie pogryzł — powiedział Vernon.

Trzpiotka była psem stajennym i jego prawdziwą ulubienicą. Matka zawsze sprzeciwiała się trzymaniu psów w domu, więc miał przynajmniej ją,

— Doprawdy nie wiem, co mamusia powie o mojej sukience.

— Och, ty wciąż swoje, Nell — zirytowała się Joe. — Ta sukienka nie nadaje się do zabawy w ogrodzie.

— Powiem twojej mamie, że to moja wina — rzucił niecierpliwie Vernon. — Nie zachowuj się jak jakaś dziewczynka.

— Jestem dziewczynką.

— Joe również. Ale ona to co innego. Ona jest jak chłopiec.

Nell już się chciała rozplakać, kiedy zawołano ich z domu.

— Tak mi przykro, pani Vereker — powiedział Vernon. — Chyba porwałem sukienkę Nell.

Ze strony Myry posypały się wyrzuty, natomiast pani Vereker grzecznie ucięła całą sprawę. Kiedy Nell i jej matka odjechały, Myra powiedziała:

— Vernon, kochanie, to nieładnie być takim szorstkim. Kiedy twoja mała przyjaciółka przychodzi na herbatę, powinieneś o nią należycie zadbać.

— Dlaczego w ogóle musimy ją mieć na herbacie? My jej nie lubimy.

Psuje każdą zabawę.

— Vernonie! Nell to taka kochana dziewczynka.

— Wcale nie, mamó. Ona jest okropna.

— Vernonie!!!

— Okropna. Nie lubię również jej matki.

— Za panią Vereker sama niezbyt przepadam — wyznała Myra. — Zawsze myślę, że to bardzo twarda kobieta. Ale nie potrafię pojąć, dlaczego wy, dzieci, nie lubicie Nell. Pani Vereker wciąż mi powtarza, że mała jest tobie absolutnie oddana, Vernonie.

— Wcale mi na tym nie zależy.

Uciekł z Joe.

— Wojna — powiedział. — Ot co: wojna! Przypuszczam, że tak naprawdę, to ten chłopak Levinne'ów jest przebrany Burem. Musimy zaplanować wyprawę wojenną. Zjechał tu i zamieszkał w naszym sąsiedztwie chyba tylko po to, żeby wszystko zepsuć.

Vernon i Joe z wielką przyjemnością przystąpili do czegoś w rodzaju wojny podjazdowej. Wymyślali najróżniejsze metody nękania nieprzyjaciela. Ukryci na drzewach, obrzucali go kasztanami.

Zasadzali się na niego z dmuchawką na groch. Pewnego wieczoru, kiedy już zapadły ciemności, podkradli się po cichu aż pod sam dom i na schodach odcisnęli rękę umoczoną w czerwonej farbie, a na kawałku papieru napisali słowo „Zemsta”.

Czasami wróg na swój sposób się odwzajemniał. On także używał

dmuchawki i to on zasadził się na nich kiedyś z węzem ogrodowym.

Działania wojenne toczyły się od mniej więcej dziesięciu dni, kiedy pewnego popołudnia Vernon natknął się na Joe, siedzącą na pniu drzewa, i zobaczył, że ta wygląda na niezwykle przybitą.

— Hej, o co chodzi? Myślałem, że zacciałaś się na wroga z pogniecionymi pomidorami, które dostaliśmy od kucharki.

— Zacciałam się. To znaczy, chciałam.

— Co się stało, Joe?

— Siedziałam na drzewie, a on znalazł się tuż pode mną. Jak nic bym go trafiła.

— Chcesz powiedzieć, że tego nie zrobiłaś?

— No właśnie.

— Ale dlaczego?

Joe zaczerwieniła się i zaczęła mówić bardzo prędko.

— Nie mogłam. Widzisz, on nie miał pojęcia, że tam byłam, i wyglądał... och, Vernonie... wyglądał przeraźliwie samotnie, wyglądał

tak, jak gdyby nienawidził wszystkiego i wszystkich. To musi być koszmarne, kiedy się nie ma nikogo, z kim można by się bawić.

— Tak, ale... — Vernon zamilkł, aby zrewidować swoje dotychczasowe poglądy.

— Pamiętasz, jak mówiliśmy, że to zgnilizna? — ciągnęła Joe. —

Niemal wszyscy wtedy zachowywali się okropnie wobec Levinne'ów. A teraz my robimy podobnie wstrętne rzeczy.

— No tak, ale najpierw on zachował się wstrętnie wobec nas!

— Może wcale nie chciał, może tak tylko wyszło. — Bzdura.

— Nie, wcale nie. Psy wtedy gryzą, kiedy się kogoś boją albo są nieufne. Ja myślę, że on myślał, że my będziemy dla niego okropni i wołał nas uprzedzić. Zaprzyjaźnijmy się z nim.

— Jak można tak postąpić w samym środku wojny?

— Można. Zrobimy białą flagę, a potem pomaszerujesz z nią i zażadasz pertraktacji. No i zawrzenie pokój, tylko pamiętaj o honorowych warunkach.

— Dobrze — przystał Vernon. — Możemy tak zrobić. Przynajmniej będzie jakaś odmiana. Czego użyjemy na białą flagę? Mojej chusteczki czy twojego fartuszka?

Maszerowanie z białą flagą było samo w sobie ekscytujące. Nie zabrało im jednak dużo czasu: wróg wyrósł przed nimi jak spod ziemi, a jego wzrok wyrażał kompletne zaskoczenie.

— Co tu się dzieje? — spytał.

— Przychodzimy pertraktować — odparł Vernon.

— Dobrze, przystaję na to — rzekł tamten po chwili namysłu.

— Mamy pewną propozycję — powiedziała Joe. — Jeśli się zgodzisz, moglibyśmy zostać przyjaciółmi.

Popatrzyli na siebie.

— Dlaczego chcecie być moimi przyjaciółmi? — zapytał podejrzliwie.

— Nie sądzisz, że to trochę głupio wygląda — powiedział Vernon —
mieszkać po sąsiedzku i nie przyjaźnić się?

— Które z was pierwsze na to wpadło?

— Ja — wyznała Joe. Czuła, jak spojrzenie tamtych małych węgielków oczu przewierca ją na wylot. Cóż to za dziwny chłopiec. I te jego uszy, odstają chyba bardziej niż zwykle.

— W porządku. Ja też bym chciał mieć w sąsiedztwie przyjaciół.

Tu nastąpiła kłopotliwa przerwa.

— Jak ci na imię? — zapytała po minucie Joe.

— Sebastian — padła odpowiedź. Chłopiec odrobinę seplenił.

— Ale śmiesznie. Ja jestem Joe, a to Vernon. Jest w szkole. Ty też chodzisz do szkoły?

— Tak. Potem wybieram się do Eton.

— Ja też — powiedział Vernon.

Fala wrogości wzniosła się raz jeszcze, po czym opadła. Miała nie powrócić nigdy więcej.

— Chcecie zobaczyć nasz staw do pływania? — spytał Sebastian. —

Jest dość byczy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Więzy przyjaźni z Sebastianem Levinne'cm zacieśniały się coraz bardziej. Polowa przyjemności wynikała z tego, że skrywała ją tajemnica, na którą obie strony zgodnie przystały. Matka Vernona nie dopuszczała do siebie myśli o żadnych towarzyskich kontaktach obu chłopców, a co dopiero o czymś takim jak przyjaźń. Inaczej rzecz się miała z Levinne'ami. Ci z pewnością nie przeraziliby się, lecz ich zadowolenie mogłoby zaowocować równie okropnymi rezultatami jak niechęć pani Deyre.

Dla biednej Joe czas szkoły włókł się niemiłosiernie i zamykał w sztywnych ramach spotkań z dochodzącą guwernantką, która zjawiała się każdego ranka i która bynajmniej nie była zachwycona otwartością i buntowniczym duchem swojej uczennicy. Joe nie mogła się doczekać wakacji. Ledwo nadeszły, a już, przez wygodną dziurę w żywopłocie, oboje z Vernonem biegli czym prędzej, aby się spotkać z Sebastianem w tajemnym miejscu. Wymyślili cały kod gwizdów i mnóstwo zbędnych sygnałów. Czasami Sebastian ich ubiegał; kiedy przychodzili, leżał

już w paprociach, a jego żółta twarz i sterczące uszy nijak nie pasowały do marynarki i zapinanych pod kolanami spodni.

Grali w różne gry, lecz także rozmawiali. Och, co to były za rozmowy! Sebastian opowiadał im przedziwne historie o Rosji; dowiedzieli się o prześladowaniach Żydów — o pogromach! Sam Sebastian nigdy w Rosji nie był, ale lata całe żył pośród innych żydowskich emigrantów, a jego ojciec ledwo uszedł z życiem z jakiegoś pogromu.

Czasami, ku uciechu Vernona i Joe, mówił po rosyjsku. Wszystko razem było zachwycające.

— Tutaj wszyscy nas nienawidzą — rzekł któregoś dnia Sebastian. —

Ale to nieważne. I tak niczego bez nas nie robią. Mój ojciec jest bogaty, a za pieniądze kupisz wszystko.

Cóż, Sebastian był na swój sposób wyniosły.

— Nie da się kupić wszystkiego — zaprotestował Vernon. — Syn starego Nicolla wrócił z wojny bez nogi. Nie urośnie mu nowa za żadne pieniądze.

— To jasne — zgodził się Sebastian. — Ale jak się ma pieniądze, można sobie zrobić najlepszą drewnianą nogę i kupić najlepsze kule.

— Miałem kiedyś kule. To było nawet dość zabawne. No i opiekowała się mną niesamowicie miła pielęgniarka.

— Sam widzisz, nie mógłbyś mieć ani kul, ani pielęgniarki, gdybyś nie był bogaty.

Czy istotnie był bogaty? Chyba tak, choć nigdy się nad tym nie zastanawiał.

— Chciałabym być bogata — westchnęła Joe.

— Możesz wyjść za mnie, kiedy dorośniesz — zauważył Sebastian. —

Wtedy będziesz.

— Joe nie byłoby przyjemnie, gdyby nikt jej nie mógł składać wizyt

— sprzeciwił się Vernon.

— Wcale bym się tym nie przejmowała. Nie obchodziłoby mnie, co ciocia Myra czy ktoś inny mówi. Jak zechcę, to za niego wyjdę.

— Och, miałyby gości — rzucił od niechcienia Sebastian. — Zapewniam was. Żydzi to potężna siła. Mój tatuś mówi, że bez Żydów nic się nigdzie nie dzieje. To dlatego sir Charles Alington musiał sprzedać Jelenie Pola właśnie nam.

Vernonem wstrząsnął nagły dreszcz. Wiedział bez słów, że rozmawia z członkiem wrogiej rasy. Mimo to nie czuł niechęci do Sebastiana.

Niechęć już dawno była poza nim. On i ten drugi chłopiec byli przyjaciółmi i w jakiś bliżej nieokreślony sposób był pewien, że zawsze nimi będą.

— Dzięki pieniądзом kontynuował Sebastian — można nie tylko kupować rzeczy. Nabywanie rzeczy to jeszcze nie wszystko. Nawet posiadanie władzy to też nie wszystko. Pieniądze to... to możliwość gromadzenia piękna. — Tu zrobił rękoma dziwny, nieangielski gest.

— Co to znaczy „gromadzić piękno”?

Sebastian nie potrafił tego wyjaśnić. Słowa wyprzedziły tok jego rozumowania.

— W każdym razie — zauważył Vernon — rzeczy nie stanowią piękna.

— Ależ tak, stanowią. Jelenie Pola są piękne, chociaż ich urody nie da się porównać z urodą Moźnych Opactw.

— Kiedy Moźne Opactwa będą należały do mnie — powiedział Vernon —

będziesz mógł tam przychodzić do woli. Zawsze będziemy przyjaciółmi, prawda? Bez względu na ludzkie gadanie.

— Zawsze będziemy przyjaciółmi — powtórzył za Vernonem Sebastian.

Krok po kroku Levinne'owie robili postępy. Kościół potrzebował nowych organów — i pan Levinne natychmiast je sprawił. Przekazał

olbrzymią sumę pieniędzy, w formie darowizny, na rzecz Partii Konserwatywnej. Jelenie Pola otworzyły na oścież swe podwoje z okazji wycieczki chóru chłopięcego. Gdziekolwiek człowiek się obrócił, spotykał się z bogactwem i uprzejmością Levinne'ów.

Ludzie powoli zaczęli zmieniać front.

— Oczywiście, oni są niemożliwi — mówili — lecz pani Levinne jest zdumiewająco uprzejma.

Mówili też inne rzeczy.

— Och, oczywiście, Żydzi! Jednak być może absurdem jest się uprzedzać. Kilku bardzo przyzwoitych ludzi też było Żydami.

Rozeszła się plotka, że w odpowiedzi na to ostatnie pastor dorzucił: „Wliczając w to Jezusa Chrystusa”. Jednak nikt w to nie wierzył. Pastor nie był żonaty, co samo w sobie było niezwykle, i miał dziwne poglądy, jeśli chodzi o komunie, a jego kazania nie zawsze spotykały się z należyтым odbiorem; niemniej w to, by mógł

powiedzieć coś tak świętokradczego, nikt nie wierzył.

I to pastor wprowadził panią Levinne do kółka dobroczynnego, które spotykało się dwa razy w tygodniu, aby szyć dla dzielnych żołnierzy w Afryce Południowej watowane ochraniacze na nogi. A spotkanie jej dwa razy w tygodniu z pewnością było dla innych pań krępujące.

W końcu lady Coomberleigh, rozrzewniona olbrzymią darowizną na rzecz Partii Konserwatywnej, zrobiła desperacki krok i złożyła wizytę w Jelenich Polach. A tam, gdzie składała wizyty pani Coomberleigh, składali wizyty wszyscy.

Co bynajmniej nie znaczy, że Levinne'om pozwolono na poufałość.

Niemniej zostali formalnie zaakceptowani, a ludzie mówili:

— Ona jest bardzo miłą kobietą, nawet z tymi jej niemożliwymi, niestosownymi jak na wieś strojami.

Przyszła zatem kolej na postęp w dziedzinie strojów. Pani Levinne, jak cała jej rasa, nie miała kłopotów z przystosowaniem się do otoczenia. Nie upłynęło wiele czasu, a ujrzano ją w nawet bardziej tweedowych tweedach niż te, które nosiły jej sąsiadki.

Joe i Vernon otrzymali oficjalne zaproszenie na herbatkę z Sebastianem Levinne'em.

— Zdaje mi się, że tym razem się nie wykręcimy — powiedziała Myra, wzdychając. — Oczywiście,

nie może być mowy o prawdziwej zażyłości.

Że też ten ich chłopiec tak dziwnie wygląda. Mimo to będziesz wobec niego uprzejmy, prawda, kochanie?

Dzieci zapoznały się w sposób bardzo oficjalny. I nieźle się tym ubawiły.

Jednak bystra Joe prędko się połapała, że pani Levinne wie więcej na ich temat niż ciocia Myra. Pani Levinne nie była głupia. Pani Levinne była podobna do Sebastiana.

Walter Deyre poległ kilka tygodni przed końcem wojny. Zginął

śmiercią iście bohaterską. Trafiła go kula, kiedy wracał, aby wynieść rannego kolegę spod ciężkiego ostrzału. Odznaczono go pośmiertnie Krzyżem Wiktorii, a list, który Myra dostała od jego pułkownika, przechowywała niby najdroższy skarb. Pułkownik pisał: Nigdy nie znałem nikogo bardziej nieulekłego. Jego podwładni uwielbiali go i poszliby za nim na koniec świata. Bezustannie narażał

swoje życie. Pani może być z niego dumna.

Myra czytała list wciąż od nowa. Czytała go wszystkim swoim przyjaciołom. Dzięki temu wyzbyła się lekkiego żalu, że mąż nie zostawił jej bodaj kilku pożegnalnych słów.

Choć jak by mógł, będąc Deyre'em, powiedziała sobie w duchu.

W istocie Walter Deyre zostawił list, napisany, zgodnie z jego słowami „na wypadek, gdybym został zabity”. Nie był on jednak przeznaczony dla Myry i Myra nigdy się o nim nie dowiedziała. Była pogrążona w smutku, lecz szczęśliwa. Jej mąż, po śmierci należał do niej bardziej niż kiedykolwiek za życia, toteż z typową dla siebie łatwością dostosowywania rzeczywistości do własnych wyobrażeń, zaczęła snuć przekonującą romantyczną historię o swoim cudownym, szczęśliwym małżeństwie.

Trudno powiedzieć, jak bardzo Vernon przeżył śmierć ojca. Wbrew wyraźnym oczekiwaniom matki, miast manifestować swoje uczucia, stał

się jeszcze bardziej powściągliwy niż zazwyczaj. W istocie chyba nie czuł nijakiego żalu. Był dumny ze swego ojca, dumny prawie aż do bólu, a przecież rozumiał, co Joe miała na myśli, mówiąc kiedyś, że dla jej matki lepiej było umrzeć niż żyć. Pamiętał bardzo dokładnie tamten ostatni wieczorny spacer z ojcem, pamiętał jego słowa i tamto wzruszenie, które ogarnęło ich obu.

Ojciec wcale nie chciał wrócić do domu. Vernon to wiedział.

Żałował ojca, żałował zawsze, choć trudno by mu było komukolwiek wytłumaczyć — dlaczego.

Jednak to nie żałoba po ojcu ścisnęła jego serce obręczą bólu; Vernon cierpiał z powodu samotności. Ojciec nie żył, nie żyła ciocia Nina. Pozostała mu oczywiście matka, ale ona była kimś całkiem innym.

Vernon nie potrafił zadowolić matki. Nigdy nie był do tego zdolny.

Myra ciągle go tuliła, ciągle nad nim płakała, wciąż powtarzając, że są teraz dla siebie wszystkim. A on najzwyczajniej w świecie nie mógł

wypowiedzieć słów, które chciałyby od niego usłyszeć. Nawet nie mógł

zarzucić jej ramię na szyję ani oddać uścisku.

Pragnął, by wakacje wreszcie się skończyły; matka, z jej wiecznie zaczerwienionymi oczami, z jej wdowią żalobą, skrywaną pod najgrubszą krepą, w jakiś sposób oddziaływała na wszystkich i na wszystko przytłaczająco.

W domu gościł pan Flemming, prawnik z Londynu, i wujek Sydney z Birmingham. Wujek zabawił dwa dni, a pod koniec jego pobytu Vernon został wezwany do biblioteki.

Obaj mężczyźni siedzieli przy długim stole. Myra, z nieodłączną chusteczką przy oczach, usadowiła się w pobliżu kominka.

— Cóż, mój chłopcze — zaczął wujek Sydney — musimy z tobą porozmawiać. Co byś powiedział na to, by zamieszkać w pobliżu mnie i cioci Carrie, w Birmingham?

— Dziękuję — odparł Vernon — ale chyba wolę mieszkać tutaj.

— Tu jest trochę smutno, nie zdaje ci się? Mam na oku pewien przyjemny dom, nic za duży, ale całkiem wygodny. W czasie wakacji mógłbyś bawić się ze swoimi kuzynkami. Sądzę, że to bardzo dobry pomysł.

— Z pewnością — zgodził się grzecznie Vernon — ale ja naprawdę chciałbym zostać tutaj.

— Ach, tak! Hm... — Wujek Sydney wydmuchał nos i popatrzył pytająco na prawnika, który odwzajemnił spojrzenie, lekko skinąwszy głową.

— To nie takie proste, jak by się zdawało, staruszkule — mówił dalej wujek Sydney. — Mam nadzieję, że jesteś wystarczająco duży, żeby zrozumieć, co mam ci do powiedzenia. Teraz, kiedy twój ojciec nie żyje... ehm... kiedy odszedł od nas, Moźne Opactwa należą do ciebie.

— Wiem.

— Wiesz? A niby skąd? Pewnie od służby, tak?

— Powiedział mi to tatuś przed pójściem na wojnę.

— Och! — Wujek Sydney wyglądał na zaskoczonego. — No tak, rozumiem. No więc, jak powiedziałem, Moźne Opactwa należą do ciebie, lecz posiadłość taka jak ta wymaga wielkich nakładów: opłacanie służby i tak dalej; chyba zdajesz sobie z tego sprawę. No i jest jeszcze coś takiego, co się nazywa podatkiem spadkowym. Kiedy ktoś umiera, jego spadkobierca musi zapłacić rządowi dużo pieniędzy. Idźmy dalej. Twój ojciec nie był bogatym człowiekiem. Kiedy po śmierci twojego dziadka przejął tę posiadłość, miał tak skromne zasoby finansowe, że nosił się z myślą o jej sprzedaży.

— Tatuś miałby sprzedać Moźne Opactwa?! — Vernon nie wierzył

własnym uszom.

— Tak, lecz zastrzeżenia, jakie poczynił jego ojciec, nie pozwoliły mu na to.

— Co to znaczy?

Pan Flemming wyjaśnił Vernonowi odpowiednie przepisy prawne.

— Ale... ale chyba nie zamierza pan sprzedać ich teraz? — Vernon wpatrywał się w niego przestraszonym, błagalnym wzrokiem.

— Oczywiście, że nie — zapewnił go pan Flemming. — Posiadłość zostawiono tobie i nie można przedsięwziąć żadnych kroków, zanim nie osiągniesz odpowiedniego wieku, to znaczy dwudziestu jeden lat.

Vernon odetchnął z ulgą.

— Co nie zmienia faktu — wujek Sydney obstawał przy swoim — że abyś mógł tutaj dalej mieszkać, potrzebne ci są pieniądze. Dużo pieniędzy. Jak mówię, twój ojciec miał to wszystko sprzedać. Tak się jednak stało, że poznał twoją matkę i ożenił się z nią i, na szczęście, ona miała dość pieniędzy, aby wszystko zostało po staremu.

Niestety, śmierć twojego ojca stawia sprawy w innym świetle, choćby dlatego, że... ehm... że twój ojciec zostawił po sobie długi, a twoja matka nalega, by je spłacić.

Myra pociągnęła nosem. Wujek Sydney, zmieszany, zmierzał

pośpiesznie do końca rozmowy.

— Zdrowy rozsądek nakazywałby puścić Moźne Opactwa w dzierżawę aż do czasu twojej pełnoletności. A potem, kto to wie? Sprawy... ehm... mogą przybrać lepszy obrót. No i twoja matka poczuje się szczęśliwsza, mieszkając obok rodziny. Powinieneś myśleć o własnej matce, mój chłopcze.

— Owszem, powinienem — powiedział Vernon. — Prosił mnie o to ojciec.

— A więc załatwione, prawda?

Jak bardzo są okrutni, pomyślał Vernon. Pytają mnie, podczas kiedy wszelkie pytania są zbyteczne. I tak robią, co zechcą. Do tego zmierzają. Po co to całe udawanie!

W Moźnych Opactwach zamieszkają obcy.

A niech tam! Kiedyś przecież skończy dwadzieścia jeden lat.

— Kochanie, robię to wyłącznie dla ciebie — zapewniła go Myra. —

Bez tatusia byłoby ci tutaj bardzo smutno.

Wyciągnęła ramiona, lecz Vernon udał, że tego nie zauważa.

— Dziękuję, wujku Sydneyu, bardzo dziękuję, że mi to powiedziałeś...

— wydusił z siebie i wyszedł z pokoju.

Minął ogród i szedł dalej, aż zawędrował do starego opactwa. Tam usiadł i wsparł podbródek na dłoni. Pomyślał, że matka mogłaby tu zostać. Mogłaby, gdyby tylko chciała! Ale ona chce wyjechać i zamieszkać w obrzydliwym domu z czerwonej cegły, z rynnami, takim jak dom wujka Sydneya. Ona nie lubi Możnych Opactw, nigdy nie lubiła. W

porządku, niechby tylko nie udawała, że robi to dla mnie. To nieprawda. Mówi rzeczy nieprawdziwe. Zawsze mówiła...

Siedział tam i płonął oburzeniem.

— Vernon... Vernon... Wszędzie cię szukam. Już myślałam, że coś ci się stało. No więc...?

To była Joe. Powiedział jej. Powiedział komuś, po kim mógł się spodziewać zrozumienia i współczucia. Ale Joe go zaskoczyła.

— A dlaczego nie? Dlaczego ciocia Myra nie może zamieszkać w Birmingham, jeśli ma na to ochotę? Myślę, że jesteś okrutny. Czy ma pozostać tutaj jedynie dla twoich wakacji? To jej pieniądze. Dlaczego nie może wydawać ich tak, jak chce?

— Ależ Joe, Możne Opactwa...

— A czym one są dla cioci Myry? Dba o nie tyle, ile ty o dom wujka Sydneya. Dlaczego miałyby żyć tutaj, licząc się z każdym pensem, jeśli nie chce? Gdyby twój ojciec uczynił ją szczęśliwszą, być może chciałyby. Ale nie uczynił. Moja mama kiedyś tak powiedziała. Nie znoszę cioci Myry. Wiem, że jest dobra i tak dalej, ale jej nie lubię. Mimo to potrafię być sprawiedliwa. To jej pieniądze. Nic na to nie poradzisz!

Vernon popatrzył na nią. Byli przeciwnikami. Każde miało swój punkt widzenia i każde wiedziało swoje. Oboje byli wzburzeni.

— Myślę, że kobiety zawsze są pokrzywdzone — powiedziała Joe. —

Jestem po stronie cioci Myry.

— W porządku — rzekł Vernon — bądź sobie! Wcale mnie to nie obchodzi.

Joe odeszła, a on pozostał na walącym się murze starego opactwa.

Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że tak naprawdę w życiu nic nie jest pewne, jak można przewidzieć, co się stanie w przyszłości?

Kiedy będzie miał dwadzieścia jeden lat... Tak, nigdy niczego nie można być pewnym! Nigdy nic można czuć się bezpiecznie!

Popatrz, powiedział sobie, na swoje dzieciństwo. Niania, Pan Bóg, pan Green! Każde z nich było niczym opoka. A teraz odeszli. Odeszli na dobre. No, Bóg pewnie pozostał. Ale to już nie jest ten sam Bóg, ani trochę ten sam.

Co może się zdarzyć ze światem do czasu, kiedy osiągnie pełnoletność? I co, myśl całkiem niepojęta, może się stać z nim samym?

Poczuł się strasznie osamotniony. Ojciec, ciocia Nina, oboje nie żyją. Zostali mu jedynie wujek Sydney i mamusia, ale oni... ale on... on nie należy do nich. Zmieszał się. Ach, jest przecież Joe. Joe wszystko potrafi zrozumieć. A jednak Joe jest dziwna, jeśli chodzi o pewne sprawy.

Zacisnął pięści. Nie, wszystko na pewno dobrze się ułoży.

Kiedy będzie miał dwadzieścia jeden lat...

KSIĘGA II

NELL

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cały pokój wypełniała delikatna błękitna mgiełka papierosowego dymu, poprzez którą przebijały się trzy głosy zawzięcie dyskutujące nad udoskonaleniem ludzkiej rasy i nad sztuką, zwłaszcza taką, która ma za nic wszelkie konwenanse.

Sebastian Levinne, oparty o ozdobny marmurowy gzyms kominka pochodzący z domu matki w jej rodzinnym mieście, przemawiał tonem pouczającym, gestykulując przy tym długą, żółtą dłońią, w której trzymał papierosa. Jego żółta mongolska twarz i przedziwne odstające uszy w niczym nie zmieniły się od czasu, kiedy miał jedenaście lat.

Pozostało mu nawet tamto ledwo uchwytnie dla ucha seplenienie. W wieku dwudziestu dwu lat nadal był tym samym Sebastianem, pewnym siebie Sebastianem, Sebastianem o chłonnym umyśle, z takim samym jak niegdyś zamiłowaniem do piękna i z taką samą umiejętnością wyważonego i nieomylnego oceniania wszelkich ‘zjawisk.

Naprzeciw niego, w dwóch ogromnych skórzanych fotelach siedzieli Vernon i Joe. Oboje bardzo do siebie podobni, byli jak ulepieni z tej samej, wyraźnie zaakcentowanej czarnej i białej gliny. Lecz Joe, z biegiem lat, stała się jeszcze bardziej energiczna, bardziej agresywna, bardziej buntownicza i bardziej porywcza. Vernon, niezwykle wysoki, w niedbałej, gnuśnej pozie, opierał długie nogi na innym fotelu i puszczać kóleczka dymu, uśmiechał się, zamyślony, sam do siebie. Od czasu do czasu jakimś mruknięciem lub krótką, leniwą wypowiedzią włączał się do rozmowy.

— To się nie opłaci — powiedział z przekonaniem Sebastian.

I jak się spodziewał, Joe natychmiast ruszyła do zjadliwego ataku.

— Kto mówi o rzeczach opłacalnych? To... to... zdemoralizowany punkt widzenia. Traktowanie wszystkiego po kupiecku. Nienawidzę tego.

— Wszystko bierze się stąd, że masz tak nieuleczalnie romantyczne podejście do życia. Uwielbiasz poetów głodujących po mansardach i artystów, których trud nie znajduje niczyjego uznania, albo rzeźbiarzy zdobywających rozgłos po śmierci.

— No właśnie. Zawsze tak się dzieje. Zawsze! — Nie, nie zawsze.

Powiedzmy... bardzo często.

Choć według mnie wcale nic musiałyby tak być. Świat jest niechętny zmianom i nowinkom, ale sadzę, że z tym można się uporać. Przy odpowiedniej metodzie, oczywiście. Trzeba tylko wiedzieć, co może się powieść, a co nie.

— To kompromis — mruknął niewyraźnie Vernon.

— To zdrowy rozsądek! Dlaczego miałbym w głupi sposób tracić pieniądze?

— Ocli, Sebastianie! — zawołała Joe. — Ty... ty...

— Ty Żydzie! — dokończył spokojnie Sebastian. — To masz na myśli.

No cóż, my, Żydzi, istotnie mamy gust. Wiemy, kiedy coś jest dobre, a kiedy nie. Nie musimy się kierować modą, wystarczy nam własny osąd.

On jest niezawodny! Ludzie zawsze posądzają nas o interesowność, ale pieniądze to jeszcze nie wszystko.

Vernon chrząknął, lecz Sebastian mówił dalej.

— Na to, o czym mówmy, trzeba spojrzeć z dwóch stron. Są ludzie, którzy szukają nowych sposobów na robienie rzeczy znanych albo zapalają się do nowych pomysłów, a którym nic nie wychodzi, ponieważ świat obawia się czegokolwiek nowego. Ale są także inni, są tacy, którzy wiedzą, czego oczekuje szeroko pojęta publiczność, i którzy starają się zaspokajać: jej potrzeby, ponieważ to jest bezpieczne i daje pewny zysk. Ja nie należę ani do jednych, ani do drugich. Ja zamierzam odkrywać rzeczy nowe i piękne i zamierzam odnieść sukces.

Zamierzam prowadzić galerię obrazów na Bond Street, nawiasem mówiąc, podpisałem wczoraj odpowiednie dokumenty, a także kierować kilkoma teatrami i wydawać tygodnik o całkowicie odmiennym profilu od tego wszystkiego, co można było kupić dotychczas. Co więcej, całe przedsięwzięcie zamierzam uczynić opłacalnym. Uwielbiam i malarstwo, i teatr, i działalność wydawniczą, lecz bynajmniej nie chcę ciąć się przez nie wykończyć. Wszystko, czym się zajmę, odniesie sukces.

Psiakość, Joe, czy nie rozumiesz, że połowę zabawy daje opłacalność tego, co robisz? I że sprawdzasz się przez swój sukces? Joe, nie przekonana, potrząsnęła głową.

— Czy rzeczywiście chcesz się wziąć za to wszystko? — zapytał

Vernon.

Kuzyn i kuzynka przyglądali się Sebastianowi z odrobiną zazdrości.

To byłoby ekscentryczne i niemal cudowne znaleźć się w położeniu Sebastiana. Jego ojciec zmarł przed kilkoma laty. Sebastian w wieku dwudziestu dwu lat był posiadaczem tak wielu milionów, że myślenie o nich najzwyczajniej w świecie zapierało dech.

Przyjaźń z nim, zrodzona tyle lat temu w Możnych Opactwach, trwała nadal i wciąż się umacniała. Obaj, on i Vernon, byli przyjaciółmi w Eton i uczęszczali do tego samego college'u w Cambridge. Sporą część wakacji cała trójka zawsze spędzała razem.

— A co z rzeźbą? — zapytała nieoczekiwanie Joe. — O niej też myślisz?

— Naturalnie. Nadal chciałabyś być modelką?

— Czemu nie. To jedyne, na co mam ochotę.

Vernon zaśmiał się drwiąco.

— No jasne, a za rok o tej porze? Zwariujesz na punkcie poezji czy czegoś innego.

— Odkrycie w sobie prawdziwego powołania zwykle zajmuje trochę czasu — odparła wyniośle Joe.

— Ale tym razem to poważna sprawa.

— Zawsze mówisz poważnie. Niemniej należy dziękować niebiosom, że dałaś sobie spokój z tymi przeklętymi skrzypcami.

— Dlaczego tak bardzo nienawidzisz muzyki, Vernonie?

— Czy ja wiem. Tak jest i tak zawsze było.

Joe zwróciła się do Sebastiana. Jej głos, mimo woli, zadźwięczał

inną, odrobinę nienaturalną nutą.

— Co sądzisz o rzeźbach Paula La Marre'a? Vernon i ja byliśmy w sobotę w jego pracowni.

— Bez charakteru — skwitował zwięźle.

Policzki Joe pokryły się lekkim rumieńcem.

— Ty po prostu nie rozumiesz, do czego on zmierza. Według mnie to wspaniały rzeźbiarz.

— Anemiczny — dodał z niewzruszoną miną.

— Sebastianie, czasami bywasz wstrętny. Tylko dlatego, że La Marre miał odwagę zerwać z tradycją...

— Nie o to chodzi. Człowiekowi wolno odejść od tradycyjnych form, wolno wymodelować ser stilton i nazwać swoje dzieło nimfą w kąpielni.

Lecz jeśli się nic potrafi tym ani przekonywać, ani wywierać odpowiedniego wrażenia, traci się siły nadaremnie. Robienie czegoś w odmienny od innych sposób nie stanowi jeszcze o talencie. Dziewięć razy na dziesięć chodzi o zwykły, tani rozgłos.

Otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich pani Levinne.

— Kochani, podwieczorek na stole — powiedziała z promiennym uśmiechem, lekko sepleniąc.

Na olbrzymim biuście zamigotały sznurki czarnych paciorków.

Szeroki, czarny kapelusz z piórami siedział na czubku wyszukanej fryzury. Pani Levinne wyglądała na uosobienie materialnego dobrobytu.

Jej wzrok spoczął z uwielbieniem na Sebastianie.

Podnieśli się i ruszyli w ślad za nią. Sebastian szepnął do Joe:

— Joe, nic gniewasz się, prawda?

W jego głosie pojawiło się nagle coś młodzieńczego i żalosego, jakieś błaganie, świadczące o tym, że jest niedojrzały i podatny na zranienie. Chwilę wcześniej był mistrzem intelektu, ustanawiającym prawa z absolutną pewnością siebie.

— Dlaczego miałabym się gniewać? — spytała chłodno Joe, nie obdarzywszy go nawet jednym spojrzeniem.

Sebastian popatrzył za nią tęsknie. Joe miała ciemną, magnetyczną, wczesnie dojrzewającą urodę. Jej skóra była matowobiała, a rzęsy tak grube, że na tle białych policzków wyglądały niby czarne dzęty. W

sposobie poruszania się dziewczyny było coś magicznego, coś omdlewającego i namiętnego, jakieś wyzwanie, którego jak dotąd nawet sobie nie uświadamiała. Choć najmłodsza z całej trójki, ledwo dwudziestoletnia, sprawiała wrażenie najstarszej. Dla niej Vernon i Sebastian byli chłopcami, a chłopców miała w głębokiej pogardzie.

Dziwne psie oddanie Sebastiana jedynie ją irytowało. Gustowała w mężczyznach z życiowym doświadczeniem, w mężczyznach, którzy w sposób ekscytujący mówili o rzeczach nie do końca dla niej zrozumiałych. Joe przymknęła na moment powieki, aby łatwiej przypomnieć sobie Paula La Marre'a.

Salon pani Levinne był dość osobliwym pomieszczeniem. Mimo krzykliwego bogactwa, wszystko łączyło się tu w gustowną całość.

Bogactwo wynikało z upodobań właścicielki; pani Levinne lubiła aksamitne zasłony i kosztowne poduszki, i marmury, i złocenia. Dobry gust był sprawą Sebastiana. To on usunął ze ścian przypadkowo, latami, gromadzone obrazy i zastąpił je dwoma własnego wyboru. Jego matka zaakceptowała ich (zgodnie z własnym określeniem) niewymyślność jedynie dzięki olbrzymiej cenie, jakiej za nie zażądano. Stary hiszpański skórzany parawan był jednym z prezentów syna dla matki.

Tak samo przedniej urody emaliowana waza.

Siedząc za masywną srebrną tacą i trzymając w dwóch rękach czajniczek, pani Levinne prowadziła towarzyską rozmowę, jak zwykle lekko sepleniąc.

— A co słyhać u twojej kochanej mamusi? Ostatnio wcale nie przyjeżdża do Londynu. Powiedz jej ode mnie, że gotowa zgnuśnić. —

Zaniosła się: dobrodusznym, astmatycznym chichotem. — Nigdy nie przychodzi mi na myśl żałować, że przeniosłam się do domu w Londynie.

Jelenie Pola są niczego sobie, lecz każdy powinien mieć coś z życia.

No i Sebastian już niedługo zamieszka ze mną na stale, razem ze wszystkimi swoimi planami. No cóż, jego ojciec był taki sam. Nie słuchał niczyich rad, a zamiast tracić pieniądze, podwajał je i potrajał przy każdej okazji. Mój biedny Yakob był kuty na cztery nogi.

Niechby już przestała, pomyślał Sebastian. Joe nie znosi tego rodzaju uwag. Joe ostatnio jest zawsze przeciwko mnie.

Pani Levinne mówiła dalej.

— Mam zarezerwowaną loże na Królów w Arkadii, na środę. Co wy na to, moi drodzy? Przyjdziecie?

— Szalenie mi przykro, pani Levinne — odparł Vernon. — Niestety, nie możemy. Jutro udajemy się do Birmingham.

— Och! Jedziecie do domu.

— Właśnie.

Dlaczego on sam nie powiedział „jedziemy do domu”? I dlaczego to określenie zabrzmiało w jego uszach tak obco? Był tylko jeden dom: oczywiście Możliwe Opactwa. Dom! Osobliwe słowo, i o tak wielu znaczeniach. To mu przypomniało śmieszne słowa piosenki, którą jeden z nieopierzonych

adoratorów Joe miał w zwyczaju ryczeć (jakże diabelną rzeczą jest muzyka!), przebijając palcami po swoim kołnierzyku i popatrując na nią sentymentalnie. „Dom, miłość, jest tam, gdzie i serce, gdziekolwiek ono jest...” Ale w takim razie jego dom powinien być w Birmingham, tam gdzie jego matka.

Doświadczył delikatnego uczucia niepokoju, które nachodziło go zwykle, kiedy tylko pomyślał o matce. Naturalnie, kochał ją. Kochał

swoją matkę. Matkom oczywiście nigdy niczego nie da się wytłumaczyć, lecz on naprawdę bardzo ją kochał. Gdyby nie kochał, byłoby to sprzeczne z prawami natury, zgodnie z tym, co tak często powtarzała, był dla niej wszystkim.

Ni stąd, ni zowąd w umyśle Vernona obudził się mały chochlik i ten mały chochlik nagle i nieoczekiwanie powiedział: „Skończcie z tymi bredniami! Ona ma dom i służbę, z którą rozmawia i którą tyranizuje, ma przyjaciół tło plotkowania, ma wokół siebie mnóstwo ludzi.

Tęskniłaby za tym wszystkim znacznie mocniej, niż potrafi tęsknić za tobą. Kocha ciebie, ale oddycha z ulgą, kiedy wracasz do Cambridge, choć, przyznaj sam, ty oddychasz z jeszcze większą!” — Vernon! — To był głos Joe, ostry ze zniecierpliwienia. — O czym myślisz? Pani Levinne pyta o Możliwe Opactwa. Czy nadal je dzierżawicie?

Jak to dobrze, że pytanie, „O czym myślisz?”, jest na ogół

zdawkowe. Z drugiej strony zawsze można wybrnąć, mówiąc po prostu: „O

niczym takim”, tak jak w dzieciństwie odpowiadało się na wszystko:

„Nic”. Odpowiedział na wszystkie pytania pani Levinne i obiecał

przekazać swojej matce różne wieści. Sebastian odprowadził ich do drzwi, pożegnali się i wyszli na ulice Londynu. Joe, pełna zachwyty, zachłannie wciągała powietrze w płuca.

— Och, jak ja kocham Londyn! Wiesz, Vernonie, już zdecydowałam.

Będę studiować w Londynie. Tym razem serio wezmę w obroty ciocie Myre. I wcale nie zamieszkać z ciocią Ethel. Chcę być niezależna.

— Nie możesz tego zrobić. To nie przystoi dziewczętom.

— Przystoi. Mogłabym wynająć mieszkanie z jedną albo z kilkoma koleżankami. Mieszkać z ciocią Ethel i dać się ciągle przepytywać, dokąd się wybieram i z kim? Nie, tego nie zniosę. Zresztą jej by się nie podobało, że jestem sufrażystką.

Wzmiankowana ciocia Ethel, siostra cioci Carrie, była jedynie ciocią przyszywaną. To u niej się teraz zatrzymali.

— A propos! — ciągnęła Joe. — Musisz coś dla mnie zrobić.

— Co takiego?

— Jutro po południu pani Cartwright chce mnie zabrać na sławny Titanic Concert. To szczególny ukłon w moją stronę.

— No więc?

— Więc? Nie chcę tam iść, to wszystko.

— Chyba mogłabyś się czymś wymówić, nie sądzisz?

— To nie takie łatwe. Widzisz, ciocia Ethel powinna myśleć, że poszłam na koncert. Nie chcę, żeby odkryła prawdę.

Vernon gwizdnął.

— Och! To takie buty! Zatem o kogo chodzi tym razem?

— O La Marre'a, jeśli już musisz wiedzieć.

— To łobuz.

— On nie jest łobuzem. On jest cudowny. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo.

Vernon uśmiechnął się szeroko

— Istotnie, nie mam. Nie lubię Francuzów.

— Jesteś potwornym wyspiarzem. Choć to bez znaczenia, czy go lubisz, czy nie. Chce mnie zawieźć samochodem na wieś, do domu przyjaciela, gdzie znajduje się jego chef d'oeuvre*. Tak bardzo chcę tam pojechać, a przecież wiesz doskonale, że ciocia Ethel nigdy by mi na to nie pozwoliła.

— Nie powinnaś włączyć się po okolicy z takim typem jak on.

— Nie bądź osłem, Vernonie. Czyżbyś nic wiedział, że sama potrafię się upilnować?

— Och, przypuszczam.

— Nie jestem jedną z tych głupiutkich dziewczyn, które o niczym nie wiedzą.

— No dobrze, a co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

— Widzisz — tu Joe lekko się zaniepokoiła — to ty masz pójść na ten koncert.

— Nie, nic z tych rzeczy. Wiesz, że nienawidzę muzyki.

— Och, Vernonie, musisz. To jedyny sposób. Jeśli powiem, że nie mogę pójść, pani Cartwright zadzwoni do cioci Ethel i zasugeruje, żeby zamiast mnie poszła jakaś inna dziewczyna, no a wtedy

awantura gotowa. Ale jeśli ty mnie zastąpisz, spotkasz się z nią w Albert Hall, znajdę jakąś niewinną wymówkę i wszystko będzie w porządku. Ona cię bardzo lubi. Myślę, że bardziej niż mnie.

— Ale ja nie lubię muzyki. Wprost nie cierpię. — Och, chodzi tylko o jedno popołudnie. Półtorej godziny, nie dłużej.

— Do diabła, Joe. Nie chcę.

Ręce trzęsły mu się ze zdenerwowania. Joe popatrzyła na niego uważnie.

— Jesteś śmieszny z tą twoją muzyką! Nigdy nie widziałam kogoś takiego... kogoś; kto by tak jej nienawidził. Większość ludzi po prostu się nią nie przejmuje. Mimo wszystko uważam, że mógłbyś pójść. Dobrze wiesz, że ja zawsze jestem gotowa zrobić coś dla ciebie.

— W porządku — uciął szorstko Vernon.

Musiał się tak stać. Nie miał wyjścia. Joe i on zawsze sobie pomagali. Poza tym, jak powiedziała, chodziło tylko o półtorej godziny. Dlaczego miałby przeczuwać, że powziął doniosłą decyzję.

Serce ciążyło mu ołowiem. Nie chciał tam iść... Och! Jak bardzo nie chciał tam iść...

To jak wizyta u dentysty, powiedział sobie w duchu. Lepiej o tym nie myśleć. Zmusił swój umysł do zajęcia się czymś innym i już po chwili zachłysnął się śmiechem. Joe spojrzała na niego ostro.

— O co znów chodzi?

— Przypomniało mi się, jak będąc małą dziewczynką, zarzekałaś się, że nigdy nie będziesz miała do czynienia z mężczyznami. A teraz żyć bez nich nie możesz. Zakochujesz się i odkochujesz przeciętnie raz w miesiącu.

— Daj spokój, Vernonie. Po prostu głupio durzyłam się w rym czy w tamtym, jak każda dziewczyna. La Marre mówi, że przy odrobinie temperamentu to się zawsze zdarza, ale że prawdziwa wielka namiętność, kiedy już przyjdzie, wygląda zupełnie inaczej.

— Mam nadzieję, że on nie wzbudza w tobie tej wielkiej namiętności.

Joe odpowiedziała dopiero po chwili.

— Nie jestem taka jak moja matka. Matka była... była tak bezbronna wobec mężczyzn. Matka się im poddawała... Zrobiłaby wszystko dla każdego, którego lubiła. Nie jestem podobna do niej.

— Nie — zgodził się Vernon po namyśle. — Chyba nie jesteś. Nie gmatwasz sobie życia tak jak ona. Uważaj jednak, żebyś nie pogmatwała inaczej.

— To znaczy?

— Sam dobrze nie wiem. Może poślubisz kogoś, kto, według ciebie, będzie twoją wielką

namiętnością, i to jedynie z tego powodu, że nikt inny go nie lubi, a potem będziesz z nim walczyć tło końca życia. A może zamieszkas z jakimś mężczyzną tylko dlatego, że uznasz to za wspaniałą ideę, ideę wolnej miłości.

— A czyż taka nie jest?

— Och, nie mówię, że nie, chociaż w istocie rzeczy uważam ją za antyspołeczną. Ty jednak zawsze jesteś taka sama. Jeśli ci się czegoś zabrania, tym bardziej chcesz to zrobić, i nieważne, czy rzeczywiście ci na tym zależy. Może nie mówię zbyt jasnej, ale dobrze wiesz, co mam na myśli.

— To, czego rzeczywiście chcę, to coś robić. Robić! Zostać sławną rzeźbiarką...

— Z powodu uczucia, jakim darzysz La Marre'a...

— Nieprawda. Och, Vernonie, czy musisz być tak nieznośny? Zawsze chciałam coś robić. Zawsze! Zawsze! Mówiłam to już w Możnych Opactwach.

— To dziwne — powiedział zamyślony Vernon. — Sebastian z tamtych dni również mówił to samo, co mówi teraz. Może nie zmieniamy się tak bardzo, jak nam się zdaje.

— Twoim marzeniem było poślubienie bardzo pięknej kobiety i pozostanie w Możnych Opactwach na zawsze — zauważyła uszczypliwie Joe. — Chyba nie jest to nadal twoją życiową ambicją?

— Można dokonać gorszego wyboru.

— Jesteś skończonym leniem, ot co! — Popatrzyła na niego z nie ukrywanym zniecierpliwieniem. Ona i Vernon byli tak bardzo do siebie podobni i jednocześnie tak różni!

Możne Opactwa, myślał Vernon. Za rok będę miał dwadzieścia jeden lat.

Właśnie mijali gromadę ludzi, biorących udział w wiecu, zorganizowanym przez Armię Zbawienia. Joe przystanąła. Szczupły mężczyzna, o bladej twarzy stał na jakiejś skrzyni. Jego głos, wysoki i ochryply, powtarzało echo.

— Dlaczego nie chcecie być zbawieni? Dlaczego nie chcecie? Jezus chce was! Jezus chce was! — Dobitnie podkreślane zaimki. — 'lak, bracia i siostry, powiem coś więcej. Wy też chcecie Jezusa. Nie chcecie się do tego przyznać, odwracacie się do niego plecami, lękacie się. Właśnie, lękacie się, a to dlatego, że chcecie go tak rozpaczliwie, chcecie go, nawet o tym nie wiedząc! — Rozłożył ramiona. Błada twarz zapłonęła uniesieniem. — Ale dowiecie się...

dowiecie się... Są rzeczy, od których nie ma ucieczki. — Powiedział

wolno, niemal grożąc: — „Powiadam ci, jeszcze tej nocy zażądają twojej duszy od ciebie...”

Vernon odwrócił się. Przeszył go lekki dreszcz. Jakaś kobieta na obrzeżach tłumu załkała histerycznie.

— Odrażające — stwierdziła Joe, zadzierając nosa. — Nieprzyzwoite i histeryczne! Jeśli o mnie chodzi, uważam, że racjonalnie myślący człowiek może być tylko ateistą.

Vernon uśmiechnął się. Pamiętał taki czas, jakiś rok temu, kiedy Joe zrywała się każdego dnia z łóżka, aby uczestniczyć we wczesnej mszy i domagała się w piątki gotowanych jajek, a także jak zaklęta wysłuchiwała w kościele św. Bartłomieja nieco nudnawych, lecz absolutnie zgodnych z dogmatami wiary kazań przystojnego ojca Cuthberta, który to ojciec uchodził za bardziej papieskiego niż sam papież.

— Ciekawe — powiedział na głos — jakie to uczucie, być „zbawionym”?

Było wpół do szóstej następnego popołudnia. Joe właśnie powróciła ze swojej potajemnej eskapady i natknęła się w hallu na ciocię Ethel.

— Gdzie jest Vernon? — rzuciła czym prędzej, na wypadek, gdyby ją zapytano o wrażenia z koncertu.

— Wrócił jakieś pół godziny temu. Powiedział, że wszystko w porządku, ale nie wydaje mi się, żeby tak było.

— Och! — Joe popatrzyła na nią ze zdziwieniem. — Gdzie on jest? W swoim pokoju? Zajrzę i zobaczę, co się dzieje.

— To dobrze, moja droga, bo naprawdę wyglądał marnie.

Joe wbiegła pośpiesznie po schodach, zapukała dla formy do drzwi Vernona i wmaszerowała do środka. Vernon siedział na łóżku, a w jego twarzy było coś, co ją poraziło. Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie.

— Vernonie, co się stało?

Nie odpowiedział. Wyglądał jak ktoś, kto przeżył potworny wstrząs.

Zdawało się, że krąży duchem gdzieś daleko i że nie jest w stanie zrozumieć skierowanych do siebie zwykłych słów.

— Vernonie — potrząsnęła go za ramię. — Co się z tobą dzieje?

Tym razem usłyszał jej głos.

— Nic.

— To nieprawda. Wyglądasz... wyglądasz... — Nie dokończyła. Nie znalazła słów na określenie jego stanu.

— Nic — powtórzył tępo. Usiadła obok niego.

— Powiedz mi, o co chodzi — powiedziała łagodnie, lecz stanowczo.

Z piersi Vernona wyrwało się długie, drżące westchnienie.

— Joe, czy pamiętasz tamtego mężczyznę?

— Którego?

— Tego z Armii Zbawienia, który pouczał wczoraj ludzi i dawał im przestrogi. Między innymi taką jedną, wspaniałą, z Biblii: Jeszcze tej nocy zażądamy twojej duszy od ciebie”. Z czystej ciekawości zapytałem głośno, jakie to uczucie być zbawionym. Teraz już wiem.

Joe wytrzeszczyła na niego oczy. Vernon, jej Vernon. Och, to niemożliwe.

— Czy to znaczy... czy to znaczy... — Jak trudno o właściwe słowa, pomyślała. — Czy to znaczy, że... że nagle „nawróciłeś się”? Tak jak to robią inni ludzie?

Sama czuła, że to, co mówi, jest śmieszne, toteż odetchnęła z ulgą, gdy Vernon wybuchnął śmiechem.

— Nawróciłem? Dobry Boże, nie! Zastanawiam się... Nie, to nie jest kwestia wiary. Miałem na myśli... — wahał się chwilę, aż w końcu wypowiedział jedno słowo, bardzo łagodnie, niemal z nabożeństwem —

muzykę...

— Co takiego? Muzykę? — Joe była całkowicie zdezorientowana.

— Tak. Joe, czy pamiętasz siostrę Frances?

— Siostrę Frances? Nie, chyba nie. Któż to taki?

— Rzeczywiście, nie możesz pamiętać. Była u nas przed twoim przyjazdem, w czasie kiedy złamałem nogę. Zapadły mi w pamięć słowa, które kiedyś, mimochodem, wypowiedziała. O tym, żeby nie odżegnawać się pośpiesznie od czegoś, czemu się dobrze nie przyjrzyj. Otóż to właśnie zdarzyło mi się dzisiaj. Nie mogłem dłużej się odżegnawać, musiałem się przyjrzeć. Joe, muzyka jest najcudowniejszą rzeczą na świecie...

— No wiesz... przecież zawsze twierdziłeś...

— Wiem. I dlatego przeżywam ogromny wstrząs. Nie twierdzę, że nagle, od dzisiaj, muzyka jest czymś cudownym, ale wiem, że mogłaby taka być. Wystarczy zabrać się do niej w odpowiedni sposób. Niektóre jej fragmenty są koszmarnie. Myślę, że to jest tak samo jak z obrazem.

Gdy oglądasz go z bardzo bliska, widzisz niemiłe dla oka szare plamy farby, ale wystarczy, że staniesz w odpowiedniej odległości, a z tych plam powstają najbardziej wspaniałe cienie i półmroki. I muzykę, i obrazy trzeba brać w całości. Nadal uważam, że skrzypce są koszmarnie, a fortepian to dzika bestia, lecz, jak mi się zdaje, oba instrumenty są na swój sposób użyteczne. Och, Joe! Muzyka mogłaby być czymś niezwykle cudownym, wiem, że mogłaby.

Joe milczała, oszołomiona. Rozumiała teraz, co Vernon miał na myśli, powołując się na cytat z Biblii. Jego twarz miała dziwnie rozmarzony, egzaltowany wyraz, co łatwo było wziąć za żarliwość religijną. A jednak Joe była lekko wystraszona; twarz Vernona, która zwykle wyrażała tak niewiele, teraz wyrażała aż za dużo. To była twarz lepsza albo gorsza, zależy, jak się na nią patrzyło.

Mówił dalej, bardziej do siebie niż do niej.

— Wiesz, było tam dziewięć orkiestr. Jedna obok drugiej. Dźwięki mogą być przepiękne, jeśli jest ich pod dostatkiem; nie chodzi mi jedynie o natężenie. Kiedy są cichsze, mogą wyrazić więcej. Ale musi być ich pod dostatkiem. Nie wiem, co muzycy grali, jak sądzę nic, co by się liczyło. Ale to dowodzi jednego... dowodzi jednego... — Zwrócił na nią dziwnie pojaśniałe, płonące oczy. — Tak wiele trzeba wiedzieć, tak wiele trzeba się nauczyć. Nie chcę grać, nic podobnego. Chcę wiedzieć wszystko o każdym instrumencie. Co potrafi z siebie wydobyć, jakie są granice jego możliwości. Chcę wiedzieć wszystko o tonach. Są różne tony, których dzisiaj nie usłyszałem. Wiem, że są. Wiesz, Joe, jaka jest dzisiejsza muzyka? Kojarzy mi się z małymi, solidnymi normańskimi kolumnami w krypcie katedry w Gloucester. Jest u swoich początków, to wszystko.

Siedział pochylony do przodu, skupiony i rozmarzony.

— Chyba całkiem oszalałeś — powiedziała Joe. Celowo starała się nadać swojemu głosowi trzeźwe,

praktyczne brzmienie. Na przekór sobie była pod wrażeniem dopiero co usłyszanych słów. Ach, ta nieoczekiwana żarliwość, to niezachwiane przekonanie. A ona zawsze brała Vernona za ślamazarę, reakcjonistę, człowieka przesadnego i bez wyobraźni.

— Muszę zacząć się uczyć. Tak prędko, jak to możliwe. To straszne, stracić dwadzieścia lat!

— Nonsens — zaprzeczyła Joe. — Nie mogłeś studiować muzyki, siedząc w dzieciennym łóżeczku.

Vernon uśmiechnął się. Powoli przytomniał.

— Uważasz, że oszalałem? Może to tak wygląda. Ale nie, nie oszalałem. I... och, Joe! Jaka to niezwykła ulga. To tak, jakbyś przez lata coś udawała, a teraz już nie musisz. Zawsze potwornie bałem się muzyki. Zawsze. Teraz... — Wyprostował się, rozciągnął ramiona. — Będę pracował, mało, będę harował. Poznam wszystkie tajemnice każdego instrumentu. A propos, na świecie jest na pewno wiele innych, wiele, wiele innych. Powinny być takie, które płaczą, gdzieś już słyszałem ich dźwięki. Gdyby tak zebrać dziesięć, piętnaście tego rodzaju. I około pięćdziesięciu harf...

Siedział tak, wdając się spokojnie w różne szczegóły, co dla Joe brzmiało jak czysty absurd. Mimo to zdawała sobie sprawę, że przewidywał pewne wydarzenia z absolutną jasnością umysłu.

— Za dziesięć minut będzie kolacja — przypomniała mu nieśmiało.

— Doprawdy? Co za nudy. Chcę zostać tutaj, myśleć i odtwarzać sobie w głowie dźwięki. Powiedz cioci Ethel, że skronie tętnią mi bólem albo że mam koszmarne mdłości. W gruncie rzeczy istotnie nie czuję się najlepiej.

Dziwne, lecz właśnie to ostatnie zdanie wywarło na Joe największe wrażenie. To rodzinne, pomyślała. Kiedy coś cię za bardzo wyprowadza z równowagi, za bardzo cieszy albo smuci, zawsze chce ci się uciec w chorobę! Sama tego doświadczała, i to często.

Stała w cłrzwiacłi niezdecydowanie. Vernon znów popadł w zadumę.

Jak dziwnie wyglądał, jak inaczej niż zazwyczaj. Jak gdyby... jak gdyby... Joe szukała odpowiednich słów... jak gdyby nagle ożył.

Trochę ją to wszystko przerażało.

ROZDZIAŁ DRUGI

„Domek Myśliwski Careya”. Tak nazywano położony około ośmiu mil od Birmingham dom Myry.

Kiedy tylko Vernon zbliżał się do niego, natychmiast popadał w depresję. Nienawidził tego domu, nienawidził jego solidnego komfortu, grubych, jaskrawoczerwonych dywanów, obszernego hallu, nienawidził

starannie dobranych sztychów ze scenami z polowań, które zdobiły ściany jadalni, nienawidził nadmiernej liczby bibelotów w salonie. A jednak, czy nienawidził aż tak bardzo tych wszystkich rzeczy, czy raczej okoliczności, które wiązały się z nimi?

Zapytywał o to w głębi duszy, pierwszy raz starając się, być uczciwym wobec samego siebie. Czyż to nie była prawda, że nienawidził

matki, dla której to miejsce stało się prawdziwym domem, matki zadowolonej z ładu i spokoju? Lubił myśleć o niej z czasów Możnych Opactw, lubił myśleć, że była tam na wygnaniu, tak jak on tutaj.

Ale nie. Możne Opactwa nie były dla niej wygnaniem. Możne Opactwa były dla niej tym, czym obce królestwo bywa dla królowej małżonki.

Matka czuła się w nich ważna, matka była tam zadowolona sama z siebie. To było coś nowego i podniecającego. Ale to nie był dom.

Myra jak zwykle przywitała syna z wylewną afektacją. Wolałby tego uniknąć. Nie potrafił być tak samo czuły. Kiedy był z dala od niej, uważał siebie za oddanego syna. Kiedy był z nią, rozwiewały się wszelkie iluzje.

Myra Deyre znacznie się zmieniła od wyjazdu z Możnych Opactw.

Porządnie przytyła, a jej piękne, rudozłote włosy z lekka zmatowiały od pokazujących się tu i ówdzie nitki siwizny. Zmienił się także wyraz jej twarzy; teraz było w niej więcej zadowolenia i spokoju.

Podobieństwo między nią a jej bratem Sydneyem stało się uderzające.

— Dobrze się bawiłeś w Londynie? Tak się cieszę. To takie ekscytujące, znów mieć obok siebie pięknego, dorosłego syna.

Rozpowiedziałam już wszystkim, jak bardzo się cieszę. Matki to głupie istoty, prawda?

Vernon zgodził się z nią w myśli, a potem sam się tego zawstydził.

— To wspaniale widzieć cię, mamó — mruknął pod nosem.

— Wyglądasz wprost znakomicie, ciociu Myro.

— Ostatnio nie czuję się najlepiej, kochanie. Nie sędzę, by doktor Grey poznał się na moim

przypadku. Słyszę, że nastął tu nowy lekarz, doktor... doktor Littleworth, ten, który odkupił praktykę doktora Armstronga. Ludzie mówią, że jest fantastyczny. Jestem przekonana, że to serce, a nie zwykła niestrawność, jak powiada doktor Grey. — Myra ożywiła się. Zawsze uważała swoje zdrowie za interesujący temat do rozmowy. — Mary odeszła, wiesz, ta pokojówka. Doprawdy, bardzo mnie rozczarowała. Po tym wszystkim, co dla niej zrobiłam...?

I tak dalej, i tak dalej. Joe i Vernon słuchali jednym uchem.

Przekonani byli o swojej wyższości. Dzięki Bogu należą do nowego i światłego pokolenia, którego duch wznosi się ponad przyziemnymi problemami ze służbą. Przed nimi otwiera się nowy, wspaniały świat.

Głęboko współczuli tej zadowolonej z siebie istocie, trajkoczącej, zdawało się, bez końca.

Biedna ciocia Myra, pomyślała Joe. Tak koszmarnie kobieca! To całkiem naturalne, że wujek Walter nudził się z nią. Nie jej wina. Po prostu niewłaściwa edukacja i wyniesione z domu przekonanie, że poza sprawami domowymi nic się nie liczy. I proszę, oto siedzi przed nami, wciąż jeszcze młoda, a przynajmniej nie przeraźliwie stara, a jej całe zajęcie to plotkowanie, rozmyślanie o służbie i zamartwianie się swoim zdrowiem. Gdyby urodziła się tylko dwadzieścia lat później, mogłaby być wolna i szczęśliwa, no i od nikogo niezależna.

I powodowana głębokim współczuciem dla swej nieświadomej życia ciotki, odpowiedziała na jej pytanie uprzejmie i z dobrze udanym zainteresowaniem.

Vernon snuł własne rozważania. Czy mama zawsze taka była? Nawet w Możliwych Opactwach? Raczej nie. A może byłem za mały, aby cokolwiek zauważać? To wstrętne z mojej strony, że krytykuję własną matkę, tę, która zawsze była dla mnie tak dobra. Tylko niechby nie traktowała mnie nadal jak sześciolatniego brzdąca. Och, w porządku, prawdopodobnie tak już musi być. Nie zdaje mi się, bym kiedykolwiek się ożenił...

I nagle, nie mogąc poradzić sobie ze spiętymi nerwami, wypalił:

— Posłuchaj, mamó. Chciałbym studiować muzykę. W Cambridge.

A więc stało się. Powiedział to. Myra, która właśnie opowiadała o kucharce Armstrongów, powiedziała wymijająco:

— Ależ, kochanie, zawsze byłeś tak bardzo niemuzyczny. Tak niedorzecznie traktowałeś muzykę.

— Wiem — mruknął gburowato. — Ale czasami człowiek zmienia swoje poglądy.

— W takim razie cieszę się, mój drogi. Grywałam znakomite kawałki, kiedy byłam młodą dziewczyną. Ale wiesz, jak to bywa, po wyjściu za mąż nie ma się na nic czasu.

— To prawda. To straszna hańba — poparła ją gorąco Joe. — Nie zamierzam wychodzić za mąż, gdyby jednak tak się stało, nigdy nie zarzucę własnej kariery. Ach, przypomniałam sobie! Ciociu Myro, jeśli mam być dobrą modelką, powinnam wybrać się na studia do Londynu.

— Jestem pewna, że pan Bradford...

— Do diabła z panem Bradfordem! Przepraszam, ciociu Myro, lecz ty niczego nie rozumiesz. Muszę studiować poważnie. I muszę być samodzielna. Mogłabym wynajmować mieszkanie razem z inną dziewczyną...

— Ależ, kochanie, nie bądź absurdalna — zaśmiała się Myra. — Chcę mieć swoją małą Joe tutaj, obok siebie. Zawsze myślę o tobie jak o własnej córce, dobrze o tym wiesz.

Joe zaczęła się wiercić.

— Ale ja mówię serio, ciociu Myro. To całe moje życie. Tym tragicznym wyznaniem jeszcze bardziej rozśmieszyła ciotkę.

— Dziewczęta często tak myślą. Ach, nie psujmy tego szczęśliwego wieczoru kłótniami.

— Lecz czy potem rozważysz to poważnie?

— Zobaczymy, co powie wujek Sydney.

— To nie jego sprawa. On nie jest moim wujkiem. Poza tym, gdybym chciała, mogę wziąć swoje pieniądze...

— One są niezupełnie twoje, Joe. Twój ojciec przysyła je na twoje utrzymanie, chociaż, o czym chyba nie muszę cię zapewniać, skłonna byłabym zajmować się tobą bez jego pieniędzy. Poza tym wie, że jest ci dobrze i że dbam o ciebie w należyty sposób.

— Zatem będzie lepiej, jak napiszę do ojca. Mężnie stawiała czoło ciotce, lecz teraz serce jej zamarło. Widziała ojca dwa razy w ciągu dziesięciu lat, i nadal oboje darzyli się wzajemną niechęcią.

Dotychczasowa sytuacja niewątpliwie odpowiadała majorowi Waite'owi: kosztem kilku setek rocznie pozbywał się kłopotów z wychowaniem córki. Lecz tym samym Joe nie miała żadnych własnych pieniędzy. Miała podstawy wątpić, czy ojciec łożyłby na jej utrzymanie, gdyby wyłamała się spod opieki cioci Myry i usiłowała żyć na własny rachunek.

— Nie bądź tak piekielnie niecierpliwa, Joe — mruknął Vernon. —

Zaczekaj, aż skończę dwadzieścia jeden lat.

To ją podniosło na duchu. Wiedziała, że na Vernonie zawsze można polegać.

Myra zapytała Vernona o Levinne'ów. Co z astmą pani Levinne? Czy to prawda, że obecnie prawie cały czas przebywają w Londynie?

— Nie, nie sędzę. Oczywiście, zimą nie zjeżdżali za często do Jelenich Pól, ale spędzili tam całą jesień. Będzie wspaniale mieć ich pod bokiem, kiedy wrócimy do Możnych Opactw, prawda?

Myra Deyre drgnęła, po czym powiedziała spiętym głosem:

— Och, tak... niewątpliwie to będzie mile. — I dodała prawie natychmiast: — Zaprosiłam na podwieczorek wujka Sydneya. Przyprowdzi ze sobą Enid. Przy okazji, nic życzę sobie późnych obiadów. Bardziej mi odpowiada spożywanie solidnych posiłków o szóstej.

— Och! — rzucił Vernon, zaskoczony.

Do tych „solidnych posiłków” żywił nieuzasadnioną niechęć poza tym, że napawało go wstrętem połączenie herbaty z jajecznicą i z tłustym plackiem ze śliwkami. Dlaczego u nich nie jadało się właściwych potraw tak jak w innych domach? Oczywiście, wujek Sydney i ciocia Carrie zawsze serwowali obfite podwieczorki. Uprzykrzony wujek Sydney! To wszystko przez niego!

Powstrzymał wzburzone myśli. Wszystko? Co wszystko? Nie potrafiłby odpowiedzieć, co dokładnie. Tak czy inaczej, kiedy oboje z matką wrócą do Moźnyćli Opactw, wszystko się zmieni.

Wujek Sydney nie kazał na siebie długo czekać. Był rubaszny i serdeczny, i trochę grubszy niż ostatnio. Przyprowadził ze sobą Enid, trzecią córkę. Dwie starsze wyszły już za mąż, a dwie młodsze były w szkole.

Wujek Sydney nie przestawał dowcipkować i żartować. Myra patrzyła na brata z zachwytem. Doprawdy, nie było drugiego takiego jak Syd! On nadawał bieg rzeczom.

Vernon śmiał się uprzejmie z żartów wujka, choć po cichu uważał, że są równie głupie, jak nudne.

— Jestem ciekaw, gdzie w Cambridge kupujesz tytoń — powiedział

wujek Sydney. — Ręczę, że u jakiejś ładnej panny. Ha, ha! Myra, chłopak się zaczerwienił. No, tylko popatrz, jak nic się zaczerwienił.

Stary, głupi kiep, pomyślał Vernon pogardliwie.

— A gdzie ty kupujesz swój tytoń, wujku Sydneyu? — pochwyciła Joe, mężnie stając z nim w szranki.

— Ha, ha! — zaryczał wujek Sydney. — A to dobre! Bystra z ciebie dziewczyna, Joe. Jak myślisz, chyba zataimy odpowiedź przed ciocią Carrie?

Enid nie mówiła wiele, lecz chichotała z wyraźną ochotą.

— Powinieneś pisywać do swojej kuzynki — ciągnął wujek Sydney. —

Lubisz pisać listy, co, Vernonie?

— Średnio.

— Masz ci los! A nie mówiłem, moja panno? Dziecko chciało samo napisać, ale się wstydziło. Ona zawsze o tobie myśli, Vernonie. Ale chyba nie powinienem plotkować, co, Enid?

Później, po ciężko strawnym posiłku, zaczął się rozwodzić na temat swojej firmy.

— Wszystko idzie mi jak z płatka, mówię ci, chłopcze, jak z płatka. — Tu przeszedł do wyczerpujących finansowych wyjaśnień, do podwajanych zysków, powiększanych pomieszczeń i tak dalej, i tak dalej.

Vernon wolał taką rozmowę. Nie będąc w najmniejszym stopniu zainteresowany tematem, nie musiał słuchać uważnie. Wystarczyło rzucić, od czasu do czasu, jedną zachęcającą monosylabę.

Wujek Sydney mówił dalej, odmalowując przed oczami siostrzeńca fascynujący fresk Potęgi i Chwały Benta, jak było na początku, tak i zawsze, amen.

Vernon tymczasem myślał o książce z opisem instrumentów muzycznych, którą kupił tego ranka i czytał podczas podróży pociągiem. Wiedział wciąż tak niewiele. Oboje... jasne, trzeba coś wiedzieć o obojach. I o altówkach. Jasne, o altówkach też. Pomruk słów, wypowiedzianych przez wujka Sydneya, był niezłym akompaniamentem, przypominał bowiem odległy dźwięk kontrabas.

Ostatecznie wujek Sydney stwierdził, że pora im się zbierać. Jego kolejne żarty dotyczyły kwestii, czy Vernon powinien pocałować Enid na do widzenia.

Że też ludzie muszą robić z siebie takich idiotów, pomyślał

Vernon. Chwała Bogu, wkrótce znajdzie się w swoim pokoju.

Kiedy drzwi się zamknęły, Myra słodko westchnęła. — Och, jaka szkoda, że nie było wśród nas twojego ojca. Na pewno by się dobrze bawił. Taki uroczy wieczór, prawda?

— I całe szczęście, że nie było — stwierdził Vernon. — Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek on i wujek Sydney zgadzali się ze sobą.

— Jak się jest małym dzieckiem, nie wszystko się zauważa.

Zapewniam cię, że obaj byli najlepszymi przyjaciółmi, a poza tym twój ojciec zawsze cieszył się moim szczęściem. Boże mój, jakże byliśmy ze sobą szczęśliwi.

Uniosła do oczu chusteczkę. Vernon popatrzył na nią. Cóż za oddanie, jaka wierność, pomyślał. Nie, nieprawda, poprawił się. Moja matka jedynie chciałaby, żeby tak było.

Myra zaczęła wspominać dawne lata.

— Ty, Vernonie, w istocie, nigdy nie przepadałeś za własnym ojcem.

Myślę sobie teraz, że Walter czasami nawet się tym martwił. Ale cóż, po prostu byłeś bardzo przywiązany do mnie. Wiesz, to wyglądało całkiem zabawnie.

— Ojciec zachowywał się wobec ciebie brutalnie — powiedział

gwałtownie Vernon. Zdawało mu się, nie wiedzieć czemu, że w ten sposób ojca broni.

— Vernonie, jak możesz tak mówić. Twój ojciec był najlepszym człowiekiem pod słońcem.

Widząc wyzwanie w oczach matki, pomyślał, że matka chce zrobić z siebie heroiczną postać, że chce powiedzieć: „Jak cudowną rzeczą jest miłość kobiety, miłość, która chroni jej zmarłych”. Coś w tym rodzaju. Och, jakże on nienawidził tego wszystkiego, jakże nienawidził.

Mruknął coś w odpowiedzi, pocałował ją i poszedł do łóżka.

Tego wieczoru Joe zapukała do jego drzwi. Vernon siedział

wyciągnięty jak długi w fotelu. Książka o instrumentach muzycznych leżała za nim, na podłodze.

— Witaj, Joe. Boże, cóż to za potworny wieczór!

— Tak sądzisz?

— A ty nie? Wszystko jest nie tak. Ten osioł, wujek Sydney. Te jego idiotyczne dowcipy! Jakie to wszystko płaskie.

— Hm — powiedziała Joe. Zamyślona usiadła na łóżku i zapaliła papierosa.

— Nie zgadzasz się ze mną?

— Hm, w pewnej mierze.

— No, powiedz coś wreszcie! — niecierpliwił się Vernon.

— Cóż, uważam, że oni są wystarczająco szczęśliwi.

— Oni?

— Ciocia Myra. Wujek Sydney. Enid. Są szczęśliwi wszyscy razem, są nawzajem z siebie zadowoleni. To w nas tkwi zło, Vernonie. W tobie i we mnie. Żyjemy tutaj przez te wszystkie lata, lecz nie należymy do nich. Dlatego powinniśmy stąd odejść.

Vernon pokiwał głową w zamyśleniu.

— Tak, Joe, masz rację. Musimy odejść. — Uśmiechnął się, uszczęśliwiony, ponieważ sposób na odejście był bardzo oczywisty.

Dwadzieścia jeden lat... Możliwe Opactwa... Muzyka...

ROZDZIAŁ TRZECI

— Czy mógłby pan przedstawić całą sprawę raz jeszcze, panie Flemming?

— Bardzo proszę.

Precyzyjnie, sucho i gładko padało z ust starego prawnika słowo za słowem. Każde znaczyło to, co miało znaczyć, w żadnym nie było dwuznaczności. Tyle słów! Nie pozostawiały żadnej furtki, aby można było wątpić w ich nieomyślność.

Vernon słuchał. Miał zbielełą twarz, a jego ręce zaciskały się na poręczach krzesła. To nie mogła być prawda. Nie mogła! Lecz czyż pan Flemming nie powiedział tego samego wiele lat temu? Tak, lecz wtedy on uczeplił się magicznych słów „dwadzieścia jeden lat”. „Dwadzieścia jeden lat” miało w cudowny sposób naprawić wszystko. Zamiast tego usłyszał:

— Proszę sobie wyobrazić, sytuacja jest bezgranicznie lepsza od tej, jaka była w chwili śmierci pana ojca, lecz nie należy udawać, że uporaliśmy się ze wszystkimi trudnościami. Hipoteka...

Czyżby? Czyżby nie wspomniano przy nim o hipotece? No cóż, pewnie na niewiele by się to zdało, wszak rozmawiano z dziewięcioletnim chłopcem. Nie ma co do tego wracać. Stali wówczas w obliczu nagiej prawdy; on nie potrafiłby utrzymać Możnych Opactw...

Odczekał, aż pan Flemming skończy.

— Lecz gdyby moja matka...

— Och, naturalnie. Gdyby pani Deyre była gotowa do... — nie dokończył zdania, zawiesił głos. — Cóż — podjął na nowo — jeśli wolno mi tak powiedzieć, za każdym razem, kiedy miałem przyjemność spotykać panią Deyre, wydawało mi się, że jest absolutnie zadowolona z takiego obrotu sprawy, absolutnie. Przypuszczam, że wie pan, iż dwa lata temu nabyła na własność „Domek Myśliwski Careya”?

Nie wiedział. Nie wiedział, lecz dostatecznie rozumiał, co to znaczy. Dlaczego matka nie powiedziała mu o tym? Czyżby nie miała odwagi? Zawsze przyjmował za rzecz oczywistą, że wróci z nim do Możnych Opactw, choć przecież nie dlatego, by jemu na tym zależało.

Dlatego, że tam jest jej miejsce, jej dom. I oto okazuje się, jak bardzo się mylił. Okazuje się, że Możne Opactwa nigdy nie były jej domem. Nigdy w takim sensie, jak ów „Domek Myśliwski Careya”. Mógł do niej apelować, oczywiście, mógł. Mógł błagać, by miała na niego wzgląd, ponieważ on tak bardzo tego pragnie.

Nie, po tysiackroć nie! Nie można błagać o łaskę kogoś, kogo się prawdziwie nie kocha. A on nie kocha prawdziwie swojej matki. Co więcej, nie sądzi, by ją kiedykolwiek prawdziwie kochał. Dziwne i smutne, i trochę straszne, lecz on nic na to nie poradzi. Czy przejmowałby się, gdyby miał jej już nigdy nie zobaczyć? Niepodobna.

Chciałby wiedzieć, czy jest zdrowa i szczęśliwa. Chciałby dbać o nią.

Tak, chciałby. Lecz to wcale nie znaczy, że odczuwałby jej brak, że tęskniłby za nią. Ponieważ, choć to dziwne, on wcale jej nie lubi.

Nigdy nie lubił dotyku jej rąk. Nigdy nie lubił całować jej na dobranoc. Nigdy nie potrafił z niczego jej się zwierzyć; ona nigdy nie wiedziała albo nie rozumiała, co on czuje. Była dobrą, kochającą matką, a on? On nawet jej nie lubił! Potworne, powiedziałby ten i ów, powiedziałby prawie każdy...

— Ma pan całkowitą rację — odezwał się wreszcie. — Jestem pewien, że moja matka nie chciałaby opuścić „Domku Myśliwskiego Careya”.

— Cóż, stoi pan przed pewnym wyborem, panie Deyre. Major Salmon, który, jak panu wiadomo, wynajmuje od kilku lat dom z całym umeblowaniem, aż się pali do kupna...

— Nie! — To słowo padło z ust Vernona niczym strzał z pistoletu.

Pan Flemming uśmiechnął się.

— Byłem przekonany, że usłyszę taką odpowiedź. Co więcej, muszę wyznać, że jestem rad. Możliwe Opactwa należały... ehm... do Deyre'ów przez prawie pięćset lat. Niemniej, nie dopełniłbym swojej powinności, gdybym nie zwrócił panu uwagi na fakt, że oferowana cena jest dobrą ceną i że jeśli w przyszłości zdecyduje się pan na sprzedaż, znalezienie odpowiedniego nabywcy może się okazać kłopotliwe.

— To nie wchodzi w rachubę.

— Świetnie. Zatem najlepszym wyjściem, jak myślę, jest ponowna dzierżawa. A wzięwszy pod uwagę, że majora Salmona interesuje wyłącznie nabycie czegoś na własność, pozostaje nam szukanie nowego dzierżawcy. To, jak sądzę, nie powinno nastreczać żadnych trudności.

Trzeba tylko zdecydować się co do okresu wynajmu. Nie zalecałbym zbyt długiego. Życie to niepewny interes. Kto wie, za kilka lat wszystko...

ehm... może się zmienić, może dojść do takiej sytuacji, że pan sam zamieszka w swojej posiadłości.

I zamieszka, ale nie w sposób, w jaki ci się zdaje, ty stara, zakuta pało, pomyślał Vernon. Zamieszka tam, ponieważ dzięki muzyce wyrobię sobie nazwisko. Wcale nie dlatego, że umrze moja matka. Mam nadzieję, że ona dożyje dziewięćdziesiątki.

Zamienił z panem Flemmingiem kilka zdawkowych słów, po czym skierował się do wyjścia.

— Obawiam się, że przeżył pan swego rodzaju szok — powiedział

stary prawnik, ściskając mu na pożegnanie rękę.

— Tak, po części. Budowałem, jak widzę, zamki na lodzie.

— Przypuszczam, że zamierza pan spędzić swoje dwudzieste pierwsze urodziny z matką?

— Tak.

— Może pan omówić sprawy ze swoim wujkiem, panem Bentem. To bardzo zdolny człowiek, jeśli idzie o robienie interesów. Ma córkę w pana wieku, chyba się nie mylę, prawda?

— Tak, Enid. Dwie najstarsze są już zamężne, a dwie najmłodsze jeszcze się uczą. Enid jest ode mnie o rok młodsza.

— Ach, jakie to przyjemne, mieć kuzynkę w swoim wieku.

Przypuszczam, że będzie jej pan poświęcał sporo czasu.

— Nie sądzę — odparł Vernon wymijająco. Dlaczego miałby poświęcać Enid wiele czasu? Jest taką nudną dziewczyną. Choć niby skąd pan Flemming miałby o tym wiedzieć. Zabawny staruszek. Tylko dlaczego, u diabła, miał taki przebiegły, taki wszystko wiedzący wyraz twarzy?

— Och, mammo, wcale nie czuję się jak młody dziedzic!

— Dobrze, już dobrze. Nie bierz tego tak do serca. Jakoś to będzie. Powinieneś porozmawiać z wujkiem Sydneyem.

Absurd! Co dobrego może mu przynieść rozmowa z wujkiem Sydneyem?

Na szczęście matka nie powróciła do sprawy. Miłą niespodzianką było to, że Joe dostała pozwolenie pójścia własną drogą. Od jakiegoś czasu przebywała w Londynie i, choć nie pozbawiona opieki, mogła robić to, co chciała.

Matka zawsze miała jakieś sekrety, którymi dzieliła się szeptem ze swymi przyjaciółkami. Vernon przyłapał ją na tym pewnego dnia.

— Całkiem nierozłączni... zawsze... więc pomyślałam sobie, że byłoby mądrzej... To byłaby wielka szkoda...

Jej rozmówczyni, ta, którą Vernon nazywał „tamtą plotkarą”, powiedziała coś o ciotecznym rodzeństwie i że to byłoby w najwyższym stopniu nierozsądne... Głos matki przybrał na sile.

— Och! Nie w każdym przypadku, nie sądzę.

— Kim jest to cioteczne rodzeństwo? — zapytał później. — I cóż znaczą te tajemnicze szepty?

— Tajemnicze? Nie wiem, co masz na myśli.

— Zamilkłyście na mój widok. Ciekaw jestem, dlaczego.

— Och, nieważne, rzecz dotyczyła ludzi, których nie znasz.

Była czerwona i zmieszana. Vernon stracił zainteresowanie i nie stawiał dalszych pytań.

Tęsknił przeraźliwie za Joe. „Domek Myśliwski Careya” był bez niej śmiertelnie nudny. Za to Enid widywał częściej niż kiedykolwiek przedtem. Zwykle wstępowała, aby odwiedzić Myrę. Czasami Vernon zgadzał się pojeździć z nią na wrotkach na nowym torze lub pójść na jakieś nudne towarzyskie spotkanie.

Myra powiedziała mu, że byłoby ładnie, gdyby zaprosił ją do Cambridge na wiosenne regaty. I nalegała tak długo, aż ustąpił. W

końcu, nic takiego. Sebastian zajmie się Joe, a jemu jest wszystko jedno. Tańce są głupie, wszystko jest głupie, wszystko, co przeszkadza w muzyce....

Wieczorem, przed wyjazdem, do „Domku Myśliwskiego Careya” przyszedł wujek Sydney. Myra wepchnęła jego i Vernona do gabinetu i powiedziała:

— Wujek Sydney chce zamienić z tobą kilka słów, Vernonie.

Pan Bent chrząkał przez kilka minut, a potem, dość nieoczekiwanie i odkładając na bok całą swoją rubasność, przeszedł wprost do sedna sprawy. Chyba po raz pierwszy Vernon spojrział na niego łaskawszym okiem.

— Nie zamierzam niczego owijać w bawełnę, mój chłopcze, ale też chciałbym, byś wysłuchał mnie spokojnie do samego końca. Rozumiemy się?

— Tak, wujku Sydneyu.

— A więc, krótko i węzłowato. Chcę, żebyś wszedł do mojej firmy.

Do Benta. Cisza! Nie przerywać! Wiem, że nigdy o tym nie myślałeś, i przypuszczam, że w chwili obecnej ten pomysł wydaje ci się niestosowny. Jestem człowiekiem otwartym i potrafię się liczyć z faktami. Gdybyś miał dochody, które pozwoliłyby ci wieść w Moźnych Opactwach próżniacze życie, zgoda, nie byłoby o czym mówić; jesteś, jak twój ojciec, typowym przedstawicielem waszej klasy. Nie zapominaj jednak, mój chłopcze, że w twoich żyłach płynie dobra krew Bentów, a krew to krew. Moje dziewczęta są szcudrze wyposażone. Nie mam syna i dlatego, gdybyś chciał, byłbym gotów traktować cię jak własnego chłopaka. Nie mam zamiaru zaprząć cię do roboty na całe życie. Nic brakuje mi oleju w głowie i nic gorzej od ciebie wiem, gdzie jest twoje miejsce. Jesteś młody. Wchodzisz w interes po powrocie z Cambridge, zaczynasz od podstaw, od średniej pensji i pnieś się w górę. Jeśli zechcesz przejść na emeryturę, zanim skończysz czterdzieści lat, proszę bardzo. Wolna wola. Do tej pory staniesz się bogatym człowiekiem i stać cię będzie na utrzymanie Moźnych Opactw na odpowiednim poziomie. Wcześniej się ożenisz, jak sędzę. Wczesne małżeństwo to wspaniała sprawa. Tylko patrzeć, jak twój najstarszy syn zajmie miejsce ojca, a młodszy wejdą w pierwszej klasy interesy, gdzie pokażą, na co ich stać. Jestem dumny z mojej firmy, tak jak ty z Moźnych Opactw, dlatego rozumiem twoje do nich przywiązanie. Nic chcę, żebyś je sprzedał. Żeby wyszły z rąk twojej rodziny po tych wszystkich latach. To byłaby hańba. No, cóż, to wszystko, co miałem do powiedzenia.

— Jesteś niezmiernie łaskawy, wujku Sydneyu... — zaczął Vernon.

Wujek Sydney wyrzucił w górę wielkie kwadratowe dłonie i nie dał mu dokończyć.

— Proszę, zostawmy to tak, jak jest. Nie chcę teraz żadnej odpowiedzi. Zaczekajmy, aż wrócisz z Cambridge. — Podniósł się. — To miło z twojej strony, że zaprosiłeś Enicl na regaty. Jest z tego powodu niezmiernie podekscytowana. Gdybyś wiedział, co dziewczęta myślą o tobie, stałbyś się próżny. Cóż, dziewczęta zawsze będą dziewczętami. — Śmiejąc się hałaśliwie, zatrzęsął frontowe drzwi.

Vernon stał w hallu i marszczył czoło. Wujek Sydney znalazł się niezwykle przyzwoicie, niezwykle. Co nie znaczy, że on, Vernon, zamierza przyjąć jego ofertę. Żadne pieniądze świata nie oderwą go od muzyki...

A jednak, jak się okazuje, istnieje sposób, aby mieć Możliwość.

Regaty wiosenne!

Joe i Enid były w Cambridge. Vernon również zamieszkał u Ethel, w charakterze przyzwoitki dla dziewcząt. Chwilowo świat zdawał się składać w większości z Bentów.

— Dlaczego, u diabła, zaprosiłeś Enid? — wybuchnęła Joe od razu.

— Och, matka nie dawała mi spokoju. Zresztą, czy to ważne?

Dla Vernona nic nie było ważne poza jedną rzeczą. Joe zapytała kiedyś Sebastiana:

— Czy Vernon serio myśli o muzyce? Czy kiedykolwiek może być w tym dobry? Nie sądzisz, że to chwilowe szaleństwo?

Jednak Sebastian potraktował jej pytanie nad wyraz poważnie.

— A wiesz, to niezwykle interesujące — stwierdził. — O ile się orientuję, w tym, do czego zmierza, jest coś całkowicie rewolucyjnego. W tej chwili opanowuje zasady ogólne, a robi to w imponującym tempie. Stary Coddington trzyma rękę na pulsie, chociaż, oczywiście, parska na pomysły Vernona, a ściślej mówiąc parskałby, gdyby Vernon zdradzał się z nimi. Osobą, która interesuje się nim poważnie jest stary Jeffries, matematyk! Mówi, że idee muzyczne Vernona są cztero wymiarowe.

Nie wiem, czy Vernonowi kiedykolwiek się powiedzie, czy też będzie traktowany jako nieszkodliwy wariat. Mam wrażenie, że linia graniczna jest bardzo cienka. Stary Jeffries wyraża się o nim entuzjastycznie.

Niemniej daleki jest od choćby słowa zachęty. Wskazuje, całkiem słusznie, że próba odkrycia czegoś nowego i przeforsowania tego w świecie jest zawsze niewdzięcznym zadaniem i że według wszelkiego prawdopodobieństwa, prawdy, które Vernon odkrywa, nie będą zaakceptowane przez przynajmniej kolejne dwieście lat. Jeffries to stary dziwak. Oddaje się rozmyślaniom o wyimaginowanych krzywych w przestrzeni, czy o czymś takim, no wiesz.

Jednak ja rozumiem jego punkt widzenia. Vernon nie tworzy niczego nowego. Vernon odkrywa coś, co już istnieje. Jak uczony. Jeffries mówi, że niechęć Vernona do muzyki w wieku dziecięcym jest całkowicie zrozumiała: dla jego ucha muzyka ma kształt niedoskonały. Jest jak nieprawidłowo narysowany rysunek, rysunek ze złą perspektywą. W

uszech Vernona muzyka brzmi chyba... chyba tak, jak mogłaby brzmieć dla nas muzyka dzikusów: po większej części dysonans nie do zniesienia.

Jeffries ma głowę pełną dziwnych idei. Tylko spróbuj w jego obecności napomknąć o kwadratach i sześciątach, o figurach geometrycznych i prędkości światła, a natychmiast traci poczucie rzeczywistości. Koresponduje z pewnym Niemcem o nazwisku Einstein.

Dziwne, nie jest ani trochę muzykalny, a mimo to potrafi zrozumieć, albo przynajmniej tak twierdzi, do czego zmierza Vernon. Joe zamyśliła się głęboko. — Cóż — powiedziała w końcu — nic z tego nie rozumiem. Ale wygląda mi na to, że Vernon może odnieść sukces.

Sebastian był bardziej sceptyczny.

— Nie powiedziałbym tego. Być może Vernon jest geniuszem, ale genialność i sukces nie zawsze chodzą w parze. Nikt nie lubi geniuszy. Z drugiej strony, nic można wykluczyć, że jest po prostu lekko zwariowany. Wszak to, co mówi, czasami brzmi dość dziwnie. A jednak... a jednak zawsze odnoszę wrażenie, że ma rację, że w jakiś dziwny sposób dobrze wie, o czym mówi.

— Słyszałeś o ofercie wujka Sydneya?

— Tak. Zdaje się, że Vernon ją po prostu niefrasobliwie zlekceważył, a w gruncie rzeczy to całkiem niezła propozycja.

— Nie mógłbyś wpłynąć na niego, żeby ją przyjął? — wybuchnęła Joe.

Sebastian zachowywał denerwujący spokój.

— Nie wiem. To wymaga przemyślenia. Możliwe, że teorie Vernona dotyczące muzyki są wspaniałe i twórcze, co nie znaczy, że potrafi je kiedykolwiek praktycznie spożytkować.

— Doprowadzasz mnie do szału — ucięła Joe, odwracając się tyłem.

Irytował ją ostatnio. On, i ta jego zdolność do chłodnej analizy, którą pokrywa wszelki entuzjazm. Niechby choć raz zdradził się, że jego dusza płonie!

A dla Joe właśnie teraz entuzjazm zdawał się najważniejszą rzeczą na świecie. Uwielbiała bić się o przegrane sprawy, o mniejszości.

Była zapalonym orędownikiem słabych i uciskanych. Inaczej rzecz się miała z Sebastianem. Czowała, że jego interesuje wyłącznie sukces i oskarżała go, w głębi serca, o poddawanie wszystkich i wszystkiego ocenie materialnej. Spędzali ze sobą większość czasu, choć ten czas upływał im na nieustannych słownych potyczkach i sporach.

Vernon także nie pasował do niej duchem. Chciał rozmawiać tylko o muzyce i to o takich jej dziedzinach, na których ona się nie znała.

Vernona całkowicie pochłaniały instrumenty, ich skala i siła głosu.

Najmniej interesował się skrzypcami, na których grała Joe. Joe z kolei, kiedy rozprawiał o klarnetach, puzonach i fagotach, w żaden sposób nie potrafiła dotrzymać mu kroku. Życiową ambicją Vernona stało się zawieranie przyjaźni z muzykami, grającymi na tych instrumentach, a to po to, aby móc skonfrontować teoretyczną wiedzę z praktyką.

— Czy znasz jakichś fagocistów? — zapytał za którymś razem.

Joe odpowiedziała, że nie zna. Na to Vernon, że nie zawadziłoby, gdyby znalazła sobie kilku przyjaciół wśród muzyków. Przynajmniej na coś by mu się przydała.

— I niechby jeden grał na waltorni — sprecyzował łaskawie.

Przesunął kciukiem po krawędzi swojej szklanki z wodą. Joe wzdrygnęła się i zasłoniła uszy dłońmi. Dźwięk potężniał. Vernon uśmiechnął się rozmarzony i pełen zachwytu.

— Powinno się go uchwycić i spożytkować. Zastanawiam się, jak to zrobić. To taki przyjemny, okrągły dźwięk, prawda? Jak koło.

Sebastian odstawił na bok szklankę, a Vernon obszedł dokoła pokój, dzwoniąc eksperymentalnie po różnych pucharach.

— Sporo tu niebrzydkiego szkła — powiedział z uznaniem.

— Zachowujecie się jak pijani marynarze — stwierdziła Joe.

— Nie podoba ci się brzmienie dzwonek i trójkąta? — zapytał

Sebastian. — A do tego parę uderzeń w gong...

— Nie — powiedział Vernon. — Potrzebuję szkła... Gdybym tak dostał

trochę weneckiego i trochę z Waterford... Cieszę się, że masz taki dobry gust, Sebastianie, ale czy jest tu gdzieś trochę zwykłego szkła, które mógłbym rozbić na mnóstwo dzwoniących kawałków? Szkło to cudowny materiał!

— Symfonia na kielichy i puchary — powiedziała z obrażoną miną Joe.

— A dlaczego by nie? Przypuszczam, że ktoś kiedyś naciągnął mocno katgut i zorientował się, że wydaje on piszczący dźwięk, a ktoś inny dmuchnął w kawałek trzciny i odtąd już stale dmuchał. Ciekaw jestem, kiedy po raz pierwszy wzięto się do obróbki miedzi i metalu... na pewno można sobie o tym poczytać w książkach...

— Kolumb i jego jajko. Ty i szklane puchary Sebastiana. A może tabliczki łupkowe i rysiki?

— Gdybyś takie miała...

— Czyż on nie jest przezabawny? — zachichotała Enid, a jej przytłumiony śmiech przerwał rozmowę. Przynajmniej na jedną chwilę.

Nie dlatego, by Vernonowi przeszkadzała jej obecność. Był zbyt pochłonięty swoimi ideami, by przejmować się Enid czy Ethel. Obie mogły się śmiać do woli. Chodziło o to, że niepokoił go brak harmonii między Joe i Sebastianem. Ich troje zawsze tworzyło zgodne trio.

— Nie sądzę, by ta „samodzielność” wychodziła jej na zdrowie —

zwierzył się kiedyś przyjacielowi. — Nic, tylko prycha na wszystko jak rozwścieczona kotka. Nie rozumiem, dlaczego Moja matka na to przystała. Jeszcze pół roku temu była głucha na wszelkie jej prośby.

Może ty jesteś w stanie wyobrazić sobie, co wpłynęło na zmianę jej decyzji, bo ja nie.

Żółta twarz Sebastiana zmarszczyła się w uśmiechu.

— Owszem, domyślam się — powiedział.

— No więc?

— Nie powiem. Po pierwsze mogę się mylić, a po drugie nie lubię ingerować w normalny (być może) bieg wydarzeń.

— Przemawia przez ciebie twoja rosyjska pokrętność.

— Przypuszczam, że tak.

Vernon nie nalegał. Był zbyt leniwy, by dociekać spraw, które nie dotyczyły jego osoby.

Mijał dzień za dniem. Tańczyli, jedli śniadania, pędzili samochodem z niewiarygodną prędkością po okolicznych drogach, przesiadywali godzinami w pokoju Vernona, paląc papierosy, znów tańczyli. Punktem honoru było niespanie.

Kiedyś poszli nad rzekę o piątej rano.

Vernona bolało prawe ramię. Enid przypadła jemu, a Enid była ciężką partnerką w tańcu. Nieważne. Wujek Sydney wyglądał na zadowolonego, a przecież był przyzwoitym gościem. To wspaniale, że złożył mu swoją ofertę. Jaka szkoda, że on, Vernon, nie był bardziej Bentem niż Deyre'em.

W jego duszy odbiły się smutnym echem dawne słowa: „Deyre'owie, Vernonie, ani nie są szczęśliwi, ani do niczego nie dochodzą...”. Kto to powiedział? Kobięcy głos... ogród... kółeczka dymu z papierosa...

— On zasypia! — tym razem był to głos Sebastiana. — Obudź się, stary nicponiu! Ciśnij w niego czekoladą, Enid.

Czekolada przeleciała tuż koło głowy Vernona.

— To przez orzechy nie wcelowałam — zachichotała Enid raz, potem drugi, uważając chyba, że udał jej się niezły żart. Co za nudna dziewczyna, nic tylko chichocze. A poza tym wystają jej zęby.

Wsparł się ciężko na boku. Zwykle nie zwracał uwagi na uroki natury, lecz tego ranka jej piękno wprost go poraziło. Pierwsze świetlne refleksy na rzece, drzewa kwitnące tu i ówdzie wzdłuż brzegów, unoszona wolno z prądem łódź: dziwny, milczący, zaczarowany świat. Zdawało mu się, że nie ma w pobliżu ani jednej żywej istoty.

To ludzkie nieumiarkowanie niszczy ten świat, pomyślał. Ciągłe gadanie, ciągły chichot, ciągle dopytywanie, o czym się myśli, kiedy człowiek pragnąłby chwilę побыć sam.

Wciąż pamiętał tamto uczucie, tamto pragnienie z dzieciństwa: niechby tylko zostawili go samego.

Uśmiechnął się sam do siebie na wspomnienie śmiesznych zabaw, które miał zwyczaj wymyślać. Pan Green! Doskonale pamiętał pana Greena i pozostałych towarzyszy zabaw... jakie nosili imiona, no, jakie...?

Zabawny dziecięcy świat, świat smoków i księżniczek i przemieszanej z nim dziwnie konkretnej rzeczywistości. Jakaś bajka, którą ktoś mu opowiadał... księżę w łachmanach, w małym, zielonym kapelusiku na głowie i księżniczka o włosach, które były tak złociste, że kiedy je czesała, ich blask rozchodził się na cztery królestwa.

Uniósł trochę głowę i powędrował wzrokiem wzdłuż brzegu rzeki. Pod kępą drzew uwiązana była płaskodenna łódź. Było w niej czworo ludzi, lecz Vernon zobaczył tylko jedną postać: dziewczynę w różowej wieczorowej sukni z włosami jak złota przędza, stojącą pod drzewem obsypanym różowym kwieciem.

Patrzył i patrzył.

— Vernon. — Joe szturchnęła go karcąco. — Przecież widzę, że nie śpisz, masz otwarte oczy. Mówimy do ciebie czwarty raz z rzędu.

— Przepraszam. Zapatrzyłem się, o, tam. To dosyć ładna dziewczyna, nie sądzisz? — Starał się, by jego głos brzmiał lekko, zwyczajnie, lecz dusza w nim się buntowała: Ładna? Ona jest śliczna. Jest najpiękniejszą dziewczyną na świecie. Poznam ją. Muszę ją poznać.

Ożenię się z nią...

Joe podparła się na łokciach, popatrzyła i zawołała:

— Ależ to... Nie wierzę własnym oczom... Tak, na pewno. To Nell Vereker...

Niemożliwe! To wprost niemożliwe. Nell Vereker? Błada, chuda Nell, z tym swoim zaróżowionym czubkiem nosa i w wiecznie wykrochmalonych sukienkach? To niemożliwe. Czy czas potrafi robić takie żarty? Jeśli tak, to niczego nie można być pewnym. Tamta Nell sprzed lat i ta Nell, to dwie różne osoby.

Świat zamienił się w sen.

— Jeśli to Nell — mówiła tymczasem Joe — to muszę z nią porozmawiać. Chodźmy tam.

Powitania, okrzyki, zaskoczenie.

— Coś podobnego, Joe Waite. I Vernon! Lata całe, prawda?

Miała bardzo dźwięczny głos. Jej oczy śmiały się do niego odrobinę zalotnie. Urocza... śliczna... śliczniejsza, niż mu się zdawało.

Oniemiały głupiec, mógłby coś z siebie wydusić! Coś błyskotliwego, dowcipnego, ujmującego. Jak błękitne były jej oczy w obramowaniu miękkich, złotobrazowych rzęs. Była jak kwiaty nad jej głową, bez skazy. Jak wiosna.

Ogarnęła go fala zwątpienia. Może wcale za niego nie wyjdzie. Bo i jak to możliwe? Za niego? Za to wielkie, niezdarne stworzenie, które nawet nie potrafi się odezwać? Ona mówi do niego... Na Boga, musi się postarać zrozumieć, co mówi, i odpowiedzieć mądrze.

— Wyjechaliśmy zaraz po was. Ojciec rzucił tamtą pracę.

Dawne plotki wróciły do niego echem. „Vereker został wylany.

Beznadziejnie niekompetentny... nie mogło być inaczej...” Mówiła dalej. Mówiła takim ślicznym, melodyjnym głosem. Powinieneś słuchać głosu, nie słów, powiedział sobie w duchu.

— Mieszkamy w Londynie. Ojciec umarł pięć lat temu.

— Och, wiesz, tak mi przykro, tak strasznie przykro! — Czul się idiotycznie.

— Dam ci nasz adres. Musisz nas odwiedzić.

Miał zwodniczą nadzieję, że spotka ją jeszcze tego wieczoru: dokąd idzie na tańce? Powiedziała mu. Nic z tego. Następnego dnia, dzięki Bogu, będą w tym samym miejscu. Powiedział pośpiesznie:

— Posłuchaj. Zachowaj dla mnie jedna czy dwie kolejki, tylko nie zapomnij! Nie widzieliśmy się od lat.

— Och! Nie wiem, czy mi się uda — odparła niezdecydowanie.

— Zdam się na mnie. W jakiś sposób to urządzą. Wszystko skończyło się zbyt nagle. Towarzystwo powiedziało sobie do widzenia i łódź

ruszyła w górę rzeki.

— Czyż to nie dziwne? — Joe była nieprawdopodobnie rzeczowa. — No bo ktoś by przypuszczał, że Nell Vereker tak korzystnie się zmieni.

Ciekawe, czy nadal jest tą samą niepoprawną oślicą.

Świętokradztwo! Dzielili go od Joe całe oceany. Joe niczego nie rozumie. Czy Nell byłaby gotowa go poślubić? Czy byłaby?

Prawdopodobnie nie zaszczyli go jednym spojrzeniem; przecież muszą się w niej kochać wszyscy po kolei. Vernon czuł się okropnie przybity. Ogarnęła go czarna noc niedoli.

Tańczył z nią. Nigdy sobie nie wyobrażał, że można być tak szczęśliwym. Była w jego ramionach, lekka jak piórko, jak płatek róży. Znów miała na sobie różową sukienkę, choć tym razem inną, zwiewną niby mgła.

Gdyby życie już na zawsze mogło być takie, właśnie takie.

Lecz, oczywiście, z życiem nigdy tak nie bywa. Vernonowi zdawało się, że nie upłynęła sekunda, kiedy muzyka przestała grać i kiedy usiedli na dwóch sąsiadujących ze sobą krzesłach. Chciał powiedzieć jej tysiące rzeczy, niestety, nie wiedział, od czego zacząć. Jak przez mgłę docierały do niego własne niedorzeczne słowa o muzyce, o podłodze.

Głupiec, nieznośny głupiec! Za kilka minut miał się zacząć następny taniec. Za kilka chwil ktoś gotów mu ją porwać. Musi coś zaplanować, coś, co pozwoli na kolejne spotkanie.

Nell mówiła. Padały słowa bez związku, jak zwykle między jednym a drugim tańcem. Londyn, pora roku. Strach pomyśleć, ona chodzi na tańce wieczór po wieczorze, czasami aż trzy razy w ciągu jednego wieczoru, a on ma kulę u nogi w postaci Enid. Może wyjść za kogoś; jakiś bogaty, zdolny, dowcipny gość skorzysta z okazji i skwapliwie wyrwie mu ją z rąk.

Mamrotał coś o pobycie w Londynie. Podała mu adres. Jej matka byłaby rada go znów zobaczyć. Zapisał adres.

Odezwała się muzyka.

— Nell — powiedział rozpaczliwie. — Posłuchaj, Nell. Chyba wolno mi będzie cię odwiedzić, prawda?

— No chyba — zaśmiała się. — Pamiętasz, jak przeciągałeś mnie przez ogrodzenie, tamtego dnia, kiedy zdawało nam się, że uciekamy przed nosorożcem?

A on myślał, że jest nieznośna, pamięta to dobrze. Nell!

Nieznośna! Mówiła dalej:

— Byłeś cudowny, tak właśnie o tobie myślałam. Myślała? Naprawdę?

Ale na pewno teraz tak nie myśli. Znów opanowało go uczucie przygnębienia.

— Ja... ja byłem okropnym małym niedorajdą, tak przypuszczam —

mruknął. Dlaczego brakuje mu inteligencji, błyskotliwości, dlaczego nie mówi czegoś dowcipnego?

— Och, byłeś kochany. Sebastian nie zmienił się bardzo, prawda?

Sebastian. Nazwała go po imieniu. Cóż, jego też nazywa po imieniu.

Jakie to szczęście, że Sebastian nie zauważa nikogo poza Joe.

Sebastian ze swoimi pieniędzmi i rozumem. Czy spodobałby się Nell?

Ciekawe...

— Jego uszu nie da się zapomnieć! — zaśmiała się Nell.

Vernonowi zrobiło się lżej na duszy. Zdążył się już przyzwyczać do uszu Sebastiana. Niemożliwe, by zakochała się w nim dziewczyna, która zauważa jego uszy. Ani ta, ani żadna inna. Stary poczciwiec; dość parszywe szczęście, mieć takie uszy.

Spostrzegł nadchodzącego partnera Nell i wyrzucił z siebie jednym tchem:

— Słuchaj, Nell, to cudowne znów cię widzieć. Nie zapomnij o mnie, obiecujesz? Pokażę się w mieście. To cudowne znów cię widzieć. — (O, cholera, już raz to powiedziałem!) — To znaczy... to jest po prostu bycze. Nie masz pojęcia. Ale nie zapomnisz, prawda?

Odeszła. Zobaczył, jak wiruje w ramionach Barnarda. Niemożliwe, by Barnard się jej podobał. Nie, chyba nie. Barnard to przecież skończony osioł.

Jej oczy spotkały się z jego nad ramieniem tancerza. Uśmiechnęła się.

Znów był w niebie. Lubi go, na pewno go lubi. Uśmiechnęła się...

Tydzień regat wiosennych minął. Vernon siedział przy stole i pisał.

Drogi wujku Sydneyu, przemyślałem Twoją propozycję i chciałbym przystąpić do Benta, jeśli nadal jesteś temu przychylny. Obawiam się, że nie będziesz miał ze mnie wiele korzyści, ale postaram się spełnić twoje oczekiwania. Wciąż uważam, że to niezwykła dobroć z twojej strony.

Przerwał. Sebastian chodził tam i z powrotem, tam i z powrotem.

Jego kroki wyprowadzały Vernona z równowagi.

— Na litość boską, usiądźże wreszcie — powiedział poirytowanym głosem. — Co się z tobą dzieje?

— Nic.

Sebastian usiadł, okazując tym samym niezwykłą, jak na niego, uległość. Nabił i zapalił fajkę, następnie, kryjąc się za mgiełką dymu, powiedział:

— Posłuchaj, Vernonie. Wczoraj wieczorem poprosiłem Joe o rękę.

Odmówiła mi.

— Och! Parszywe szczęście! — powiedział Vernon, starając się skupić na słowach przyjaciela i okazać mu współczucie. — Może zmieni zdanie — dodał wymijająco. — To typowe dla dziewcząt.

— To przez te cholerne pieniądze — rzucił Sebastian ze złością.

— Jakie znów cholerne pieniądze?

— Nie jakie, tylko czyje. Moje. Kiedy byliśmy dziećmi, Joe zawsze mówiła, że wyjdzie za mnie. Lubiła mnie, jestem tego pewien. A teraz...

teraz wszystko, co powiem czy zrobię, jest złe. Gdybym był

prześladowany, źle traktowany czy niepożądany w towarzystwie, wierzę, że poślubiłaby mnie piorunem. Ona zawsze musi być po stronie różnych straceńców. To swego rodzaju kapitalna cecha charakteru, lecz w krańcowych sytuacjach często okazuje się diabelnie nielogiczna. Joe jest nielogiczna.

— Hm... — Vernon mruknął niewyraźnie.

Był samolubnie skupiony na swoich sprawach. Zdawało mu się, że Sebastian przesadza, upierając się przy ożenku z Joe. Jest przecież tyle innych dziewcząt, na pewno wybrałby sobie całkiem niegorszą.

Przeczytał list do wujka Sydneya i dodał kolejne zdanie.

Będę harował jak wół.

ROZDZIAŁ CZWARTY

— Potrzebujemy innego mężczyzny — powiedziała pani Vereker. — Jej brwi, lekko podmalowane, ściągnęły się w prostą linię. — Ten nieznośny młody, Wetherill zawiódł nas — dodała.

Nell skinęła apatycznie głową. Siedziała na poręczy fotela, jeszcze nie ubrana. Złote włosy spływały falą na blad różowe kimono.

Wyglądała bardzo ładnie, bardzo młodo i bardzo bezbronne.

Pani Vereker, siedząc przy intarsjowanym biurku, jeszcze bardziej ściągnęła brwi i w zamyśleniu ogryzała koniec obsadki. Twardość, cecha charakteru, o którą zwykle ją podejrzewano, teraz uzewnętrzniła się w sposób jawny i nie kontrolowany. Ta kobieta ciągle walczyła z życiem, a tym razem przystępowała do ostatecznej rozgrywki.

Wynajmowała cały dom, którego nie była w stanie utrzymać. Ubierała córkę w stroje, za które nie miała czym płacić. Brała rzeczy na kredyt i to nie jak niektórzy, wyłudzając go pochlebstwami, lecz wykazując się niezwykłą energią i stanowczością. Nigdy nie uciekała się do próśb wobec wierzycieli; ona ich zastraszała.

W rezultacie Nell bywała wszędzie i robiła wszystko to, co robią dziewczyny w jej wieku, a przy tym nosiła piękniejsze stroje.

— Śliczna panna — powiadały krawcowe, co spotykało się z potwierdzeniem i uznaniem w oczach pani Vereker.

Dziewczyna tak urodziwa, tak ładnie się prezentująca, powinna znaleźć sobie męża w pierwszym sezonie, a już na pewno w drugim, a potem... potem nic, tylko zbierać obfite żniwo. Krawcowe były przyzwyczajone do tego rodzaju ryzyka. Panna śliczna, madame, jej matka, kobieta światowa, taka (to się rzucało w oczy), której wszystko się udaje. Na pewno dopilnuje, by jej córka zrobiła dobrą partię i by nie poślubiła byle kogo.

Nikt poza panią Vereker nie zdawał sobie sprawy z ewentualnych trudności, niepowodzeń czy wręcz dotkliwych porażek kampanii, którą prowadziła.

— Jest młody Earnescliff — powiedziała w zamyśleniu. — Lecz doprawdy, moja droga, ten człowiek za bardzo odstaje od towarzystwa i nawet pieniądze za nim nie przemawiają.

Nell przyglądała się swoim różowym, wypolerowanym paznokciom.

— A co powiesz o Vernonie Deyrze? — zapytała od niechcienia. —

Pisze, że będzie w mieście pod koniec tygodnia.

— Niczego sobie — stwierdziła pani Vereker i nagle zmierzyła córkę ostrym wzrokiem. — Nell, chyba nie zamierzasz zgłupieć z powodu tego młodego człowieka? Zdaje się, że ostatnio dość często

go widywałyśmy.

— Vernon dobrze tańczy, no i w ogóle jest taki użyteczny.

— Tak, istotnie. A szkoda.

— Dlaczego szkoda?

— Dlatego, że nie jest majątny. Powinien się ożenić z pieniędzmi, jeśli ma zamiar utrzymać Moźne Opactwa. Posiadłość jest zadłużona, już ja to wiem. Naturalnie, po śmierci matki... Tylko że pani Deyre należy do tych dużych, zdrowych kobiet, które dożywają osiemdziesiątki albo i dziewięćdziesiątki. A poza tym, może powtórnie wyjść za mąż. Nie, Vernona Deyre'a nie można traktować jako kandydata na męża. A tak jest w tobie zakochany, biedactwo.

— Tak sądzisz? — cicho spytała Nell.

— Oczywiście, nawet ślepy by to zauważył. Zawsze tak się dzieje z chłopcami w jego wieku. Muszą przejść przez ciejącą miłość jak przez chorobę. Ale nie życzę sobie żadnych głupstw z twojej strony, Nell.

— Och, mamó, to tylko chłopiec, bardzo miły, ale chłopiec.

— Jest przystojny — powiedziała matka oschle. — Ja tylko cię ostrzegam. Kiedy nie można mieć mężczyzny, którego się pragnie, zakochanie bywa bolesne. Lecz bywa gorzej...

Przerwała. Nell doskonale wiedziała, jakim torem biegną jej myśli.

Kapitan Vereker był swego czasu przystojnym, niebieskookim, ubogim młodym podoficerem. Jej matka popełniła to szaleństwo, że wyszła za niego z miłości. Gorzko przeklinała dni swego zaślepienia. Mężczyzna słaby, wykolejony, pijak. Nic dodać, nic ująć: absolutne rozczarowanie.

— Dobrze mieć pod ręką kogoś, kto jest ci oddany — uznała pani Vereker, wracając do swego praktycznego punktu widzenia. — Co nie znaczy, oczywiście, że taki ktoś miałby ci popsuć widoki na poznanie innych mężczyzn. Wiem, że jesteś wystarczająco mądra: nie pozwolisz, by Vernon Deyre zawładnął tobą aż do tego stopnia. Proszę bardzo, zaprosz go na następną sobotę do Ranelagh, na obiad.

Nell skinęła głową. Poszła do swojego pokoju, zrzuciła z siebie powłóczyście kimono i zaczęła się ubierać. Wyszczotkowała twardą szczotką długie, złote włosy, a następnie owinęła je wokół malej, zgrabnej głowy.

Okno było otwarte. Okopcony londyński wróbel zaczął głośno z typową dla swego gatunku arogancją. Coś chwyciło Nell za serce. Och, dlaczego wszystko jest takie... takie...

Jakie? Nie umiała nazwać uczucia, które ją ogarnęło. Dlaczego świat jest tak okropny? Dlaczego życie nie składa się z samych miłych rzeczy? Wszak dla Boga to nic trudnego. Nell obce były dłuższe rozmyślenia o Bogu, lecz wiedziała, że Bóg istnieje. Być może, w sobie tylko wiadomy sposób,

mógłby przyczynić się do tego, by jej sprawy potoczyły się we właściwym kierunku.

W Nell Vereker, tego letniego poranka w Londynie, było coś z dziecka...

Vernon był się w siódmym niebie. Tego ranka miał szczęście spotkać w parku Nell, a teraz czekał go wspaniały wieczór! Jego szczęście było tak wielkie, że prawie odczuwał tklivość dla pani Vereker.

Zamiast mówić sobie, jak to było w jego zwyczaju: „Ta kobieta to megiera!”, przyznawał w duchu, że może, mimo wszystko, nie jest aż taka zła. W końcu ma na względzie dobro Nell.

Podczas obiadu obserwował resztę zgromadzonego przy stole towarzystwa. Była tam jakaś nieciekawa, ubrana na zielono dziewczyna, stworzenie niegodne uwagi w obecności Nell, a także wysoki, przystojny mężczyzna, jakiś major, którego wieczorowy strój był bez zarzutu i który dużo mówił o Indiach. Próżny nie do wytrzymania.

Vernon od razu go znenawidził. Chętny, popisujący się pyszałek!

Wokół serca Vernona zacisnęła się żelazna obręcz. Nell gotowa poślubić tego nudziarza i wyjechać do Indii. Wiedział to, po prostu wiedział. Tego wieczoru powinien był bawić dziewczynę w zielonej sukni, lecz nie miał na to najmniejszej ochoty. Jej wszystkie wysiłki, mające na celu rozruszanie go, kwitował monosylabami.

Drugi mężczyzna był starszy, Vernonowi wydawało się, iż jest bardzo stary. Sztwywny i wyprostowany. Siwe włosy, niebieskie oczy, kanciasta, stanowcza twarz. Okazało się, że jest Amerykaninem, choć nikt by na to nic wpadł, gdyż mówił bez śladu obcego akcentu.

Pedantycznie cedził słowa. Sprawiał wrażenie bogatego. Bardzo odpowiedni towarzysz dla pani Vereker, ocenił go Vernon. Mogłaby sobie wyjść za niego, a wtedy, prawdopodobnie, przestałaby się zamartwiać przyszłością córki i zmuszać ją do tak szaleńczego trybu życia.

Pan Chetwynd zdawał się wprost zachwycony Nell, w czym nie było niczego nienaturalnego, i raz czy dwa obdarzył ją dość staroświeckim komplementem. Siedział między obiema paniami Vereker.

— Musi pani tego lata przywieźć Nell do Dinard, pani Vereker —

mówił właśnie. — I to koniecznie. Wybieramy się tam całym towarzystwem. Wspaniała miejscowość.

— To brzmi niezwykle zachęcająco, panie Chetwynd, lecz nie wiem, czy damy radę. Zdaje się, że obiecałyśmy już parę wizyt, no i poza tym...

— Wiem, że trudno znaleźć paniom czas, bo zwykle są panie rozrywane. Mam nadzieję, że córka nie słyszy moich gratulacji: jest pani matką piękności sezonu.

— A ja mówię do stajennego...

To był głos majora Dacre'a.

Wszyscy Deyre'owie byli żołnierzami. Dlaczego on nim nie został, zamiast wchodzić w interes w Birmingham? Zaśmiał się sam do siebie.

Taka zazdrość jest wprost absurdalna. Czy istnieje nędzniejsza postać niż pozbawiony środków do życia podoficer? Wtedy już w ogóle nie miałby szans u Nell.

Amerykanie są na ogół gadatliwi; już go męczyło wsłuchiwanie się w głos Chetwynda. Niechby wreszcie skończył się ten obiad! Niechby on i Nell poszli na spacer pod drzewami.

Ale o spacer z Nell nie było łatwo. Pani Vereker nie odstępowała go na krok, wypytywała o matkę, o Joe, a on, niestety, nie dorównywał

jej w taktyce. Musiał, udając zadowolenie, tkwić u jej boku. Jediną pociechą było to, że Nell szła ze starszym panem, z Chetwyndem, nie z majorem Dacre'em.

Nieoczekiwanie napotkali grupę przyjaciół. Wszyscy przystanęli i wywiązała się ogólna rozmowa. To była jego szansa. Znalazł się u boku Nell.

— Chodź ze mną, proszę. Prędko... teraz.

Udało mu się. Miał ją tylko dla siebie. Ruszył przed siebie tak szybko, że Nell musiała prawie biec, by dorównać mu kroku, jednak nie protestowała ani nic robiła sobie z tego żartów.

Głosy całego towarzystwa pozostawały coraz bardziej z tyłu. Na ich odległym tle wybijał się inny dźwięk — przyspieszony, nierówny oddech Nell. Czyżby z powodu szybkiego marszu? Miał nadzieję, że nie. Zaczął

zwalniać. Byli teraz sami, sami na całym świecie. Bardziej sami nie mogliby być, Vernon czuł to, nawet na bezludnej wyspie.

Musi coś powiedzieć, coś banalnego, jakiś frazes. W przeciwnym razie skłonna wrócić do innych, a on tego by nie zniósł. Szczęśliwie Nell nie wie, jak mocno bije mu serce i jak podchodzi aż do gardła.

— Wiesz, wszedłem w interes wujka — powiedział, nie tracąc czasu.

— Wiem. I co, jesteś zadowolony?

Łagodny, opanowany głos. Ani śladu wzruszenia.

— Niezbyt. Choć spodziewałem się, że będę.

— Polubisz swoją pracę, kiedy się jej dokładnie przyjrzysz.

— Nie sądzę. Odlewamy guziki.

— Och, rozumiem, rzeczywiście nie ma się czym emocjonować. —

Nastąpiła krótka pauza, po której Nell zapytała, bardzo cicho: —

Bardzo tego nienawidzisz, Vernonie?

— Chyba tak.

— Tak mi przykro. Rozumiem, jak się czujesz. — Kolejna pauza, jedna z takich, które aż pęcznieją od nie wypowiedzianych uczuć. Nell wyglądała na przestraszoną. Powiedziała pośpiesznie:

— Czy to prawda, że pochłania cię muzyka?

— Tak, lecz już dałem sobie z nią spokój.

— Dlaczego? Nie żal ci?

— Muzyka jest rzeczą, na której mi zależy najbardziej na świecie.

Ale nic mi po niej. Muszę w jakiś sposób zdobyć pieniądze... — Czy powinien jej powiedzieć? Czy to właściwy moment? Nie, nie ośmieli się, po prostu się nie ośmieli. Wyrzucił z siebie: — Widzisz, Moźne Opactwa... pamiętasz Moźne Opactwa?

— Ależ tak. No i rozmawialiśmy o nich przed paru dniami.

— Przepraszam. Nie najlepiej się spisuję dzisiaj wieczoru.

Wiesz, tak strasznie chciałbym znów w nich zamieszkać.

— Uważam, że jesteś cudowny.

— Cudowny?

— Tak. Porzucić to, co ci najbardziej leży na sercu i podjąć się nieciekawej pracy, to wymaga hartu ducha.

— Jakże się cieszę z tego, co mówisz. Wprost odmienia mi się świat.

— Naprawdę? — powiedziała Nell bardzo cicho. — To miło.

Powinnam wracać, pomyślała. Mama będzie bardzo zła. Co ja wyprawiam? Powinnam wrócić i słuchać tego, co mówi George Chetwynd.

Że też musi być taki nudny. Och, Boże, spraw, by mama się na mnie nie gniewała.

Szła dalej u boku Vernona. Czowała, że nie może złapać tchu, czowała się dziwnie, co się z nią dzieje? Niechby Vernon coś powiedział. O

czymże on myśli? Siłąc się na obojętny ton, zapytała:

— Co u Joe?

— Och, to artystyczna dusza, przynajmniej w chwili obecnej.

Dlaczego nie miałybyście się widywać od czasu do czasu, teraz, kiedy obie jesteście w Londynie?

— Chyba ją gdzieś raz spotkałam. To wszystko. — Dodała, raczej niepewnie: — Joe chyba mnie nie lubi.

— Nonsens. Oczywiście, że lubi.

— Nie, ona uważa, że jestem pusta, że interesują mnie jedynie towarzyskie spotkania: potańcówki i przyjęcia.

— Nikt, kto cię zna naprawdę, nie mógłby tak pomyśleć.

— No, nie wiem. Czasami samej mi się zdaje, że jestem głupia.

— Ty?! Niemożliwe!

Ten ciepły, pełen niedowierzania głos. Kochany Vernon. A więc aż tak dobrze o niej myśli. Mama miała rację.

Doszli do małego mostku nad strumykiem i przystanęli na nim tuż obok siebie. Spojrzeli w dół, na wodę.

— Piękny zakątek — powiedział Vernon zdławionym głosem.

— Tak.

To się zbliżało... było tuż— tuż. Sama nie wiedziałaby, jak to nazwać, ale tym czymś było uczucie. Świat wokół nich zastygł w nagłej ciszy, jakby zbierając się do skoku.

— Nell...

Dlaczego zatrzęśły się pod nią kolana? Dlaczego jej głos był tak odległy?

— Tak?

Czy to ona wypowiedziała to krótkie „tak”?

— Och, Nell...

Musiał to powiedzieć. Musiał.

— Tak bardzo cię kocham, tak bardzo...

— Naprawdę?

Czy to były jej słowa? Co też ona wygaduje! Takie idiotyzmy!

„Naprawdę?” Że też jej głos musi brzmieć tak sztywno i nienaturalnie.

Jego dłoń odnalazła jej dłoń. Jego była gorąca, jej zimna.

Zadrżeli oboje.

— Czy mogłabyś... czy ty też... jak ci się zdaje, czy pokochasz mnie kiedykolwiek?

— Nie wiem — odparła, nie zastanawiając się nad tym, co mówi.

Stali nadal, nieporadni jak dzieci, ręka w rękę, zatraceni w uniesieniu, które graniczyło ze strachem. Coś musi się wydarzyć, i to wkrótce. Nie wiedzieli, co.

Z ciemności wyłoniły się dwie postaci, jedna śmiała się gardłowo, druga chichotała.

— A więc tu jesteście! Jakie romantyczne miejsce! Dziewczyna w zielonej sukience i ten osioł Dacre. Nell, zachowując zimną krew, odpowiedziała coś zuchwale. Wychyliła się z cienia w księżycowy blask, spokojna i opanowana. Ruszyli dalej razem, nawzajem sobie przygadując. Na jednym z trawników natknęli się na George’a Chetwynda i panią Vereker. Pan Chetwynd wyglądał bardzo ponuro, a przynajmniej tak się zdawało Vernonowi.

Pani Vereker była wobec niego wyraźnie niemila, a sposób, w jaki go pożegnała, świadczył o narastającej w niej agresji.

Vernon nie dbał o to. Wszystko, czego pragnął, to odejść i zatracić się we wspomnieniach.

Powiedział jej... powiedział. Zapytał, czy ona go kocha, tak, naprawdę, odważył się na to, a ona zamiast go wyśmiać, odrzekła „nie wiem”. A to przecież znaczyło... to znaczyło... Och! Nie do uwierzenia!

Nell, czarodziejka Nell, tak cudowna, tak niedostępna. Kochała go, a jeśli nie, to skłonna była pokochać.

Chętnie szedłby przed siebie aż do świtu, lecz pociąg do Birmingham odjeżdżał równo o północy. Diabli nadali! Gdybyż tak mógł

spacerować, i to do rana. W małym, zielonym kapelusiku i z czarodziejską fujarką, niby księżę z bajki!

Nagle to wszystko usłyszał. Usłyszał muzykę. Była w niej i wysoka wieża, i kaskada złotych włosów księżniczki, i tajemniczy, monotony ton fujarki księcia, wywołujący księżniczkę z jej wieży...

Wbrew pierwotnym koncepcjom Vernona ta muzyka była w zgodzie z uznanymi kanonami i nie wychodziła za daleko poza klasyczne ramy, chociaż jednocześnie jej duchowy obraz pozostawał nie zmieniony.

Słyszał muzykę z wieży — delikatne pobrzękiwanie klejnotów księżniczki — a także wesołe, nieokiełznane, swawolne tony fujarki księcia wagabundy: „Wyjdź, moja ukochana, wyjdź do mnie...” Szedł przez opustoszałe, szare ulice Londynu jak przez zaklęty świat, aż wreszcie zamajaczyła przed nim ciemna bryła dworca Paddington. W pociągu nie spał. Zamiast tego, na odwrocie koperty, zapisywał mikroskopijne nuty. „Trąbki”, „waltornie”, „oboje altowe”, a obok nich linie i luki, co w jego rozumieniu miało odtwarzać to, co usłyszał.

Był szczęśliwy...

— Wstyd mi za ciebie. Co też ty sobie myślisz?

Pani Vereker była bardzo zła. Nell stała przed nią, oniemiała, lecz śliczna jak zawsze. Matka wypowiedziała jeszcze kilka innych zjadliwych, ostrych słów, następnie zawróciła na pięcie i nie mówiąc dobranoc, opuściła pokój.

Dziesięć minut później, kończąc przygotowania do snu, pani Vereker roześmiała się sama do siebie, ponuro. Niepotrzebnie tak się złościła na to dziecko, pomyślała. W istocie to dobrze podzielała na George'a i Chetwynda. Obudzi go. Jemu potrzebny jest wyraźny bodziec.

Zgasiła światło i zadowolona z siebie, zasnęła.

Nell leżała podniecona. Wciąż od nowa odtwarzała wydarzenia minionego wieczoru, próbując przywołać w pamięci każde muśnięcie dłoni i każde wypowiedziane słowo. Co powiedział Vernon? Co ona odpowiedziała? Dziwne, że nie mogła sobie przypomnieć.

Zapytał ją, czy go kocha... a ona? Co ona na to? Tak, ona nie wiedziała, co odpowiedzieć. Lecz w ciemnościach nocy tamta scena jeszcze raz wyrosła przed jej oczami... czuła dotyk ręki Vernona, słyszała jego głos, ochryply i niepewny. Opuściła powieki i zatraciła się w zachwycającym sennym marzeniu.

Miłość jest tak rozkoszna... tak rozkoszna...

ROZDZIAŁ PIĄTY

— A więc nie kochasz mnie!

— Och, skądże, Vernonie, kocham. Gdybyś tylko postarał się mnie zrozumieć.

Patrzyli na siebie nieszczęśliwym wzrokiem, oszołomieni tym, że nagle coś między nimi pękło, porażeni niespodziewanym kaprysem życia.

Minutę wcześniej byli ze sobą tak blisko, że zdawało się, iż nikt i nic ich nie rozdzieli, teraz, żli i każde zranione brakiem zrozumienia ze strony tego drugiego, stanowili dwa odległe bieguny.

Nell odwróciła się z ukłuciem rozpaczony w sercu i zagłębiła w fotelu.

Dlaczego tak się dzieje? Dlaczego nic nie jest tak, jak być powinno? Dlaczego nic nie trwa wiecznie? Choćby tamten wieczór w Ranelagh, choćby tamta noc po nim, kiedy to leżała rozbudzona, oddając się błogim marzeniom. Tamtej nocy wiedziała, że jest kochana.

Tamtej nocy nawet jadowite słowa matki chybiały celu, jakby matka rzucała je z najdalszej dali: nie były w stanie przebić się przez jedwabną pajęczynę marzeń.

Następnego ranka obudziła się szczęśliwa. Matka wyglądała na zadowoloną i nie wracała do wydarzeń minionego wieczoru. Pograżona w sekretne myśli Nell wykonywała zwykłe czynności: rozmawiała z przyjaciółmi, spacerowała po parku, jadła, piła i tańczyła. Nikt, tego była pewna, niczego po niej nie zauważył, lecz jej samej nie opuszczała świadomość, że pod powierzchnią codziennych zdarzeń, kłębi się jakiś drugi nurt. W pewnej chwili, zasłuchana w odległe słowa:

„Och, Nell, tak bardzo cię kocham...”, zgubiła wątek w rozmowie. Blask księżycy na mrocznej wodzie. Jej dłoń w jego dłoni... Zadrżała. Trzeba czyni prędzej przywołać się do porządku, trzeba się śmiać, trzeba paplać, jak gdyby nic się nie stało. Och, jak bardzo człowiek może być szczęśliwy, jak bardzo szczęśliwa jest ona sama.

Potem zaczęła rozważać, czy to możliwe, by Vernon do niej napisał.

Czekała nadejścia poczty, a kiedy listonosz pukał do ich drzwi, jej serce leciutko drżało. Napisał. List nadszedł następnego dnia.

Schowała go pod stertę innych i przetrzymała w tajemnicy aż do wieczora. Dopiero gdy położyła się do łóżka, z głośno bijącym sercem otworzyła go.

Och, Nell... och, kochana Nell! Czy naprawdę tak myślałaś? Napisałem do Ciebie trzy listy i wszystkie podarłem. Tak bardzo się boję powiedzieć Ci coś, co mogłoby Cię rozgniewać. Bo może jednak, mimo wszystko, pomyliłem się. Ale myślałaś tak, prawda? Jesteś taka urocza, Nell, a ja kocham Cię ogromnie. Mysie o Tobie nieustannie, cały czas. Mylę się w biurze okropnie, a to dlatego, że myślę o tobie. Lecz... och, Nell, wierz mi, zamierzam ciężko pracować. Tak szalenie

chciałbym cię zobaczyć. Kiedy mogę przyjechać do Londynu?

Kochana, kochana Nell, pragnę powiedzieć Ci tak wiele, tak wiele... a nie mogę pozwolić sobie na to w liście, zresztą pewnie bym cię zanudził. Napisz, kiedy mógłbym Cię zobaczyć. Tylko proszę, prędko.

Gdybym nie miał nadziei, że wkrótce Cię zobaczę, chyba bym oszalał.

Twój na zawsze

Vernon

Czytała wciąż i wciąż, włożyła list pod poduszkę na czas snu, czytała od nowa następnego ranka. Była tak bardzo szczęśliwa, tak niezwykle szczęśliwa. Nim minął dzień, już zasiadła do pisania. Kiedy jednak pióro znalazło się w jej ręce, poczuła się sztywno i niezręcznie. Nie wiedziała, jak zacząć.

Drogi Vernonie...

Czy to nie głupio? Może powinna napisać „Najdroższy Vernonie”?

Och, nie, nie mogłaby, nie mogła.

Drogi Vernonie, dziękuje Ci za list.

Długa przerwa. Gryzła trzonek obsadki i wpatrywała się w udęce w drzwi przed sobą.

W piątek wybieramy się w kilka osób do Howardów na tańce. Może i ty byś poszedł? Jeśli tak, to najpierw przyjdź do nas na obiad. O

ósmej.

Dłuższa przerwa. Powinna coś powiedzieć. Chciała coś powiedzieć.

Pochyliła się i napisała porywczo:

Ja też pragnę cię zobaczyć... bardzo pragnę. Twoja Nell.

Odpisał:

Droga Nell, przyjdę z przyjemnością. Wielkie dzięki. Twój Vernon.

Czytając jego list, wpadła w panikę. Czyżby poczuł się dotknięty?

Czy spodziewał się, że napisze mu więcej? Szczęście pierzchnęło.

Leżała, nie mogąc zmrużyć oka, przygnębiona, pogrążona w niepewności, obwiniając samą siebie za to, że być może popełniła błąd. Potem nadszedł piątkowy wieczór. Już od pierwszej chwili, kiedy go

ujrzała, wiedziała, że wszystko jest w porządku. Ich oczy spotkały się przez całą szerokość pokoju. Świat na powrót rozpromienił się szczęściem.

Nie siedzieli obok siebie przy obiedzie. Dopiero przy trzecim tańcu u Howardów dane im było porozmawiać ze sobą dłużej. Krążyli wokół zatłoczonego pokoju, w takt spokojnego, sentymentalnego walca.

Vernon wyszeptał:

— Chyba nie poprosiłem o zbyt wiele tańców?

— Nie.

Dziwne, że, w obecności Vernona, tak trudno jej było wydusić z siebie choćby słowo. Kiedy muzyka zamilkła, przytrzymał ją chwilę dłużej, niż to było konieczne. Jego palce zacisnęły się wokół jej dłoni. Patrzyła na niego i uśmiechała się. Oboje nie posiadali się ze szczęścia. Po kilku minutach tańczył z inną dziewczyną, a Nell krążyła w objęciach George'a Chetwynda. Kiedy ich oczy się spotykały, oboje nieśmiało się do siebie uśmiechali. Ich sekret był taki cudowny, taki cudowny...

Podczas następnego wspólnego tańca Vernon był już w innym nastroju.

— Nell, kochanie, czy jest tu jakieś miejsce, gdzie dałoby się spokojnie porozmawiać? Mam ci całą masę rzeczy do powiedzenia. Cóż to za dziwaczne mieszkanie, nawet nie ma dokąd pójść.

Ruszyli schodami, które pięły się wyżej i wyżej, jak to bywa w londyńskich domach, wciąż jednak trudno im było uwolnić się od niechcianego towarzystwa. W końcu zauważyli żelazną drabinę, prowadzącą na dach.

— Idziemy, Nell? Nie zniszczysz sobie sukienki?

— Nie dbam o sukienkę.

Vernon ruszył pierwszy, otworzył klapę, wspiął się ponad nią i przyklęknął, by pomóc Nell. Dotarła do niego bezpiecznie.

Wreszcie byli sami. Popatrzyli w dół na Londyn i bezwiednie przysunęli się, jedno do drugiego. Ich dłonie odnalazły się.

— Nell... kochanie...

— Vernon... — szepnęła załamującym się głosem.

— Czy to prawda? Kochasz mnie?

— Tak, kocham cię.

— To zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Och, Nell, tak bardzo chciałbym cię pocałować.

Obróciła ku niemu twarz. Pocałowali się, nieco niepewnie i nieśmiało.

— Jakże delikatna, jakże urocza jest twoja twarz — wymruczał

Vernon.

Nie zważając na brud i sadzę, przysiedli na jakimś małym występie muru. Wziął ją w ramiona, a ona zbliżyła swą twarz ku jego twarzy.

— Naprawdę cię kocham, Nell. Kocham tak bardzo, że aż się boję ciebie dotknąć.

Nie chciała niczego rozumieć; wszystko zdawało się takie odmienne, takie dziwne. Przysunęła się odrobinę bliżej. Ich pocałunki dopełniły czaru tej nocy.

Wreszcie oprzytomnieli. Przebudzili się ze swego szczęśliwego snu.

— Och, Vernonie, zdaje mi się, że jesteśmy tu od wieków!

Z niespokojnym sumieniem pośpieszyli do klapy w dachu. Na podeście poniżej Vernon zlustrował Nell wzrokiem.

— Chyba usiadłaś na sadzy, Nell.

— Naprawdę? To okropne.

— Moja wina, kochanie. Och, Nell, chyba warto było, prawda?

Uśmiechnęła się łagodnie, uszczęśliwiona.

— Tak, warto było — szepnęła.

Kiedy zeszli na dół, zapytała go ze śmiechem.

— O jakiej to masie rzeczy chciałeś mi powiedzieć? Roześmiali się oboje. Oboje rozumieli się doskonale; nie potrzebne im były słowa ni wyjaśnienia. Ukradkiem zmieszali się z tańczącymi parami — opuścili aż sześć kolejek.

Cudowny wieczór. Nell, zasypiając, marzyła o dalszych pocałunkach.

Zadzwonił następnego ranka, w sobotę.

— Chcę z tobą porozmawiać. Czy mógłbym wpaść na chwilę?

— Och, kochany, nic z tego. Właśnie wychodzę, żeby się z kimś spotkać. Nie mogę się wykręcić.

— Dlaczego?

— Nie wiem, co powiedzieć mamie.

— Nic jej nie powiedziałaś?

— Och, skądże!

Vernona zastanowiła gwałtowność, z jaką padło krótkie „Och, skądże!” Biedne maleństwo, pomyślał. Oczywiście, że nie powiedziała.

— Czy nie lepiej, żebym ja to zrobił? Przyszedłbym choćby zaraz.

— Och, nie, Vernonie. Najpierw sami musimy porozmawiać.

— W porządku. Zatem kiedy?

— Sama nie wiem. Jemy z kimś lunch, potem wybieram się na popołudniowy seans, a wieczorem do teatru. Powiedz mi o swoich planach na ten weekend, a ja już coś wymyślę.

— Może zobaczymy się jutro?

— Cóż, najpierw kościół...

— Świetnie! Nie idź do kościoła. Powiedz, że boli cię głowa, albo wymyśl cokolwiek. Przyjdę do ciebie. Porozmawiamy, a kiedy twoja matka wróci z kościoła, rozmówię się z nią.

— Och, Vernonie, nie sądzę, bym mogła...

— Ależ tak, możesz. Rozłączam się, bo za chwilę znajdziesz kolejną wymówkę. Jutro o jedenastej.

Odłożył słuchawkę. Nawet nie wiedziała, gdzie się zatrzymał.

Wzbudził w niej zachwyt swym męskim zdecydowaniem, choć jednocześnie bała się, by nie zepsuł wszystkiego nadmiernym pośpiechem.

No i oto byli w samym środku gorącej dyskusji. Nell błagała go, aby niczego nie mówił jej matce.

— Wszystko zepsujesz. Nie pozwoli nam na to.

— Na co?

— Widywać się, no i w ogóle.

— Ależ, Nell, kochanie, przecież chcę się z tobą ożenić. Przecież ty chcesz wyjść za mnie. Chcę się z tobą ożenić tak prędko, jak to będzie możliwe.

Zaczęła odczuwać rozdrażnienie. Czy on nie może niczego zrozumieć?

Niecierpliwi się jak każdy chłopiec.

— Zauważ, że nie mamy pieniędzy.

— Nie musisz mi o rym przypominać. Sam wiem. Wiem i zamierzam ciężko pracować. Chyba nie masz nic przeciwko ubóstwu? Odpowiedz...

Odpowiedziała zgodnie z jego oczekiwaniami, jednak była świadoma, że nie jest szczerą do końca. To straszne być biednym. Vernon nie miał o tym zielonego pojęcia. Nagle poczuła, że jest od niego o całe lata starsza i o wiele bardziej doświadczona. Vernon mówi jak romantyczny chłopiec. Vernon nie wie, jak okrutna potrafi być rzeczywistość.

— Och, Vernonie, czy nie możemy zachować naszej tajemnicy dla siebie? Jesteśmy tak bardzo

szczęśliwi.

— To prawda, jesteśmy; jednak szczęścia nigdy za wiele. Chcę być z tobą najzwyczajniej w świecie zaręczony, chcę, by wszyscy wiedzieli, że należysz do mnie.

— Ale to właściwie niczego nie zmieni.

— Niech ci będzie. Ja jednak wolałbym mieć prawo do widywania ciebie. Wiesz, że cierpię katusze tylko z tego powodu, że wychodzisz gdzieś z takimi typami jak chociażby ten osioł Dacre?

— Och, Vernonie, chyba nie jesteś zazdrosny?

— Wiem, to śmieszne. Ale ty chyba nie zdajesz sobie sprawy ze swojej urody, Nell! Każdy, ale to każdy musi się w tobie kochać.

Jestem przekonany, że nie ominęło to nawet tego dostojnego staruszka, Amerykanina.

— Och, zdaje mi się, że jesteś gotów wszystko zepsuć — mruknęła, mieniąc się na twarzy.

— A może boisz się narazić matce? Och, wybacz. Wezmę całą winę na siebie. Tak czy inaczej, powinna się dowiedzieć. Przypuszczam, że będzie rozczarowana. Przypuszczam, że chciałaby dla ciebie bogatego męża. To całkiem naturalne. Ale chyba nie powiesz, że tylko bogactwo może cię uszczęśliwić?

— Łatwo ci mówić, lecz czy ty naprawdę wiesz, co to znaczy być biednym? — Głos Nell zabrzmiał twardą, rozpaczliwą nutą.

— Przecież ja jestem biedny — powiedział Vernon, zaskoczony.

— Nie, nie jesteś. Wysyłano cię do szkół i na uniwersytety, a wakacje spędzałeś z bogatą matką. Nie wiesz nic o ubóstwie. Nie wiesz nic...

Przerwała, zrozpaczona. Nigdy nie miała szczególnego daru wymowy.

Zresztą, jak miałaby mu odmalować tak dobrze znany sobie obraz?

Ciągłe wybiegi, wykręty, ciągłe potyczki, desperacka walka o zachowanie pozorów. Łatwość, z jaką zostawiają cię przyjaciele, jeśli nie dotrzymujesz im kroku, lekceważenie, afronty... gorzej, irytująca protekcyjność! I za życia kapitana Verekera, i po jego śmierci zawsze jedno i to samo. Można, oczywiście, mieszkać w małej chatce na wsi i nikogo nie spotykać, nie chodzić na tańce jak inne dziewczęta, nie mieć ładnych strojów, żyć z pensji i powoli gnić! Oba sposoby są równie nieludzkie. To takie niesprawiedliwe, nie mieć pieniędzy.

Dobra partia to zwykła ucieczka przed ubóstwem. Koniec z ciągłą walką, koniec z afrontami.

I niech nikomu się nie zdaje, że chodzi o jakieś małżeństwo dla pieniędzy. Nie. Nell, z bezgranicznym optymizmem, tak typowym dla ludzi młodych, zawsze wyobrażała sobie, że zakocha się w miłym,

bogatym mężczyźnie. A oto teraz zakochuje się w Vernonie Deyrze.

Jednak jak dotąd nie myślała jeszcze o małżeństwie. Chciała po prostu być szczęśliwa, cudownie szczęśliwa.

Prawie nienawidziła Vernona za to, że ściągnął ją z obłoków na ziemię. Czuła się urażona, że z góry przesądził jej gotowość do zmierzenia się z ubóstwem, tylko przez wzgląd na niego. Gdyby wyłożył to w inny sposób. Gdyby powiedział: „Nie powinienem prosić cię, ale czy chciałabyś... czy mogłabyś przez wzgląd na mnie?” Coś w tym rodzaju. Wówczas czułaby, że jej poświęcenie zostało docenione. Bo przecież to było poświęcenie! Ona nie chciała być biedna, nienawidziła samego brzmienia słowa „ubóstwo”. Bała się tego. Pogarda Vernona dla spraw ziemskich doprowadzała ją tło szafu. Łatwo nie dbać o pieniądze, kiedy nigdy nie odczuwało się ich braku. A Vernon nie odczuwał, nie zdawał sobie z tego sprawy, lecz nie odczuwał. Tak było. Jego życie upływało mu pośród wygod i przyjemności.

Odezwał się teraz, zdziwiony i jakby mniej pewny siebie:

— Och, Nell, chyba naprawdę nie miałabyś nic przeciwko ubóstwu?

— Przecież ci mówię, że jestem biedna. Wiem, jak to jest.

Czuła się starsza od Vernona o całe lata. Był dzieckiem, był

niemowlęciem! Co też mógł wiedzieć o kłopotach, jakie sprawiają wierzyciele? O pieniądzach, które ona i jej matka były dłużne? Nagle poczuła się okropnie samotna i nieszczęśliwa. Doprawdy, co dobrego jest w mężczyznach? Mówią ci fantastyczne rzeczy, kochają cię, lecz czy kiedykolwiek próbują zrozumieć? Vernon nie próbował. Już ją potępiał, okazując, jak bardzo się przeliczył w swoich oczekiwaniach.

— Jeśli w ten sposób chcesz mi dać do zrozumienia, że mnie nie kochasz...

— Ty nic nie rozumiesz — odparła bezradnie. Równie bezradnie spoglądali na siebie. Co się stało? Dlaczego wszystko układa się tak, a nie inaczej?

— Nie kochasz mnie — powtórzył ze złością.

— Och, Vernonie, kocham, kocham... Nieoczekiwanie dla obojga, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, spłynęła na nich nowa fala miłości. Nowe uściski. Kolejne pocałunki. Nowa złuda, jaką odczuwają kochankowie, że wszystko musi się dobrze ułożyć jedynie siłą ich wzajemnej miłości. To było zwycięstwo Vernona. Nadal nalegał na rozmowę z panią Vereker. Nell już nie oponowała. Otaczały ją jego ramiona. Na jej ustach były jego usta. Nie mogła się dłużej spierać.

Lepiej poddać się radości, jaką daje to, że się jest kochaną, lepiej powtarzać: Tak, kochanie... tak... jeśli chcesz... wszystko, co chcesz...

A jednak, chociaż nie zdawała sobie z tego do końca sprawy, na dnie jej duszy pozostał jakiś cień

žalu...

Pani Vereker była inteligentną kobietą. Nie pokazała po sobie zaskoczenia, a jej zachowanie nijak się miało do tego, na co przygotowywał się Vernon. Pół rozbawiona, pół kpiąca, zawołała:

— A więc, moje dzieci, zdaje się wam, że jesteście w sobie zakochani, tak? Świetnie, świetnie!

Przysłuchiwała się Vernonowi z wyrazem tak uprzejmej ironii, że temu, mimo woli, język się plątał. Zamilkł wreszcie, a ona westchnęła lekko.

— Co to znaczy młodość! Wręcz wam zazdroszczę. No cóż, mój drogi chłopcze, teraz ty mnie posłuchaj. Jeśli chcecie się pobrać, nie będę wam przeszkadzać, nie zamierzam robić niczego, co pachnie melodramatem. Jeżeli Nell istotnie chce cię poślubić, proszę bardzo.

Choć nie powiem, że mnie tym nie rozczaruje. To moje jedyne dziecko.

Zatem wolno mi mieć nadzieję, że wyjdzie za kogoś, kto da jej wszystko, co najlepsze, kto zapewni jej wygodne, luksusowe życie. To chyba naturalne pragnienie każdej matki.

Vernon był zmuszony się z tym zgodzić. Rozsądek i umiarkowanie pani Vereker, cechy charakteru, których się po niej nie spodziewał, popsły mu szyki.

— Lecz, jak mówię, nie zamierzam wam przeszkadzać. Żądam jedynie, by Nell była całkowicie pewna tego, że wie, co robi. Chyba zgodzisz się ze mną, prawda?

Vernon zgodził się, z niemiłym uczuciem, że oto został złapany w sidła, z których nie potrafi się wyplątać.

— Nell jest bardzo młoda. Dopiero wchodzi w życie, to jej pierwszy sezon. Chcę, żeby miała czas i okazję ku temu, aby się przekonać, czy na pewno właśnie ciebie darzy uczuciem. Wasza obopólna zgoda na zaręczyny to jedna sprawa, druga, to publiczne ogłoszenie tych zaręczyn. Na to ostatnie nie mogę przystać. Porozumienie między wami musi być zachowane w sekrecie. Uważam, że powinno być tak, i tylko tak. Nell powinna mieć szansę zmienić swoją decyzję, jeśli zechce.

— Nie zechce!

— Zatem nie ma powodu do sprzeciwu. Zresztą, jako dżentelmenowi, nie wypada ci postąpić inaczej. Respektuj, proszę, powyższe warunki, a ja nie będę stawiała przeszkód, byś widywał moją córkę.

— Lecz, pani Vereker, ja chcę ją poślubić jak najprędzej.

— Tak? Zatem rada usłyszę, na jakich to fundamentach zamierzasz budować wasz wspólny byt.

Vernon podał wysokość pensji, jaką otrzymywał od wujka Sydneya i przedstawił sytuację Możliwych Opactw.

Kiedy skończył, pani Vereker ponownie zabrała głos. Zrobiła krótkie i zwięzłe podsumowanie wydatków, dotyczących wynajmu domu, wynagrodzenia służby, kosztów ubrania, napomknęła delikatnie o wózkach dziecinnych, po czym skonfrontowała ten obraz z obecną sytuacją Nell.

Vernon poczuł się jak królowa Saba, którą opuścił wszelki duch walki. Był pokonany bezlitosną logiką nagich faktów. Straszna kobieta z tej matki Nell, straszna i nieprzejednana. Lecz on, mimo wszystko, rozumie jej punkt widzenia. On i Nell muszą poczekać, a on powinien dać jej szansę, by mogła odstąpić od złożonych mu przyrzeczeń. Co nie znaczy, że tak się stanie. Na pewno nie. Nell ma dobre serce.

Podjął ostatnią próbę.

— Wuj może mi podnieść wynagrodzenie. Nie omija żadnej okazji, aby mnie przekonywać do korzyści, jakie płyną z wcześniej zawartego małżeństwa. Wczesne małżeństwo to zdaje się jego konik.

— Och! — Pani Vereker popadła w zamyślenie. — Czy twój wuj ma córki?

— Tak, pięć, w tym dwie zamężne. Najstarsze.

Pani Vereker uśmiechnęła się. Jakiż to prostoduszny chłopiec.

Absolutnie nie zrozumiał sensu jej pytania. A przecież i tak dowiedziała się, czego chciała.

— A zatem zostawmy sprawy własnemu biegowi.

Tak, pani Vereker była naprawdę bystrą kobietą!

Vernon opuścił dom pani Vereker w ponurym nastroju. Bardzo potrzebował rozmowy z kimś, kto jest mu życzliwy. Pomyślał o Joe, lecz po głębszym zastanowieniu potrząsnął głową. On i Joe niemal się ze sobą pokłócili, właśnie o Nell. Joe pogardzała Nell, nazywając ją

„zwykłą pustogłową pannicą”. Joe była niesprawiedliwa. Była uprzedzona. Aby się wkraść w łaski Joe, należało nosić krótko obcięte włosy, ubierać się w kitle malarskie i mieszkać w Chelsea.

Najodpowiedniejszą osobą, ogólnie biorąc, zdawał się Vernonowi Sebastian. Sebastian zawsze był skłonny wziąć pod uwagę czyjś punkt widzenia, a nawet od czasu do czasu można było dobrze na czymś wyjść, zdając się na jego rzeczowość i zdrowy rozsądek. Bystry gość, ten Sebastian. No i bogaty. Jakie to wszystko dziwne, pomyślał Vernon.

Gdyby tak on miał pieniądze Sebastiana, mógłby poślubić Nell choćby jutro. A Sebastian? Co mu po nich, skoro nie jest w stanie zdobyć upragnionej dziewczyny. Szkoda. On, Vernon, z całego serca życzyłby Joe małżeństwa z Sebastianem, a nie z jakąś niedojdą czy inną kanalią, która uważa się za artystę.

Niestety, Sebastiana nie było w domu. Na spotkanie z Vernonem wyszła pani Levinne. Dość osobliwe, lecz poczuł się różnie już na sam widok tej bulwiastej postaci. Stara pani Levinne, komiczna z tymi swoimi dżetami, brylantami i tłustymi, czarnymi włosami, zdawała się rozumieć go bardziej niż rodzona matka.

— Aż jakimż to nieszczęściem się obnosisz, mój kochaneczku? —

spytała. — Tylko nie protestuj. Jeszcze wzrok mnie nie zawodzi.

Chodzi o dziewczynę, prawda? Znam to, znam, Sebastian ma swoje kłopoty, z Joe. Powiadam mu, że powinien się uzbroić w cierpliwość.

Joe na razie marnuje czas. Wkrótce się ustatkuje i zastanowi nad swoim życiem.

— To byłoby wspaniale, gdyby wyszła za Sebastiana. Chciałbym, żeby tak się stało. Nadal trzymalibyśmy się razem.

— Bardzo lubię Joe. Co nie znaczy, że traktuję ją jako materiał na żonę dla Sebastiana. Zbyt wiele ich dzieli, by mogli się nawzajem rozumieć. Jestem staroświecka, mój drogi. Wolałabym, żeby mój syn ożenił się z jedną z naszych dziewczyn. To najrozsądniejsze rozwiązanie. Te same interesy, te same instynkty, a poza tym Żydówki są dobrymi matkami. I pewnie tak się stanie, pod warunkiem, że Joe jest naprawdę szczerą i naprawdę odrzuca rękę Sebastiana. To samo z tobą, Vernonie. Bywają gorsze rzeczy niż poślubienie kuzynki.

— Ze mną? Czy to ja miałbym się ożenić z Joe?

Vernon wpatrywał się w panią Levinne z krańcowym zdumieniem. Jej tłuste podbródki zatrzęsły się

od zduszonego, dobrodusznego śmiechu.

— Z Joe? Oczywiście, że nie. Mówię o twojej kuzynce Enid. To przecież pomysł tych z Birmingham, nieprawdaż?

— Och, nie... nie sędzę, jestem pewien, że nie.

Pani Levinne znów się zaśmiała.

— Jak widzę, nawet o tym nie pomyślałeś. Lecz to wcale nie byłoby głupie, zwłaszcza kiedy tamta inna cię nie chce. W ten sposób pieniądze pozostałyby w rodzinie.

Vernon odszedł z szumem w głowie. Wszystko się zgadzało. Żarty i aluzje wujka Sydneya. Sposób, w jaki Enid zawsze była poszturchiwana w jego stronę. To do tego piła pani Vereker. Oni chcieli ożenić go z Enid! Z Enid!

Przypomniał sobie coś innego. Jego matka i jedna z jej odwiecznych przyjaciółek, i ich tajemnicze szepty. O ciotecznym rodzeństwie.

Przyszła mu do głowy nagła myśl. To dlatego Joe dostała pozwolenie na wyjazd do Londynu. Jego matka myślała, że on i Joe... że on i Joe...

mogliby...

Wybuchnął śmiechem. On i Joe! To tylko dowód na to, że jego matka z niczego nie zdaje sobie sprawy. Jemu samemu nigdy, przenigdy, w żadnych okolicznościach nie przyszłoby do głowy zakochać się w Joe.

On i Joe byli, są i zawsze będą dla siebie bratem i siostrą. Mają te same sympatie, te same antypatie i te same, niezależne opinie.

Zostali ulepiani z tej samej gliny i nie ma w nich nic z wzajemnego zachwyty czy miłosnego zauroczenia.

Enid! To o to chodziło wujkowi Sydneyowi. Biedny pocziwiec, alez się rozczaruje. Cóż, nie musiał być aż takim osłem. Choć on, Vernon, być może zbyt pochopnie wyciąga wnioski. Być może to nie był pomysł

wujka Sydneya, lecz jego matki. Kobiety zawsze planują jakieś małżeństwa. Tak czy inaczej wujek Sydney powinien jak najprędzej poznać prawdę.

Spotkanie Vernona z wujkiem Sydneyem nie było zbyt udane. Wujek był zarówno strapiony, jak i poirytowany, chociaż usiłował nie pokazać po sobie jednego ni drugiego. Niepewny, jaką obrać taktykę, robił przypadkowe wypadki w różnych kierunkach.

— Bzdura, absolutna bzdura, o wiele za młoda do zamążpójścia. To czysty nonsens.

Vernon przypomniał wujkowi jego własne słowa.

— Ech, nie o takim małżeństwie myślałem. Patrzcie państwo, panna z towarzystwa. Już ja wiem, jakie to ziółko.

Vernon zaprotestował gorąco.

— Przepraszam, mój chłopcze, nie chciałem urazić twoich uczuć. Ale takie dziewczęta polują głównie na pieniądze. Ta twoja przez najbliższe lata nie miałaby z ciebie żadnego pożytku.

— Myślałem, że może... — przerwał. Czuł się zawstydzony, skrępowany.

— Że podniosę ci twoje dochody, i to bardzo, ha? Czy właśnie to sugerowała ci ta młoda dama? Zatem powiem wprost: widzisz w tym mój interes? Chyba sam przyznasz, że nie.

— Nie sądzę, bym wart był nawet tego, co już dostaję, wujku Sydneyu.

— Hm, hm, tego nie powiedziałem. Jak na początki nieźle sobie radzisz. Przykro mi z powodu tej całej sprawy. Widzę, że jesteś zdenerwowany. Moja rada, to daj sobie spokój. To najlepsze, co mógłbyś zrobić.

— Nie mogę, wujku Sydneyu.

— No tak. Nic mi do tego. Ale, ale... rozmawiałeś o tym ze swoją matką? Nie? No to nie radziłbym zwlekać. Zobaczysz, czy nie powie tego samego co ja. Założę się, że tak. Pamiętam takie stare powiedzenie, że najlepszą przyjaciółką chłopaka jest jego matka. Hę?

Dlaczego wujek Sydney wygaduje takie idiotyzmy? Zawsze był taki, jak daleko Vernon mógł sięgnąć pamięcią. A przecież to bystry i zdolny człowiek interesu.

A zatem nic z tego. Trzeba zabrać się energicznie do roboty i...

czekać. Pierwsze oczarowanie miłością już się rozwiało. Zdążył poznać niebo, ale i piekło. Tak rozpaczliwie pragnął Nell... tak rozpaczliwie.

Napisał do niej:

Kochana, nic z tego. Trzeba zatem uzbroić się w cierpliwość i czekać. W każdym razie będziemy się często widywać. Nie mam nic do zarzucenia Twojej matce; zachowała się nad wyraz przyzwoicie. W

pełni zgadzam się z tym, co powiedziała. Jej zastrzeżenia są całkiem sensowne. To prawda, powinnaś mieć wolną rękę, aby się przekonać, czy jest ktoś, kogo wolałabyś bardziej ode mnie. Ale takiego kogoś nie ma, prawda, kochanie? Wiem, że nie. Nasza miłość przetrwa wieki. Nie ważne, jak będziemy biedni... Wystarczy mi najskromniejsze mieszkanko, byleby z Tobą...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nell, która wciąż kurczyła się w sobie na każde szorstkie słowo, wzdragając się przed najłagodniejszymi nawet scenami i często powtarzała sobie z goryczą, że jest tchórzem i że nie potrafi niczemu się przeciwstawić, odetchnęła z ulgą. Tym razem ominęły ją ze strony matki jakiegokolwiek wyrzuty.

Zdecydowanie bała się matki. Matka chyba zawsze nad nią dominowała. Pani Vereker miała twarde, władczy charakter, który pozwalał jej rządzić słabszymi naturami, pozostającymi z nią w takim czy innym związku. Nell nietrudno było ujarzmić, a to z tej prostej przyczyny, że dziewczyna bezgranicznie ufała matce i wszystko, co matka robiła, brała za dobrą monetę, za zwykłą przezorność dorosłej kobiety, dążącej (czasami może aż nadto bezwzględnie) do zapewnienia córce szczęścia, tego szczęścia, które ją samą ominęło.

Tak więc Nell poczuła ulgę, kiedy matka, zamiast czynić jej wyrzuty, po prostu zauważyła:

— Jeśli upierasz się przy głupocie, nic na to nie poradzę.

Większość dziewcząt miewa takie czy inne miłości, lecz te na ogół

kończą się niczym. Mnie, jeśli chcesz wiedzieć, brakuje cierpliwości do takich sentymentalnych bzdur. Chłopiec prawdopodobnie lata całe nie będzie mógł pozwolić sobie na małżeństwo z tobą; on cię jedynie unieszczęśliwi. Rób jednak to, co ci dyktuje serce.

Wbrew samej sobie, Nell i tym razem zgodziła się z argumentami matki. Miała, co prawda, złudną nadzieję, że Vernon przemówi do sumienia swojego wujka i że wujek przyjdzie im z pomocą, lecz list Vernona te nadzieje ostatecznie rozwiał. Muszą czekać, i to być może wiele lat.

Tymczasem pani Vereker miała własne metody i nie zasypiała gruszek w popiele. Któregoś dnia zaproponowała Nell, aby ta pojechała odwiedzić dawną przyjaciółkę, dziewczynę, która wyszła za mąż parę lat temu. Amelie King była niegdyś olśniewającym stworzeniem, budzącym w Nell zazdrość. Mogła zrobić bardzo dobrą partię, lecz ku powszechnemu zaskoczeniu wyszła za mąż za młodzieńca z trudem wiążącego koniec z końcem i usunęła się poza obręb światowego życia.

— Uważam, że to dość nieładnie zapominać o starych przyjaciółach —

powiedziała pani Vereker. — Jestem pewna, że Amelie ucieszy się na twój widok, no a ty nie masz dzisiaj nic lepszego do roboty.

W ten oto sposób Nell posłusznie udała się w odwiedziny do pani Horton, zamieszkałej w Ealing, przy Glenster Gardens 35.

Dzień był gorący. Nell wsiadła do pociągu, kursującego linią District i dotarła do stacji Ealing Broadway, gdzie wypytała o dalszą drogę.

Ulica Glenster Gardens, jak się okazało, była oddalona o milę od stacji. Była długa, przygnębiająca z wyglądu, zabudowana małymi, identycznymi domkami. Drzwi pod numerem 35 otworzyła niechłujnie ubrana dziewczyna w brudnym fartuchu i Nell została wprowadzona do małej bawialni. Znajdowało się tam kilka sztuk starych, gustownych mebli, dawno zblakłe kretonowe obicia i zasłony miały ciekawy wzór, lecz ogólnie biorąc, całe pomieszczenie, zarzucone dziecinnymi zabawkami i pojedynczymi sztukami naprawianej odzieży, było w wielkim nieładzie. Kiedy otworzyły się drzwi i stanęła w nich Amelie, gdzieś w głębi domu podniósł się niespokojny płacz dziecka.

— Nell, jak to miło z twojej strony! Nie widziałam cię od lat.

Nell była wstrząśnięta jej wyglądem. Czy mogła to być tamta dawna powabna Amelie o nieskazitelnej prezencji? Jej rozlazła figura pozostawiała wiele do życzenia, bluzka była nieforemna i niewątpliwie własnej roboty, a w zmęczonej, zatroskanej twarzy trudno byłoby się doszukać młodzieńczej werwy i blasku.

Amelie usiadła i wdały się w rozmowę. Wkrótce Nell została zaprowadzona do dwójki dzieci, chłopca i dziewczynki, z których młodsze, niemowlę, leżało w łóżeczku.

— Powinnam zabrać je na powietrze — powiedziała Amelie — lecz doprawdy jestem za bardzo zmęczona. Nie masz pojęcia, co znaczy pchać wózek od sklepu do sklepu, a robiłam to nie dalej jak dzisiejszego ranka.

Nell przyglądała się dzieciom. Chłopczyk miał sympatyczny wygląd, natomiast dziewczynka sprawiała wrażenie chorowitej i rozdrażnionej.

— To po części z powodu ząbków — wytłumaczyła matka. — A poza tym ma słaby żołądek, jak mówi lekarz. Co bym dała za to, żeby nie płakała po nocach. To denerwuje Jacka, któremu po

całodziennej pracy przydałoby się trochę snu.

— Nie macie niani?

— Nie stać nas na to, moja droga. Musimy zadowolić się tym przygłupem, który otworzył ci drzwi. Kompletna idiotka, ale jest tania i nawet chce jej się to i owo zrobić, co się teraz służącym rzadko zdarza. Generalnie żadna nie chce się zajmować małymi dziećmi.

— Zawołała: — Mary, podaj herbatę — i poprowadziła Nell z powrotem do bawialni.

— Och, droga Nell — ciągnęła — chyba bym wolała nie widzieć cię tutaj. Wyglądasz tak elegancko i świeżo, że zaraz przychodzą mi na myśl dawne dobre czasy... tenis i potańcówki, i golf, i przyjęcia.

Nell szepnęła nieśmiało:

— Lecz przecież jesteś szczęśliwa...

— Och, naturalnie. Narzekam ot tak sobie. Jack jest kochany, no i są dzieci, tylko że... że czasami bywam tak bardzo zmęczona, że wszystko przestaje mnie obchodzić. Czuję wtedy, że sprzedałabym swoich najbliższych za łazienkę z kafelkami i z solami do kąpieli i za służącą, która szczotkowałaby mi włosy, i za to, żeby móc się wśliznąć w rozkoszną, jedwabną bieliznę. A tu się słyszy, jak jeden z drugim bogaty idiota rozprawia o tym, że pieniądze nie dają szczęścia. Głupcy! — Roześmiała się. — Powiedz mi, co nowego, Nell.

Czuję się tu jak odcięta od świata. Widzisz, nie można podtrzymywać przyjaźni, kiedy się nie ma pieniędzy. Nie widuję nikogo z dawnej paczki.

Poplotkowały trochę: ta i ta wyszła za męża, ta i ta pokłóciła się z mężem, tej urodziło się dziecko, a tamta wywołała przeokropny skandal.

Podano herbatę, dość niedbale, na nie doczyszczonym srebrze i z grubymi pajdami chleba z masłem. Kiedy kończyły, ktoś otworzył

kluczem frontowe drzwi i w hallu dał się słyszeć poirytowany męski głos:

— Amelie, bardzo mi się to nie podoba. Prosiłem cię o tę jedną, jedyną rzecz, a ty i tak zapomniałaś. Ta paczka nigdy nie będzie zanesiona do Jonesów. Powiedziałaś przecież, że to zrobisz.

Amelie wybiegła do hallu, by po krótkiej, przyciszonej wymianie zdań, wprowadzić do bawialni męża. Ledwo zdążył przywitać się z Nell, niemowlę w pokoju dzieciennym znów zaczęło płakać.

— Muszę do niej zajrzeć — rzuciła Amelie i wyszła w pośpiechu.

— Co za życie! — jęknął Jack Horton. Nadal był bardzo przystojnym mężczyzną, chociaż zmęczony na twarzy i ubrany w podniszczony garnitur nie wyglądał pociągająco. Zaśmiał się jak z dobrego żartu. —

Trafiła pani na bałagan, panno Vereker, choć, co prawda, nigdy go nam nie brakuje. Podróżowanie pociągami tam i z powrotem przy takiej pogodzie jest bardzo męczące, a w domu nie ma chwili spokoju!

Znów się zaśmiał, a Nell mu uprzejmie zawtórowała. Kiedy wróciła Amelie, z dzieckiem na ręku, Nell podniosła się do wyjścia.

Małżonkowie odprowadzili ją do drzwi. Amelie przekazała pozdrowienia dla pani Vereker i pomachała ręką.

Przy furtce Nell odwróciła się i jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem przyjaciółkę. Och, dlaczego jej twarz ma taki chciwy, zawistny wyraz?

Serce Nell zamarło. Czy tak wygląda nieunikniony koniec? Czy ubóstwo zawsze zabija miłość?

Dotarła do głównej ulicy i skierowała się ku stacji, kiedy nieoczekiwanie zatrzymał ją czyjś okrzyk:

— Panna Nell, nie wierzę własnym oczom! — Zza kierownicy podjeżdżającego do krawężnika wielkiego rolls-royce'a uśmiechał się do niej George Chetwynd. — To zbyt piękne, aby było prawdziwe! Jadę sobie, a tu idzie dziewczyna podobna do pani, zatem zwalniam, żeby spojrzeć jej w twarz, no i co się okazuje? Oto panna Nell we własnej osobie. Wraca pani do Londynu? Jeśli tak, zapraszam do środka.

Nell posłusznie wsiadła do samochodu i z przyjemnością zajęła miejsce obok kierowcy. — Samochód ruszył cicho do przodu i powoli nabierał prędkości. Niebiańskie uczucie, pomyślała Nell: taka wygoda, taki komfort.

— A co pani robi w Ealing?

— Odwiedzałam przyjaciół.

Powodowana niejasnym impulsem, opisała swoją wizytę. Chetwynd przysłuchiwał się, kiwał ze zrozumieniem głową i jednocześnie prowadził samochód, spokojnie i pewnie niczym mistrz kierownicy.

— To smutne — powiedział współczująco. — Z przykrością myślę o tej biednej dziewczynie. O kobiety powinno się dbać, powinno się ułatwiać im życie. Kobiety powinny mieć wszystko, czego tylko zapragną. —

Popatrzył na Nell. — Widzę, że było to dla pani ciężkie doświadczenie. Pani ma bardzo dobre serce, panno Nell.

Nell spojrzała na niego ciepło. George Chetwynd naprawdę da się lubić, pomyślała. Jest życzliwy ludziom, solidny, i przekonujący, i chyba wszystko mi się w nim podoba. Nieco sztywnawa twarz. I sposób odgarniania ze skroni siwiejących włosów. I mocna, wyprostowana sylwetka. I niezawodna precyzja rąk, obejmujących kierownicę. I w ogóle. George Chetwynd ma wygląd mężczyzny, który potrafi sobie radzić w każdej krytycznej sytuacji, mężczyzny, na którym kobieta zawsze może

polegać. Właśnie, polegać. To jego barki dźwigałyby ciężar codzienności, nie jej. O tak, pomyślała, ona, Nell, lubi George'a. Miło jest spotkać kogoś takiego, po denerwującym dniu, kiedy się jest zmęczonym.

— Czy przekrzywił mi się krawat? — zapytał zniecka, nawet na nią nie patrząc.

Nell zaśmiała się.

— Sądzi pan, że się panu przyglądam? Przyznaję, trochę.

— Czuję to. Szacowała mnie pani?

— Chyba tak.

— A ja, jak przypuszczam, wypadłem kompletnie nieciekawie.

— Wprost przeciwnie.

— Proszę, niech pani przestanie, jestem pewien, że to nieprawda.

Sama pani obecność tak mnie ekscytuje, że omal nie zderzyłem się z tramwajem.

— Ale ja zawsze mówię prawdę, proszę pana.

— Czyżby? Ciekawe. — Głos mu się zmienił. — Jest coś, co chcę pani powiedzieć już od dłuższego czasu. Co chcę tobie powiedzieć, Nell. To śmieszne miejsce, jak na takie wyznanie, lecz wolę mieć je za sobą.

Czy wyjdiesz za mnie? Nawet nie wiesz, jak bardzo cię pragnę.

— Och! — zawołała zaskoczona. — Och, nie, nie mogę.

Obrzucił ją krótkim spojrzeniem, po czym znów skoncentrował się na prowadzeniu samochodu. Trochę zwolnił.

— Naprawdę? Dlaczego? Wiem, że jestem dla ciebie zbyt stary...

— Nie... nie jest pan... to znaczy, nie o to chodzi...

George Chetwynd uśmiechnął się kącikiem ust.

— Nie oszukujmy się, Nell. Mam co najmniej dwadzieścia lat więcej niż ty. Wiem, że to dużo. Mimo to wierzę, że potrafię cię uszczęśliwić. Może to brzmi dziwnie, niemniej znam wagę swoich słów.

Nell siedziała cicho przez dobrych kilka minut. Kiedy się odezwała, jej głos nie brzmiał zbyt przekonująco:

— Och, ale doprawdy, proszę mi wierzyć, nie mogę...

— Wspaniale. Tym razem powiedziałaś to mniej zdecydowanie.

— Ale doprawdy...

— Dosyć. Nie mam zamiaru cię zadreć. Przyjmijmy, że dzisiaj usłyszałem „nie”. Mam nadzieję, że nie jest to twoje ulubione słowo.

Na to, co chcę mieć, potrafię długo czekać. Zobaczysz, pewnego dnia sama powiesz „tak”.

— Nie, nie powiem.

— Ależ tak, kochanie. Bo chyba nie ma nikogo innego, prawda? Ach, jestem przekonany, że nie ma.

Nell nie odpowiedziała. Pomyślała sobie, że nie wie, co odpowiedzieć. Przecież obiecała matce, że nikt się nie dowie o jej zaręczynach.

A jednak, gdzieś na dnie duszy, palił ją wstyd... George Chetwynd beztrąsko przerzucił się na inny, obojętny dla obojga temat.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Sierpień był dla Vernona trudnym miesiącem. Nell i jej matka wyjechały do Dinard. Pisywał do niej, a ona do niego, lecz jej listy mówiły mało lub zgoła nic o tym, o czym chciałby wiedzieć. Jest wesoło, dobrze się bawi, choć żałuje, że nie ma z nią Vernona. To wszystko.

Vernon pracował; wykonywał zwykłe, rutynowe czynności, nie wymagające wysiłku intelektualnego. Wystarczyło być uważnym i metodycznym. Stąd też jego niczym nie zaprzątnięty umysł powrócił do jego sekretnej miłości, do muzyki.

Postanowił skomponować operę. Za jej temat miała mu posłużyć na pół zapomniana bajka z czasów dzieciństwa. Teraz ta bajka ożyła, a jej centralną postacią stała się Nell. I w ten oto sposób jego miłość ku niej znalazła nowe ujście.

Pracował jak w gorączce. Ponieważ swego czasu zabołały go do żywego słowa Nell, dotyczące wygodnego życia, jakie pędził w domu matki, zaczął teraz szukać samodzielnego mieszkania. To, które znalazł, było bardzo tandetne, lecz za to dawało mu niezwykle poczucie swobody. W „Domku Myśliwskim Careya” nie mógłby tak się skoncentrować. Matka nie omieszkałaby krzątać się wokół niego od rana do nocy i zaganiać go wcześniej do łóżka. Tutaj, na Arthur Street, mógł przesiadywać (co też mu się często zdarzało) choćby do piątej rano.

Wyszczuplał i zmizerniał. Myra zamartwiała się o jego zdrowie i zalecała mu różne wzmacniające specyfiki. On na to odpowiadał krótko, że nic mu nie jest. Nie mówił jej słowem o tym, co robi. Czasami praca doprowadzała go do rozpacz, to znów zdarzało się, że potrafił

wpaść w euforię, kiedy udał mu się jakiś, choćby maleńki, fragment.

Od czasu do czasu spędzał weekend w Londynie, z Sebastianem, a dwa razy Sebastian odwiedził go w Birmingham. To on, w tamtym okresie życia, okazał się dla Vernona najpewniejszym oparciem. Jego sympatia i życzliwość były absolutnie szczerze, choć miały dwojaki charakter; Sebastian bowiem interesował się Vernonem nie tylko jako przyjaciela, ale także jako znawca sztuki. Vernon niezwykle sobie cenił opinie przyjaciela, toteż chętnie w jego obecności grywał na wynajętym pianinie kawałki komponowanego dzieła, objaśniając przy tym prawidłową instrumentację. Sebastian słuchał, kiwał beznamiętnie głową, lecz jego komentarze na ogół bywały oględne.

— Wygląda mi to nieźle, Vernonie. Oby tak dalej. Powstrzymywał się od destrukcyjnej krytyki, ponieważ w jego mniemaniu mogłaby się ona okazać fatalna w skutkach. Vernon potrzebował jedynie i po stokroć zachęty. Niczego więcej.

— Czy to tym zamierzasz zajmować się w Cambridge? — spytał

któregoś dnia.

Vernon zbierał myśli przez chwilę.

— Nie — odparł w końcu. — A przynajmniej nie jest to to, o czym myślałem na początku, po tamtym

koncercie. Pamiętasz. To, co robię teraz, jest, jak przypuszczam, zwykłą klasyczną muzyką, nazwij ją zresztą, jak chcesz. Do tamtej być może jeszcze kiedyś powrócę. Ale taka czy inna, każda musi odpowiadać moim wyobrażeniom.

— Rozumiem.

Jeszcze tego samego dnia, rozmawiając z Joe, Sebastian powiedział:

— Vernon to, co robi, nazywa „zwykłą muzyką”, lecz w istocie tak nie jest. Jego muzyka jest absolutnie niezwykła. Cała instrumentacja jest niezwykła. Wszystko jest niezwykle, choć jednocześnie niedojrzałe. Olśniewające, lecz niedojrzałe.

— Czy powiedziałaś mu to?

— Dobry Boże, skądże. Jedno lekceważące słowo, a ten gotów wyrzucić całą rzecz do śmieci. Znam ludzi tego pokroju. Na razie rozpieszczęm go pochwałami. Za sekator i opryskiwacz weźmiemy się później. Chyba niedokładnie zacytowałem tę metaforę, ale rozumiesz, co mam na myśli.

W pierwszych dniach września Sebastian wydawał przyjęcie ku czci Radmaagera, sławnego kompozytora.

— Będzie około dwunastu osób — powiedział Sebastian, zapraszając Vernona i Joe. — Anita Quarll, która interesuje mnie wyłącznie jako tancerka, bo poza tym to małe zepsute półdiabły; natomiast Jane Harding ta powinna się wam spodobać. Śpiewa w operze. Minęła się z powołaniem, powinna być aktorką, nie śpiewaczką. Poza tym wy oboje, Radmaager i jeszcze kilka osób. Radmaager na pewno zainteresuje się Vernonem. Odnosi się z sympatią do młodego pokolenia.

Oboje, Joe i Vernon, czuli się zaszczytzeni. — Jak uważasz, czy kiedykolwiek zrobię coś, co będzie godne uwagi? — spytał z powątpiewaniem Vernon.

— Dlaczego nie? — odparła zachęcająco Joe.

— Nie wiem. Wszystko, co ostatnio robię, jest do niczego.

Wystartowałem dobrze, lecz teraz brakuje mi energii. Bywam zmęczony, nim przystąpię do pracy.

— Pewnie dlatego, że harujesz przez cały dzień.

— Prawdopodobnie. — Po chwili milczenia dociął: — Cudownie, że poznam Radmaagera. To jedyne człowiek, który tworzy to, co ja nazywam muzyką. Chciałbym mu się zwierzyć z osobistych przemyśleń, ale sądzę, że zakrawałoby to na okropne zuchwalstwo.

Przyjęcie miało nieoficjalny charakter. Sebastian przeznaczył na nie studio. Było to olbrzymie, puste pomieszczenie, pominąwszy podest, fortepian i liczne poduszki, rozrzucone tu i tam po podłodze.

W jednym rogu ustawiono składany stół, na którym piętrzyły się wszelkiego rodzaju potrawy. Każdy zaopatrywał się w zestaw według własnego smaku, a potem mościł się na swojej poduszce. W chwili

przybycia Joe i Vernona na podeście tańczyła drobna, rudowłosa dziewczyna o gibkim, muskularnym ciele. Jej taniec był brzydki, a jednocześnie miał w sobie coś ponętnego.

Kiedy skończyła i zeskoczyła z podestu, rozległy się głośnie oklaski.

— Brawo, Anita — powiedział Sebastian. — Vernonie, Joe, czy nałożyliście sobie coś na talerze? W porządku. Zatem raczcie spocząć obok Jane. To jest Jane. Nowo przybyli zastosowali się do życzenia gospodarza. Jane, wysoka kobieta o pięknym ciele, gęstych, ciemnobrązowych, upiętych na karku włosach i głęboko osadzonych, zielonych oczach, miała zbyt szeroką twarz i zbyt ostry podbródek, by dało się ją nazwać piękną. Vernon pomyślał, że ma około trzydziestki oraz że jest istotą niepokojącą, choć atrakcyjną. Joe natychmiast zasypała ją różnymi pytaniami. Ostatnio jej entuzjazm dla rzeźby powoli wygasał; obdarzona przez naturę sopranem, teraz bawiła się myślą o zostaniu śpiewaczką operową.

Jane Harding słuchała dość życzliwie, zaznaczając swój udział w rozmowie jedynie zabawnymi monosylabami.

— Wpadnij do mnie, jeśli chcesz. Sprawdzę twój głos i wtedy powiem, do czego się nadaje.

— Naprawdę? To strasznie miło z twojej strony.

— Och, nie ma o czym mówić. Mnie możesz zaufać, w przeciwieństwie do tych, którzy żyją z młodych adeptów sztuki. Tacy nie powiedzą ci prawdy.

Podszedł Sebastian.

— No jak, Jane?

Jane podniosła się z podłogi całkiem wdzięcznym ruchem. Rozejrzała się wokół i rzuciła krótko, głosem, jakiego się używa, wydając komendę psu:

— Panie Hill.

Niepokaźny mężczyzna, przypominający białą dżdżownicę, ruszył za nią w te pędy przymilnym, posuwistym krokiem. Weszli na podest.

Jane Harding śpiewała francuską, nie znaną Vernonowi pieśń.

J'ai perdu mon amie — elle est morte

Tout s'en va cette fois pour jamais

Pour jamais, pour toujours elle emporte Le dernier des amours que j'aimais.

Pauvre nous! Rien ne m'a crié l'heure Ou la bas se nouait son linceuil

On m'a dit „Elle est morte!” Et tout seul Je rép?te „Elle est morte!” Et je pleure...

Jak większość ludzi, słuchających śpiewu Jane Harding, tak i Vernon nie potrafił ocenić jej głosu. To aktorka tworzyła poruszającą serca atmosferę, głos był jedynie instrumentem. Głos wyrażał uczucie wszechogarniającej straty, dojmującego żalu, przynoszących ulgę łez.

Zerwały się brawa.

— Nie masz nic nad uczucie, ot co — mruknął Sebastian.

Zaśpiewała raz jeszcze. Tym razem była to norweska pieśń o padającym śniegu. Głos, wyprany z wszelkich emocji, podobny białym płątkom śniegu, tak jak one wirował monotennie, cicho i lekko, wznosił się i opadał, aż wreszcie rozpląnął się w ciszy ostatniej strofy.

W odpowiedzi na gromkie brawa, zaśpiewała po raz trzeci. Vernon wyprostował się. Coś go nagle zaniepokoiło.

I wodną zjawę tam ujrzałem

Włosy przemokłe, dłonie białe

Lecz och! Jak słodkie miała lica

Słodkie i blade, i oszalałe.,.

Jane Harding śpiewała, a jej śpiew rzucał czary na pokój... spowijał

słuchaczy dziwną magią... niebiańskim zachwytem. Twarz śpiewaczki była podana do przodu, oczy szeroko otwarte, nieobecne, wypełnione lękiem...

fascynujące.

Kiedy skończyła, rozległo się czyjeś głośnie westchnienie. Potężnie zbudowany, tęgi mężczyzna o białych, przyciętych na jeża włosach, przeciskał się do Sebastiana.

— Ach, mój zacny Sebastianie, oto jestem i chcę natychmiast rozmawiać z tą młodą damą.

Sebastian poprowadził go przez pokój do Jane. Radmaager ujął jej obie dłonie i dokładnie się jej przyjrzał.

— Tak — powiedział w końcu. — Świetna konstrukcja fizyczna.

Powiedziałbym, że trawienie i krążenie, jedno i drugie wspaniałe. Daj mi swój adres, dziecino, bym mógł cię odwiedzić. Zgoda?

Ci ludzie są szaleni, pomyślał Vernon. Spostrzegł jednak, że Jane Harding potraktowała ten incydent jako rzecz naturalną: zapisała adres, porozmawiała z Radmaagerem przez kilka minut i, jak gdyby nic się nie stało, dołączyła do Joe i Vernona.

— Na Sebastiana zawsze mogę liczyć, to dobry przyjaciel —

zauważyła. — Wie, że Radmaager rozgląda się za Solvejgą, do swojej nowej opery, Peer Gynt. To dlatego zaprosił mnie na dzisiejszy wieczór.

Joe podniosła się i poszła porozmawiać z Sebastianem. Vernon i Jane zostali sami.

— Powiedz mi — Vernon zacinał się trochę — ta pieśń, którą śpiewałaś...

— O padającym śniegu?

— Nie, nie ta, ostatnia. Ja... ja słyszałem ją całe lata temu, kiedy byłem dzieckiem.

— Dziwne. Do tej pory sądziłam, że to rodzinny sekret.

— Śpiewała mi ją pielęgniarka ze szpitala, kiedy leżałem ze złamaną nogą. Podobała mi się ogromnie, lecz nigdy bym nie pomyślał, że kiedyś znów ją usłyszę.

— Czyżby tą pielęgniarką była moja ciocia Frances?

— Ależ tak! Niania Frances. To naprawdę twoja ciocia? I co się z nią dzieje?

— Nie żyje od wielu lat. Zaraziła się dyfterytem od jakiegoś pacjenta.

— Och, tak mi przykro. — Przerwał, zawahał się, po czym wybuchnął:

— Zawsze będę ją pamiętał. Ona była... tak, to prawda, była dla mnie, dla dziecka, cudowną przyjaciółką.

Zielone oczy przyglądały mu się ze spokojną życzliwością. Już wiedział, kogo przypomina mu Jane Harding, kogo przypominała mu od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył: nianię Frances.

— Podobno komponujesz — powiedziała cicho. — Sebastian mówił mi o tobie.

— Tak, a przynajmniej próbuję.

Znów przerwał i znów się zawahał. Ależ... ależ to szalenie atrakcyjna kobieta, pomyślał. Czy podoba mi się? Dlaczego się jej boję?

Nagle ogarnęło go dziwne podniecenie. On potrafi komponować, potrafi coś tworzyć... wie, że potrafi...

— Vernonie!

To wołał go Sebastian. Vernon podniósł się i został przedstawiony Radmaagerowi. Wielki człowiek był uprzejmy i życzliwy.

— Jestem zainteresowany tym, co mi powiedział o twojej pracy mój młody przyjaciel. — Zaczął bez

żadnych wstępów i położył rękę na ramieniu Sebastiana. — On jest bardzo bystry, ten mój przyjaciel. I mimo młodego wieku, rzadko się myli. Umówimy się na spotkanie, byś mógł pokazać mi to, co robisz.

Poszedł dalej. Vernon drżał z podniecenia. Czy rzeczywiście do tego dojdzie? Wrócił na podłogę, do Jane. Uśmiechnęła się, kiedy siadał koło niej. Nagle zamiast radości pojawiło się zniechęcenie. I jaki z tego pożytek? Przecież jest przywiązany, przywiązany na dobre do wujka Sydneya i do Birmingham. Nie da się komponować muzyki, dopóki nie poświęci się jej całego swojego czasu, wszystkich myśli, całej duszy.

Vernon poczuł żal naci samym sobą. Los go skrzywdził, los go unieszczęśliwił, a pocieszenia znikąd. Kochana Nell, jedyna, która zawsze go rozumie. Podniósł wzrok i zauważył, że Jane Harding go obserwuje.

— Czy coś się stało?

— Chciałbym umrzeć — wyznał Vernon gorzko. Jane uniosła lekko brwi.

— Nic łatwiejszego. Wystarczy wejść na najwyższą kondygnację tego budynku i rzucić się w dół.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Spojrzał na nią z urazą, lecz jej trzeźwe, spokojne spojrzenie rozbroiło go.

— Obchodzi mnie jedna jedyna rzecz na świecie — powiedział z przejęciem. — Komponowanie muzyki. Jestem pewien, że potrafiłbym to robić, a przecież muszę tkwić w jakimś przebrzydłym interesie, którego nienawidzę. Harówka dzień po dniu! To przyprawia mnie o mdłości.

— Więc dlaczego z tym nie skończysz?

— Nie mogę.

— Nie możesz? A może po prostu nie chcesz? — rzuciła obojętnie.

— Czyż nie powiedziałem ci, że komponowanie jest dla mnie rzeczą najważniejszą na świecie?

— Więc dlaczego nie komponujesz?

— Bo nie mogę.

Męczyła go. Zdawała się nic nie rozumieć. Hołdowała wygodnemu przekonaniu, które można było zawrzeć w dwóch słowach: chcieć to móc.

Zaczął od początku: Możliwe Opactwa, koncert, propozycja wujka Sydneya, a potem... Nell...

— Czy przypadkiem nie mylisz życia z baśnią? — zapytała, wysłuchawszy go do końca.

— Co masz na myśli?

— Właśnie to. Chcesz żyć w domu przodków, chcesz poślubić dziewczynę, którą kochasz, chcesz obrastać w niezmiernie bogactwa i jakby tego było mało, chcesz zostać wielkim kompozytorem. Ośmielam się twierdzić, że stać cię na zrobienie jednej z tych czterech rzeczy, i to pod warunkiem, że zaprzedasz się temu całą duszą. Nikt nie może mieć wszystkiego, powinieneś o tym wiedzieć. Życie to nie powieść w kieszonkowym wydaniu.

Nienawidził jej. Nienawidził, a jednak go pociągała. Znowu poczuł

dziwną, podniecającą atmosferę, jaką kilka chwil wcześniej stworzyła swoim śpiewem. Pole magnetyczne, pomyślał, ot co. A dalej: nie lubię jej. Ona mnie przeraża.

Dołączył do nich długowłosy młodzieniec. Był Szwedem, lecz doskonale mówił po angielsku.

— Dowiedziałem się od Sebastiana, że komponujesz muzykę przyszłości — zwrócił się do Vernona. — Mam pewne teorie na temat przyszłości. Czas jest jedynie innym wymiarem przestrzeni. Można przemieszczać się w czasie tam i z powrotem, tak jak się to robi w przestrzeni. Połowa naszych marzeń to nic innego jak pamięć przyszłości. I tak, jak bywamy rozłączeni z naszymi najdroższymi w przestrzeni, tak samo bywamy rozłączeni w czasie, i to właśnie jest albo może stać się dla nas największą tragedią.

Vernon uznał w duchu, że ma do czynienia z wariatem i przestał

zwracać uwagę na jego słowa. Nie interesowały go teorie czasu i przestrzeni. Jednak Jane Harding pochyliła się do przodu.

— Hm — powiedziała. — Być rozłączonym w czasie. Nigdy o tym nie pomyślałam.

Szwed, zachęcony, mówił dalej. O czasie, o nieskończonej przestrzeni, o jednym czasie, o drugim czasie. Czy Jane to interesowało, czy nie, Vernon nic wiedział. Patrzyła prosto przed siebie i nie wyglądało na to, by cokolwiek słyszała. Kiedy Szwed przeszedł do czasu trzeciego, Vernon salwował się ucieczką.

Dołączył do Joe i Sebastiana. Joe właśnie entuzjastycznie mówiła o Jane Harding.

— Uważam, że jest cudowna. Prawda, Vernonie? Zaprosiła mnie do siebie. Chciałabym umieć śpiewać tak jak ona.

— Ona jest aktorką, nie śpiewaczką — powiedział Sebastian. — Jane to porządna dziewczyna. Jej życie układało się dość tragicznie. Przez pięć lat żyła z Borisem Androsem, rzeźbiarzem.

Joe popatrzyła w kierunku Jane z jeszcze większym zainteresowaniem. Co do Vernona, ten poczuł się boleśnie młody i niedojrzały. Wciąż czuł na sobie spojrzenie zagadkowych, lekko kpiących zielonych oczu i słyszał tamten rozbawiony, ironiczny głos:

„Czy przypadkiem nie mylisz życia z baśnią?” Do diabła, to boli!

A jednak czuł nieprzeparowane pragnienie, by znowu ją zobaczyć.

Czy mógłby poprosić ja... Nie, nie mógłby...

Poza tym on tak rzadko bywa w Londynie... Usłyszał za plecami jej głos — głos śpiewaczki, lekko ochryply.

— Dobranoc, Sebastianie. Dzięki za miły wieczór. Podążając ku drzwiom, spojrzała przez ramię na Vernona. — Odwiedź mnie kiedyś —

powiedziała od niechcienia. — Twoja kuzynka ma mój adres.

KSIĘGA III

JANE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mieszkanie Jane Harding mieściło się w Chelsea na najwyższym piętrze jednego z domów czynszowych, skąd roztaczał się wspaniały widok na rzekę.

To tutaj, w dzień po przyjęciu, wieczorem, przyszedł Sebastian Levinne.

— Umówiłem cię z Radmaagerem, Jane — powiedział. — Odwiedzi cię jutro, chód nie określili żadnej godziny. Wolał, żeby spotkanie odbyło się u ciebie.

— Opowiedz mi, jak żyjesz* — zacytowała Jane. — Niech mu będzie.

Żyję sobie bardzo przyjemnie i zacie, w całkowitej samotności!

Zjadłbyś coś?

— Czyżbyś miała coś do jedzenia? — Jajecznicę, grzyby, sardele na grzance, czarna kawa — posiedź spokojnie, nim to wszystko przygotuję.

Położyła obok niego pudełko papierosów i zapalki i wyszła z pokoju. Za kwadrans posiłek był gotowy.

— Lubię przychodzić do ciebie, Jane — rzekł Sebastian. — Nigdy nie traktujesz mnie jak napuszonego młodego Żyda, dla którego jedyne wyzwanie stanowi luksusowa kuchnia w Savoyu.

Jane poprzestała na uśmiechu. — Podoba mi się twoja dziewczyna, Sebastianie — podjęła niebawem.

— Joe?

— Tak, Joe.

— A tak naprawdę, co o niej myślisz? — Sebastian zapytał dość burkliwie.

Jane zwlekała chwile z odpowiedzią. — Jest jeszcze taka młoda —

powiedziała w końcu. — Tak przerażająco młoda.

Sebastian zaśmiał się, był rozbawiony. — Byłaby wściekła, słysząc twoją opinie.

— Prawdopodobnie. — Po minucie zapytała: — Bardzo ci na niej zależy, prawda, Sebastianie?

— Tak. I czy to nie dziwne, Jane, że człowiekowi tak mało zależy na tym, co ma? Bo mam praktycznie wszystko, czego dusza zapagnie, z wyjątkiem Joe, a to właśnie ona jest dla mnie wszystkim. Zdaję sobie sprawę, jakim jestem głupcem, lecz wcale mi to nie przeszkadza.

Zapytasz: czym różni się Joe od setki innych dziewcząt? Wiem, prawie niczym. A mimo to jest tym

czymś jedynym na świecie, co w chwili obecnej ma dla mnie znaczenie.

— Po części dlatego, że jej nie masz.

— Może. Ale nie sądzę, żeby tylko o to chodziło. — Ja również nie sądzę.

— A co myślisz o Vernonie? — zapytał po chwili. Jane obróciła się w krześle. Na jej twarz przestał padać blask płonącego w kominku ognia.

— Jest interesujący — powiedziała wolno — poniekąd, jak myślę, dlatego, że kompletnie brakuje mu ambicji.

— Tak uważasz?

— Tak. Chciałby, żeby mu wszystko łatwo przyszło. — Jeśli to prawda, nigdy nie odniesie sukcesu w muzyce. Do tego trzeba mieć w sobie siłę napędową.

— Tak, trzeba. Lecz w jego wypadku to muzyka będzie tą siłą, która pchnie go do pracy.

Twarz Sebastiana rozświetliła się nagłym zrozumieniem.

— Wiesz, Jane? Chyba masz rację! Jane jedynie się uśmiechnęła.

— Chciałbym wiedzieć, co począć z dziewczyną, z którą jest zaręczony — rzekł Sebastian.

— Jaka ona jest?

— Ładna. Niektórzy nawet uważają, że śliczna, ale ja pozostałbym przy swoim określeniu. Dziewczyna jak wiele innych, choć” ma w sobie dziwną słodycz i miękkość. Obawiam się... no cóż, to właściwe słowo, a więc obawiam się, że zależy jej na Vernonie.

— Nie obawiaj się. Twój ukochany geniusz nie zawróci z drogi ani nic go nie zatrzyma. To niemożliwe. Mogę dać głowę, że tak się nie stanie.

— Nic nie zawróci ciebie z drogi. Ciebie, Jane. Lecz ty masz w sobie siłę napędową.

— Mimo to, Sebastianie, przypuszczam, że ze mną los łatwiej by sobie poradził niż z Vernonem, jeśli chodzi o to „zawracanie”. Ja wiem, czego chcę i sięgam po to; on tego nie wie, a raczej nic chce wiedzieć, lecz to coś samo do niego przyjdzie... A wtedy to coś, czymkolwiek ono jest, zdominuje go... zdominuje bez względu na koszty.

— Czyje koszty?

— Ach! Gdybym to wiedziała... Sebastian podniósł się.

— Muszę już iść. Dziękuję, żeś mnie nakarmiła, Jane.

— Wielkie dzięki za wstawiennictwo u Radmaagera. Jesteś oddanym przyjacielem Sebastianie. I nie sądzę, by jakikolwiek sukces mógł ci zaszkodzić.

— Och! Sukces... — Wyciągnął do niej rękę na pożegnanie.

Jane położyła mu dłonie na ramionach i pocałowała go.

— Mój drogi, mam nadzieję, że w końcu będziesz miał tę swoją Joe.

Lecz gdyby tak się nie stało, to jestem przekonana, że poza nią zdobędziesz wszystko inne!

Radmaager przyszedł do Jane Harding dopiero za dwa tygodnie, nie zapowiedziany, o wpół do jedenastej w południe. Wkroczył do mieszkania bez słowa przeprosin i rozejrzał się po salonie.

— Czy te meble i tapety to twój pomysł?

— Mój.

— Sama tu mieszkasz?

— Tak.

— Ale nie zawsze byłaś sama?

— Nie zawsze.

— To dobrze — stwierdził niespodziewanie Radmaager i dodał

rozkazującym tonem: — Podejdź do mnie.

Wziął ją za rękę i pociągnął do okna. Tam obejrzał całą, od stóp do głów. Uszczypnął ją lekko w ramię, kazał otworzyć usta i zajrzał

do gardła i wreszcie położył wielkie łapska po obu stronach jej talii. — Głęboki wdech! Wydech! Świetnie! Wyjął z kieszeni miarkę krawiecką i zmierzył pojemność jej klatki piersiowej przy wdechu i wydechu. We wszystkich tych poczynaniach ani on, ani Jane zdawali się nie widzieć niczego dziwnego.

— W porządku — oznajmił Radmaager. — Masz wspaniałe płuca i silne gardło. I jesteś inteligentna; nie przerywałaś mi. Choć mógłbym znaleźć wiele śpiewaczek z lepszym głosem, to twój całkowicie mnie zadowala, jest bardzo czysty, bardzo piękny, bardzo dźwięczny.

Powiedziałbym, głos jak srebrna przędza. Tylko w imię czego go forsujesz? Rób tak dalej, a odmówi ci posłuszeństwa. I co potem?

Dobierasz sobie role absurdalne; gdybyś nie była uparta jak osioł, dałabyś sobie z nimi spokój. Mimo to darzę cię szacunkiem. Jesteś prawdziwą artystką. — Zrobił przerwę na oddech i od nowa podjął swoją tyradę: — Chciałbym, żebyś wysłuchała mnie uważnie. Moja muzyka jest piękna i nie zaszkodzi twojemu głosowi. Ibsen, tworząc Solvejgę, stworzył najcudowniejszy kobiecy charakter, jaki kiedykolwiek i ktokolwiek wymyślił. Moja opera utrzyma się dzięki Solvejdze albo przez nią upadnie. Niestety, mieć śpiewaczkę to jeszcze nie wszystko.

Są Cavarossi, Mary Wontner, Jeanne Dorta i każda ma nadzieję na zaśpiewanie tej partii. Ale nie o to mi chodzi. Bo i kimże one są?

Nierozumne stworzenia o cudownych wiazadłach głosowych. Dla mojej Solvejgi muszę zdobyć doskonały instrument, instrument obdarzony inteligencją. Jesteś młodą śpiewaczką, na razie nie znaną. Jeśli spełnisz moje oczekiwania, za rok będziesz śpiewać w Covent Garden w moim Peer Gyncie. A teraz zamień się w słuch.

Zasiadł przy fortepianie Jane i zaczął grać dziwne, miarowe, monotonne melodie...

— To jest śnieg, rozumiesz, śnieg północy. Twój głos ma być jak śnieg. Jak biały adamaszek. Deseń, który go zdobi, jest w muzyce, nie w twoim głosie.

Grał dalej. Uderzając w klawisze, wyczarowywał bezkresną melancholię, powtarzał bez końca, jedne, zdawałoby się, i te same pasaże, lecz w tej rzekomej jednostajności ucho Jane wyłapało coś, co uparcie przewijało się przez melodię, to coś, co Radmaager przed chwilą nazwał deseniem. Muzyka zamilkła.

— No i co?

— To będzie bardzo trudne do zaśpiewania.

— Słusznie. Ty jednak masz wspaniałe ucho. Chciałabyś śpiewać partię Solvejgi, czy tak?

— Oczywiście. To moja życiowa szansa. Ale jeśli się okaże, że nie potrafię spełnić pańskich oczekiwań...

— Sądzę, że potrafisz. — Podniósł się i położył ręce na jej ramionach. — Ile masz lat?

— Trzydzieści trzy.

— Byłaś bardzo nieszczęśliwa, prawda to?

— Tak.

— Ilu mężczyzn przeszło przez twoje życie?

— Jeden.

— I ten jeden okazał się złym człowiekiem, tak?

— Bardzo złym — przyznała sprawiedliwie Jane.

— Rozumiem. To właśnie jest wypisane na twojej twarzy. Teraz posłuchaj mnie: wszystko, co wycierpiałaś, wszystko, co dawało ci szczęście, włożysz w moją muzykę, lecz nie w sposób żywiołowy, nieopanowany. Nie, masz swoje uczucia kontrolować, masz je sobie podporządkowywać. Natura obdarzyła cię inteligencją i odwagą. Bez odwagi do niczego się nie dochodzi. Ci, którym jej brakuje, odwracają się tyłem do życia. Ty nigdy tego nie zrobisz. Cokolwiek się zdarzy, przyjmiesz to z podniesioną głową, z odkrytym czołem i z odkrytym spojrzeniem... Jednak mam nadzieję, moje dziecko, że los nie zrani cię za bardzo... Odwrócił się od niej. — Przyślę ci

partyturę. Przystudiuj ją — rzucił przez ramię i wyszedł z pokoju ciężkim krokiem.

Kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi, Jane usiadła przy stole i zapatrzyła się niewidzącym wzrokiem w przeciwległą ścianę. Oto stoi przed życiową szansą.

— Boję się — szepnęła sama do siebie.

Przez cały tydzień Vernon zastanawiał się, czy powinien, czy też nie, skorzystać z niedbale rzuconego zaproszenia. Mógłby się wybrać do Londynu pod koniec tygodnia, lecz jeśli jej nie zastanie? Albo, co gorzej, ośmieszy się? Być może zdążyła zapomnieć, że go zaprosiła.

Pozostał w Birmingham. Był pewien, że go zapomniała. Ale potem dostał list od Joe, w którym ta nadmieniła o dwukrotnym spotkaniu z Jane Harding. To przesądziło sprawę. W następną sobotę, o szóstej po południu, dzwonił do jej mieszkania.

To ona mu otworzyła, nikt inny. Jej oczy, na widok niespodziewanego gościa, rozwarły się odrobinę szerzej. Poza tym nie okazała żadnego zaskoczenia.

— Wejdz i nie przejmuj się — rzekła. — Kończę wprawki.

Poszedł za nią do długiego pokoju, którego okna wychodziły na rzekę. Niewiele było w nim sprzętów: fortepian, otomana, para krzeseł. Trzy ściany mieniły się dziką orgią barw niebieskich dzwonek i żonkili. Jedna ściana była pokryta tapetą w kolorze dyskretnej ciemnej zieleni, i wisiał na niej jeden jedyny obraz —

dziwne studium trzech nagich pni. Vernonowi od razu przypomniały się jego dawne przygody w lesie.

Na taborecie przed fortepianem siedział ten sam mały, podobny do białej dżdżownicy człowieczek.

Jane pchnęła ku Vernonowi papierośnicę, powiedziała ostrym, rozkazującym tonem: „Dalej, panie Hill” i zaczęła przechadzać się tam i z powrotem po pokoju.

Pan Hill rzucił się do fortepianu. Jego ręce zamigotały na klawiaturze. Palce uderzały w klawisze ze zdumiewającą prędkością i zręcznością. Jane śpiewała. Przez większość czasu sotto voce, prawie półszepem, tylko chwilami brała frazę pełnym głosem. Kilka razy, zniecierpliwiona, przerywała, krzycząc z furją, i pan Hill musiał

powtarzać kilka taktów.

Zaprzestała całkiem nieoczekiwanie, klaszcząc w dłonie. Podeszła do kominka, nacisnęła dzwonek i, po raz pierwszy traktując pana Hilla jak ludzką istotę, zapytała:

— Panie Hill, czy zostanie pan i napije się z nami herbaty?

Pan Hill niestety nie mógł. Giął się przepaszajaco w jedną i drugą stronę, aż wysunął się boczkiem z pokoju. Pokojówka wniosła czarną kawę i gorące tosty z masłem, co razem zdawało się odpowiadać wyobrażeniom Jane o popołudniowej „herbacie”.

— Co śpiewałaś?

— Fragment z Elektry Richarda Straussa.

— Podobało mi się. Choć myślałem, że to walka psów.

— Strauss byłby mile zaskoczony. Nieważne, wiem, co masz na myśli.

Z tej pieśni przebija wojowniczość.

Przesunęła grzanekę w stronę Vernona i dodała:

— Twoja kuzynka była u mnie dwa razy.

— Wiem. Pochwaliła mi się w liście.

Plątał mu się język i czuł się nieswojo. Tak bardzo pragnął tu przyjść, a teraz nie wiedział, co powiedzieć. Coś, co było w Jane, krępowało mu tak ruchy, jak i myśli. W końcu wyrzucił z siebie:

— Proszę o szczerą radę: czy powinienem rzucić pracę i wziąć się do muzyki?

— Jakżeż mogę ci odpowiedzieć? Nawet nie wiem, co chcesz robić.

— Mówisz jak tamtego wieczoru. Stawiasz sprawę tak, jak gdyby każdy mógł robić dokładnie to, na co ma ochotę.

— Bo może. Nie zawsze, oczywiście, ale prawie. Jeśli chcesz kogoś zamordować, nie ma takiej siły, która by cię powstrzymała. Choć, naturalnie, potem będziesz wisiał.

— Nikogo nie chcę mordować. — Nie, ty chcesz, żeby twoja baśniowa historia miała szczęśliwe zakończenie. Wujek umiera i zostawia ci wszystkie swoje pieniądze. Poślubiasz damę serca i żyjesz szczęśliwie w Opactwach Jak–im–tam do końca dni swoich.

— Wolałbym, żebyś się ze mnie nie śmiała — odparł ze złością.

Jane milczała minutę, potem rzekła zmienionym głosem:

— Nie śmieję się. Robię coś, czego nie powinnam: próbuję się mieszać do nie swoich spraw.

— Co przez to rozumiesz?

— To, że próbując sprawić, abyś przestał bujać w obłokach, zapominam, że jesteś, jeśli się nie mylę, chyba o osiem lat młodszy ode mnie i że twój czas na zmierzenie się z prawdziwym życiem jeszcze nie nadszedł. Pomyślał, że mógłby wyznać jej wszystko, wszystko do końca. Choć może nie odpowiedziałyby mu tak, jakby tego chciał.

— Mów, proszę, dalej — powiedział na głos. — Przypuszczam, że zachowuję się bardzo egoistycznie, wdając się w rozważania o sobie, lecz wierz mi, jestem nieszczęśliwy i zgnębiony. Chciałbym wiedzieć, co miałaś na myśli tamtego wieczoru, kiedy to powiedziałaś, że z czterech rzeczy, których pragnę, mogę dostać każdą, lecz nie wszystkie razem. Jane zastanawiała się minutę.

— Co miałam na myśli? Dokładnie? Cóż, właśnie to. Aby dostać, czego się pragnie, trzeba płacić niezwykłą cenę lub brać na siebie ryzyko; czasami i jedno, i drugie. Na przykład ja kocham muzykę, a ściślej, pewien gatunek muzyki, lecz wcale nie ten, któremu odpowiada mój głos. Mój głos jest świetnym głosem koncertowym, ja natomiast, nie zważając na nic, śpiewałam Wagnera, śpiewałam Straussa, śpiewałam wszystko, co mi się podobało. Co prawda, jak do tej pory, nie zapłaciłam za to żadnej ceny, lecz podjęłam nadzwyczajne ryzyko. Mój głos w każdej chwili może odmówić mi posłuszeństwa, wiem o tym doskonale, a jednak uznałam, że gra jest warta świeczki.

Jeśli chodzi o ciebie, wspomniłeś o czterech rzeczach. Co do pierwszej: jeśli zostaniesz w interesie wujka dostatecznie długo, staniesz się bogaty i pozbędziesz się kłopotów natury finansowej. To nie jest zbyt interesujące. Co do drugiej: chcesz mieszkać w Możnych Opactwach. Mógłbyś to zrobić choćby jutro, gdybyś poślubił posażną pannę. Następnie, sprawa trzecia: dziewczyna, którą kochasz, dziewczyna, którą chcesz poślubić...

— Czy mógłbym mieć ją choćby jutro? — spytał Vernon na pół gniewnie, na pół ironicznie.

— Powiedziałabym, że tak. Całkiem łatwo.

— W jaki sposób?

— Sprzedając Możne Opactwa. Jesteś ich właścicielem, prawda?

— Tak, lecz nie potrafiłbym tego zrobić, nie mógłbym... nie mógłbym...

Jane przechyliła się w krześle do tyłu. Uśmiechnęła się.

— Wolisz iść dalej, wierząc, że życie to bajka?

— Musi być jakiś inny sposób.

— Ależ tak, jest. Prawdopodobnie najprostszy. Nic nie może was powstrzymać przed udaniem się do najbliższego urzędu stanu cywilnego.

Od tego macie nogi. Ty i ona, oboje.

— Nie rozumiesz niczego. Przed nami piętrzą się tysiące trudności.

Nie mógłbym skazać Nell na życie w ubóstwie. Ona nie chce być biedna.

— Albo nie może.

— To znaczy?

— Znaczy, co znaczy. Niektórzy ludzie nie potrafią tak żyć, wiesz o tym.

Vernon wstał. Dwa razy przemierzył pokój tam i z powrotem. Potem wrócił, opadł na dywanik obok krzesła Jane i popatrzył w jej twarz.

— A co powiesz o czwartej rzeczy? O muzyce? Jak ci się zdaje, czy kiedykolwiek będę ją tworzyć?

— Tego nie jestem w stanie przewidzieć. Chcieć, to w tym wypadku za mało. Lecz jeśli tak się stanie, spodziewam się, że muzyka przesłoni wszystko inne. Przestaną się liczyć Możliwe Opactwa, pieniądze, dziewczyna. Mój drogi, nie zdaje mi się, by życie miało cię rozpieszczać. Uch! Dreszcz mnie przeszedł. A teraz powiedz mi coś o operze, którą, wiem to od Sebastiana Levinne'a, podobno komponujesz.

Kiedy jego opowieść dobiegła końca, dochodziła dziewiąta.

Poderwali się zaskoczeni i poszli do pobliskiej restauracyjki. Kiedy żegnał się z nią, ogarnęła go poprzednia nieśmiałość.

— Myślę, że nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś tak miłego jak ty.

Czy wolno mi będzie przyjść i porozmawiać z tobą raz jeszcze? To znaczy, jeśli nie zanudziłem cię na śmierć.

— Kiedy tylko zechcesz. Dobranoc!

Myra pisała do Joe:

Najdroższa Josephine, tak bardzo niepokoję się o Vernona i o to, że nieustannie odwiedza w Londynie tę kobietę — podobno jakaś śpiewaczka operowa czy coś w tym rodzaju. Starsza od niego o lata cale. Że też kobiety takie jak ta zawsze znajda sposób na zatrzymanie przy sobie młodego chłopca. To okropne. Jestem potwornie zmartwiona i nie wiem, co począć. Rozmawiałam z twoim wujkiem Sydneyem, lecz na niewiele się to zdało. Chłopcy jak chłopcy, powiedział. Ja jednak nie chcę, by mój był taki jak inni. Zastanawiałam się nawet, droga Joe, czy nie byłoby dobrze, gdybym zobaczyła się z tą kobietą i poprosiła ją, by zostawiła Vernona w spokoju. Tak sobie myślę, że nawet zła kobieta mogłaby wysłuchać prośby matki. Vernon jest zbyt młody, by rujnować sobie życie. Doprawdy, sama nie wiem, co robić. Zdaje mi się, że ostatnio nie mam na niego żadnego wpływu.

Ściskam Cię mocno, oddana Ci ciocia

Myra

Joe pokazała list Sebastianowi.

— Chyba ma na myśli Jane — powiedział Sebastian. — Chciałbym być przy takim spotkaniu. Ale Jane by się ubawiła.

— Ciocia Myra wypisuje idiotyzmy — zaprotestowała gorąco Joe. —

Dziękowałabym Bogu, gdyby Vernon zakochał się w Jane. Byłoby to sto razy lepsze niż ta jego obecna głupia miłość i kurczowe trzymanie się Nell.

— Nic lubisz jej, prawda?

— Tak jak i ty.

— Och, nieprawda, lubię ją, i owszem, choć nie jest to osoba, która potrafiłaby mnie zainteresować. Przyznaję jednak, że jest atrakcyjna i na swój sposób całkiem śliczna.

— Tak jak pudełko czekoladek.

— Nell nic pociąga mnie, ponieważ mój umysł nie został jeszcze rozbudzony. Jeszcze nic zdarzyła mi się prawdziwa Nell i, być może, nigdy się nie zdarzy. Przypuszczam, że tego rodzaju miłość bywa niektórym ludziom potrzebna, ponieważ wyzwala w nich różnego rodzaju uczucia i energię.

— Jane jest warta dziesięciu Nell! Im prędzej Vernon da sobie spokój z cielecą miłością do Nell, a w miejsce tego zakocha się w Jane, tym lepiej.

Sebastian zaciągnął się papierosem i rzeki powoli:

— Chyba nie mogę się z tobą zgodzić.

— Dlaczego?

— Jakby ci to wytłumaczyć. Widzisz, Jane to silna osobowość, to realistka. Miłość do niej może mężczyznę pochłonąć całkowicie. Chyba zgodzisz się ze mną, że Vernon jest potencjalnym geniuszem. No więc, czy geniusz chciałby mieć za żonę kobietę o silnej osobowości? Nie, geniusz z natury, wolałby poślubić kogoś nijakiego, kogoś, czyja osobowość by mu nie przeszkadzała. To może zabrzmieć cynicznie, lecz śmiem twierdzić, że tak właśnie byłoby w małżeństwie Vernona i Nell.

Jak dotychczas, ona przedstawia sobą... przedstawia... sam nie wiem, jak to nazwać, powiedzmy „ukwieconą jabłoń, śpiew i złoto...” Coś w tym stylu. To go czeka, kiedy się z nią ożeni. Nell się nie zmieni; zawsze będzie miłą, ładną i łagodną istotą, którą, naturalnie, on będzie bardzo kochał. Taka żona nigdy nic stanie mu na przeszkodzie, nigdy nie stanie między nim a jego pracą; nie ma na to dość silnego charakteru. Co innego Jane. Ona mimo woli przeszkadzałaby Vernonowi.

To nie uroda Jane go przyciąga, to ona sama. Jane mogłaby stać się dla Vernona kobietą fatalną...

— Nie zgadzam się z tobą. Sądzę, że Nell jest głupiutką małą oślicą i nie dopuszczam do siebie myśli, że Vernon mógłby się z nią ożenić... Mam nadzieję, że nic z tego nie wyjdzie...

— Co jest bardzo prawdopodobne — podsumował Sebastian.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nell znów była w Londynie. Vernon przyszedł zobaczyć się z nią dzień po jej powrocie. Od razu zauważyła, że zaszła w nim jakaś zmiana. Miał niespokojne, podekscytowane spojrzenie. Powiedział niemal od progu:

— Nell, rzucam Birmingham.

— Co takiego?

— Posłuchaj, wszystko ci opowiem... — Mówił z ożywieniem, z przejęciem. Jego muzyka... poddał się jej... pisze operę. — Posłuchaj, Nell. To jesteś ty... wychylasz się z okna swojej wieży... twoje złote włosy spływają w dół i błyszczą w słońcu... — Podszedł tło fortepianu i zaczął grać, tłumacząc jej wszystko po kolei. — To są skrzypce... a teraz odzywają się harfy... a tak podzwaniają twoje klejnoty...

Nell słyszała jeden ciąg brzydkich, nie harmonizujących ze sobą dźwięków. Przecież to szkaradne, pomyślała. Może... może... kiedy zagra to orkiestra...

Lecz ona go kocha, a ponieważ go kocha, wszystko, co on robi, robi dobrze. Uśmiechnęła się.

— To jest piękne, Vernonie.

— Naprawdę ci się podoba? Och, ukochana, jaka ty jesteś cudowna, jaka przemiła. Wszystko potrafisz zrozumieć.

Podszedł do niej, ukląkł i ukrył twarz w jej sukni. — Tak bardzo cię Kocham... tak bardzo... Nell dotknęła czule jego ciemnych włosów.

— Opowiedz mi tę całą historię.

— Naprawdę chciałabyś posłuchać? No wice, księżniczka o złotych włosach mieszka sobie w wieży pewnego zamku, a królowie i rycerze zbiegają się ze wszystkich stron świata, aby ją poślubić. Ona jednak jest zbyt wyniosła, by spojrzeć łaskawym okiem choćby na jednego.

Wiesz? Jest w rym coś z prawdziwej, opowiadanej dzieciom bajki. Ale idźmy dalej. Któregoś dnia pod murami wieży staje jeszcze jeden zalotnik, ktoś, kto wyglądem przypomina Cygana: wytarte łachmany, mały, zielony kapelusik. Gra na czymś w rodzaju fujarki, śpiewa; mówi, że jego królestwo jest większe od wszystkich innych, ponieważ tym królestwem jest cały świat, i że nikt nie ma takich klejnotów jak on, bo jego klejnoty to krople rosy. Pozostali zalotnicy uznają go za szaleńca i każą iść precz. Cygan odchodzi, lecz kiedy zapada noc, w przylegającym do wieży ogrodzie, znów rozlega się dźwięk jego fujarki. Księżniczka, leżąc w łóżku, słucha. Wsłuchuje się... W

pobliskim miasteczku żyje sobie stary Żyd domokrażca i ów Żyd proponuje biednemu Cyganowi złoto i bogactwa, dzięki którym mógłby zdobyć księżniczkę. Cygan śmieje się i pyta starca, co

chciałby w zamian. Starzec pragnie, by Cygan odstąpił mu jedynie zielony kapelusik i fujarkę, lecz ten odpowiada, że nie rozstanie się z nimi za żadne skarby.

Cygan wraca pod mury wieży i każdej nocy wzywa księżniczkę:

„Wyjdź, moja ukochana, wyjdź do mnie!”, a księżniczka nie śpi, księżniczka chętnie wsłuchuje się w wygrywaną na fujarce melodię. W

zamku jest stary bard, który snuje opowieść o tym, jak to sto lat temu pewien książę z królewskiego rodu został z czarowany przez Cyganekę, poszedł w świat i słuch o nim zaginął. Księżniczka chłonie jego słowa i w końcu, którejś nocy, wstaje z łóżka i podchodzi do okna. Cygan każe jej zostawić wszystkie stroje i klejnoty i wyjść do niego w zwykłej białej sukience. Ona jednak myśli sobie, że na wszelki wypadek lepiej się zabezpieczyć i potajemnie w obrąbek białej sukienki wkłada sznur pereł. Wreszcie wychodzi i razem z Cyganem, przy dźwiękach jego fujarki, wyrusza w świat. Perły jednak ciężą, księżniczka zwalnia kroku, zostaje, a Cygan, zasluchany w wygrywaną melodię, nieświadomy swej zguby, idzie dalej.

Nie opowiadam najlepiej, lecz na tym kończy się pierwszy akt. A w ogóle są trzy akty. Sień zamku, plac targowy i zamkowy ogród pod oknem księżniczki.

— Nie sądzisz, że scenografia może się okazać zbyt droga? —

zapytała Nell.

— Nie zastanawiałem się nad tym. Zresztą, jakoś sobie poradzę.

Lepiej słuchaj dalej. — Vernona irytowały tak prozaiczne szczegóły. —

Drugi akt rozgrywa się w pobliżu targu. Jest tam dziewczyna, która naprawia lalki. Wokół jej twarzy zwisają pasma czarnych włosów. Cygan przechodzi obok i pyta, co ona robi, a ona odpowiada, że naprawia zabawki, bo ma najcudowniejszą na świecie igłę z nitką. Cygan opowiada jej o księżniczce i o tym, jak ją zgubił, a potem zwierza się, że idzie do starego Żyda domokrażcy, aby mu sprzedać swój kapelusz i swoją fujarkę. Dziewczyna ostrzega, żeby tego nie robił, lecz Cygan jej nie słucha.

Przedstawiam ci całą historię w ogólnym zarysie, bez podziału (którego już dokonałem, choć nie jestem pewien, czy we właściwy sposób) na poszczególne sceny. Mam muzykę, a to najważniejsze, mam muzykę pałacową, poważną i jednocześnie próżną, mam hałaśliwą muzykę placu targowego, wiem, że moja księżniczka zaśpiewa tak, jak w jakimś wierszu „śpiewa strumień w cichej dolinie”, wiem, jak zabrzmiał głos naprawiaczki lalek, i wiem też, że drzewa i lasy przemówią tak, jak przemawiały do mnie drzewa i lasy w Możnych Opactwach — drzewa z czarowane, tajemnicze i trochę straszne... Myślę, że do tego będą potrzebne specjalnie zestrojone z sobą instrumenty... Nie będę się zagłębiał w sprawy techniczne, to przecież ciebie nie interesuje.

No więc, na czym skończyłem? Mój Cygan wraca do zamku jako wielki król. Tym razem jedzie na koniu w paradnym rzędzie, cały w szczekających zbrojach, obwieszony klejnotami. Księżniczka nie posiada się z radości, zamierzają się pobrać, zda się, że wszystko jest na najlepszej drodze. Niestety,

król zaczyna blednąć i mizernieć, staje się słabszy z dnia na dzień, a gdy ktoś go pyta, co mu dolega, odpowiada: „nic”.

— To tak jak ty, kiedy byłeś małym chłopcem, za czasów Moźnych Opactw — uśmiechnęła się Nell.

— Tak mówiłem? Nie pamiętam. Idźmy dalej. Oto wieczór poprzedzający wesele. Król nic może dłużej znosić swej udręki i wykrada się po cichu z zamku, biegnie na targ, budzi starego Żyda i prosi go o zwrot kapelusza i fujarki. W zamian chce mu podarować wszystko, co ma. Stary Żyd z drwiną rzuca pod nogi króla przedarty na pół kapelusz i połamaną fujarkę.

Król ma złamane serce, ziemia usuwa mu się spod nóg. Ścisną w rękę swoje zniszczone skarby i idzie przed siebie, aż dochodzi do miejsca, gdzie siedzi, podwinąwszy nogi, naprawiaczka lalek. Opowiada jej, co się zdarzyło, a ona każe mu się położyć i zasnąć. Kiedy król budzi się rano, jego zielony kapelusik i fujarka są tak pięknie naprawione, jakby nigdy nie uległy zniszczeniu.

Król śmieje się, uszczęśliwiony, a naprawiaczka lalek podchodzi do swojej skrzyni i wyjmuje z niej inny zielony kapelusik i inną fujarkę. Idzie razem z królem do lasu, a kiedy wschodzące słońce ozłaca wierzchołki drzew, on patrzy na nią i odzyskuje pamięć. „Sto lat temu opuściłem pałac i tron z miłości do ciebie”. A ona na to:

„To prawda. Ale ponieważ się bałeś, ukryłeś kawałek złota pod podszewką swojego kubraka. Jego blask zaczarował twoje oczy. To dlatego mnie zgubiłeś. Teraz cały świat jest nasz i już nigdy nie przestaniemy po nim razem wędrować”.

Vernon przerwał. Zwrócił pełną entuzjazmu twarz ku Nell.

— To powinno wypaść wspaniale... Obym tylko dostosował muzykę... tych dwoje w małych zielonych kapelusikach... grają na swoich fujarkach... i las, i wschodzące słońce... — Jego twarz stawała się coraz bardziej rozmarzona i ekstatyczna. Zdawać by się mogło, że zapomniał o Nell.

Nell ogarnęło uczucie, którego w żaden sposób nie potrafiłaby nazwać. Bała się tego dziwnie skupionego Vernona. Już nieraz mówił o muzyce, lecz nigdy jeszcze z taką pasją i egzaltacją. Wiedziała, że Sebastian spodziewa się, iż pewnego dnia Vernon dokona czegoś wspaniałego, lecz jednocześnie знаła z książek życiorysy genialnych muzyków i nagle zapragnęła, i to całym sercem, by Vernon nie był

obdarzony aż takim talentem. Chciała, aby ten pełen młodzieńczego zapału chłopiec, ten jej ukochany, na zawsze pozostał taki, jaki był

dotychczas. I żeby im obojgu wystarczyły zwykłe ludzkie marzenia.

Żony muzyków zawsze były nieszczęśliwe, przecież gdzieś o tym czytała. Ona nie chce, by Vernon został wielkim muzykiem. Chce natomiast, by szybko zarobił trochę pieniędzy i by zamieszkali oboje w Moźnych Opactwach. Chce wieść przyjemne, rozsądne, normalne, zwykłe życie. Miłość... i Vernon...

To, co się z nim teraz dzieje, ten rodzaj jakiegoś opętania, jest...

jest... tak, to jest po prostu niebezpieczne. Ona wie, że to na pewno jest niebezpieczne. Mimo to za nic na świecie nie chciałaby stłumić jego zapału. Kocha go zbyt mocno, aby tak postąpić.

— Wprost niezwykła historia! — zawołała, starając się nadać głosowi życzliwe i pełne zainteresowania brzmienie. — Prawdziwa bajka! Czy chcesz powiedzieć, że pamiętasz ją jeszcze z dzieciństwa?

— No, niezupełnie. Przypomniała mi się tamtego ranka naci rzeką, w Cambridge, chwilę wcześniej, niż ujrzałem ciebie. Stałaś pod drzewem i, ocli, kochanie, tak ślicznie wyglądałaś, tak ślicznie... Zawsze taka będziesz, obiecujesz, prawda? Nie zniósłbym, gdyby było inaczej.

Wiem, plotę straszne głupstwa, lecz już wracam do tematu. Pewnie chciałabyś wiedzieć, kiedy w mojej głowie powstała ta muzyka. Otóż wyobraź sobie, po tamtym wieczorze w Ranelagh, tamtym cudownym wieczorze, podczas którego wyznałem ci moją miłość. Miałem zatem muzykę do bajki, lecz sama bajka, poza wieżą, złotymi włosami księżniczki i księciem wagabundą, gdzieś mi się zapodziała.

Cóż, przyznam, tym razem szczęście się do mnie uśmiechnęło. Traf chciał, że poznałem kobietę, siostrzenicę nieżyjącej już pielęgniarki, tej, która kiedyś opowiadała mi ową historię, i że ta kobieta pamiętała moją bajkę. Czyż to nie nadzwyczajny zbieg okoliczności?

— Istotnie. A kim jest ta kobieta?

— Och, to cudowna istota. Nadzwyczaj miła i nadzwyczaj zdolna.

Jane Harding, śpiewaczka. Śpiewa partię Elektry i Izoldy z nowym zespołem Opery Brytyjskiej. Miejmy nadzieję, że w przyszłym roku zaśpiewa w Covent Garden. A poznałem ją na przyjęciu u Sebastiana.

Chciałbym, żebyś i ty ją poznała. Jestem pewien, że spodoba ci się.

— Ile ma lat?

— Dałbym jej mniej więcej trzydzieści. I wiesz, wywiera na ludziach niezwykle wrażenie. Z jednej strony, zdawałoby się, że nie sposób ją polubić, a z drugiej, ktoś, kto z nią przestaje, zaczyna nabierać wiary w siebie. Bardzo dobrze mnie traktuje.

— Przypuszczam.

Dlaczego to jej „przypuszczam” zabrzmiało tak, jak zabrzmiało?

Dlaczego ona, Nell, miałaby czuć nieuzasadnioną niechęć do tej kobiety, tej jakiejś tam Jane Harding?

Vernon także był zaskoczony tonem jej głosu.

— Co się stało, kochanie? Powiedziałaś to tak dziwnie.

— Sama nie wiem. — Próbowała się roześmiać. — Chyba ciarki przeszły mi po plecach.

— Ciekawe. — Vernon zmarszczył czoło. — Słyszałem to samo, choć nie wiem od kogo, i to całkiem niedawno.

— Mnóstwo ludzi tak mówi — powiedziała Nell, bagatelizując ten drobny incydent. — Wiesz, Vernonie — podjęła po chwili milczenia —

bardzo chciałabym poznać tę twoją przyjaciółkę.

— To świetnie. Dużo jej o tobie mówiłem.

— Wolałabym, żebyś tego nie robił. Nie lubię, jak się mówi o mnie poza moimi plecami. A poza tym, obiecaliśmy mojej matce, że nikt się o nas nie dowie.

— To dotyczy obcych. Przecież Sebastian i Joe wiedzą.

— Och, ci... Ich znasz prawie od zawsze.

— Masz rację, przepraszam. Nie pomyślałem w porę. Zresztą nie zdradziłem jej, że jesteśmy zaręczeni ani nie wyjawiałem twojego imienia. Nie gniewasz się, Nell?

— Nie, nie gniewam się.

Głos Nell zabrzmiał twardo, nawet dla niej samej. Że też życie musi być tak okropnie skomplikowane. Bała się tej jego muzyki. To przez nią, przez tę swoją muzykę, chce rzucić dobrą pracę. Przez muzykę? A może przez Jane Harding? Wolałabym go nigdy nie spotkać, pomyślała z nagłą rozpaczą w sercu. Doprawdy, wolałabym! Że też muszę go aż tak bardzo kochać... Boję się. Boję...

Już po wszystkim! Po wszystkim! Oczywiście, nie obyło się bez awantury. Wujek Sydney był wściekły, nie bez powodu zresztą, co Vernon lojalnie przyznawał. Potem sceny z matką, łzy, wzajemne wyrzuty. Jak zwykle, tak i tym razem był bliski złożenia broni, a jednak ostatecznie nie zrobił tego.

Cały czas czuł w sobie dziwną pustkę. Był sam na placu boju. Nell, ponieważ go kochała, zgadzała się z każdym jego słowem, lecz czuł podświadomie, że to, iż rzucił prace, zmartwiło ją i zaniepokoiło, a nawet być może zachwiało jej wiarę w przyszłość. Sebastian uważał

taki krok za pochozny. W jego przekonaniu należałoby, przynajmniej na razie, godzić sprawy przyziemne z duchowymi. Co nie znaczy, że przychodzi do niego z taką radą. On nigdy i do nikogo nie przychodzi z żadną radą. Nawet Joe, lojalna Joe, miała wątpliwości. Po co palić za sobą mosty, kiedy jego przyszłość jest taka niepewna. Muzyczna przyszłość, dodała. Choć ona oczywiście z całego serca życzy mu jak najlepiej.

Vernon jeszcze nigdy i nikomu nie odważył się zdecydowanie przeciwstawić. Kiedy już było po wszystkim i kiedy osiadł w Londynie, w najskromniejszym ze skromnych mieszkaniu, nagle poczuł się jak jeździec, którego koń wziął przeszkodę nie do pokonania.

To wtedy złożył kolejną wizytę Jane Harding.

Wyobraził sobie, po chłopięcemu, jak będzie wyglądać ich rozmowa.

„Postąpiłem zgodnie z twoją radą”. „Znakomicie! Wiedziałam, że nie brak ci prawdziwej odwagi”. On był skromny, ona mu przyklaskiwała.

Jej pochwały dodawały mu wiary w siebie i podnosiły na duchu.

Rzeczywistość, jak to zwykle bywa, okazała się całkiem inna. Bo też za każdym spotkaniem z Jane jego wyimaginowane z nią rozmowy różniły się krańcowo od tych, które potem rzeczywiście miały miejsce.

On z należytą skromnością oznajmił, że już nie pracuje w firmie swego wuja, ona potraktowała to jako rzecz oczywistą, a nie wyczyn na miarę herosa.

— Och, po prostu zrobiłeś to, na co miałeś ochotę — powiedziała krótko.

Vernon poczuł w głębi serca zawód graniczący ze złością. Chyba nigdy nie potrafi w jej obecności zdobyć się na swobodne zachowanie.

Miał jej tyle do powiedzenia, lecz każde słowo przychodziło mu z trudnością. Był jak niemowa. Był zakłopotany. A przecież niewiele trzeba, by rozwiłała się mgła mąca mu umysł i by mógł rozmawiać z nią tak, jak rozmawia z Joe czy z Sebastianem, by mógł mówić wszystko, co mu przyjdzie do głowy.

No więc, myślał, wracając do siebie, skąd to zakłopotanie? Ona jest przecież wystarczająco naturalna.

To go martwiło... Od kiedy ją poznał, zawsze był skrepowany... wręcz wystraszony. Czuł się dotknięty, że ta kobieta ma na niego jakiś wpływ, choć nawet nie zdawał sobie sprawy, jaki i jak wielki.

Wysiłki, zmierzające do tego, by między nią a Nell narodziła się przyjaźń, spełzły na niczym. Pod pozorną, konwencjonalną serdecznością, niewiele było prawdziwego uczucia. Kiedy zapytał Nell, co sądzi o Jane, ta odparła:

— Bardzo ją lubię. Myślę, że to niezwykle interesująca osoba.

Czuł się bardziej niezręcznie, zagadując Jane, lecz Jane domyśliła się, o co chodzi.

— Pewnie chciałbyś wiedzieć, co myślę o Nell? Jest bardzo ładna i ma dużo wdzięku.

— Więc myślisz, że mogłybyście zostać przyjaciółkami?

— Nie, oczywiście, że nie. A czy powinnyśmy? — No nie, ale... —

zająknął się, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Przyjaźń nie jest czymś w rodzaju równobocznego trójkąta. Jeśli A lubi B i kocha C, to C i B i tak dalej, i tak dalej... My nie mamy ze sobą nic wspólnego, twoja Nell i ja. Ona także, podobnie jak ty, myli życie z bajką, lecz oto właśnie zaczyna doświadczać, biedne dziecko, pierwszego lęku, że mimo wszystko może tak nie być. Nell to Śpiąca Królewna, która czeka na swego królewicza. Miłość jest dla niej czymś bardzo cudownym i bardzo pięknym.

— A dla ciebie nie?

Musiał zapytać. Tak bardzo chciał to wiedzieć. Zbyt często rozmyślał o Borisie Antlovie, o tamtych pięciu latach.

Twarz Jane była bez wyrazu.

— Kiedyś ci to powiem...

Chciał poprosić: „Powiedz mi teraz”, lecz się nie odważył. Zamiast tego zapytał:

— Jane, czym jest dla ciebie życie?

Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili:

— Nielatwą, niebezpieczną, lecz nieskończenie interesującą przygodą.

Wreszcie mógł pracować. Mógł cieszyć się wolnością, a co więcej, mógł ją w pełni docenić. Nic nie działało mu na nerwy, na nikogo ani na nic nie trwonił energii; spożytkowywał ją wyłącznie do pracy.

Korzystał z niewielu rozrywek — nie miał pieniędzy. Wystarczało mu ich zaledwie na jako takie utrzymanie. Możliwe Opactwa wciąż nie były oddane w dzierżawę...

Minęła jesień i większa część zimy. Widywał Nell parę razy w tygodniu, lecz ich spotkania były potajemne i nie sprawiały mu zbyt wiele radości. Oboje zdawali sobie sprawę, że minął już czas pierwszego zachłyśnięcia się miłością. Ona wypytywała go pilnie o postępy w pracy nad operą. Jak mu idzie? Kiedy spodziewa się ją skończyć? Jakie ma szansę, by ją wystawić? Vernon udzielał dość wymijających odpowiedzi. Nie interesowała go zbyt praktyczna strona zagadnienia; na razie koncentrował się wyłącznie na tworzeniu.

Opera rodziła się wolno i w bólach. Jej przyśściu na świat towarzyszyły niezliczone kłopoty i setki drobnych niepowodzeń, a to dlatego, że Vernonowi brakowało doświadczenia i odpowiedniej techniki. Uwielbiał rozmowy o możliwościach i wadach instrumentów, w związku z czym chętnie spotykał się z przeróżnymi muzykami grywającymi w orkiestrach. Nell często chodziła na koncerty i zachwycała się muzyką, lecz raczej było pewne, że nie odróżnia oboju od klarnetu i że róg i rożek angielski to dla niej prawie jedno i to samo. Obca jej też była jakakolwiek fachowa wiedza, wymagana przy pisaniu partytury, a obojętność Vernona względem tego, jak i kiedy opera zostanie wystawiona, wprost ją przerażała.

Vernon wcale nie zdawał sobie sprawy, jak deprymująco działają na Nell jego mało konkretne, wymijające odpowiedzi. Stąd słowa Nell, które pewnego dnia wypowiedziała, a raczej wyszlochała, były dla niego nie lada zaskoczeniem.

— Och, Vernonie, nie poddawaj mnie aż tak ciężkiej próbie. To zbyt trudne... zbyt trudne... Ja muszę mieć jakąś nadzieję. Czyżbyś tego nie rozumiał? Spojrzał na nią zdziwiony.

— Ależ, Nell, wszystko w porządku, naprawdę. Trzeba się tylko uzbroić w cierpliwość.

— Wiem, Vernonie, nie powinnam tego mówić, lecz widzisz... —

przerwała.

— Kiedy widzę, że jesteś nieszczęśliwa, jest mi jeszcze trudniej, kochanie.

— Och, nie, nie jestem... to znaczy, nie chcę być... Jednak zadawnione uczucie urazy znów doszło w niej do głosu. Vernon nie rozumie ani się nie przejmuje tym, jakie to wszystko jest dla niej trudne. Nigdy nie miał najmniejszego pojęcia o jej kłopotach. Prawdopodobnie nazwałby je głupimi czy błahymi i poniekąd można by się z nim zgodzić, skoro istotą tego, co robi, jest poprawienie jej egzystencji. Vernon nie widzi czy nie zdaje sobie sprawy, że jej życie to walka, ciągła walka, bez jednej chwili wytchnienia. Niechby to przynajmniej zauważył, niechby dodał jej otuchy choćby

jednym słowem, niechby dał

odczuć, że rozumie trudną sytuację, w której ona się znajduje. Ale on tego nigdy nie zauważy, to do niego niepodobne.

Nell ogarnęło przemożne uczucie samotności. Oto, jacy są mężczyźni: oni nigdy niczego nie rozumieją ani niczym się nie przejmują. Miłość, która miała być lekarstwem na wszystko, w rezultacie nie rozwiązuje żadnych problemów. W tej chwili prawie nienawidziła Vernona. Egoistycznie pogrążony w swojej pracy, nie chce widzieć, że jest nieszczęśliwa, bo to go wyprowadza z równowagi...

Kobieta by mnie zrozumiała, powiedziała sobie w duchu.

I, powodowana jakimś niejasnym impulsem, poszła do Jane Harding.

Jane była w domu i jeśli zaskoczył ją widok Nell, nie dała tego po sobie poznać. Przez jakiś czas rozmowa toczyła się na nieistotny temat. Dla Nell było oczywiste, że Jane postanowiła uzbroić się w cierpliwość i że nie zapyta o powód tej nie zapowiedzianej wizyty.

Dlaczego tu przyszła? Sama nie wie. Bała się i nie dowierzała Jane, więc może dlatego! Jane jest jej wrogiem. Jednak Jane się z tym nie zdradzi. Jane (musiała to sobie powiedzieć) jest inteligentna.

Bardzo możliwe, że jest zła... tak, na pewno jest zła, lecz tak czy inaczej można się czegoś od niej dowiedzieć.

Zaczęła dość nieudolnie. Czy Jane sądzi, że muzyka Vernona może odnieść sukces, to znaczy, czy prędko. Czując na sobie spojrzenie spokojnych, zielonych oczu, nadaremnie usiłowała powstrzymać drżenie głosu.

— Jakież trudności?

— Tak, bo widzisz...

Popłynęły słowa, dużo słów; wybiegi, utrudnienia, presja matki, mgliste, zawoalowane aluzje do Kogoś, czyje nazwisko pozostawało w sferze domysłów, Kogoś, kto jest wyrozumiały i kto jest miły i bogaty.

Jak łatwo mówić te rzeczy kobiecie, choćby takiej jak Jane, takiej, która pewnie wcale się na nich nie zna. Kobiety są pełne zrozumienia, nie traktują lekceważąco cudzych kłopotów i bynajmniej nie obracają wszystkiego w żarty.

— To wszystko chyba cię przerasta — powiedziała Jane, wysłuchawszy Nell do końca. — Kiedy spotkałaś Vernona, nie było mowy o muzyce, prawda?

— Nie myślałam, że sprawy mogą przybrać taki obrót — powiedziała gorzko Nell.

— No cóż, nic tu nie da roztrząsanie, o czym myślałaś, a o czym nie.

— Na pewno — zgodziła się Nell, choć nie uszła jej uwagi nuta poirytowania w głosie Jane: — Ach tak! — wybuchła. — Ty oczywiście uważasz, że wszystko powinno ustąpić miejsca muzyce, że on jest geniuszem, że powinnam się dla niego poświęcić i że to poświęcenie powinno mnie cieszyć...

— Nie, nic uważam — powiedziała Jane. — O niczym takim nie myślę.

Nie wiem nic na temat geniuszy czy ich sztuki. Niektórzy ludzie rodzą się z poczuciem własnej ważności, a niektórzy nie. Trudno powiedzieć, gdzie leży racja. Najlepszym wyjściem dla ciebie byłoby przekonać Vernona, aby zrezygnował z muzyki, sprzedał Możliwe Opactwa i za pieniądze uzyskane ze sprzedaży urządził ci dom. Ale jestem przekonana, że to ci się nie uda. Vernon nie rozstanie się z muzyką.

Sztuka i jej geniusze, zresztą, nazywaj ich sobie, jak chcesz, są o wiele silniejsi od ciebie. Równie dobrze mogłabyś być królem Kanudem.

Tak jak on nie zatrzymał morskich fal, tak ty nie zawrócisz Vernona z jego drogi.

— Więc co mam zrobić? — spytała bezradnie Nell.

— Możesz wyjść za mąż za tamtego mężczyznę, którego podsuwa ci matka, i być w miarę szczęśliwa, lub wyjść za Vernona i, poza krótkimi okresami szczęścia, zmarnować sobie całe życie.

Nell spojrzała na nią błagalnie. — A co ty byś zrobiła? —

wyszeptała.

— Och! Wyszłabym za Vernona i byłabym nieszczęśliwa, lecz cóż, niektórzy lubią się umartwiać.

Nell podniosła się. Przystanęła w drzwiach i popatrzyła na Jane, która nie zrobiła najmniejszego ruchu.

Półleżąc, oparta o ścianę, paliła papierosa i spod przymkniętych powiek obserwowała Nell. Wyglądała jak kot albo chiński bożek. Nell ogarnęła ją nagła furia.

— Nienawidzę cię! — zawołała. — Odsuwasz ode mnie Vernona. Ty, właśnie ty. Jesteś niedobra, jesteś złośliwa, czuję to. Jesteś złą kobietą.

— Zżera cię zazdrość — powiedziała cicho Jane.

— Zatem przyznajesz, że jest o co być zazdrosną, tak? Nie, żeby Vernon cię kochał, nie. Wiem, że tak nie jest i nigdy nie będzie. To ty chcesz go dostać w swoje ręce.

Zapadła grobowa cisza. Po chwili, nadal tkwiąc bez ruchu, Jane roześmiała się. Nell, słysząc jej śmiech, wybiegła pędem z mieszkania, nie bardzo wiedząc, co robi.

Sebastian był częstym gościem Jane. Na ogół przychodził po obiedzie, po uprzednim telefonicznym upewnieniu się, że zastanie ją w domu. Oboje znajdowali osobliwą przyjemność w obcowaniu z sobą. Jane opowiadała szczegółowo o swoich zmaganiach z rolą Solvejgi, o kłopotach z muzyką, o tym, jak bardzo się stara zadowolić Radmaagera, a jeszcze bardziej... samą siebie. Sebastian zwierzał się Jane ze swoich ambitnych planów i rozmawiał z nią o przyszłości.

Któregoś wieczoru, kiedy po długiej dyskusji zamilkli oboje, Sebastian powiedział:

— Rozmawia mi się z tobą lepiej niż z kimkolwiek innym, Jane, choć sam nie wiem dlaczego.

— Cóż, na swój sposób, jesteśmy ludźmi tego samego pokroju. Czyż nie tak?

— A czyż tak?

— Tak mi się zdaje. To znaczy, nie powierzchownie, o nie, myślę o sprawach zasadniczych. Oboje lubimy prawdę. Sądzę, jeśli oczywiście można mieć pewność co do swoich sądów, że oboje potrafimy oceniać rzeczy obiektywnie.

— Czy uważasz, że inni ludzie nie?

— Jasne, że nie. Choćby Nell Vereker. Bierze rzeczy takimi, jakimi chciałaby, żeby były.

— Masz na myśli zachowywanie konwenansów?

— Tak, lecz nie tylko. Joe, na przykład, jest dumna z nieprzestrzegania form towarzyskich, co na dobrą sprawę jest odwrotną stroną ciasnoty umysłu i wszelkich uprzedzeń.

— Tak, jeśli ktoś jest „kontra” wszystkiemu. Właśnie taka jest Joe. Ona, we własnym przekonaniu, musi być buntownikiem. Nigdy nie wnika w meritum sprawy. I właśnie to tak beznadziejnie pogrąża mnie w jej oczach: odnoszę sukcesy, a ona uwielbia porażki; jestem bogaty, więc wychodząc za mnie, niestety zyska, a nie straci. Nawet moja żydowska krew niewiele mi pomaga; bycie Żydem w dzisiejszych czasach raczej nie jest czymś wstydlivym.

— Powiedziałabym, że raczej jest w modzie — zaśmiała się Jane.

— A przy tym wszystkim, wyobraź sobie, nie mogę się wyzbyć dziwnego uczucia, że Joe naprawdę mnie lubi.

— Może. Może lubi. Ona po prostu jest w nieodpowiednim wieku, jak dla ciebie, Sebastianie. Tamten Szwed na twoim przyjęciu ‘powiedział

coś niezwykle prawdziwego, a mianowicie, że rozłączenie w czasie bywa gorsze od rozłączenia w przestrzeni. Jeśli nie pasujesz do kogoś’

wiekem, to koniec. Mówi się czasem, że tych dwoje to ludzie dla siebie stworzeni. Tak, pod warunkiem, że urodzili się— we właściwym, jedno dla drugiego, czasie. Czy głupio to brzmi? Chyba nie. Wierzę, że gdyby Joe miała w tej chwili trzydzieści pięć lat, kochałaby cię do szaleństwa, kochałaby to, co stanowi istotę twojej osobowości.

Ciebie może kochać kobieta, nie dziewczyna.

Sebastian zapatrzył się w ogień. Był zimny lutowy dzień i w kominku paliły się grube kłody drewna. Jane nienawidziła ogrzewania gazowego.

— Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad tym, dlaczego my oboje nie zakochaliśmy się w sobie? Przecież często przyjaźń przeradza się w miłość. A ty jesteś bardzo atrakcyjna. Jest w tobie sporo z syreny, choć wcale sobie tego nie uświadamiasz.

— Może w normalnych okolicznościach tak by się stało.

— W normalnych? Co chcesz przez to powiedzieć? Ach! Już wiem.

Chcesz powiedzieć: „linia jest zajęta”. — Tak. Gdybyś nie kochał Joe...

— A gdybyś ty... Przerwał.

— Co ja? — spytała Jane. — A więc wiesz, tak?

— Tak, chyba tak. Nie wzbranasz się o tym mówić? — Bynajmniej.

Stało się, więc słowa tu ani zaszkodzą, ani pomogą.

— Jane, czy ty należysz do ludzi, którzy wierzą, że „chcieć to móc”? Jane zamyśliła się.

— Nie — odparła po chwili. — Nie sędzę. Zbyt wiele rzeczy dzieje się bez naszego udziału. Czasem trzeba tylko dokonać wyboru między zaakceptowaniem czegoś czy odrzuceniem. To przeznaczenie. A kiedy już raz coś wybierzesz, powinieneś przy tym trwać bez spoglądania wstecz.

— Przemawia przez ciebie duch greckiej tragedii. Jesteś Elektrą, Jane, do szpiku kości. — Podniósł ze stołu książkę. — Peer Gynt? A zatem powoli przeistaczamy się w Solvejgę, tak?

— Tak. To bardziej jej opera niż Peera. Widzisz, Sebastianie, Solvejga to wspaniała, fascynujący charakter. Opanowana, beznamiętna, wytrzymała na ból, a przy tym tak niezachwianie pewna, że jej miłość do Peera to jedyne, co liczy się w niebiosach czy na ziemi. Wie, bez zbędnych słów, że on jej pragnie, że jest mu potrzebna, a porzucona, pozostawiona samej sobie w górskiej samotni, próbuje to porzucenie obrócić w koronny dowód jego miłości. A przy okazji, ta zielonoświątkowa muzyka Radmaagera jest doskonała, jest przepiękna.

Zwłaszcza to: „Błogosławiony ten, kto uczynił moje życie błogosławionym!” Pokazanie, że miłość mężczyzny może zamienić kobietę w coś w rodzaju beznamiętnej zakonnicy jest zadaniem trudnym, choć jednocześnie wspaniałym.

— Czy Radmaager jest z ciebie zadowolony?

— Czasami. Nie dalej jak wczoraj wysłał mnie do wszystkich diabłów i potrząsnął mną tak, że zadzwoniły mi zęby. Choć przyznaję, nie bez powodu. Wszystko śpiewałam źle, niby jakaś melodramatyczna, rozkochana w teatrze gęś. Trzeba umieć panować naci sobą, trzeba być powściągliwym; moja Solvejga musi być uosobieniem i łagodności, i niezwykłej siły. Powinnam to wiedzieć od pierwszego spotkania z Radmaagerem: śnieg... gładki śnieg, znaczony czystym, wyraźnym wzorem.

— Przeszła do rozmowy o Vernonie. — Vernon jest na finiszu, chyba wiesz. Radzę mu, żeby zaprezentował swoją operę Radmaagerowi.

— Myślisz, że posłucha?

— Raczej tak. A ty ją znasz?

— Tylko niektóre części.

— I co myślisz?

— Najpierw chciałbym poznać twój osąd, Jane. Jeśli chodzi o muzykę, nie jest gorszy od mojego.

— To, co Vernon zrobił, jest niedojrzałe, jest surowe. Nagromadził

wiele dobrego materiału, lecz ten materiał wyslizguje mu się tu i tam z ręki. Ale jest go wiele. Zgodzisz się ze mną?

Sebastian skinął głową.

— Całkowicie. Jestem bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że Vernon zmierza do zrewolucjonizowania muzyki. Lecz nadchodzą ciężkie czasy. Będzie musiał stanąć twarzą w twarz z przykrym faktem, że, według wszelkich znaków na niebie i na ziemi, tego, co napisał, nie da się sprzedać.

— Czy to znaczy, że opera nie zostanie wystawiona?

— Niestety.

— A ty? Ty sam nie mógłbyś tego zrobić?

— Chcesz powiedzieć, że mam to zrobić z czystej przyjaźni?

— Właśnie tak.

Sebastian wstał i zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem.

— Z mojego punktu widzenia byłoby to nieetyczne — powiedział w końcu.

— A poza tym nie lubisz tracić pieniędzy. — To prawda.

— Przecież gdyby ci ich trochę ubyło, to nawet byś się nic spostrzegł.

— Zawsze wiem, kiedy je tracę. To jest coś, co uraża moją dumę.

Jane pokiwała głową.

— Rozumiem. Jednak, moim zdaniem, wcale nie musiałyby się tak stać.

— Moja droga Jane...

— Pozwól, że najpierw ja wyłożę swoje argumenty. Zamierzasz wystawić w małym teatrzyku na Holborn trochę, jak to się mówi,

„poważnych” rzeczy. Zatem tego lata, powiedzmy na początku lipca, przez jakieś dwa tygodnie wystawiasz Księżniczkę w wieży. Lecz nie tak, jak się wystawia operę (tylko nie mów tego Vernonowi... och, wiem, wiem, nie powiesz, nie jesteś idiotą), nie, będzie to swego rodzaju sztuka muzyczna: niezwykła sceneria, niesamowite efekty świetlne, wszystko to, w czym jesteś doskonały; balet rosyjski (wiem, że wciąż pieścisz w swoim sercu jego wizję, to znaczy, pewien jego nastrój, koloryt), dobrzy, przyciągający publiczność śpiewacy. A na koniec, nie grzesząc skromnością, coś ci powiem: odniesiesz sukces dzięki mnie.

— Chcesz być księżniczką?

— Nie, moje drogie dziecko, chcę być naprawiaczką lalek. To tajemnicza postać, postać, która skupia na sobie uwagę. Partia muzyczna naprawiaczki lalek, to najlepsze, co skomponował Vernon.

Sebastianie, powiedziałaś, że jestem dobrą aktorką. Tak, jestem. To dlatego, między innymi, będę w tym sezonie śpiewać w Covent Garden.

Zrobię furorę. Wiem, że umiem grać, a w operze gra aktorska bardzo się liczy. Ja... ja potrafię zapanować nad publicznością, potrafię ją wzruszyć. Opera Vernona musi nabrać kształtu z punktu widzenia dramaturgii. Zostaw to mnie. Natomiast sugestie dotyczące muzyki muszą wyjść od ciebie i Radmaagera, jeśli oczywiście Vernon zechce kogokolwiek posłuchać. Z muzykami, jak wszyscy wiemy, zawsze jest trochę kłopotów, lecz wszystko cią się zrobić, Sebastianie.

Pochyliła się do przodu. Była wyraźnie poruszona. Sebastian zachowywał kamienny spokój, jak zwykle, kiedy intensywnie nad czymś rozmyślał. Przyglądał się Jane badawczo, acz beznamietnie. Wierzył w nią, w jej dynamiczną siłę, jej magnetyzm, w jej cudowną moc komunikowania się z widownią.

— Przemyślę to — oznajmił spokojnie. — Jest coś w tym, co mówisz.

Jane nieoczekiwanie roześmiała się.

— No i będziesz mnie miał za psie pieniądze, Sebastianie —

powiedziała.

— Spodziewam się — rzekł poważnie. — Mój żydowski instynkt musi być w jakiś sposób ugłaskany. Zwalasz to wszystko na mnie, Jane, nie wyobrażaj sobie, że cię nie przejrzałem!

ROZDZIAŁ TRZECI

Wreszcie Księżniczka w wieży była skończona. Vernonem targało aż do bólu uczucie niepewności. To do niczego, myślał. To wręcz beznadziejne. Najlepiej od razu cisnąć wszystko w ogień.

Słodycz Nell i zachęta z jej strony były dla niego w tym czasie niby manna z nieba. Nell odznaczała się tym cudownym instynktem, który zawsze podszeptował jej właściwe słowa, dokładnie takie, jakie Vernon chciał usłyszeć. Gdyby nie ona, jak to nieustannie powtarzał, już dawno poddałby się rozpaczy.

Podczas zimy rzadko widywał Jane, zwłaszcza że przez jakiś czas jeździła po kraju z Operą Brytyjską. Kiedy zaśpiewała partię Elektry w Birmingham, czuł się powalony na kolana. Był pod głębokim wrażeniem zarówno muzyki, jak i Jane, przedzierzgniętej w Elektry. Ta niezłomna wola, to zdecydowane: „Zamilcz, tańcz dalej!” Zdawało się, że to duch przemawia, nie kobieta. Wiedział, że głos Jane jest do tej roli za słaby, lecz w jakiś sposób nie miało to większego znaczenia, Jane złąła się w jedno z Elektry, z tym fanatycznym płomiennym uosobieniem bezlitosnego przeznaczenia.

Przez kilka dni mieszkał z matką. Były to dla niego bardzo ciężkie i denerwujące chwile. Odwiedził wujka Sydneya i został przyjęty chłodno. Enid była zaręczona z pewnym radcą, lecz wujka Sydneya nie bardzo to cieszyło.

Na Wielkanoc Nell i jej matka gdzieś wyjechały. Po ich powrocie Vernon zadzwonił i poprosił Nell o spotkanie. Przyszedł z pobladłą twarzą i płonącymi oczami.

— Nell, czy ty wiesz, co słyszałem? Mówią, że wychodzisz za George’a Chetwynda. Za George’a Chetwynda!

— Kto mówi?

— Ludzie. Różni .ludzie. Mówią, że wszędzie się z nim pokazujesz.

Nell wyglądała na przestraszoną i nieszczęśliwą

— Lepiej by było, żebyś nie dawał wiary ludzkiemu gadaniu. I, Vernonie, nie patrz na mnie takim... takim oskarżającym wzrokiem. To prawda, że George poprosił mnie o rękę, i to dwukrotnie, jeśli mam być ścisła.

— Ten starzec?

— Och, nie bądź śmieszny. On ma zaledwie czterdzieści jeden czy czterdzieści dwa lata.

— Prawie dwa razy tyle co ty. A ja, niemądry, myślałem, że George Chetwynd uderza w konkury do twojej matki.

Nell zaśmiała się mimo woli.

— Boże mój, gdybyż tak! Przecież ona jest nadal szalenie przystojna.

— Tak właśnie pomyślałem sobie wtedy, w ogrodach Ranelagh. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że chodzi o ciebie! Czy też wtedy to się jeszcze nie zaczęło?

— O tak, zaczęło się, mówiąc twoimi słowami. Teraz już wiesz, dlaczego matka była taka zła tamtej nocy; dlatego, że przez jakiś czas byłam sama z tobą.

— Nigdy bym na to nic wpadł! Nell, mogłaś mi powiedzieć!

— Powiedzieć? Niby co? Nie było o czym mówić, w każdym razie wtedy!

— Chyba masz rację. Robię z siebie idiotę. Ale zrozumiem, ja wiem, że on jest potwornie bogaty, tak bogaty, że czasami istotnie ogarnia mnie strach. Och, kochanie, to nieludzkie, że zwątpiłem w ciebie choćby na krótką chwilę. Jak gdybym cię podejrzewał, że sądzisz ludzi po ich bogactwie.

— Bogaty, bogactwo i co jeszcze? Przestań wreszcie powtarzać bez końca jedno i to samo. Owszem, jest potwornie bogaty, ale jest także szalenie miły.

— Och, przypuszczam.

— Bo jest, Vernonie. Naprawdę jest.

— To ładnie z twojej strony, że go bronisz, moja droga, lecz, jak widać, nie zbywa mu na bezczelności, skoro dwa razy dostał kosza, a mimo to nadal kręci się wokół ciebie.

Nell nie odpowiedziała. Patrzyła na niego dziwnie przezroczyście spojrzeniem, spojrzeniem, którego nie potrafił odgadnąć. Takim, w którym zawierał się i żal, i bunt, i wyzwanie. Spojrzeniem tak odległym, jakby oboje znajdowali się w tej chwili na dwóch różnych planetach.

— Wstyd mi za siebie, Nell — powiedział. — Lecz jesteś tak piękna, tak piękna... chyba żaden mężczyzna nie potrafi ci się oprzeć...

Nell niespodziewanie wybuchnęła płaczem. Wsparta na jego ramieniu płakała i płakała...

— Sama nie wiem, co robić... nie wiem, co robić. Jestem nieszczęśliwa, bardzo, bardzo nieszczęśliwa. Gdybym tak mogła z tobą porozmawiać.

— Przecież możesz, kochana. Po to tu jestem. — Nie, nie, nie...

Nigdy. Ty niczego nie rozumiesz.

To na nic...

Płakała dalej, a on ją całował, uspokajał, przelewał na nią całą swoją miłość...

Kiedy poszedł, w salonie zjawiała się matka Nell, z otwartym listem w ręku. Zdawała się nie

zauważać zapłakanej twarzy córki.

— George Chetwynd odpływa do Ameryki trzydziestego maja —

zauważyła, podchodząc do swojego biurka.

— A niech sobie odpływa, kiedy chce — odparła Nell buntowniczo.

Pani Vereker nie odpowiedziała.

Tamtej nocy Nell klęczała przy swoim wąskim, białym łóżku dłużej niż zwykle. Och, Boże, spraw, bym wyszła za Vernona. Tak bardzo tego pragnę. Tak bardzo go kocham. Błagam, spraw, by wszystko dobrze się ułożyło i byśmy się pobrali. Spraw coś, błagam... błagam...

Pod koniec kwietnia Moźne Opactwa zostały wynajęte. Vernon był podekscytowany, kiedy przyszedł do Nell.

— Nell, czy wyjdiesz teraz za mnie? Poradzimy sobie jakoś. Nie zrobiłem najlepszego interesu na tym wynajmie, można powiedzieć, że wręcz zły, ale nie miałem wyjścia. Widzisz, wciąż trzeba spłacać hipotekę, no i kiedy dom stoi pusty, trzeba ponosić koszty jego utrzymania. Zapożyczyłem się na prawo i na lewo i pora zacząć oddawać długi. Nic będzie nam dostаточно. Przez pierwszych kilka lat będziemy żyć skro— mnie, ale potem jakoś się urządzimy... — Mówił dalej, wchodząc w finansowe detale. — Rozważyłem wszystko, Nell. Naprawdę. I myślę, że z sensem. Stać by nas było na wynajęcie maleńkiego mieszkanca i zatrudnienie jednej pokojówki i jeszcze by nam trochę zostało, żeby się zabawić. Och, kochana, chyba nie będzie ci przeszkadzać nasze ubóstwo. Powiedziałaś kiedyś, że nie mam pojęcia, co to znaczy być biednym. Teraz już nie mogłabyś mi tego zarzucić. Od kiedy mieszkam w Londynie, utrzymuję się z nad wyraz skromnych funduszy i nie przejmuję się tym ani trochę.

To prawda, nie przejmował się i Nell dobrze o tym wiedziała. Z

tego powodu nawet czyniła sobie wyrzuty, których do końca nie potrafiła sprecyzować. A jednak gdzieś w głębi duszy czuła, że czym innym jest ubóstwo dla kobiety, a czym innym dla mężczyzny. Kobiety powinny być zawsze wesole, ładne, podziwiane i adorowane, powinny spędzać czas na rozrywkach, podczas gdy mężczyźni to nie dotyczy.

Mężczyznom obce są wieczne problemy ze strojami. Mężczyźni nikt nie ma za złe, kiedy paraduje w wyświechtanym ubraniu.

Lecz jak to wszystko wytłumaczyć? Vernonowi? Vernon to nie George Chetwyncl, który rozumie tego typu sprawy.

— Nell.

Opleciona ramionami Vernona, siedziała bez ruchu. Powinna coś zdecydować. Przed jej oczami przepływały kolejne obrazy. Amelie...

brzydki, mały domek, płaczące dzieci... George Chetwynd i jego samochód... duszne, ciasne mieszkanie... brudna, nieudolna służąca...

tańce... stroje... pieniądze, które są winne krawcowym... wynajmowany dom w Londynie... nie zapłacony czynsz... ona sama w Ascot, uśmiechnięta, rozszczebiotana, w modnej sukience... i nagle... nagle tamten wieczór w Ranelagh, 'tamten mostek, tamta woda pod mostkiem, ona i Vernon...

I prawie takim samym głosem, jak tamtego wieczoru, powiedziała:

— Nie wiem. Och, Vernonie, nic nie wiem. — Nell, kochanie, czy...

czy... Uwolniła się z jego uścisku, wstała. — Proszę cię... muszę pomyśleć... tak, pomyśleć. A przy tobie tego nie potrafię.

Napisała do niego jeszcze tej nocy:

Najdroższy, poczekajmy jeszcze trochę, powiedzmy, sześć miesięcy.

Na razie nie chciałabym wychodzić za mąż. Poza tym może coś się wydarzy, jeśli chodzi o twoją operę. Pewnie sobie pomyślisz, że boję się ubóstwa, lecz to niezupełnie tak. To prawda, widziałam ludzi —

ludzi, którzy przestali się kochać z powodu zwykłych, powszednich trosk i kłopotów. Uważam, że jeśli cierpliwie poczekamy, wszystko samo się ułoży. Och, Vernonie, wiem, że tak będzie i że życie będzie piękne. Tylko poczekajmy, cierpliwości...

Vernon wpadł w złość. Nie pokazał Jane tego listu, za to mówił w sposób tak gwałtowny i gniewny, że ta zdołała się zorientować, jak sprawy stoją.

— Czyżbyś naprawdę uważał, że stanowisz dostatecznie cenną zdobycz dla każdej dziewczyny? — zapytała go na swój wprawiający w zakłopotanie sposób.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— No więc, czy uważasz, że dla dziewczyny, która chodzi na tańce, bywa na przyjęciach, ma mnóstwo rozrywek i jeszcze więcej adoratorów, czy dla takiej dziewczyny propozycja utknięcia w jakiejś marnej dziurze może być szalenie zabawna?

— Przecież mielibyśmy siebie.

— Nie możecie się kochać przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Co ma z sobą począć, kiedy ty będziesz pracował?

— Nie zdaje ci się, że kobieta może być biedna i jednocześnie szczęśliwa?

— Z pewnością, tylko musi posiadać niezbędne ku temu cechy charakteru.

— To znaczy jakie? Chodzi o wiarę, nadzieję i miłość?

— Nie, mój ty mały głupcze. Taka kobieta musi mieć poczucie humoru, tak zwaną twardą skórę i, co jest niezwykle cenne, musi być samowystarczalna. Upierasz się przy miłości w małym domku, sprowadzając całą rzecz do siły i wielkości uczucia, podczas gdy w gruncie rzeczy chodzi raczej o predyspozycje psychiczne. Ty czułbyś się doskonale w każdym miejscu na świecie, czy byłby to pałac Buckingham, czy Sahara, ponieważ wszędzie miałbyś swoją muzykę.

Jednak Nell jest uzależniona od okoliczności zewnętrznych. Ewentualne małżeństwo z tobą odsunie ją od wszystkich jej przyjaciół.

— Niby dlaczego?

— Ponieważ ludzie o różnych dochodach rzadko kiedy potrafią kontynuować dawne przyjaźnie. Różne dochody to z natury różne światy.

— Zawsze zwalasz na mnie winę — rzucił rozeźlony. — Albo przynajmniej usiłujesz to robić.

— Bo tracę zimną krew, widząc, jak stawiasz siebie na piedestale i zachwycasz się sarną sobą bez żadnego powodu — odparła spokojnie Jane.

— Spodziewasz się, że Nell poświęci dla ciebie życie i przyjaciół, lecz ty nie chcesz ponieść dla niej żadnej ofiary.

— Ja? Ja miałbym nie chcieć? Ależ ja jestem gotów zrobić dla niej wszystko!

— Z wyjątkiem sprzedania Moźnych Opactw!

— Ty nic nie rozumiesz...

Jane spojrzała na niego uważnie.

— Może i rozumiem. Och, tak, mój drogi, rozumiem. Lecz skończ wreszcie z tą swoją szlachetnością. Nie znoszę ludzi szlachetnych!

Porozmawiajmy o Księżniczce w wieży. Chce, żebyś pokazał ją Radmaagerowi.

— Nie odważyłbym się. Wiesz, Jane, nie zdawałem sobie sprawy, jakie to miałkie, dopóki nie napisałem ostatniej nuty.

— Nikt nigdy nie zdaje sobie sprawy. I na szczęście, inaczej żadne dzieło nie zostałoby ukończone. Pokaż Księżniczkę Radmaagerowi. Tak czy inaczej, warto dowiedzieć się, co o niej myśli.

Vernon się poddał, aczkolwiek niechętnie.

— Gotów posądzić mnie o straszną zuchwałość.

— Och, skądże. Ceni sobie wszystko, co mówi Sebastian, a ten z kolei bardzo w ciebie wierzy. Radmaager powiada, że jak na tak młodego człowieka, opinie Sebastiana są wprost zadziwiająco trafne.

— Poczciwy stary Sebastian. On jest cudowny — powiedział Vernon ciepło. — Odnosi sukces za sukcesem. I wciąż robi pieniądze. Boże, jak ja mu czasem zazdroszczę.

— Niepotrzebnie. Wcale nie jest tak bardzo szczęśliwy.

— Myślisz o Joe? Och! Jeszcze wszystko się ułoży.

— Zobaczymy. Częściej ją widzisz?

— Dość. Choć rzadziej niż kiedyś. Nie znoszę tych dziwacznych artystycznych sfer, ku którym ona nieodmiennie dryfuje. Jej idole chyba nigdy się nie strzygą, wyglądają jak by się nie myli i mówią od rzeczy. Ani trochę nie przypominają tych z twojej paczki: ludzi, którzy naprawdę coś tworzą.

— Mnie i moją paczkę Sebastian nazywa dobrze prosperującym handlowym przedsięwzięciem. Tak czy inaczej, martwię się o Joe. Oby nie palnęła jakiegoś głupstwa.

— Chodzi ci o tego łobuza La Marre'a?

— Tak, chodzi mi o tego łobuza La Marre'a. To typ, który nieźle sobie radzi z kobietami. Niektórzy mężczyźni już tacy się rodzą.

— Myślisz, że mogłaby z nim uciec czy coś w tym rodzaju?

Oczywiście, to do niej podobne. W pewnych sprawach jest diabelnie głupia. — Spojrzał na nią z ciekawością. — Ale przecież ty...

Jego twarz przybrała kolor purpury. Jane, widząc to, uśmiechnęła się nieznacznie.

— Niepotrzebnie wpadasz w zakłopotanie z powodu moich obyczajów.

— Nie, Jane, nie. Ja tylko... ja chcę powiedzieć, że zawsze byłem ciekaw... i to ogromnie...

Zapadła cisza. Jane siedziała bardzo prosto. Nie patrzyła na Vernona; patrzyła przed siebie. Niebawem zaczęła mówić cichym, monotonnym, beznamiętnym głosem, jak gdyby miała zamiar opowiedzieć coś, co przytrafiło się nie jej, lecz komuś innemu. To była chłodna i zwięzła opowieść. Opowieść o przeżytych horrorze. Lecz bardziej niż tamten horror Vernona przeraził spokój i obojętność Jane. Mówiła tak, jak mógłby mówić uczonec: bezosobowo. Vernon ukrył twarz w dłoniach.

Opowieść Jane dobiegła końca. Zapadła cisza. — I ty to wszystko potrafiłaś przeżyć? — spytał Vernon rozdygotanym głosem. — Nie wiedziałem, że na świecie zdarzają się takie rzeczy.

— On był Rosjaninem i degeneratem — powiedziała Jane, nadal panując nad sobą. — Anglosasowi trudno jest zrozumieć tę szczególnie wyrafinowaną żądzę okrucieństwa. Możesz pojąć brutalność. Nie potrafisz pojąć niczego więcej.

— Czy... czy bardzo go kochałaś? — Vernon zadał to pytanie pełen dziecinnego skrępowania.

Potrząsnęła głową powoli, zaczęła mówić, lecz urwała w połowie słowa.

— Po co się zagłębiać w przeszłość? — powiedziała po kilku minutach. — Boris Androv zrobił parę dobrych rzeczy. W South Kensington jest jego rzeźba. Makabryczna, lecz dobra.

Wróciła do rozmowy o Księżniczce w wieży.

Vernon poszedł do South Kensington dwa dni później. Dość łatwo odnalazł rzeźbę, reprezentującą dorobek Borisa Androva. Była to topielica o twarzy strasznej, spuchniętej, rozdętej, w stanie rozkładu, lecz o ciele, które nic nie straciło ze swej pierwotnej urody. Ciało było piękne. Vernon wiedział, że jest to ciało Jane.

Stał, przyglądając się nagiej, spizowej figurze, szeroko rozrzuconym rękom i długim, gładkim włosom, zwisającym w żałobny sposób...

Takie piękne ciało... ciało Jane. A więc Jane była modelką Androva.

Po raz pierwszy od wielu lat nawiedziło Vernona wspomnienie Bestii.

Znów poczuł dawny lęk. Odwrócił się od pięknej spizowej postaci i opuścił budynek pośpiesznie, prawie biegiem.

Tamtego wieczoru nowa opera Radmaagera, Peer Gynt, była wystawiana po raz pierwszy. Vernon wybierał się na nią, a potem, zaproszony przez Radmaagera, miał uczestniczyć we wspólnej kolacji. Najpierw jednak miał zjeść obiad z Nell, u niej w domu. Nell nie wybierała się na premierę.

Ku sporemu zdziwieniu Nell Vernon się spóźniał. Obie z matką czekały czas jakiś, by wreszcie zasiąść do stołu bez niego. Zjawił

się dopiero w porze deseru.

— Bardzo przepraszam, pani Vereker. Nawet nie jestem w stanie wyrazić, jak mi przykro. Zdarzyło się coś... coś absolutnie niespodziewanego. Opowiem paniom o tym później.

Jego niezwykła bladość i zdenerwowanie sprawiły, że pani Vereker zapomniała o swym niezadowoleniu. A poza tym pani Vereker była kobietą światową, potrafiła znaleźć się w każdej sytuacji, zachowując umiar i stosowną dyskrecję.

— Proszę bardzo, Vernonie — rzekła, wstając — możesz porozmawiać z Nell. Jeżeli wybierasz się do opery, to nie zostało ci wiele czasu.

Opuściła pokój. Nell, zaintrygowana, spojrzała na Vernona, a ten odpowiedział spojrzeniem na spojrzenie.

— Joe uciekła z La Marre'em.

— Och, Vernonie, to niemożliwe!

— Możliwe.

— Myślisz, że dała się porwać? Że wyszła za niego? Że uciekli, aby wziąć ślub?

— Nie wezmą żadnego ślubu — zauważył gorzko. — La Marre już ma żonę.

— Och, to straszne! Jak ona mogła?

— Joe zawsze była uparta. Kiedyś tego pożałuje, to więcej niż pewne. A poza tym nie wierzę, by naprawdę ją obchodził.

— A co z Sebastianem? Czy nie czuje się okropnie?

— Właśnie od niego wracam. Jest absolutnie załamany, biedaczysko.

Nie wiedziałem, że aż tak bardzo mu na niej zależało.

— A ja tak. Wiedziałam.

— Wiesz, Nell, zawsze byliśmy razem. Joe, ja i Sebastian.

Stanowiliśmy całość.

Nell poczuła ukłucie zazdrości. Vernon powtórzył:

— Joe, ja i Sebastian. To jest... Och! Sam nie wiem, co powiedzieć.

Po prostu czuję się tak, jakbym był temu winny. W jakiś sposób oddaliłem się od niej. Kochana stara Joe, zawsze taka oddana, taka lojalna, lepsza od rodzonej siostry. Boli mnie serce na wspomnienie tego, co mówiła jako dziecko, a mianowicie, że nigdy nie będzie miała do czynienia z mężczyznami. A teraz pakuje się w taką historię.

— Żonaty mężczyzna — powiedziała Nell zgorzonym głosem. — Coś podobnego. Czy ma jakieś dzieci?

— A niby skąd mam o tym wiedzieć? Do diabła z nim i z jego dziećmi.

— Vernonie, przestań się aż tak złościć!

— Przepraszam, Nell. Zdenerwowałem się, to wszystko.

— Jak mogła coś takiego zrobić — powiedziała Nell. Od dawna drażniła ją niema pogarda Joe, której się podświadomie domyślała, toteż nie byłaby ludzką istotą, gdyby teraz nie czuła swojej wyższości. — Uciec z żonatym mężczyzną! To potworne!

— Skądinąd trzeba przyznać, że nie brakuje jej odwagi — zauważył

Vernon. Ogarnęło go przemożne pragnienie, aby bronić Joe. Tej Joe, która za dawnych lat była częścią Możliwych Opactw.

— Odwagi?

— Tak, odwagi! W każdym razie nie jest pruderyjna. Nie liczy się z kosztami. Poświęciła wszystko dla miłości. Nie wszystkich byłoby na to stać.

— Vernonie! — Poderwała się.

— Cóż, taka jest prawda. — Cała długo tłumiona uraza nagle znalazła ujście. — Ty nie zniosłabyś dla mnie nawet najmniejszej niewygody. Jedyne, co potrafisz, to powtarzać to swoje „poczekajmy” i „bądźmy cierpliwi”. Zresztą ty nie byłabyś zdolna machnąć ręką na wszystko z miłości do kogokolwiek, nie tylko do mnie.

— Och, Vernonie, jakże jesteś okrutny... jak okrutny...

Zobaczył napływające do jej oczu łzy i natychmiast poczuł skruchy.

— Nell, najdroższa, nie chciałem, naprawdę nie chciałem. — Objął

ją i przytulił do siebie. Łkanie nieco przycichło. Vernon spojrział na zegarek. — Do diabła, muszę iść. Dobranoc, mój skarbie. Kochasz mnie?

— Tak, oczywiście, że tak.

Pocałował ją raz jeszcze i wybiegł. Nell usiadła na powrót przy jeszcze nie uprzątniętym stole. Zatonęła w myślach...

Kiedy dotarł do Covent Garden, Peer Gynt już się zaczął. Trwało wesele Ingrid, podczas którego dochodzi tło pierwszego spotkania Solvejgi i Peera. Jane, z jasnymi warkoczami i z niewinnym, prostodusznym wyrazem twarzy wyglądała bardzo młodo, na nie więcej niż dziewiętnaście lat.

Vernon przyznawał w cichości ducha, że bardziej niż muzyka zajmuje go właśnie ona, Jane, która tego wieczoru poddana została ciężkiej próbie: albo odniesie sukces, albo zaprzepaści swą wielką szansę.

Vernon wiedział, że Jane się denerwuje i że za nic w świecie nie chciałyby zawieść zaufania Radmaagera.

Wszystko szło dobrze. Jane była Solvejgą doskonałą. Jej czysty głos — włókno kryształu, jak ostatnio nazywał go Radmaager — brzmiał

pewnie, a jej gra była wspaniała. Osobowość Solvejgi dominowała nad całą operą.

Vernon po raz pierwszy zainteresował się historią miotanego życiowymi burzami Peera, człowieka o słabym charakterze, tchórza, uciekającego od rzeczywistości przy lada okazji, no i poza tym bardzo poruszyła go muzyka, na której tle rozgrywał się konflikt Peera z

potężnym Boygem, wysłannikiem śmierci. Vernonowi przypominał się jego dziecinny paniczny strach przed Bestią. Boyg i Bestia zlewali się teraz w jego wyobraźni w jedno bezkształtne straszidło. Na szczęście czysty głos Solvejgi uwalniał Vernona od potwora. Oto właśnie kończy się tragiczne dla Solvejgi spotkanie z Peerem w lesie. Peer chce pozostawić dziewczynę i odejść, by samotnie nieść swój bagaż trosk i niedoli. Solvejga odpowiada: Jeżeli brzemień jest tak bardzo ciężkie, może dźwigajmy je we dwoje”. Peer jednak odchodzi, pokrętnie uspokajając własne sumienie: „Miałbym sprowadzić na nią smutki i kłopoty? Nie. Dalej, Peer, dalej, zajmij się własnymi sprawami”.

Muzyka zielonoświątkowa istotnie była wspaniała, lecz, jak uznał

Vernon, bardzo w stylu Radmaagera. Radmaager napisał ją niewątpliwie dla wzmocnienia efektu sceny końcowej. Znużony Peer zasypia z głową na kolanach Solvejgi, a ona, Madonna w niebieskim płaszczu, z głową wydobytą z cienia przez pierwsze promienie wschodzącego słońca, przeciwstawia się dzielnie swym śpiewem Odlewaczowi Guzików.

To był cudowny duet — Chavaranov, sławny rosyjski bas, śpiewający coraz niżej i niżej, i Jane, z głosem jak srebrna przędza, biorąca coraz to wyższe i wyższe rejestry, aż została jej ostatnia nuta — wysoka i niewiarygodnie czysta... A tymczasem słońce pięło się w górę...

Opera odniosła prawdziwy sukces i brawom nie było końca. Vernon, po chłopięcemu ważny, poszedł za kulisy. Uprzedził go już Radmaager.

Ten, trzymając Jane za rękę, obcałowywał ją pełen uniesienia, jak przystało na prawdziwego artystę.

— Jesteś aniołem... jesteś nadzwyczajna, tak, nadzwyczajna! Jesteś artystką... Ach! — tu popłynął potok słów w jego ojczystym języku. W

końcu Radmaager wrócił do angielskiego: — Wynagrodzę cię... tak, moja mała, wynagrodzę. Wiem, jak to zrobić. Przekonam w końcu Sebastiana i razem...

— Sza! — powiedziała Jane.

Vernon wysunął się niezdarnie do przodu i rzekł nieśmiało:

— To było wspaniale!

Uścisnął dłoń Jane, a ona obdarzyła go krótkim, tkliwym uśmiechem.

— A gdzie Sebastian? Czyż nie powinien być tutaj?

Lecz Sebastiana nigdzie nie było. Vernon ofiarował się odszukać przyjaciela, a nie chcąc w tak nieodpowiednim momencie wtajemniczać Jane w sprawy Joe, rzucił wymijająco, że raczej wie, gdzie można by go znaleźć i że na pewno wrócą obaj na kolację.

Wziął taksówkę i pojechał do domu Levinne'ów, lecz na próżno.

Wtedy przypomniał sobie, że wczesnym wieczorem zostawił zdruzgotanego Sebastiana we własnym mieszkaniu. Nie wiedzieć czemu, unosiła go nagła radość i triumf. Nawet Joe zdawała się w tym momencie niewiele znaczyć. Nagle nabrał przekonania, że jego własne dzieło jest dobre, a przynajmniej będzie takie któregoś dnia. Czuł także, że w jakiś sposób jego sprawy z Nell wreszcie się ułożą. Przytuliła się do niego tak inaczej niż zwykle, tak mocno, jak gdyby nie chciała, by odszedł...

Tak, był tego pewien. Wszystko będzie dobrze.

Wbiegł po schodach prosto do swego pokoju. Jest ciemno, a więc i tu go nie ma, pomyślał. Zapalił światło i rozejrzał się dookoła. Na stole leżał list, najwidoczniej dostarczony przez posłańca. Podniósł

go. Był zaadresowany do niego, ręką Nell. Rozerwał kopertę...

Stał, nieruchomo, przez długi czas. Potem starannie i metodycznie przysunął do stołu krzesło, postawił je bardzo prosto, jak gdyby właśnie to było ważne, i usiadł, nadal z listem w ręku. Zaczął go czytać od początku, raz, drugi, dziesiąty: Najdroższy Vernonie, wybacz mi... proszę, wybacz mi. Wychodzę za George'a Chetuynda. Nie kocham go tak jak ciebie, lecz przy nim będę bezpieczna. Raz jeszcze proszę, wybacz. Zawsze kochająca, Nell.

„Przy nim będę bezpieczna”, powtórzył na głos słowa listu. Co ona przez to rozumie? Przy nim bezpieczna? To rani...

Siedział. Mijały minuty, mijały godziny... Siedział bez ruchu, niezdolny do myślenia... Tylko raz

przyszła mu do głowy myśl: Czy to właśnie tak czuł się Sebastian kilka godzin wcześniej? Niczego nie rozumiałem...

Nie obejrzał się na odgłos otwieranych drzwi. Zauważył Jane dopiero wówczas, kiedy obeszła stół i przystanęła przy nim.

— Vernonie, mój drogi, co się stało? Wiedziałam, że musiało się coś stać, bo inaczej byłbyś na kolacji. Przyszłam sprawdzić...

Pełen rezygnacji podał jej list. Jane wzięła go, przeczytała i odłożyła na stół.

— Nie musiała tego mówić — odezwał się głucho — tego, że ze mną nie byłaby bezpieczna. Przecież byłaby...

— Och, Vernonie, mój drogi...

Otoczyła go ramionami. Vernon przywarł do niej tak, jak przywiera przestraszone dziecko do swojej matki. Oparł twarz o jej białą szyję i wybuchnął łkaniem.

— Och, Jane... Jane...

Jane jeszcze bardziej zacisnęła ramiona i pogłaskała go po włosach.

— Zostań ze mną — wyszeptał. — Zostań, nie opuszczaj mnie.

— Nie opuszczę cię. Wszystko będzie dobrze...

Miała czuły, matczyzny głos. Nagle przerwała się w nim jakaś tama.

Przez jego myśl zaczęły przepływać obrazy: ojciec, całujący Winnie w Możnych Opactwach... rzeźba w South Kensington... ciało Jane... jej wspaniałe ciało.

— Zostań ze mną — powiedział ochryple.

— Zostanę, kochany — wyszeptała z ustami przy jego czole, trzymając go w objęciach niby matka dziecko.

Vernon nagłym szarpnięciem uwolnił się z tych objęć.

— Nie tak. Nie tak. Tak.

Jego usta przywarły do jej ust, gwałtowne, wygłodzone, a ręka powędrowała ku krągłej piersi. Zawsze jej pragnął, zawsze, lecz dopiero teraz to sobie uświadomił. Pragnął jej pięknego ciała, tego pięknego, wdzięcznego ciała, które Boris Androv znał na pamięć.

— Zostań ze mną... — poprosił raz jeszcze.

Nastąpiła długa przerwa. Zdawało mu się, że nim usłyszy odpowiedź, upłyną minuty, godziny, lata.

— Zostanę... — powiedziała.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Pewnego lipcowego dnia Sebastian Levinne szedł wzdłuż Embankment w kierunku mieszkania Jane. Zimny wiatr, którego podmuchy sypały mu w oczy uliczny kurz, sprawiał, iż ów dzień bardziej przypominał wczesną wiosnę niż pełnie lata.

W Sebastianie zaszła widoczna zmiana. Postarzał się wyraźnie i niewiele w nim pozostało z małego chłopca, którym zresztą i tak nigdy właściwie nie był. Zawsze miał ten dziwnie dojrzały wygląd, tę swoistą spuściznę po semickich przodkach. I kiedy teraz zamyślony, ze zmarszczonym czołem kroczył ulicą, łatwo mógł być wzięty za mężczyznę po trzydziestce.

Drzwi otworzyła mu sama Jane.

— Vernon wyszedł — powiedziała prawie szeptem. — Nie mógł dłużej czekać. Umówiłeś się na trzecią, a teraz jest już po czwartej.

— Coś mnie zatrzymałeś. Ale to może i dobrze. Ostatnio nie bardzo umiem sobie radzić z jego nadmierną nerwowością.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że doszło między wami do nowego kryzysu? To byłoby ponad moje siły.

— Och, musisz się z tym oswoić. Ja też musiałem. Co się stało z twoim głosem, Jane?

— Nic takiego, zwykłe przeziębienie. Coś z tym zrobię.

— Mój Boże! A jutro premiera Księżniczki w wieży. Wygląda na to, że nie będziesz śpiewać.

— Nie obawiaj się. Na pewno będę. I nie zwracaj uwagi na mój szept.

To sposób na oszczędzanie głosu.

— W porządku. Przypuszczam jednak, że skorzystałaś z porady lekarza?

— Tak, byłam u tego co zawsze, na Harley Street.

— I co powiedział?

— To co zawsze.

— Nie zabronił ci jutro śpiewać?

— Och, nie.

— Kłamiesz jak z nut, Jane, prawda?

— No cóż, to dlatego, by oszczędzić wszystkim kłopotu. Powinnam jednak wiedzieć, że z tobą nie

pójdzie mi łatwo. Będę zatem uczciwa.

Powiedział, że latami nieustannie forsowałam głos. Ostrzegł także, że mój jutrzejszy występ to czyste szaleństwo. Lecz co mi tam.

— Moja droga Jane, wolałbym ustrzec cię od ryzyka stracenia głosu.

— Lepiej zajmij się sobą, Sebastianie. Mój głos, to moja sprawa.

Nie mieszam się do tego, co robisz, więc w drodze rewanżu pozwól mi żyć po swojemu.

Sebastian uśmiechnął się szeroko.

— Tygrys w klatce. Lecz, tak czy inaczej, nie musisz tego robić, Jane. Czy Vernon wie?

— A jak ci się zdaje? Oczywiście, że nie. I ty też się przed nim nie wygadasz, Sebastianie.

— Istotnie, nie zwykłem się mieszać do cudzego życia. Jednak zauważ, Jane, że ani Vernon, ani opera nie są warci twego poświęcenia. Choć pewnie złości cię to, co mówię.

— Och, ani trochę. Mówisz prawdę, i ja dobrze o tym wiem. Mimo to spróbuje chwycić byka za rogi. Może i jestem w twoich oczach próżną egoistką, lecz beze mnie Księżniczka w wieży nie odniesie sukcesu.

Odniosłam sukces jako Izolda. Zrobiłam furorę jako Solvejga. Więc niech i ta chwila należy do mnie. A także do Vernona. Przynajmniej tyle mogę dla niego zrobić.

To „przynajmniej” zdradzało wszystko, zdradzało nurtujące Jane uczucie, lecz Sebastian nie zareagował na mimowolne wyznanie ani jednym skurczem twarzy. Powtórzył jedynie, bardzo łagodnie, swoje poprzednie słowa:

— On nie jest tego wart, Jane. Myśl o sobie. To jedyny sposób. Ty już doszłaś do czegoś, Vernon jeszcze nie, i może nigdy nie dojdzie.

— Wiem. Wiem. Nikt nie jest, jak to nazywasz „wart tego”, nikt, poza, być może, jedną osobą.

— Kim?

— Poza tobą, Sebastianie. Ty jesteś wart, a jednak to nie dla ciebie chcę jutro śpiewać!

Sebastian był zdziwiony i poruszony. Jego oczy nagle się zamgliły.

Wziął dłoń Jane w swoją i tak w ciszy, bez słowa, przesiadzieli parę chwil.

— To miło z twojej strony, Jane — powiedział w końcu.

— Bo to prawda. Jesteś wart całego tuzina Vernonów. Jesteś inteligentny, przedsiębiorczy, masz

silny charakter...

Jej szept gdzieś odpłynął. Po kolejnych kilku minutach milczenia Sebastian zapytał:

— A u was? Tak jak zawsze?

— Tak, chyba tak. Wiesz, że odwiedziła mnie pani Deyre?

— Coś podobnego! I czego chciała?

— Przyszła mnie błagać, abym zwróciła jej tego „chłopca”.

Przyszła, aby mi uświadomić, jak rujnuje jego życie. Tylko zła kobieta mogłaby postępować tak, jak ja postępuję. I tak dalej, i tak dalej.

— A ty? Co jej odpowiedziałaś? — zapytał Sebastian, zaciekawiony.

Jane wzruszyła ramionami.

— A niby co miałam odpowiedzieć? Że Vernonowi nie robi to różnicy, z którą nierządnicą się zadaje?

— O Boże — szepnęła Sebastian. — To aż tak źle to wszystko wygląda?

Jane wstała, zapaliła papierosa i zaczęła niespokojnie krążyć po pokoju. Sebastian zauważył, że ma bardzo wymizerowaną twarz.

— Czy on jest, powiedzmy mniej więcej w porządku? — zaryzykował pytanie.

— Za dużo pije — odparła krótko Jane.

— Nie możesz temu zapobiec?

— Nie, nie mogę.

— To dziwne. Zawsze skłonny byłem uważać, że masz nadzwyczajny wpływ na Vernona.

— No cóż, nie mam. Nie teraz. — Po chwili milczenia ciągnęła: —

Nell wychodzi za mąż tej jesieni, prawda to?

— Tak. Czy myślisz, że wówczas sprawy ułożą się lepiej?

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

— Cała nadzieja w Bogu. Bo jeśli ty nie możesz zawrócić go ze złej drogi, Jane, to nie zrobi tego

nikt inny. Oczywiście, coś takiego człowiek musi mieć we krwi.

Jane usiadła na powrót.

— Opowiedz mi, proszę... opowiedz mi wszystko, co wiesz. O jego rodzinie, o ojcu, o matce.

Sebastian spełnił prośbę Jane.

— Widziałaś jego matkę — zakończył. — Czy to nie dziwne, że Vernon chyba niczego po niej nie odziedziczył? To jest Deyre z krwi i kości.

Wszyscy Deyre'owie mieli artystyczne dusze, byli muzykalni, a poza tym mieli słabą wolę, pobażali samym sobie i zawsze ciągnęło ich do kobiet. Dziedziczność to dziwna sprawa.

— Niezupełnie się z tobą zgodzę — powiedziała Jane. Vernon nie jest podobny do matki, lecz mimo to coś po niej odziedziczył.

— Co takiego?

— Żywotność. Jego matka jest jak niezwykle piękne zwierzę. Czy przyszło ci to kiedykolwiek do głowy? Otóż Vernon ma w sobie coś takiego. I gdyby nie ten rys osobowości, nigdy nie zostałby kompozytorem. Gdyby był jedynie czystej krwi Deyre'em, jego kontakt z muzyką ograniczałby się do czegoś w rodzaju flirtu. To siła, jaką uosabiają w sobie Bentowie, popycha go do tworzenia. Powiadasz, że jego dziadek w pojedynkę zbudował ocl podstaw rodzinne przedsiębiorstwo. I taki właśnie jest Vernon.

— Ciekawe, czy masz rację.

— Och, nie wątpię.

Sebastian rozważał coś przez dobre kilka minut.

— Czy chodzi tylko o picie — spytał w końcu — czy też może... no, czy w grę wchodzi... inne kobiety?

— Och, oczywiście, że tak.

— A tobie to nie przeszkadza?

— Nawet nie pytaj. Czasami zdaje mi się, że jestem bliska szaleństwa. Lecz co mogę na to poradzić? Mam robić awantury, sceny?

Prawić morały? Stracić go zupełnie?

Przestała szeptać. Znow rozbrzmiewał jej piękny, matowy głos.

Sebastian zaprotestował gestem dłoni.

— Masz rację. Muszę go oszczędzać — zgodziła się.

— Nie potrafię tego zrozumieć — mruknął Sebastian. — Teraz nawet muzyka zdaje się dla Vernona nic nie znaczyć. Przyjmuje wszelkie sugestie Radmaagera i jest wobec niego potulny jak baranek. To nienaturalne!

— Musimy poczekać. Jeszcze wszystko będzie jak dawniej. Musi w jakiś sposób odreagować utratę Nell, no a poza tym nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jeśli Księżniczka w wieży odniesie sukces, to on w końcu się pozbiera. Przecież musi odczuwać jakąś dumę z tego, czego dokonał.

— Miejmy nadzieję — westchnął ciężko Sebastian. — Martwi mnie przyszłość, Jane.

— To znaczy? Czego się obawiasz?

— Wojny.

Jane popatrzyła na niego zdumiona. Ledwo wierzyła własnym uszom.

Czyżby się przesłyszała?

— Wojny?

— Tak. Tamten incydent w Sarajewie może się zakończyć wojną.

Nie, to absurdalne. To śmieszne. O czym on w ogóle mówi?

— Wojny z kim?

— Z Niemcami. Głównie.

— Och, doprawdy, Sebastianie. Niemcy są daleko od nas. A Sarajewo...

— Sarajewo to zwykły pretekst — powiedział Sebastian niecierpliwie. — Tu chodzi o pieniądze. Zawsze chodzi o pieniądze.

Przez moje ręce przechodzą pieniądze, przez ręce naszych krewnych w Rosji przechodzą pieniądze. Pieniądz to dla nas rzecz nienowa. Ze sposobu, w jaki od pewnego czasu się zachowuje, wiemy, co wisi w powietrzu. Nadchodzi wojna, Jane.

Jane popatrzyła na niego i zmieniła zdanie. Sebastian mówi serio, pomyślała, a Sebastian zwykle wie, co mówi. Jeśli twierdzi, że wojna jest tuż-tuż, choć brzmi to fantastycznie, to wojna istotnie może nadejść.

Sebastian pogrążył się w myślach. Pieniądze, lokaty kapitału, przeróżne kredyty, odpowiedzialność finansowa, przyszłość jego teatrów, kursy posiadanych akcji... No i oczywiście kwestia zaciągnięcia się do armii. Jest synem naturalizowanego Anglika. Nie ma najmniejszej ochoty iść i walczyć, lecz należy przypuszczać, że okaże się to konieczne. Zapewne każdy mężczyzna w jego wieku się

zaciągnie. Nie, żeby martwił się zawczasu wojennymi trudami; nie śpi po nocach dlatego, że długo pieszczone plany i projekty trzeba będzie powierzyć cudzej trosce. Narobią mi sporo zamieszania, pomyślał

gorzko. Wojna to zajęcie na parę lat: może dwa, a może więcej.

Ostatecznie wcale by się nie zdziwił, gdyby Ameryka została w nią wciągnięta.

Rząd powinien wypuścić obligacje, a wojenne obligacje mogą być dobrą lokatą kapitału. I żadnych „poważnych” sztuk w teatrach.

Urlopowani żołnierze powinni uprzyjemnić sobie czas, oglądając na przykład komedie i bawiąc się na dansingach. Tak, raz udało mu się starannie to wszystko przemyśleć. Dobrze jest mieć okazję do myślenia, którego nikt nie przerywa. Przebywanie z Jane to jak przebywanie z samym sobą.

Ona zawsze wie, kiedy ktoś woli milczeć, zamiast rozmawiać.

Popatrzył na nią. Także była zamyślona. Na dobrą sprawę Sebastian nigdy nie wiedział, o czym myśli Jane. Ona i Vernon byli w tym do siebie podobni — nie zdradzali swoich myśli. Teraz prawdopodobnie myślała o Vernonie. A gdyby tak Vernon poszedł na wojnę i zarobił

kule! Ach, nie, to niemożliwe. Artystyczna dusza Sebastiana buntowała się na samą myśl o tym. Vernon nie może zginąć.

Premiera Księżniczki w wieży prędko poszła w niepamięć, a to z tej prostej przyczyny, że odbyła się w niefortunnym czasie: trzy tygodnie później wybuchła wojna.

Niemniej Księżniczka Vernona Deyre'a zdążyła jeszcze odnieść sukces: jak to się mówi, została dobrze przyjęta. Jedni krytycy używali sobie na młodych muzykach z „nowej szkoły”, muzykach, którym się zdaje, że są w stanie zrewolucjonizować wszystkie dotychczasowe idee, inni mieli dla dzieła Vernona mnóstwo szczerego uznania, jako dla rzeczy wielce obiecującej, choć niedojrzałej. Natomiast wszyscy razem wypowiadali się entuzjastycznie o przedstawieniu jako takim, które było niewątpliwie dużym wydarzeniem artystycznym. Kto żyw, śpieszył do Holborn. „Zupełnie nie po drodze, moja droga, lecz doprawdy jest to warte zachodu. No i do tego ta wspaniała, nowa śpiewaczka, Jane Harding. Jej twarz, mój Boże, jest wprost cudowna, jest taka — no, po prostu średniowieczna. Bez niej to nie byłoby to samo!” A zatem Jane odniosła triumf, choć ten triumf miał krótki żywot. Piątego dnia Jane była zmuszona wycofać się z obsady!

Sebastian został wezwany telefonicznie, pod nieobecność Vernona.

Promienny uśmiech, jakim go Jane

<-- BRAK 255–256 -->

— Sama nie wiem. Czysty idiotyzm. — Gdybyś jeszcze raz miała szansę...

— Zrobiłabym to samo.

Zapadło milczenie. Następnie Jane podniosła głowę i powiedziała:

— Czy pamiętasz, Sebastianie, jak kiedyś mówiłeś, że obdarzona jestem niezwykłą siłą napędową? Że nie ma takiej rzeczy na świecie, która zawróciłaby mnie z mojej drogi? Odpowiedziałam na to, że łatwiej mnie zawrócić, niż ci się wydaje. I popatrz: wystarczyło to, co jest między Vernonem i mną, abym poniosła klęskę.

— Wszystko jest takie dziwne — mruknął Sebastian.

Jane, nadal z dłonią w dłoni Sebastiana, osunęła się na podłogę.

— Można być zdolnym — powiedział Sebastian, przerywając ciszę. —

Można umieć przewidywać przyszłość, i mieć dość rozumu, aby zaplanować różne przedsięwzięcia, można odnosić sukcesy, a mimo to nie można w żaden sposób uciec przed cierpieniem. I to właśnie jest takie dziwne. Wiem, że jestem mądry, wiem, że cokolwiek bym przedsięwziął, dojdę aż do szczytu. Nie jestem taki jak Vernon.

Vernon albo okaże się niebiańskim geniuszem, albo leniem i hulaką.

Vernon ma talent (jeśli w ogóle coś ma), ja mam wolę działania i odpowiednie ku temu środki. A mimo to, mimo woli działania, mimo wszelkich możliwości, jakie przede mną się otwierają, nie mogę uchronić się przed cierpieniem.

— Nie tylko ty, Sebastianie, tego nikt nie potrafi.

— Potrafi, być może, lecz pod jednym warunkiem: taki ktoś powinien poświęcić temu całe swoje życie. Jeśli zależy mu na bezpieczeństwie, i tylko na nim, to w końcu je sobie zapewni, lecz to będzie wszystko, co osiągnie. Zbuduje przyjemne, gładkie mury i ukryje się za nimi.

— Czy myślisz o kimś konkretnym? O kim?

— To zabawne, lecz myślę o przyszłej Nell Chetwynd, jeśli chcesz wiedzieć.

— O Nell? Czy sądzisz, że Nell chciałaby się schować za murami i usunąć z widoku publicznego?

— Och, Nell ma wprost niepojętą zdolność zmieniania barw i przystosowywania się do otoczenia. Niektóre gatunki to mają. — Zrobił

przerwę. — Jane... — podjął na nowo — czy spotkałaś się może z Joe?

— Tak, mój drogi, dwa razy. — I co mówiła?

— Niewiele. Tylko tyle, że wszystko jest zabawne, że ona się świetnie bawi i że to wspaniałe, kiedy ktoś ma dość odwagi, aby rzucić wyzwanie wszelkim konwenansom. — Jane dodała, po chwili milczenia: — Ona nie jest szczęśliwa, Sebastianie.

— Tak myślisz?

— Jestem o rym przekonana.

Zamilkli oboje. Dwie nieszczęśliwe twarze wpatrywały się w wygasły kominek. Na zewnątrz, po Embankment z hałasem pędziły taksówki. Życie toczyło się dalej...

Działo się to dziewiątego sierpnia. Nell Vereker opuściła dworzec Paddington i szła wolno w stronę parku. Mijały ją dorożki, obładowane starymi damami i ich licznymi pakuneczkami. Na każdym rogu ulicy krzyczały jaskrawymi kolorami plakaty. Przed sklepami widać było ludzi, stojących w długich kolejkach i pragnących kupić artykuły pierwszej potrzeby.

Nell powtarzała sobie wiele razy, że jest wojna, że naprawdę jest wojna, lecz wciąż trudno jej było w to uwierzyć. A dzisiaj, jak się zdawało, ta wojna przysłała wreszcie do niej samej. Podróż pociągiem, podczas której w kasie biletowej odmówiono jej rozmienienia pięciu funtów, stała się dla Nell punktem zwrotnym. Zdarzenie śmieszne, lecz prawdziwe.

Zatrzymała przejeżdżającą taksówkę, wsiadła i podała adres Jane w Chelsea. Popatrzyła na zegarek: było dokładnie wpół do jedenastej.

Mogła się nie obawiać o to, czy zastanie Jane w domu. Pora była wystarczająco wczesna.

Wjechała windą i stanęła pod drzwiami. Teraz trzeba już tylko nacisnąć dzwonek, pomyślała. Serce trzepotało jej w piersi, a twarz na przemian to czerwieniała, to bladła. Za chwilę drzwi się otworzą.

Ach! Otworzyły się. Ona i Jane stanęły twarzą w twarz.

Pomyślała, że Jane lekko drgnęła, nic więcej.

— Och! To ty.

— Tak — rzekła Nell. — Czy mogę wejść?

Zdawało jej się, że Jane zawahała się chwilę, nim wpuściła ją do środka. Następnie poszła w głąb hallu, zamknęła najdalsze drzwi, wróciła, otworzyła drzwi do salonu, weszła tam za Nell i zamknęła drzwi za sobą.

— Słucham?

— Jane, przychodzę, bo może wiesz, gdzie jest Vernon.

— Vernon?

— Tak. Byłam wczoraj w jego mieszkaniu, lecz tam go nie ma.

Kobieta, która otworzyła mi drzwi, nie wiedziała, dokąd się udał.

Powiedziała mi, że jego listy są przesyłane do pani Jane Harding.

Wróciłam do domu i napisałam do ciebie z prośbą o jego adres.

Następnie, bojąc się, że mi go nie podasz albo że nawet nie odpiszesz, postanowiłam przyjść tutaj

osobiście.

— Rozumiem — odpowiedziała Jane niechętnie. — Jestem przekonana, że wiesz, gdzie on jest. Prawda?

— Tak, wiem.

Cedzi słowa, aż nadto cedzi, pomyślała Nell. Może wie, a może i nie wie.

— No więc?

Jane odpowiedziała pytaniem na pytanie:

— Dlaczego chcesz się z nim zobaczyć, Nell?

— Dlatego — Nell mężnie uniosła w górę bladą twarz — dlatego, że byłam tak okrutnie nieładna, tak nieładna! Rozumiem to teraz, teraz, kiedy nastąpiła ta okropna wojna. Byłam takim nędznym tchórzem...

nienawidzę siebie, po prostu nienawidzę. To dlatego, że George był

miły i dobry... i... i... tak, to prawda, dlatego, że był bogaty! Och, Jane, jak bardzo musisz mną pogardzać. Wiem, że pogardzasz. Wiem, że zasłużyłam sobie na to. To dziwne, lecz dzięki wojnie wszystko staje się takie klarowne. Prawda?

— Nie powiedziałabym. Były wojny przedtem i będą potem. Wojny nie odmieniają ludzi, powinnaś o tym wiedzieć.

Nell nie zwracała uwagi na jej słowa. Mówiła dalej.

— To nikczemne, odtrącić mężczyznę, którego się kocha. A ja kocham Vernona. Zawsze o tym wiedziałam, zawsze byłam pewna swej miłości. Po prostu zabrakło mi odwagi... Och, Jane, czy myślisz, że jest już za późno? Możliwe, że tak. Możliwe, że teraz on mnie nie zechce. Lecz ja muszę się z nim zobaczyć. Muszę, rozumiesz? Nawet gdyby mnie nie zechciał. Muszę mu powiedzieć... — Zatrzymała się w połowie zdania i popatrzyła żałośnie na Jane. Czy Jane zechce jej pomóc? Jeśli nie, musi udać się do Sebastiana, tylko że Sebastian zawsze budził w niej lęk. Nie zdziwiłaby się, gdyby niczego dla niej nie zrobił.

— Myślę, że mogłabym cię z nim skontaktować — powiedziała powoli Jane.

— Och, dziękuję. I jeszcze jedno, co z wojną?

— Zgłosił się na ochotnika, jeśli to masz na myśli. — To straszne.

Przecież może zginąć. Choć, jak wszyscy mówią, wojna nie potrwa długo, na Boże Narodzenie będzie po wszystkim.

— Sebastian twierdzi, że potrwa dwa lata.

— Sebastian nie może tego wiedzieć. On nie jest rodowitym Anglikiem. To Rosjanin.

Jane potrząsnęła głową i powiedziała: — Wyjdę zatelefonować.

Zaczekaj tutaj. — I znów dokładnie zamknęła za sobą drzwi. Poszła w głąb korytarza, do sypialni. Vernon uniósł z poduszki ciemną, rozczochraną głowę.

— Wstawaj — rzuciła krótko. — Umyj się, ogol i spróbuj się doprowadzić do jakiego takiego wyglądu. Jest tu Nell. Chce się z tobą widzieć.

— Nell. Ale...

— Ona myśli, że poszłam do telefonu. Kiedy będziesz gotów, wyjdź

na zewnątrz i zadzwoń do drzwi frontowych... i niech Bóg ma nas w swojej opiece.

— Ale Jane, posłuchaj. Nell, mówisz? Czego chce Nell?

— Jeśli nadal chciałbyś się z nią ożenić, to nadarza ci się niezła okazja.

— Najpierw muszę jej powiedzieć...

— Powiedzieć? Niby co? Że prowadziłeś „beztroskie życie”, że byłeś

„zdemoralizowany”? To zwykłe eufemizmy! Przecież ona niczego innego się nie spodziewa. Może być ci jedynie wdzięczna, jeśli zachowasz na ten temat milczenie. Natomiast nie zapomnij jej opowiedzieć o nas, o sobie i o mnie, i to ze wszystkimi detalami, proszę bardzo, przeprowadź to dziecko przez piekło. Nałóż kaganiec swemu szlachetnemu sumieniu i pomyśl o niej.

— Nie rozumiem ciebie, Jane — powiedział, podnosząc się powoli z łóżka.

— To oczywiste. I pewnie nigdy nie zrozumiesz.

— Czy Nell rzuciła George’a Chetwynda?

— Nie wdawałam się w szczegóły. Wracam do niej, a tobie radzę się pośpieszyć.

Wyszła z pokoju. Nigdy nie rozumiałem Jane, pomyślał Vernon, i nigdy nie zrozumiem. Jest denerwująca jak wszyscy diabli. Cóż, zapewne byłem dla niej czymś w rodzaju chwilowej zabawki. Nie, to niesprawiedliwe, to czysta niewdzięczność z mojej strony. Jane zachowała się wobec mnie piekielnie przyzwoicie. Nikt nie zachowałby się lepiej. Niestety, nic nie poradzę, że Nell tego nie rozumie.

Pewnie myśli o Jane jak najgorzej...

Myjąc się i goląc w pośpiechu, kontynuował swój wewnętrzny monolog: Wszystko jedno, nieważne, niech sobie myśli, co chce. Ona i ja już nigdy nie będziemy razem. Och, to przecież poza dyskusją!

Prawdopodobnie przychodzi po to, abym jej wybaczył, aby ulżyć swojemu sumieniu; na wypadek, gdybym został zabity w tej przeklętej wojnie.

No, coś w tym rodzaju. Tak czy inaczej, nie sądzę, by mnie jeszcze chód trochę obchodziła.

Inny głos, sięgający zakamarków jego duszy, powiedział ironicznie: Och, doprawdy, nie, ani trochę. I dlatego serce bije ci jak oszalałe i trzęsą ci się ręce. Ty niepoprawny ośle, oczywiście, że cię obchodzi!

Był gotów. Wyszedł na zewnątrz i zadzwonił. Poczł się zawstydzony: lichy wybieg, godny pogardy. Jane otworzyła drzwi, niby pokojówka rzuciła krótkie „Tu” i pokazała na drzwi salonu. Wszedł i zamknął je za sobą.

Nell na jego widok poderwała się z krzesła, stanęła nieruchomo i zaczęła splatać i rozplatać dłonie. Kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał cicho i nieporadnie, jak głos dziecka, które coś przeszkrobało. — Och, Vernonie...

Czas się cofnął. Vernon znów był w Cambridge, na brzegu rzeki... na mostku w Ranelagh. Zapomniał o Jane, zapomniał o wszystkim. On i Nell byli jedynymi ludźmi na świecie. — Nell.

Przywarli do siebie bez tchu, jak po długim biegu. Z ust Nell posypały się beładne słowa:

— Vernonie, jeśli tylko chcesz... Kocham cię... Och! Kocham... Wyjdę za ciebie natychmiast... jeszcze dzisiaj. Nie dbam o to, że będę biedna, nie dbam o nic! Vernon porwał ją w ramiona. Długo całował jej oczy, jej włosy, jej usta.

— Kochana... och! Kochana. Nie traćmy ani chwili, ani chwili. Nie wiem, jak się bierze ślub. Nigdy o tym nic myślałem. Chyba powinniśmy się udać do arcybiskupa Canterbury, by dostać specjalne pozwolenie czyż nie tak? Jak, u diabła, bierze się ślub?

— Może zapytajmy jakiegoś duchownego? — Chodźmy do Urzędu Stanu Cywilnego. To jest myśl.

— Nie zdaje mi się, by mógł mnie ucieszyć ślub w urzędzie.

Czułabym się jak jakaś kucharka albo pokojówka.

— To chyba nie tak, kochanie, lecz jeśli wolisz ślub kościelny, proszę bardzo. W Londynie są tysiące kościołów. Jestem pewien, że w którymś z nich udzielią nam ślubu, i to z wielką ochotą.

Wyszli, tak jak stali, śmiejąc się radośnie. Vernon zapomniał o wszystkim: o wyrzutach sumienia, o samym sumieniu, o Jane...

Wpół do trzeciej tego popołudnia Vernon Deyre i Eleanor Vereker zostali sobie zaślubieni w kościele St Etheldred's w Chelsea.

KSIĘGA IV

WOJNA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sześć miesięcy później Sebastian Levinne otrzymał list od Joe.

St George's Hotel, Soho.

Drogi Sebastianie, przyjechałam do Anglii na kilka dni.

Pragnęłabym się z tobą spotkać, ukłony, Joe.

Odczytywał raz po raz tę krótką wiadomość. Spędzał u matki kilka dni urlopu, w związku z czym poczta docierała do niego bez żadnej zwłoki. Zdawał sobie sprawę z oczu obserwujących go przez szerokość stołu i podziwiał, nie po raz pierwszy zresztą, spostrzegawczość matki. Czytała w jego myślach (choć taka umiejętność dla większości ludzi pozostaje wiedzą tajemną) tak łatwo, jak on czytał trzymany w ręku list.

Kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał najbanalniej w świecie.

— Może jeszcze trochę marmolady, kochanie?

— Nie, dziękuję, mam. — Była to odpowiedź na głośno wyrażone pytanie. Następna dotyczyła tego, które nie padło, lecz którego był

całkowicie świadomy. — To od Joe.

— Ach tak — stwierdziła obojętnie. — Jest w Londynie.

— Rozumiem.

Głos matki nadal się nie podniósł ani nie opadł, ani nie zadrżał.

Jednak Sebastian wiedział, że w jej duszy kłębi się burza uczuć.

Równie dobrze mogła wybuchnąć: „Mój synu, mój synu! I to teraz, kiedy właśnie zaczynałeś o niej zapominać! Dlaczego ta dziewczyna to robi?”

Dlaczego nic zostawi cię w spokoju? Nic ma nic wspólnego z nami ani z naszą rasą. Nigdy nie nadawała się na żonę dla ciebie i nigdy nie będzie się nadawać”.

Sebastian podniósł się.

— Chyba powinienem się z nią spotkać.

— Myślę, że tak. — Głos matki pozostał niewzruszony. Nie powiedzieli nic więcej. Rozumieli się bez słów i jedno szanowało punkt widzenia drugiego.

Kiedy skręcił we właściwą ulicę, uświadomił sobie, że Joe nie podała nazwiska, pod jakim jest

zameldowana w hotelu. Panna Waite? A może madame La Marre? To nieważne, pomyślał, oczywiście, że nieważne, a jednak te głupie konwenanse zawsze potrafią wprawić człowieka w zakłopotanie. Będzie musiał podać w recepcji i jedno, i drugie. To tak podobne do Joe, nic pamiętać o istotnych sprawach!

Lecz przypadek oszczędził mu niezręcznej sytuacji, bowiem pierwszą osobą, jaką zobaczył w wahadłowych drzwiach, była właśnie Joe.

Przywitała go z radosnym okrzykiem zdziwienia.

— Sebastian! Nie miałam pojęcia, że tak prędko dostaniesz mój list!

Kiedy zmierzali do ustronnego kąta w hotelowym hallu, Sebastian pomyślał przede wszystkim, że Joe zmieniła się prawie nie do poznania. Po części, jak przypuszczał, z powodu ubrania: wszystko, co miała na sobie, pochodziło z Francji: bardzo spokojne, w ciemnych barwach, dyskretne, lecz takie nieangielskie. Poza tym niewątpliwie z powodu makijażu: sztucznie uwydatniona biel i tak zwykle mlecznobiałych policzków, intensywnie czerwona szminka na ustach i coś dziwnego w kącikach oczu.

Jest taka obca, tak mało angielska, a przecież to Joe, pomyślał.

Ta sama Joe, choć na pewno odeszła bardzo daleko, za daleko, by ciało się z nią nawiązać dawny kontakt.

Wbrew pesymizmowi Sebastiana rozmowa potoczyła się wystarczająco gładko, choć na początku każde z nich wystawiło drobne czułki nieufności, które miały wysondować dzielący ich dystans. Jednak już po chwili nie było między nimi żadnego dystansu, a elegancka paryżanka stopiła się w jedno z dawną Joe.

Rozmawiali o Vernonie. Gdzie jest? Bo ani nie pisze, ani się nie odzywa.

— Jest w swojej jednostce, w Salisbury Plain, w pobliżu Wiltsbury.

W każdej chwili może wyruszyć do Francji.

— A Nell mimo wszystko wyszła za niego! Jak widać, byłam wobec niej nieludzko niesprawiedliwa. Nigdy nie posądzałam jej o taki hart ducha. Choć, gdyby nie wojna, to kto wie... Sebastianie, czyż ta wojna nie jest cudowna? Mam na myśli to, że odmienia ludzi.

Sebastian uciął krótko, że wojna jak wojna. Każda jest taka sama.

Joe jednak odparowała gwałtownie:

— Nieprawda. Ani trochę. Tu właśnie się mylisz. Po tej wojnie zacznie się nowy świat. Ludzie już zaczynają dostrzegać to, czego przedtem nigdy nic zauważali: okrucieństwo, niegodziwość i te wszystkie szkody i straty, jakie wojna za sobą pociąga. Ludzie się zjednoczą, zewrą szeregi tak, by już nigdy nie wydarzyło się nic podobnego.

Twarz Joe płonęła przejęciem. Sebastian spostrzegł, że wojna, według jego określenia, „połknęła” Joe. Wojna zawsze „połyka” ludzi.

Przedyskutował z Joe ten problem i na koniec wyraził swoje ubolewanie. Powiedział, że jemu samemu robi się niedobrze, kiedy czyta to, co się wypisuje o wojnie. „Wojna, to rzecz dla bohaterów”,

„Bój o demokrację” i tak dalej. Jak gdyby nie szło o pieniądze, dodał. Jak gdyby wojna nie była jednym wielkim interesem. Dlaczego ludzie nie mieliby o tym głośno mówić?

Joe nie zgodziła się z nim. Utrzymywała, że frazesy (bo temu, że to są frazesy, nawet ona nie usiłowała przeczyć), które wypisywano o wojnie, są nie do uniknięcia, a co więcej, że spełniają pozytywną rolę, ponieważ wykreowany przez nie świat kłamstw i iluzji pozwala ludziom uciec od twardej, bezlitosnej rzeczywistości. W jej pojęciu to, w co człowiek chce wierzyć i czym sam się zwodzi, jest tak godne politowania, jak i piękne.

— Natomiast ja dorzucę — skończył jej myśl Sebastian — że dzięki takiej wierze w przyszłości w kraju zapanuje niezłe zamieszanie.

Sebastian posmutniał. Źle wpływał na niego entuzjazm Joe. Choć, jak przyznawał w ciuchu, to była cała ona. Od kiedy ją znał, zawsze taka była: żywiołowa, pełna uniesienia. To, który obóz wybierze, po czyjej stronie, było najzwyczajniej w świecie loterią, niczym więcej. Równie dobrze mogła być rozpaloną do białości pacyfistką, pochylającą się z litością nad umierającymi.

— No tak, ty się ze mną nie możesz zgodzić! — zarzuciła Sebastianowi. — Ty oczywiście uważasz, że wszystko będzie tak, jak było.

— Zawsze były wojny, a po wojnach zawsze świat toczył się prawie nie zmienionym torem.

— Tak, ale tym razem mamy do czynienia z czymś całkiem odmiennym.

Sebastian uśmiechnął się. Nie było na nią rady.

— Moja droga Joe, to, co zdarza się nam osobiście, zawsze nas w jakiś sposób odmienia.

— Och! Nie mam do ciebie cierpliwości. To właśnie tacy ludzie jak ty... — zatrzymała się.

— Ależ proszę, mów dalej — zachęcił ją Sebastian — tacy ludzie jak ja...

— Nie, właściwie ciebie to nie dotyczy. Ty zawsze masz jakieś idee. Teraz...

— Teraz — powiedział poważnie — teraz nurzam się w pieniądzech.

Jestem kapitalistą. A każdy wie, że kapitalista to świnia.

— Nie bądź śmieszny. Choć rzeczywiście uważam, że pieniądze są...

są... no, że stwarzają dość duszną atmosferę.

— Coś w tym jest — stwierdził Sebastian. — Ale to problem indywidualny. Zgadzam się z tobą, że ubóstwo to stan błogosławiony i, myśląc kategoriami bliskimi duszom artystycznym, prawdopodobnie jest tyle samo warte co gnój w ogrodzie. Lecz mówić, że dlatego, iż mam pieniądze, jestem niezdolny do prognozowania przyszłości, a zwłaszcza czasu, który nastąpi po wojnie, to czysty absurd. Właśnie dlatego moje wszelkie osądy są dobre. Pieniądze mają wiele wspólnego z wojną.

— Cóż, ty myślisz o wszystkim w kategoriach pieniędzy i dlatego chciałbyś, żeby wojny trwały nieprzerwanie.

— Niczego takiego nie powiedziałem. Myślę natomiast, że ostatecznie ludzie odstąpią od prowadzenia wojen, no, powiedzmy w przybliżeniu, za jakieś dwieście lat.

— Ach! Czyżbyś naprawdę przypuszczał, że do tego czasu świat będzie pełen wzniosłych idei?

— Nie sądzę, żeby to miało coś wspólnego z takimi czy innymi ideami. To problem transportu. Wystarczy, by zaczęły się loty na skalę ekonomiczną, a wszystkie kraje stopią się w jedno. Airbusy na Saharę, w środy i soboty. Coś w tym rodzaju. Państwa bez granic, naród zaprzyjaźniony z narodem. Rewolucja przemysłowa. Świat stanie się mniejszy i dostępniejszy; mówiąc inaczej, będzie to jedna wielka wioska. Nie sądzę, żeby braterstwo ludzi powstało na gruncie jakichś wspaniałych idei, o czym ci i owi mówią po kątach. Ono będzie wypadkową zdrowego rozsądku.

— Och, Sebastianie!

— Irytuję cię. Przepraszam, Joe, kochana.

— Ty po prostu w nic nie wierzysz.

— To ty jesteś ateistką. Chociaż, trzeba przyznać, to słowo powoli wychodzi z mody. Dzisiaj modne jest powiedzenie, że wierzy się w

„coś”! Mnie, Sebastianowi Levinne’owi, wystarcza Jahwe. Lecz wiem, o co ci chodzi, i zapewniam cię, nie masz racji. Ja wierzę. Wierzę w piękno, w siłę twórczą człowieka, wierzę w takie rzeczy, jak muzyka Vernona. Pod względem ekonomicznym to wszystko jest nie do obrony, a mimo to jestem w pełni przekonany, że znaczy więcej niż cokolwiek innego na świecie. Nawet jestem gotów, czasami naturalnie, sypanąć na to trochę pieniędzy. A to już dużo, jak na Żyda!

Joe mimo woli roześmiała się.

— Jaka była ta Księżniczka w wieży? Tylko szczerze, Sebastianie.

— Och, kojarzyła mi się z niepewnym stąpieniem olbrzyma. Mało przekonujące widowisko, a mimo to nie da się go porównać z niczym innym.

— Czy myślisz, że pewnego dnia...

— Tak, jestem tego pewien. Niczego nie jestem tak pewien, jak właśnie tego. Jeśli tylko nie polegnie na tej przeklętej wojnie.

Joe zadrżała.

— To takie straszne — szepnęła. — Pracuję w paryskich szpitalach.

Widziałam już niejedno!

— Wiem. Niechby nawet został okaleczony, to jeszcze żadna tragedia. Nie tak jak ze skrzypkami, który jest skończony, kiedy traci prawą rękę. Mogą sobie spaskudzić jego ciało, jak im się żywnie podoba, byleby tylko nie dobrali mu się do umysłu. To brzmi brutalnie, lecz chyba mnie rozumiesz...

— Rozumiem. Choć czasami... mimo wszystko... — Urwała. Kiedy znów zaczęła mówić, jej głos brzmiał całkiem inaczej. — Sebastianie, wyszłam za męża.

Jeśli nawet w jego duszy coś drgnęło, nie okazał tego po sobie.

— Naprawdę, moja droga? Czyżby La Marre dostał rozwód?

— Nie. Rzuciłam go. On był nieludzki... to dzikie zwierzę, Sebastianie.

— Tak też zawsze myślałam.

— Nie, żebym czegokolwiek żałowała. Nie. Każdy musi przeżyć swoje życie po swojemu, musi obrastać w doświadczenia. Nie ma nic gorszego niż ucieczka od życia. Tego właśnie nie potrafią zrozumieć tacy ludzie jak ciocia Myra. Nie zamierzam osiąść razem z nimi w Birmingham. Ani mi nie wstyd, ani nie czuję skruchy z powodu tego, co zrobiłam.

Popatrzyła na niego wyzywająco, a on powrócił wspomnieniem do tamtej Joe w lasach Możliwych Opactw. Jest taka sama, pomyślał. Uparta, buntownicza, godna podziwu. Już wtedy należało się domyślać, że będzie robiła tego rodzaju rzeczy.

— Jest mi jedynie przykro, że byłaś nieszczęśliwa. Bo byłaś, prawda?

— Potwornie. Teraz jednak odnalazłam się. W szpitalu był taki jeden chłopiec, bardzo ciężko ranny. Dostawał morfinę. Jest już wyleczony, chociaż, oczywiście, nie nadaje się do służby w wojsku.

Niestety, nadal ją bierze. To dlatego, jak chcesz wiedzieć, pobraliśmy się. Dwa tygodnie temu. Chcemy z tym razem walczyć.

Sebastianowi zabrakło słów. Joe, cała Joe. Dlaczego, na litość boską, nie zadowoliło jej samo inwalidztwo. Morfina. Upiorny interes.

I nagle poczuł w sercu skurcz bólu. Zatem nie ma już żadnej nadziei. Ich drogi rozeszły się ostatecznie; Joe zostawała pośród przegranych spraw i swoich kalekich podopiecznych, on wybrał ścieżkę po wyżynach. Mógł, oczywiście, zginąć na wojnie, lecz coś mu mówiło, że tak się nie stanie.

Był prawie pewien, że nie odniesie choćby najmniejszej malowniczej rany. Miał w sobie to dziwne przeświadczenie, że przejdzie wojenną zawieruchę bezpiecznie (prawdopodobnie z jakimś rozsądnym odznaczeniem), że wróci do swoich przedsięwzięć, że będzie je na powrót ożywiał i reorganizował, że będzie odnosił sukcesy, sukcesy liczące się w świecie, który nie toleruje bankrutów. I im wyżej będzie się wspinał, tym bardziej będzie się oddalał od Joe.

Zawsze znajdzie się jakaś kobieta, która wyciągnie cię z twojego piekła, pomyślał, lecz nikt nie potrafi dotrzymać ci towarzystwa na tym twoim cholernym górskim szczycie. Nie ma rady, będziesz tam tkwił

zupełnie sam.

Nie miał pojęcia, co by tu jeszcze powiedzieć. Biedne dziecko, nie ma sensu jej martwić. Zapytał, bez większego zainteresowania:

— Jak się teraz nazywasz?

— Valni?re. Powinieneś kiedyś poznać François. Przyjechałam, żeby załatwić parę przykrych formalności. Miesiąc temu umarł mój ojciec, chyba wiesz o tym.

Sebastian skinął potakująco. Istotnie, słyszał o śmierci pułkownika Waite'a.

— Chciałam zobaczyć się z Jane. No i oczywiście z Vernonem i Nell

— powiedziała na koniec.

Umówili się, że następnego dnia pojedą do Wiltsbury samochodem Sebastiana.

Nell i Vernon mieszkali w małym, schludnym domku, położonym mniej więcej o milę od samego Wiltsbury. Vernon był opalony i wyglądał

okazale. Na powitanie wyściskał Joe z całych sił.

Przeszli do pokoju z perkalowymi zagłówkami na fotelach i zjedli lunch, składający się z gotowanej baraniny i kaparów.

— Vernonie, wyglądasz wspaniale. Można powiedzieć, że jeszcze bardziej wyprzystojniałeś, prawda, Nell?

— To z powodu munduru — ta odparła skromnie.

Zmieniła się, pomyślał Sebastian, patrząc na nią. Nie widział jej od dnia ślubu, to znaczy od czterech miesięcy. Dla niego Nell nigdy nie wychodziła poza ramy pewnej klasy społecznej i była jedną z wielu takich samych czarujących, młodych dziewczyn. Teraz zobaczył ją jako jednostkę, jako Nell, prawdziwą Nell, która wreszcie zrzuciła z siebie niewygodną skórę poczwarki.

Promieniała jakimś dziwnym, przyćmionym blaskiem. Była spokojniejsza niż zazwyczaj, choć jednocześnie bardziej ożywiona. Ci dwoje byli ze sobą szczęśliwi, to nie nasuwało żadnych wątpliwości.

Rzadko spoglądali na siebie, lecz kiedy do tego dochodziło, czuło się, że ich oczy przenika jakaś delikatna czułość, słodka, im tylko wiadoma tajemnica.

Lunch upłynął w pogodnym, radosnym nastroju. Wszyscy czworo rozmawiali o minionych dniach, o Możliwych Opactwach.

— No proszę, znów jesteśmy razem, cała nasza czwórka — powiedziała Joe.

Joe włączyła ją do ich paczki! Cała nasza czwórka, powiedziała.

Serce Nell zalała gorąca fala wdzięczności. Ona, Nell, dobrze pamięta, jak kiedyś Vernon rzucił: „nas troje” i jak te słowa ją zabolowały. Ale teraz to już dawne dzieje. Teraz jest jedną z nich. To była jej nagroda, jedna z wielu nagród. Och tak, ostatnio jej życie było pełne miłych niespodzianek.

Jest szczęśliwa, tak ogromnie szczęśliwa, a przecież niewiele brakowało, a jej szczęście w ogóle by ją ominęło. Niewiele brakowało, by w chwili wybuchu wojny wyszła za George'a. Jak mogła być aż tak niewiarygodnie głupia i myśleć, że liczy się ktoś poza Vernonem? Bo przecież są oboje tak cudownie, tak niezwykle szczęśliwi. Ileż racji miał Vernon, upierając się przy tym, że ubóstwo nie jest istotną sprawą.

A poza tym nie jest jedyną dziewczyną, która zdecydowała się na małżeństwo z miłości. Przecież ona, Nell, dobrze wie, że wiele dziewcząt ciska wszystko w ką i wychodzi za mężczyznę, nie dbając

o to, że jest ubogi. Po wojnie coś powinno się zmienić. To, że do tej pory szukało się bogatego męża, było po prostu kwestią konwensu. No i kryjącego się za nim cichego lęku, żeby nie odstawać od towarzystwa i żeby wyglądać jak należy. Ponieważ wtedy, co najwyżej, nie pozostaje ci nic innego, jak robić buńczuczną minę i zapewniać samą siebie, że „nieważne, co się zdarzy, w końcu nadzy nie zostaniemy”.

Świat się zmienia, myślała. Teraz wszystko jest inne i już nigdy nie będzie tak jak kiedyś. Nie ma odwrotu...

Popatrzyła na Joe, siedzącą po drugiej stronie stołu. Wyglądała teraz zupełnie inaczej: dziwnie, może nawet ekscentrycznie. Przed wojną taki wygląd nazwałoby się „nie na miejscu”, chyba tak. Co też ona z sobą zrobiła? Ten wstrętny typ, La Marre... Och, lepiej do tego nie wracać. Dziś to bez znaczenia. A przy tym wszystkim Joe teraz jest dla niej taka miła; nie ma w niej ani śladu tamtej dziewczynki, która zawsze wprawiała ją, Nell, w zakłopotanie i która zawsze zdawała się nią pogardzać. Możliwe, że nie bez przyczyny. Ona istotnie była kiedyś małym tchórzem.

Wojna jest straszna, naturalnie, lecz jak bardzo upraszcza życie.

Jej matka na przykład pogodziła się ze wszystkim prawie natychmiast.

Oczywiście, jeśli chodzi o George’a Chetwynda, była rozczarowana (biedny George, to takie kochane stworzenie, że też musiałaś go tak nieludzko potraktować!), mimo to podeszła do całej sprawy z godnym podziwu zdrowym rozsądkiem.

„Ach, te wojenne małżeństwa!”, powiedziała tylko i wzruszyła ramionami. „Biedne dzieci, nie sposób je obwiniać. Możliwe, że nie postąpiły mądrze, lecz czy można liczyć na mądrość w takich czasach?” W „takich czasach” jej matka musiała wytężyć cały swój umysł i spryt, aby radzić sobie z wierzycielami. No i radziła sobie. I to całkiem nieźle. Niektórzy z wierzycieli nawet jej współczuli.

Jeśli ona i Vernon faktycznie się nie lubili, to potrafili swą wzajemną niechęć skrywać całkiem starannie, choć trzeba powiedzieć, że od czasu ślubu spotkali się tylko jeden raz. Zatem wszystko okazało się doprawdy łatwe. Możliwe, że jeśli się ma odwagę, zawsze wszystko okazuje się łatwe. Możliwe, że jest to wielka tajemnica życia, powiedziała sobie w ciuchu Nell i wróciła do ogólnej rozmowy.

Właśnie mówił Sebastian.

— Po powrocie do Londynu chcemy odwiedzić Jane. Od dawna już nie mam od niej żadnych wieści. A ty, Vernonie?

Vernon potrząsnął przecząco głową.

— Ja też nie. — Nadaremnie się starał, by jego słowa zabrzmiały naturalnie.

— Ona jest bardzo miła — zauważyła Nell. — Lecz, jakby to powiedzieć, dość trudna, nieprawda? To znaczy, nigdy się nie wie, o czym tak naprawdę myśli.

— Istotnie, czasami potrafi wprawić człowieka w zakłopotanie —

przyznał Sebastian.

— To anioł — stwierdziła z zapałem Joe.

Nell obserwowała Vernona. Niechby coś powiedział, pomyślała w duchu, coś, cokolwiek... Boję się Jane. Zawsze się jej bałam. To szatan, nie anioł...

— Nie zdziwiłbym się — dorzucił Sebastian — gdyby w tej chwili siedziała gdzieś w Rosji czy w Timbaktu, a choćby i w Mozambiku. Po niej wszystkiego można się spodziewać.

— Kiedy widziałeś ją ostatni raz? — spytała Joe. — Dokładnie? Och, chyba jakieś trzy tygodnie temu. — Tygodnie? A już sądziłam, że mówisz o wiekach. — Bo też o nich myślałem.

Zaczęli rozmawiać o pracy Joe w paryskim szpitalu. Potem przerwali się na Myrę i wujka Sydneya. Myra radziła sobie całkiem dobrze. Robiła nieprawdopodobną liczbę tamponów dla szpitali, a także dwa razy w tygodniu dyżurowała w kantynie. Wujek Sydney był na prostej drodze do zbiccia drugiej fortuny, ponieważ rozpoczął

produkcję materiałów wybuchowych.

— Trafił w dziesiątkę — powiedział Sebastian z uznaniem w głosie.

— Ta wojna potrwa co najmniej trzy lata. Zaczęli się spierać. O

optymistycznych „sześciu miesiącach” już nikt nawet nie wspomniał, lecz trzy lata dla Joe i Nell były zbyt mroczną wizją. Od materiałów wybuchowych Sebastian przeszedł do sytuacji w Rosji, następnie do problemu żywności i w końcu do łodzi podwodnych. Absolutnie pewny swoich racji, mimo woli narzucał ton rozmowie.

O piątej, zegnani na drodze przez Vernona i Nell, on i Joe wsiedli do samochodu i odjechali do Londynu. — Jakże się cieszę z ich wizyty

— powiedziała Nell, wsuwając rękę pod ramię Vernona. — No i dobrze się złożyło, że dostałeś na dzisiaj przepustkę. Joe byłaby potwornie rozczarowana, gdyby cię nie zastała.

— Nie zdaje ci się, że się zmieniła?

— Trochę. A twoim zdaniem?

Szli dalej drogą, aż skręcili w ścieżkę, prowadzącą przez wydmy.

— Tak — westchnął. — Choć przypuszczam, że było to nieuniknione.

— Cieszę się, że wyszła za męża. To ładnie z jej strony, nie sądzisz?

— Och, Joe zawsze miała dobre serce — odparł z roztargnieniem.

Nell spojrzała na niego. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak niewiele się odzywał przez cały dzień. To goście wzięli na siebie cały ciężar rozmowy.

— Cieszę się z ich wizyty — rzekła raz jeszcze.

Vernon nie odpowiedział. Przycisnęła swoje ramię do jego ramienia; oddał jej uścisk, lecz milczenia nie przerwał.

Powoli się ściemniało i powietrze stawało się coraz chłodniejsze i ostrzejsze, lecz oni, bez słowa, szli dalej i dalej. W ten sam sposób, milczący i szczęśliwi, spacerowali tędy niejedną raz, lecz dzisiejsze milczenie było inne. Kryło w sobie jakiś ciężar i groźbę.

Nagle wszystko stało się jasne...

— Vernonie — zawołała Nell — a więc jednak! Musisz wyjechać...

Przycisnął jej dłoń jeszcze bardziej, lecz nie odpowiedział.

— Vernonie... Kiedy?

— W następny czwartek.

— Och! — Przeszył ją paroksyzm bólu. A więc to przyszło.

Wiedziała, że musi przyjść, lecz nie mogła wiedzieć, co się tak naprawdę wówczas czuje.

— Nell. Nell... Nie przejmuj się aż tak bardzo. Proszę cię — padało słowo za słowem. — Wszystko będzie dobrze. Wiem, że będzie dobrze.

Nie mam zamiaru dać się zabić. Nie teraz, kiedy mnie kochasz, kiedy jesteśmy tak bardzo szczęśliwi. Niektórzy czują swoją kolej, kiedy tam idą, lecz ja nic. Ja mam w sobie absolutną pewność, że przeżyję.

Chcę, żebyś i ty ją miała.

Stała jak skuta lodem. A więc to tym w rzeczywistości jest wojna.

Wydziera z ciebie serce i sprawia, że krew odpływa z żył. Przypadła do męża ze szlochem.

— Uspokój się, Nell — powiedział, tuląc ją w objęciach. — Przecież oboje wiedzieliśmy, że ta chwila musi nadejść. A wierz mi, bierze mnie piekielna ciekawość, jak wygląda to wszystko z bliska, to znaczy, brałaby, gdybym nie miał ciebie. Chyba nie chciałabyś, żebym spędził całą wojnę, pilnując jakiegoś mostu w Anglii? No, powiedz sama. I tylko pomyśl, jak niecierpliwie będziemy wyczekiwać urlopów i jakie one będą wspaniałe. Przywiozę mnóstwo pieniędzy i tylko po to, żeby je natychmiast z tobą przepuścić. Och, Nell, najdroższa, wiem, po prostu wiem, że od kiedy jesteś ze

mną, nie może mi się przytrafić nic złego.

— Tak, nie może... — zgodziła się z nim. — Bóg nie byłby aż tak okrutny... — I choć nie mogła uciec od myśli, że Bóg przyzwala na różne okrucieństwa, to jednak, tłumiąc w sobie płacz, powiedziała dzielnie:

— Wszystko będzie dobrze, kochanie. Wiem to.

— Lecz nawet... nawet gdyby nie było, musisz pamiętać o naszych szczęśliwych dniach. Najdroższa, powiedz, że byłaś szczęśliwa.

Nell uniosła ku niemu usta. Zamarli w uścisku, oniemiaли, sparaliżowani strachem. Nie liczyli minut... Zawisł nad nimi cień pierwszego rozstania.

Kiedy wrócili do swoich perkalowych zagłówek, wdali się w pogodną rozmowę o zwykłych, codziennych sprawach. Vernon tylko raz napomknął o przyszłości.

— Nell, kiedy wyjadę, czy wrócisz do matki?

— Nie. Wolałabym zostać tutaj. W Wiltsbury jest co robić. Jest szpital, jest kantyna.

— To prawda, lecz ja nie chce, żebyś pracowała. W Londynie miałabyś jakieś rozrywki, wciąż przecież działają teatry i temu podobne rzeczy.

— Nie, Vernonie, ja muszę coś robić, to znaczy, muszę pracować.

— Jeśli musisz, to zrób mi skarpetki na drutach. Nie cierpię pielęgniarek, szpitali i całej tej reszty, choć oczywiście wiem, że to wszystko jest bardzo potrzebne. A nie chciałabyś pojechać do Birmingham? Nell oświadczyła z naciskiem, że nie chciałaby. Faktyczne rozstanie, kiedy nadeszło, wcale nie było trudne. Vernon pocałował ją jakby mimochodem.

— No to do zobaczenia, Nell. Głowa do góry. Wszystko będzie dobrze. Będę pisał tak często, jak się da, choć spodziewam się, że żołnierzom nie wolno pisać wszystkiego. No i dbaj o siebie, kochanie.

Jeszcze jeden odruchowy uścisk, po którym prawie ją od siebie odepchnął i już go nie było. Na pewno nie zasnę tej nocy, pomyślała...

Jednak zasnęła i spała głęboko. Pogrzyżała się we śnie jak w otchłani.

A sen był straszny: pełen lęków i obaw, które stopniowo rozplływały się, blakły aż znikły w krańcowym wyczerpaniu.

Obudziła się z uczuciem dojmującego bólu w sercu. Vernon poszedł na wojnę, pomyślała. Pora wziąć się do pracy...

ROZDZIAŁ DRUGI

Nell poszła do pani Curtis, komendantki Czerwonego Krzyża. Pani Curtis była osobą życzliwą i przystępną. Z upodobaniem podkreślała znaczenie swojej funkcji i była przekonana, że jest urodzoną organizatorką. W rzeczywistości była bardzo złą. Jednak każdy przyznawał, że ma cudowny sposób bycia. Nell potraktowała wielce łaskawie.

— Niechże się pani przyjrzę, pani... ach, tak! Pani Deyre. Rozumiem, że ma pani legitymację VAD* i zaświadczenie o odbytym kursie dla pielęgniarek.

— Tak, proszę pani.

— Lecz nie jest pani zarejestrowana w żadnej tutejszej filii, czy tak?

Dyskusja o formalnej pozycji Nell w miejscowej społeczności zajęła sporo czasu.

— No cóż, zobaczymy, co się da dla pani zrobić — orzekła w końcu pani Curtis. — Szpital w chwili obecnej ma pełną obsadę, lecz wiadomo, że personel pomocniczy często się wykrusza. Dwa dni po pierwszym konwoju mieliśmy aż siedemnaście rezygnacji. Wszystkie pochodziły od kobiet w „pewnym” wieku. Tym kobietom nie spodobał się sposób, w jaki zwracały się do nich siostry, choć przyznaję, że siostry, być może, pozwoliły sobie na zbyt dużą poufałość. Jednak, jak pani sama rozumie, pani Deyre, zawiść o pracę w Czerwonym Krzyżu to rzecz naturalna. A to były dobrze sytuowane kobiety, takie, co to nie lubią, by się do nich „zwracano”. Pani nie jest czuła na tym punkcie, pani Deyre?

— Nie, ani trochę — pośpiesznie zapewniła Nell.

— Oto hart ducha — pochwaliła ją pani Curtis. — Jeśli chodzi o mnie — ciągnęła — sprowadzam te sprawy do zwykłej, porządnej dyscypliny. Bo gdzie byśmy wszyscy dzisiaj byli, gdybyśmy nie przestrzegali dyscypliny?

Nell nagle pomyślała sobie, że prawdopodobnie pani Curtis nie musi przestrzegać żadnej dyscypliny, a tym samym jej słowa, bez pokrycia w rzeczywistości, nie mogą wiele znaczyć i nie powinno się ich wysłuchiwać w postawie na baczność. Stała jednak nadal i nadal na jej twarzy malował się wyraz skupionej powagi i przejęcia.

— Mam rezerwową listę dziewcząt — kontynuowała pani Curtis. —

Dopiszę na niej pani nazwisko. Dwa razy w tygodniu będzie pani uczestniczyć w pracy ambulatorium, w Szpitalu Miejskim, i w ten sposób zdobędzie trochę doświadczenia. Szpital ma niedobory personalne i chętnie przyjmuje naszą pomoc. Następnie pani i panna —

tu zaczęła przeglądać listę — powiedzmy panna Cardner, tak, panna Cardner, będziecie towarzyszyły pielęgniarce rejonowej w domowych wizytach. Będą to wtorki i piątki. Rozumiem, że ma pani swój uniform.

Zatem jesteśmy umówione.

Mary Cardner, sympatyczna, pulchna dziewczyna, której ojciec był emerytowanym rzeźnikiem, odniosła się do Nell bardzo przyjaźnie.

Sprostowała, że to nie będą wtorki i piątki, lecz środy i soboty: „ta stara Curtis zawsze coś pokręci”. Pielęgniarkę rejonową nazwała kochaną osobą, taką, która „nigdy na ciebie nie naskoczy”, i przestrzegła przed siostrą Margaret ze szpitala, prawdziwym potworem.

W najbliższą środę Nell zrobiła pierwszy obchód z pielęgniarką rejonową, małą, wiecznie zaaferowaną i zapracowaną kobietą. Pod koniec dnia siostra poklepała ją przyjaźnie po ramieniu.

— Cieszę się, że masz głowę na karku, moja droga. Doprawdy, niektóre przysyłane do pomocy dziewczęta zdają mi się bez rozumu, zresztą, co tam „zdają mi się”, one naprawdę są głupkowate. A weź te wytworne damy, nie uwierzyłybyś! Nie, nie te z urodzenia. Te niedouczzone pannice, dla których praca pielęgniarki sprowadza się do wygładzania poduszki i karmienia pacjenta winogronami. Mówię ci, ty to całkiem co innego. Ty w mig poznasz swoją robotę.

Podniesiona tym na duchu, Nell, nie trzęsąc się już tak bardzo, we właściwym czasie zameldowała się w szpitalnym ambulatorium. Przyjęła ją wysoka, posępna siostra o niechętnym spojrzeniu.

— Kolejna niedoświadczona ochotniczka — odezwała się zrzędliwie. —

Przysyła cię pani Curtis, tak? Ta kobieta jak nic wpędzi mnie w chorobę. Przyuczanie głupich pannie, którym się zdaje, że pozjadały wszystkie rozumy, zabiera mi więcej czasu, niż gdybym sama wszystko robiła,

— Tak mi przykro, proszę pani — powiedziała Nell potulnie.

— No bo pochodzi jedna z drugą na tuzin wykładów, zdobędzie kilka świadectw i już jej się zdaje, że wie wszystko. — Z głosu siostry Margaret przebijała gorycz. — A potem jak w dym do mnie. Doprawdy, to ponad moje siły.

Tymczasem zebrała się typowa grupa pacjentów. Chłopiec z owrzodzonymi nogami, dziecko, które poparzyło sobie nóżki wrzątkiem z przewróconego czajnika, dziewczyna z igłą w palcu i różni inni ludzie, cierpiący na „złe uszy”, „złe nogi”, „złe ręce”.

— Wiesz, jak się przepłukuje uszy? Oczywiście, nie wiesz.

Obserwuj, jak ja to robię — powiedziała ostro siostra Margaret.

Nell obserwowała.

— Następnym razem sama to zrobisz — oświadczyła siostra Margaret.

— Rozwiń bandaż temu chłopcu i każ mu moczyć palce w gorącym roztworze kwasu bornego tak

długo, aż się nim zajmę.

Nell była zdenerwowana i niezdarna. Siostra Margaret działała na nią paralizująco. Zdawało się, że nie upłynęła minuta, a oto znów była u jej boku.

— Nie mamy dość czasu, by zajmować się cały dzień jednym palcem —

zauważyła. — Zostaw to mnie. Wyglądasz mi na ostatnią niezdare.

Trzeba zdjąć bandaż z nóg tamtemu dzieciakowi, ale najpierw odmocz je w letniej wodzie.

Nell przyniosła miednicę z wodą i uklękła obok dziecka, małej trzyletniej kruszyny. Dziewczynka była poważnie poparzona, a bandaż już na dobre przyschły do cieniutkich nóżek. Nell nawilżała je najdelikatniej jak mogła, mimo to mała pacjentka krzyczała wniebogłosy i z bólu, i z panicznego strachu.

Nell była kompletnie zdeprymowana. Czuła, że za chwilę zwymiotuje albo zemdleje. Nie, ona nie może wykonywać takiej pracy, po prostu nie może. Odsuwając się od miednicy z wodą, podniosła wzrok: siostra Margaret obserwowała ją ze swego kąta z błyskiem złośliwego zadowolenia w oku. Tak też mi się zdawało. Nie zniesiesz tego, mówiło to oko.

Nell w jednej chwili zebrała się w sobie. Pochyliła głowę, zacisnęła zęby i starając się nie słuchać wrzasków dziecka, wzięła się do roboty. W końcu bandaż odeszły. Nell podniosła się. Była blada, rozdygotana i miała potworne mdłości.

Siostra Margaret wyglądała na rozczarowaną. — No, już po wszystkim

— powiedziała do matki dziecka. — Na przyszłość, pani Somers, na pani miejscu byłabym odrobinę bardziej ostrożna i nie pozwalałabym małej dobierać się do czajnika.

Pani Somers zauważyła trzeźwo, że nie da się być wszędzie naraz.

Nell została odesłana do rozgrzania zakażonego palca. Następnie asystowała siostrze przy przemywaniu owrzodzonej nogi, a potem przystanęła obok młodego lekarza, który wyjmował igłę z palca dziewczyny. Kiedy zrobił głębokie nacięcie, dziewczyna skrzywiła się i skurczyła w sobie.

— Siedź spokojnie, dobrze? — rzucił ostrym tonem. Nell pomyślała, że niektórzy ludzie nie mają pojęcia, iż lekarz może w taki sposób odnosić się do chorego. Cóż, skoro od dziecka przyzwyczajeni są do lekarza mającego tak zwane podejście do pacjenta: „Obawiam się, że to odrobinę zaboli. Proszę, w miarę możliwości, zachować spokój”.

Młody lekarz usunął kilka zębów, rzucił je niechlujnie na podłogę i zajął się świeżo zmiażdżoną w wypadku ręką.

To nie dlatego, żeby nie miał odpowiednich kwalifikacji, pomyślała Nell. To po prostu brak ogłady, który może wyprowadzić z równowagi każdego, kto ma właściwe wyobrażenie o tym zawodzie. Cokolwiek robił, towarzyszyła mu siostra Margaret, chichocząc przypochlebnie przy kolejnych

dowcipach, którymi raczył ją zabawiać. Na Nell nie zwracał uwagi.

Kiedy dyżur się skończył, Nell odetchnęła z ulgą. Nieśmiało powiedziała „do widzenia” siostrze Margaret.

— No i jak? — zapytała siostra z demonicznym uśmiechem.

— Obawiam się, że jestem strasznie głupia — odparła Nell.

— A czego się spodziewałaś? W Czerwonym Krzyżu jest mnóstwo podobnych tobie dyletantek. I każdej się zdaje, że pozjadała wszystkie rozумы. No cóż, następnym razem może będziesz mniej niezdarna!

Tak wyglądał debiut Nell w szpitalu. Niezbyt zachęcająco, to jasne.

Jednakże następnym razem nie było już tak strasznie. Siostra Margaret złagodniała, już nie miała tak zaciętej miny i napastliwej postawy, a nawet raczyła odpowiedzieć na kilka pytań.

— Nie jesteś taką fajtłapą jak większość — przyznała łaskawie.

Nell była pod wrażeniem ogromu wykonywanej przez siostrę Margaret fachowej pracy, a także tego, jak prędko siostra Margaret ze wszystkim potrafiła się uwinąć. I rozumiała trochę jej rozdrażnienie na widok kolejnej „dyletantki”.

To, co uderzyło Nell w szpitalu, to ogromna liczba pacjentów ze

„złymi nogami”. Nieśmiało zapytała siostrę Margaret, skąd się ich tyłu bierze.

— Nic na to nie poradzimy — odpowiedziała siostra. —

Dziedziczność, w większości przypadków. Zła krew. Tego się nie da wyleczyć.

Nell była również pod wrażeniem heroizmu ludzi biednych, którzy się nie użalali, choć bardzo cierpieli. Przychodzili, zaciskali zęby, kiedy opatrywano im rany, i szli po kilka mil do domu, uważając najpewniej, że jest to normalna kolej rzeczy.

Odwiedzała ich także w domach. Ona i Mary Cardner przejęły na siebie pewną liczbę wizyt w rejonie. Myły złożone chorobą staruszki, pielęgnowały „złe nogi”, a od czasu do czasu kąpały i przewijały niemowlęta, których matki były zbyt chore, żeby cokolwiek robić.

Domki biedoty były małe, okna z reguły szczelnie pozamykane, a izby zagracone skarbami, drogimi sercom właścicieli. Panował tam zaduch często nie do wytrzymania.

Największy wstrząs Nell przeżyła po mniej więcej dwóch tygodniach pracy, kiedy, po przyjsciu do jednego z samotnie mieszkających staruszków, stwierdziła z przerażeniem, że ów nie żyje i następnie

przy pomocy Mary musiała obmyć i ubrać ciało do pogrzebu. Gdyby nie rzeczowość i pogoda ducha Mary Cardner, Nell chyba nie potrafiłaby sprostać temu zadaniu. — Dobrze z was dziewczęta — pochwaliła je pielęgniarka rejonowa. — Doprawdy można na was polegać.

Wróciły do domu, promieniejąc dumą. Chyba jeszcze nigdy w życiu Nell nie doceniła gorącej kąpieli, zaprawionej obfitą garścią soli kąpielowych tak jak tamtego dnia.

Dostała od Vernona dwie karty pocztowe. Kilka naprędce napisanych słów mniej więcej tej treści, że on czuje się dobrze i że w ogóle jest wspaniale. Ona wysyłała mu listy każdego dnia, opisując w nich swoje przygody i starając się przy tym, aby brzmiały w miarę zabawnie. Zdarzyło się, że kiedyś odpisał: Gdzieś we Francji.

Nell, kochanie,

Ze mną wszystko w porządku. Samopoczucie wspaniale. To niezwykła przygoda, choć, przyznaję, bardzo chciałbym cię zobaczyć. Naprawdę umiałbym, żebyś nie chodziła do tych koszmarnych domków i nie przebywała z chorymi ludźmi. Jestem przekonany, że coś złapiesz. Nie mogę pojąć, dlaczego to robisz; nie sądzę, żeby to było konieczne.

Zrezygnuj, proszę.

Przeważnie myślimy o jedzeniu, a szeregowcy angielscy o niczym innym, tylko o swojej herbacie. Za filiżankę gorącej herbaty gotowi dać się rozerwać na kawałki. Zajmuję się cenzurowaniem ich listów.

Jeden kiedyś zakończył: „, Twój aż do czasu, kiedy w piekle wystygnie”, powtarzam to za nim.

Uściski, Vernon.

Któregoś ranka zadzwoniła pani Curtis.

— Brakuje salowej na oddziale, pani Deyre. Popołudniowy dyżur.

Proszę być w szpitalu o wpół do trzeciej.

Ratusz w Wiltsbury zamieniono na szpital. Był to duży, nowy budynek, stojący na placu katedralnym, w cieniu katedralnej wieży. U

wejścia powitał ją jakiś przystojny stwór w mundurze z medalami, utykający na jedną nogę.

— Panienczka pomyliła drzwi. Personel wchodzi przez punkt kwatermistrzowski. Proszę bardzo, skaut wskaże pani drogę.

Mały skaucik poprowadził ją w dół schodami, i dalej, przez coś w rodzaju mrocznej krypty, gdzie pośród stert szpitalnych koszul siedziała starsza pani w uniformie Czerwonego Krzyża. Następnie przeszli korytarzem o kamiennej posadzce aż do ponurego pokoju w suterenie, gdzie została odebrana przez pannę Curtain, szefową salowych, wysoką, szczupłą kobietę o twarzy rozmarzonej księżniczki i

o czarujących manierach.

Nell została pouczona o swoich obowiązkach. Od razu zrozumiała, o co chodzi, gdyż praca, którą miała wykonywać nie była tak skomplikowana, jak ciężka: pewien odcinek kamiennej posadzki korytarza i schodów do wyszorowania, podanie pielęgniarkom herbaty, usługiwanie im, sprzątnięcie po herbacie. Następnie podanie herbaty salowym. I to samo przy kolacji.

Nell prędko połąpała się we wszystkim. Treścią jej życia w szpitalu miały być dwie sprawy — po pierwsze, wojna z kuchnią, po drugie, kłopoty z dogodzeniem pielęgniarkom, jeśli chodzi o gatunek herbaty.

W pomieszczeniu dla personelu stał długi stół, do którego ciągnął

tłum wściekle głodnych sióstr ochotniczek i przy którym zawsze powtarzała się ta sama historia: dla trzech ostatnich zwykle brakowało porcji. Zgłaszało się to przez tubę do kuchni i dostawało nieodmienną w treści, zjadliwą replikę. Właściwa ilość chleba i masła została wysłana, po trzy kawałki na osobę. Ktoś musiał zjeść więcej, niż mu przysługiwało. Ochotniczki głośno zaprzeczały takim oskarżeniom. W końcu, zwracając się do siebie po nazwisku, dochodziły do porozumienia.

— Nie zjadłam twojej kromki chleba, Jones. To wprost nikczemne.

Jak bym mogła!

— One zawsze przysyłają nie tyle, ile trzeba.

— Słuchajcie! Catford musi coś zjeść. Ma za pół godziny operację.

— Pośpiesz się, Bulgy (tym razem familiarne przezwisko), mamy do wyszorowania wszystkie podkłady.

Sposób bycia przy tym stole znacznie różnił się od zachowania sióstr, jedzących w drugim końcu pokoju. Tam prowadzono rozmowy lodowatym szeptem, z zachowaniem dobrego tonu. Przed każdą pielęgniarką stał mały, brązowy imbryczek z herbatą. To Nell miała wiedzieć dokładnie, jak mocną herbatę która lubi. O tym, jak słabą, nie mówiło się nigdy! Podanie którejś z sióstr „cienkiej” równało się wypadnięciu z jej łask na zawsze.

Szmer głosów płynął nieprzerwaną strugą.

— Powiedziałam jej: naturalnie, przypadki chirurgiczne mają pierwszeństwo.

— Jak to się mówi, ja tylko zwróciłam uwagę, nic więcej.

— Pcha się do przodu. Zawsze to samo. — Uwierzyłabyś? Zapomniała przytrzymać panu doktorowi rącznik.

— Powiedziałam panu doktorowi dzisiaj rano...

— Zwróciłam uwagę siostrze...

Wciąż powracało jedno i to samo zdanie: „Zwróciłam uwagę”. Nell zaczęła nasłuchiwać. Jednak kiedy przysunęła się bliżej stołu, szepty stały się cichsze, a pielęgniarki popatrzyły na nią podejrzliwie. Ich rozmowa była zakonspirowana i pełna godności. Sznurując usta, zaczęły się częstować herbatą.

— Może trochę mojej, siostrze Westhaven. Imbryczek jest prawie pełen.

— Czy mogłabym prosić o cukier, siostrze Carr?

— Słucham?

Nell właśnie zaczynała się orientować w szpitalnej atmosferze — w nienawiściach, zazdrościach, intrygach i w stu różnych podskórnych nurtach — kiedy została przesunięta na oddział w zastępstwie chorej pielęgniarki.

Przypadło jej w udziale dwanaście łóżek, w większości przypadki chirurgiczne. Jej kompanką była Gladys Potts, mała śmieszka, inteligentna, lecz leniwa. Oddziałem zarządzała siostra Westhaven, wysoka, chuda kobieta, ciągle skwaszona i o wiecznie niezadowolonym spojrzeniu. Na jej widok serce Nell zamarło, lecz potem gratulowała sama sobie. Okazało się, że siostra Westhaven była najprzyjemniejszą siostrą w szpitalu, pod której zwierzchnictwem dobrze się pracowało.

Dyplomowanych pielęgniarek było pięć. Siostra Carr, malutka, okrągłutka i pogodna. Miała wzięcie u pacjentów; ona ze swej strony lubiła się z nimi przekomarzać, a potem nie zdążała na czas zrobić opatrunków. Ochotniczki nazywała „kochanymi” i poklepywała je czule, lecz miała nierówne usposobienie. Potworna niepunktualność siostry Carr powodowała wiele zła, za co oczywiście obrywał nikt inny jak tylko „kochane”. Pracę „pod siostrą Carr” uważano za czyste szaleństwo.

Siostra Barnes była niemożliwa. Każda ochotniczka to mówiła.

Wygłaszała długie tyrady i zrzedziła od rana do wieczora.

Nienawidziła ochotniczek i dawała im to odczuć. „Już ja je nauczę, nie przychodzą tu po to, żeby się wymądrzać na każdy temat”, deklamowała niezmiennie. Pominąwszy całą zjadliwość, była dobrą pielęgniarką i niektóre dziewczęta lubiły u niej pracować.

Siostra Dunlop była emerytowaną pielęgniarką, przywróconą do pracy na czas wojny. Miła, o łagodnym usposobieniu, a przy tym leniwa do szpiku kości, wypijała całe morze herbaty i nigdy się nie przemęczała.

Siostra Norris była pielęgniarką na chirurgii. Kompetentna, uszmiękowana, fałszywa wobec podwładnych.

Z siostrą Westhaven nie mogła się równać żadna inna pielęgniarka.

Siostra Westhaven była najlepsza. Entuzjasmowała się pracą i sprawiedliwie osądzała ochotniczki.

Jeśli któraś zapowiadała się na dobrą pielęgniarkę, była dla niej umiarkowanie serdeczna. Jeśli uważała, że dziewczyna jest głupia, czekał ją marny los.

Czwartego dnia powiedziała do Nell:

— Na początku sądziłam, że siostra jest niewiele warta, lecz teraz widzę, że ma siostra sporo zapału do pracy.

Nell tymczasem tak nasiąkła duchem szpitala, że wracając do domu, była w siódmym niebie.

Z dnia na dzień pograżała się w szpitalnej rutynie. Początkowo na widok rannych krajało jej się serce. Pierwsze opatrywanie ran, przy którym asystowała, było przeżyciem, zdawałoby się, nie do zniesienia.

W pewnym sensie pomagała jej ta odrobina emocji, jakiej dostarczali wzdychający do sióstr żołnierze. Lecz pośród wpisanych w porządek każdego dnia ran, krwi i cierpienia, wszelkie uczucia i wszelkie emocje nie miały długiego życia.

Mężczyźni lubili Nell. W wolnych chwilach po herbacie pisywała za nich listy, z półek na końcu oddziału wybierała dla nich książki, wysłuchiwała opowieści o rodzinach i o dziewczynach. Na równi z innymi ochotniczkami broniła ich gorliwie przed wszelkim okrucieństwem lub zwykłą ludzką głupotą.

Podczas dni wizyt wartkim strumieniem napływały do szpitala starsze panie. Zasiadały przy łózkach i robiły, co mogły ku „pocieszę naszych dzielnych żołnierzy”.

Zwykle padało rytualne pytanie: „Tęsknisz za powrotem, prawda?”, a potem jedyna możliwa odpowiedź: „Tak, proszę pani”.

Były także koncerty. Niektóre z nich, doskonale zorganizowane, sprawiały żołnierzom wiele radości. Natomiast inne...! Jeden taki podsumowała ochotniczka Phillis Deacon, siedząca obok Nell:

— Każdy, komu się zdaje, że potrafi śpiewać, lecz nigdy nie został

dopuszczony do głosu przez rodzinę, teraz próbuje swoich szans!

Byli także duchowni. Nell jeszcze nigdy nie widziała tylu naraz.

Kilku zdobyło sobie uznanie dzięki zaletom charakteru: wrodzonej życzliwości i okazywanemu zrozumieniu, dzięki umiejętności znalezienia właściwych słów we właściwym momencie, a także powściągliwości w namawianiu do praktyk religijnych. Lecz było wielu innych.

— Siostro.

Nell przystanęła bez większego entuzjazmu. Śpieszyła się. Przed chwilą siostra Westhaven rzuciła pod jej adresem uszczypliwą uwagę:

„Siostró, pani łóżka nie stoją w równym rzędzie. Siódemka wystaje”.

— Słucham.

— Czy mogłaby mnie siostra teraz umyć?

Prośba była niezwykła jak na tę porę.

— Jest prawie wpół do ósmej.

— To przez pastora. Uparł się, bym przystąpił do konfirmacji, siostró. Tylko patrzeć, jak nadejdzie.

Nell zlitowała się nad nim. Kiedy nadszedł wielebny kanonik Edgerton, dostępu do przyszłego pełnoprawnego chrześcijanina bronił

parawan i miednica z wodą.

— Dziękuję, siostró — powiedział pacjent z nagłą chrypką w głosie.

— To chyba nie jest w porządku wymuszać coś na człowieku, kiedy ten nie potrafi się bronić, co, siostró?

Mycie, ciągle mycie. Pacjenci byli myci, oddział był myty, a poza tym o każdej porze dnia szorowało się podkłady.

I ciągle porządki. „Siostró, siostry łóżka. Z dziewiątki zwisa pościel. Dwójka nie stoi na swoim miejscu. Co pan doktor sobie pomyśli?”

Pan doktor, pan doktor, pan doktor. Rano, w południe i w nocy. Pan doktor! Pan doktor był bogiem. Ochotniczka nie mogła się odezwać do pana doktora, bo byłoby to jej poczytane za obrazę majestatu i ściągnęłoby na nią gniew siostry. Jednak niektóre z nich popełniały to wykroczenie bez złej woli. Były przecież z Wiltsbury i znały miejscowych lekarzy, stąd też powiedzieć jednemu czy drugiemu wesołe

„dzień dobry” zdawało się całkiem na miejscu. Nim się zorientowały w sytuacji, już ciążył na nich grzech „pchania się do przodu”. Mary Cardner też zdarzyło się „pchać do przodu”. Lekarz poprosił o jakieś nożyczki, a ona bez zastanowienia podała mu swoje. Siostra szczegółowo wytłumaczyła, na czym polega jej przestępstwo, i powoli zbliżała się do końca:

— Nie mówię, że nie mogłabyś zrobić czegoś takiego. Widząc, że trzymasz w ręku właśnie to, czego pan doktor potrzebuje, mogłaś zwrócić się do mnie (szepem, naturalnie) „Czy to o to chodzi, siostró?” A ja wzięłabym to coś od ciebie i wręczyła panu doktorowi.

Nie byłoby obiekcji z niczyjej strony.

Od słów „pan doktor” można było dostać kręcka. W każdej uwadze zwykłej siostry były one odpowiednio zaakcentowane, a każda wypowiedź

pielęgniarki była skierowana bezpośrednio do lekarza. „Tak, panie doktorze”. „Gorączka, panie doktorze? Rano 102 stopnie, panie doktorze”. „Słucham, panie doktorze? Niezupełnie zrozumiałam, panie doktorze”. „Siostró, proszę panu doktorowi przytrzymać ręcznik”.

Stało się więc z ręcznikiem, potulnie i sztywno, niby drewniany stojak. A lekarz, wytarłszy swoje uświęcone ręce, rzucał ręcznik na podłogę, skąd się go potulnie podnosiło. Nalewało się wodę dla pana doktora, podawało się mydło panu doktorowi i w końcu dostawało się polecenie: „Siostró, proszę otworzyć drzwi panu doktorowi”.

— Cóż, obawiam się, że potem nie potrafimy od tego odwyknąć —

powiedziała gniewnie Phillis Deacon. — Już nigdy nie będę darzyć lekarzy poprzednim sentymentem. Muszę być służalcza wobec pierwszego lepszego doktorzyny, a kiedy przychodzą na obiad, bezwiednie pędzę, żeby otworzyć im drzwi.

W szpitalu szerzyło się wolnomularstwo. Różnice klasowe należały do przeszłości. Córka dziekana z kościoła anglikańskiego, córka rzeźnika, pani Manfred, która była żoną pomocnika w sklepie tekstylnym, Phillis Deacon, córka baroneta, wszystkie zwracały się do siebie po nazwisku i wszystkie jednakowo interesowały się tym, „co też może być dzisiaj na kolację, i czy choć raz dla wszystkich wystarczy?”, po czym wszystkie zgodnie przyznawały, że „niewątpliwie jest w tym jakieś szalbierstwo”. Wreszcie Gladys Potts, ta śmieszka, została przyłapana na tym, że, nim inne znalazły się przy stole, zdążyła zwędzić dodatkowy kawałek chleba i porcję masła czy nałożyć sobie niesprawiedliwie porcję ryżu.

— Wiecie — powiedziała Phillis Deacon. — Dopiero teraz szczerze współczuję służbie. Komuś mogłoby się zdawać, że służba przesadnie troszczy się o swoje jedzenie, a my tutaj zachowujemy się tak samo.

Chodzi o to, że człowiek nie ma żadnych innych widoków poza jedzeniem. Wczoraj wieczorem omal się nie rozplakałam, kiedy nie starczyło dla mnie jajecznic.

— Kuchnia nie powinna podawać jajecznic — powiedziała ze złością Mary Cardner. — Powinna dawać jajka na sztuki, ścięte na parze albo ugotowane na twardo. Dla ludzi pozbawionych skrupułów jajecznic stwarza zbyt wiele możliwości. — Tu popatrzyła znacząco na Gladys Potts, która zachichotała nerwowo, pokręciła się i odeszła.

— Ta dziewczyna to próżniak — stwierdziła Phillis Deacon. — Zawsze potrafi wywinąć się od roboty. i podlizuje się pielęgniarkom. Przy Westhaven to nie ma znaczenia. Westhaven jest sprawiedliwa. Gorzej z małą Carr. Ona jest łasa na pochlebstwa i ta Potts tak długo będzie ją urabiać, aż dopnie swego i dostanie takie zajęcie, jakie sobie upatrzy.

Mała Potts nie cieszyła się popularnością. Podejmowano żmudne wysiłki, aby choć od czasu do czasu zmusić ją do bardziej niemiłej pracy, ale Potts była przebiegła. Tylko pomysłowa Deacon mogła się z nią zmierzyć.

Między lekarzami również zdarzały się zawiści i zazdrości. Przed wszystkim każdy chciał

operować co bardziej interesujące przypadki, w związku z czym rozdzielenie tychże przypadków między poszczególne oddziały zwykle powodowało wzajemne animozje.

Nell wkrótce poznała wszystkich lekarzy i ich różne przymioty. No więc był doktor Lang, wysoki, przygarbiony, o długich, nerwowych palcach, wiecznie zaniedbany. Najzdolniejszy chirurg w szpitalu. Miał

uszczypliwy język, był wymagający i bezwzględny w stosunku do personelu, ale był zdolny. Wszystkie siostry go uwielbiały.

Był doktor Wilbraham, który miał w Wiltsbury modną praktykę.

Wielki, rumiany mężczyzna, jowialny do czasu, kiedy wszystko szło dobrze. Kiedy się denerwował, nabierał manier rozpuszczonego dziecka.

Kiedy był zmęczony i zły, stawał się aż nazbyt grubiański. Nell go nie cierpiała.

Był doktor Meadows, spokojny, niezawodny w swojej dziedzinie internista. Był zadowolony, że nie musi operować pacjentów i że może poświęcić każdemu choremu tyle uwagi, ile trzeba. Do ochotniczek zawsze zwracał się grzecznie i nigdy nie rzucał ręczników na podłogę.

Potem był doktor Bury, do którego umiejętności nikt nie miał

przekonania, a który był przekonany, że wie wszystko. Zawsze palił

się do wypróbowywania nowych nadzwyczajnych metod i zmieniał leki co kilka dni. Jeśli pacjent umarł, mawiano: „Czemu tu się dziwić?

Zajmował się nim doktor Bury”.

Był także młody doktor Keen, którego odesłano z frontu z powodu inwalidztwa. Jeszcze chyba dobrze nie ukończył studiów, a już uważał, że w medycynie tylko on ma coś do powiedzenia. Nawet zniżył się do pogawędki z ochotniczkami, tłumacząc im znaczenie zakończonej przed chwilą operacji.

— Nie wiedziałam, że to doktor Keen operował — powiedziała Nell do siostry Westhaven, trochę później. Na co siostra odparła ponuro: —

Doktor Keen przytrzymał nogę. Ot i wszystko.

Początkowo operacje były dla Nell koszmarem. Podczas pierwszej, w której uczestniczyła, podłoga nagle zafalowała i siostra Westhaven zmuszona była wyprowadzić ją z sali operacyjnej. Nie miała śmiałości, aby spojrzeć siostrze w oczy, jednak ta znalazła się w sposób nadspodziewanie miły.

— To po części z braku świeżego powietrza i zapachu eteru, siostro

— powiedziała łagodnie. — Następnym razem proszę wejść tylko na parę chwil. Powoli pani się przyzwyczai.

Następnym razem Nell zrobiło się słabo, lecz nie musiała wychodzić z sali, po następnym czuła jedynie mdłości, a po jeszcze następnym nie czuła nic.

Kilka razy, po szczególnie trudnych i długich operacjach, odsyłano ją, by asystowała siostrze z sali operacyjnej. Sala przypominała jatkę, a krew była wszędzie. Siostra miała zaledwie osiemnaście lat i zdecydowanie anemiczny wygląd. Przyznała otwarcie, że na początku nie znosiła tej pracy.

— Za moim pierwszym razem operowano nogę — powiedziała. — A właściwie amputowano. Po skończonej operacji wszyscy wyszli, a mnie zostawiono, abym doprowadziła salę operacyjną do porządku. Musiałam sama zanieść tę nogę do spalania. To było potworne.

Podczas wolnych dni Nell bywała na herbacie u swoich przyjaciółek.

Niektóre z nich były miłymi, leciwymi paniami. Te lubiły się nad nią rozczulać i mówić jej, jaka jest wspaniała.

— Mam nadzieję, że nie pracujesz w niedziele. Pracujesz?

Doprawdy? Och, ale to nie jest w porządku. Niedziela powinna być dniem odpoczynku.

Nell zauważała grzecznie, że żołnierzy trzeba myć i karmić w niedziele tak samo jak i w pozostałe dni tygodnia. Leciwe panie przyznawały jej rację, niemniej zdawało im się, że cała rzecz powinna być lepiej zorganizowana. Były także strapione samotnymi powrotami Nell do domu, i to o północy.

Z innymi szło jeszcze gorzej.

— Słyszałam, moja droga, że te szpitalne pielęgniarki strasznie zadzierają nosa, wydając polecenia wszystkim wokół. Jeśli o mnie chodzi, nie zniosłabym podobnego traktowania. Gotowa jestem dać z siebie wszystko w tej strasznej wojnie, lecz impertynencji nie zniosę. Tak właśnie powiedziałam pani Curtis i ona zgodziła się, że będzie dla mnie lepiej, jak nie podejmę pracy w szpitalu.

Tym paniom Nell nic nie odrzekła. W tym czasie Anglię obiegały plotki o „Rosjanach”. Widział ich każdy, a jeżeli nie widział sam, to widziała kucharka stryjecznego brata, co na jedno wychodziło. Plotce pozwala się krążyć długo; tyle w niej przecież przyjemnej ekscytacji.

Pewna nad wyraz leciwa kobieta, która przyszła do szpitala, odciągnęła Nell na stronę.

— Moja droga — powiedziała. — Nie wierz tym historiom. Są prawdziwe, owszem, lecz nie w sposób, w jaki nam się zdaje.

Nell popatrzyła na nią pytająco. — Jajka! — szepnęła tamta zjadliwie. — Rosyjskie jajka! Kilka milionów rosyjskich jajek... abyśmy nie umarli z głodu...

Nell napisała o tym do Vernona. Czuła się strasznie opuszczona.

Jego listy były oczywiście lapidarne i wymuszone, a poza tym zdawał

się niezadowolony z jej pracy w szpitalu. Stale ponaglał ją do powrotu do Londynu. Niechże się trochę rozerwie...

Jakże dziwni są ci mężczyźni, myślała Nell. Zdają się niczego nie rozumieć. Za nic w świecie nie chciałyby być jedną z tych, co to

„umilają urlopy naszym dzielnym chłopcom”. Jak prędko można dać się ponieść dwóm różnym nurtom, kiedy się robi różne rzeczy! Teraz ani ona nie mogłaby uczestniczyć w życiu Vernona, ani on w jej.

Minął już pierwszy przeraźliwy lęk o to, że Vernon może zginąć.

Wpadła w wir codziennych zajęć, które były udziałem takich jak ona, samotnych żon. Cztery miesiące minęły, a on nawet nie został ranny.

To nie mogło się zdarzyć. Wszystko będzie dobrze.

W pięć miesięcy od wyjazdu zadepeszował, że dostaje urlop. Jej serce omal przestało bić. Była tak podniecona! Tak podniecona! Poszła do siostry przełożonej i dostała zgodę na urlop.

Udając się w podróż do Londynu, czuła się dziwnie i nieswojo w zwykłym ubraniu. Ich pierwszy urlop!

To była prawda, najprawdziwsza prawda! Pociąg z urlopowanymi żołnierzami wjechał na peron i wyrzucił z siebie całe morze mężczyzn.

Zobaczyła go. Rzeczywiście tu był. Spotkali się, lecz żadne nie mogło wydobyć z siebie głosu. On zapamiętałe ścisnął jej dłoń. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo do tej pory się bała...

Tamte pięć dni przeszło w mgnieniu oka, niby dziwny, szalony sen.

Nadal uwielbiała Vernona, a on ubóstwiał ją, lecz byli dla siebie niemal jak obcy. Vernon był beztroski, kiedy mówił o Francji. Ach, Francja? W porządku, wszystko w porządku.

— Ktoś tu sobie robi żarty, zamiast traktować rzeczy poważnie.

— Na litość boską, Nell, nie baw się w sentymenty. To okropne, kiedy się wraca do domu i widzi wokół siebie ludzi z wydłużonymi minami. I przestań opowiadać te chwytające za serce bzdury, jak to nasi dzielni chłopcy składają w ofierze swe życie i tak dalej, i tak dalej. Mdli mnie od takiego gadania. Lepiej zdobądźmy bilety do jakiegoś teatru.

Czy musi być aż tak beztroski, niedelikatny, obojętny? Nell wyraźnie się denerwowała. A potem wyraźnie denerwował się Vernon, kiedy na jego pytanie, co słyhać, opowiadała o szpitalu... Znow zaczął

nalegać, by przestała tam pracować.

— Pielęgnowanie chorych to brudna robota. Cierpnę na samą myśl, że ty to robisz.

Zjeżyła się, by po chwili skarcić samą siebie. Są razem. Znow są razem. Czy liczy się coś więcej?

Spędzili kilka uroczych dni. Chodzili do teatru i na tańce.

Każdego wieczoru. W ciągu dnia robili zakupy. Vernon kupował jej wszystko, co przyciągało jego uwagę. Poszli do francuskiego salonu mody. Pozwolili, by przedefilowały przed nimi zwiewne młode księżne w jeszcze zwiewniejszych szyfonach, po czym Vernon i tak kazał

zapakować najdroższy model. Czuli się jak winowajcy i jednocześnie ich szczęście nie miało granic.

Kiedy Nell powiedziała mu, że powinien odwiedzić swoją matkę, Vernon zaprotestował.

— Och, najdroższa, ale ja nie chcę. Nasz cenny czas jest tak krótki. Nie chcę stracić ani minuty.

Nell błagała. Myra mogłaby się poczuć dotknięta i rozczarowana.

— Niech ci będzie, ale ty pojedziesz ze mną.

— Nie, to nie miałoby sensu.

Ostatecznie wpadł do Birmingham na chwilę. Matka natychmiast narobiła wokół niego strasznego zamieszania; powitała go potokami czegoś, co nazwała „łzami dumy” i zaciągnęła do Bentów. W powrotnej drodze Vernon czuł się niemal jak bohater.

— Jesteś bez serca, Nell. Straciliśmy cały dzień! Boże, jakże się tam nade mną roztkliwiano.

Powiedział to i natychmiast poczuł się zawstydzony. Dlaczego nie mógłby kochać matki goręcej? To dlaczego ona zawsze postępuje tak, by go zmrozić, bez względu na to, jak dobre miałyby chęci i zamiary?

Uścisnął Nell.

— Och, nieważne. Cieszę się, że mnie tam wyprawiłaś. Jesteś taka kochana, Nell. Nigdy nie myślisz o sobie. To takie cudowne, że znów jestem z tobą. Nawet nie masz pojęcia...

Nell wystroiła się we francuską nową suknię i poszli na kolację, ze śmiesznym uczuciem, że są wspaniałymi dziećmi i że zasłużyli na nagrodę.

Już prawie kończyli posiłek, kiedy Nell spostrzegła, że twarz Vernona tężeje.

— Co się stało?

— Nic — powiedział porywczo.

Ona jednak spojrzała za siebie. Pod ścianą, przy małym stoliku, siedziała Jane.

Nell poczuła w sercu lekki dotyk chłodu, mimo to rzuciła swobodnie:

— Przecież to Jane. Idź i porozmawiaj z nią.

— Nie, lepiej nie. — Nell drgnęła, słysząc gwałtowność jego głosu.

Vernon zauważył to. — Wybacz — dodał — ale to dlatego, że chcę mieć ciebie i tylko ciebie. Nikt inny mi niepotrzebny. Skończyłaś? Zatem idziemy. Nie chcę stracić początku sztuki.

Zapłacili rachunek. Przechodząc obok Jane, Nell pomachała jej dłonią, a ta odpowiedziała obojętnym skinieniem głowy. W teatrze znaleźli się dziesięć minut przed czasem.

Późnym wieczorem, kiedy Nell zsuwała suknię z białych ramion, Vernon zapytał nagle:

— Nell, jak sądzisz, czy jeszcze kiedyś będę komponował?

— Naturalnie. Dlaczego by nie?

— Sam nie wiem. Chyba już mi na tym nie zależy.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Siedział na krześle i ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w

pustą przestrzeń.

— Zdawało mi się, że to była jedyna rzecz, na której ci przedtem zależało.

— Zależało, zależało... to nie są właściwe słowa. Muzyka to nie jest coś, na czym ci może zależeć lub nie. Muzyka to coś, od czego nie potrafisz się uwolnić, to coś, co nie puszcza cię od siebie, coś, co chodzi za tobą krok w krok... jak wizerunek jakiejś twarzy, twarzy, której nie możesz zapomnieć, choćbyś chciał...

— Kochany mój... przestań, proszę...

Podeszła i uklękła obok niego, a on przytulił ją do siebie z całych sił.

— Nell, skarbie, liczysz się tylko ty... Pocałuj mnie, proszę...

A jednak powrócił do tematu. Rzekł, zdawałoby się, bez żadnego związku:

— Można by powtórzyć huk dział. W muzyce, naturalnie. Nie ten dźwięk, który się słyszy. Nie. Chodzi mi o dźwięk, który rozlega się gdzieś wysoko, w przestrzeni. To wydaje się nonsensowne, lecz ja to czuję. — Po chwili milczenia dodał: — Jeśli tylko dałoby się go odpowiednio zapisać.

Nell odsunęła się od niego leciutko. Jakby chciała rzucić wyzwanie rywalce. Nigdy nie przyznała się do tego otwarcie, lecz w głębi ducha zawsze obawiała się muzyki Vernona. Niechby tylko mu na niej tak szalenie nie zależało.

W każdym razie w nocy to ona triumfowała. To ją Vernon przytulił

do siebie i obsypał pocałunkami.

Lecz kiedy zasnęła, Vernon długo wpatrywał się w ciemność, widząc, wbrew własnej woli, twarz Jane i zarys jej ciała, opiętego matowym, zielonym atłasem, na tle purpurowych zasłon sali restauracyjnej. — Do diabła z Jane — powiedział półgłosem. Wiedział jednak, że nie pozbedzie jej się tak łatwo. I po co w ogóle ją zobaczył. I że też ta Jane musi mieć w sobie to coś, co go tak piekielnie niepokoi.

Rano już o niej nie pamiętał. To był ich ostatni wspólny dzień i minął im okropnie prędko.

Wszystko skończyło się zbyt szybko.

Te dni były jak jeden długi sen. Teraz ten sen się skończył i Nell wróciła do szpitala jak do własnego domu. Rozpaczliwie wyczekiwała na pocztę — na pierwszy list od Vernona. Wreszcie przyszedł; bardziej płomienny i nieopatrny w słowach niż zwykle, jak gdyby nie dotknęły go ręce cenzora. Nell nosiła go na sercu. Chemiczny ołówek puścił i cały list odcisnął się na jej skórze. Napisała Vernonowi o tym.

Życie toczyło się zwykłym torem. Doktor Lang wyjechał na front i zastąpił go starszy lekarz z brodą, który mówił: „Dzięki, wielkie dzięki, siostrzo”, za każdym razem, kiedy podawano mu ręcznik czy pomagano założyć biały płócienny fartuch. Większość łóżek opustoszała i siostry miały sporo wolnego czasu, natomiast dla Nell taka przymusowa beczynność była bardzo męcząca.

Któregoś dnia, ku jej radosnemu zaskoczeniu, na oddziale zjawił

się Sebastian. Przebywał w domu na urlopie i wpadł, aby się z nią zobaczyć. Poprosił go o to Vernon.

— To znaczy, że go widziałeś, tak? Sebastian powiedział „tak” i dodał, że jego pułk stacjonuje w pobliżu jednostki Vernona.

— I co? Czy u niego wszystko w porządku? — O tak, w porządku!

Ton jego głosu zaalarmował ją. Czy coś przed nią ukrywa? Niechże mówi, i to prędko. Sebastian, zakłopotany, zmarszczył czoło.

— To trudno wytłumaczyć, Nell. Vernon jest taki dziwny. Bo widzisz, on nie lubi patrzeć prawdzie w oczy. — Nie pozwolił jej zaprotestować, mówił dalej. — Wcale nie mam na myśli strachu, jeśli o to ci chodzi. Nie, Vernon się nie boi. Ten szczęściarz, jak mi się zdaje, nie wie, co to strach. Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego o sobie. Nie, to coś całkiem innego. Całe nasze życie tam, na froncie, jest upiorne: brud, krew, wszelkiego rodzaju plugastwo i hałas, ponad wszystko hałas! Powracający o stałych porach. I jeśli ten hałas działa na nerwy mnie, to co w takim razie dzieje się z Vernonem? — No dobrze, lecz o co chodzi z tym niepatrzeniem prawdzie w oczy?

— Och, on po prostu nie chce przyznać, że ta prawda istnieje. Bo widzisz, Vernon, jeśli woli uniknąć myślenia, to mówi, że nie ma o czym myśleć. A przecież wystarczyłoby, gdyby przyznał, właśnie przyznał, tak jak ja przyznaję, że uczestniczymy w piekielnie brudnym interesie, i byłoby po wszystkim. Ale to tak jak z rym jego fortepianem z dzieciństwa, któremu nie chciał się uczciwie przyjrzeć.

Niczego dobrego nie ma w powtarzaniu, że czegoś nie ma, skoro to coś istnieje. Lecz taki, a nie inny, jest Vernona sposób na życie. Jego beztroska i pogoda ducha są w naszych warunkach nienaturalne. Boję się o niego. Och! Nawet nie wiem, dlaczego i czego się boję, ale się boję. Natomiast wiem jedno: nie ma niczego gorszego od mylenia życia z bajką. Vernon jest muzykiem i zachowuje się jak typowy muzyk.

Jednak najgorsze w nim jest to, że niczego nie wie o samym sobie.

Nigdy nie wiedział.

Nell zmartwiła się.

— Sebastianie, jak myślisz, co może się zdarzyć? — Och, prawdopodobnie nic. Ja bym mu życzył, żeby oberwał w jakieś możliwie najmniej bolesne miejsce, by wrócił i poleżał sobie trochę na twoim oddziale.

— Oby tak się stało!

— Nell, staruszko, ja wiem, że wojna to paskudna sprawa dla rodzin żołnierzy. To nawet dobrze, że nie mam żony.

— Gdybyś miał... — zawiesiła głos na chwilę. — Gdybyś miał, czy chciałbyś, żeby pracowała w szpitalu, czy raczej żeby nic nie robiła?

— Każda będzie pracować, wcześniej czy później. Zatem, powiedziałbym, lepiej zacząć tak wcześnie, jak to możliwe.

— Vernonowi nie podoba się moja praca. — To właśnie jest to jego strusie zachowanie, plus ten odziedziczony po Deyre'ach duch wiecznego reakcjonisty, z którego nigdy całkiem nie wyrosnie.

Wcześniej czy później będzie musiał przyjąć do wiadomości fakt, że kobiety pracują, lecz jak go znam, to raczej później, mniej więcej w ostatniej chwili.

— Jakie to wszystko męczące — westchnęła Nell.

— Wiem. I na domiar złego przysparzam ci kłopotów. Lecz Vernon to mój jedyny przyjaciel, jedyny, na którym mi zależy. Miałem nadzieję, że jeśli ci to wszystko powiem, zachęcisz go do... do ustępstw... no, przynajmniej jeśli idzie o ciebie. Choć może jeśli idzie o ciebie, daje się ponieść uczuciom.

Nell potrząsnęła głową.

— Wiesz, co robił cały czas? Żartował z wojny.

Sebastian zagwizdał.

— Następnym razem bądź ostrzejsza. I nie poddawaj się.

— Czy myślisz, że powiedziała by więcej w rozmowie z... Jane? —

zagadnęła znienacka.

— Z Jane? — Sebastian miał niepewną minę. — Nie wiem. Może. To zależy.

— Wiesz, wiesz, że powiedziała! Ale dlaczego? Czy ona bardziej niż ja potrafiłaby mu współczuć, czy co?

— Och, na miły Bóg, nie. Jane nigdy i nikomu nie współczuje. Ona raczej prowokuje ludzi... tak, prowokuje. Zdenerwuje cię, a wtedy sypiesz całą prawdę. Przy niej można poznać samego siebie, czy ktoś tego chce, czy też nie. Nikt nie jest lepszy od Jane w sprowadzaniu drugiego człowieka na ziemię.

— Czy sądzisz, że ma duży wpływ na Vernona?

— Tego nie powiedziałbym. Zresztą teraz to bez znaczenia. Jane jest w służbach pomocniczych w Serbii. Odpłynęła tam dwa tygodnie temu.

— Och! — odpowiedziała na to Nell. Wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się.

W jakiś sposób poczuła się szczęśliwsza.

Kochana Nell, wyobraź sobie, że śnię o tobie każdej nocy. Zwykle jesteś dla mnie miła, lecz czasami traktujesz mnie wprost nieludzko.

Stajesz się zimna, nieugięta i daleka. Chyba nie możesz być taka naprawdę? Nie możesz, prawda? Nie teraz. Skarbie mój, czy chemiczny ołówek nadal puszcza?

Nell, kochanie, nie wierzę, bym miał zginąć, lecz jeśli nawet, to co z tego? Los i tak dał nam aż za dużo. Już na zawsze pozostałbym w twojej pamięci jako szczęśliwy, kochający cię mężczyzna, prawda, kochanie? Wiem, że gdybym poległ, kochałbym cię nadal. Ta jedyna cząstka we mnie nie mogłaby umrzeć. Kocham cię, kocham, kocham...

Nigdy do niej tak nie pisał. Włożyła list w zwykłe miejsce. Tego dnia, na dyżurze, była roztargniona. Zapominała o wszystkim.

Mężczyźni od razu to zauważyli.

— Siostrze, siostra jest rozmarzona — usłyszała od któregoś z nich.

Posypały się żarciki, ten i ów drażnił się z nią.

A ona drażniła się z nimi.

To takie cudowne, takie cudowne — być kochaną. Siostra Westhaven była nie w humorze, mała Potts zaniedbywała się w obowiązkach bardziej niż zazwyczaj. Nie miało to znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Nawet monumentalnej siostrze Jenkins, która przyszła na nocny dyżur i od której jak zwykle wiało na miłą pesymizmem, nie udało się wprawić Nell w ponury nastrój.

— Ach! — zawołała siostra Jenkins, wygładzając mankiety i moszcząc w kołnierzyku swoje trzy podbródki tak, aby ulżyć ich ciężarowi. —

Trójka wciąż jeszcze żyje? To dziwne, doprawdy. Nie sądziłam, że dotrwa do wieczora. No cóż, jutro rano będzie po nim. Biedaczysko, nie da się ukryć. (Siostra Jenkins zawsze przepowiadała, że do rana pacjent umrze, a niespełnianie się jej przepowiedni jakoś nie prowokowało jej do zajęcia bardziej optymistycznej postawy). Do osiemnastki nawet nie chce zaglądać; ta ostatnia operacja była bardziej niż bezcelowa. Ósemka idzie na gorsze, chyba że się mylę.

Powiedziałam to panu doktorowi, ale mnie nie słuchał. No, no, siostrze (tu ton wypowiedzi zmieniał się na zgryźliwy), po co tu się niepotrzebnie kręcić. Rozumiem, że siostra skończyła dyżur. — Nell przyjęła w ten sposób wyrażone łaskawie zezwolenie na wyjście, w pełni przekonana, że gdyby chwilę nie posnuła się po kątach, padłoby pytanie: „Co znaczy ten pośpiech, siostrze? To już nie można popracować minuty dłużej?”

Szła do domu dwadzieścia minut, rozkoszując się urodą jasnej nocy i rozgwieżdżonego nieba. Brakowało jej tylko Vernona.

Otworzyła drzwi wejściowe z zatrasku i na palcach weszła do środka: jej gospodyni, jak zwykle, wcześniej położyła się spać. Na tacy w hallu leżała pomarańczowa koperta.

Wiedziała...

Wmawiając sobie, że to nie jest, że to nie może być, że został

jedynie ranny, tak, na pewno jest ranny... mimo wszystko wiedziała...

Stało jej przed oczami zdanie z listu, który dostała tego ranka.

Nell, kochanie, nie wierzę, bym miał zginąć, lecz jeśli nawet, to co z tego? Los i tak dał nam aż za dużo...

Nigdy przedtem tak nie pisał... Na pewno przeczuwał... na pewno wiedział. Wrażliwi ludzie potrafią wiedzieć z wyprzedzeniem.

Stała tam z pomarańczową kopertą w dłoni. Vernon, jej ukochany, jej mąż... Stała długo...

W końcu otworzyła telegram. Informowano ją, z głębokim żalem, że porucznik Vernon Deyre poległ w boju.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nabożeństwo żałobne za Vernona odprawione zostało w małym starym kościółku w Brodach Opackich, w cieniu Moźnych Opactw, podobnie jak i za jego ojca, kilkanaście lat wcześniej. Dwaj ostatni Deyre'owie nie spoczęli w rodzinnej krypcie. Jeden został w Afryce, drugi we Francji.

W pamięci Nell tamta smutna uroczystość zdawała się kryć w cieniu monumentalnego cielska pani Levinne. To oczywiste, że przy jej rozłożystej, matriarchalnej figurze wszystko inne musiało skarłowacieć. Ona, Nell, zagryzała usta, by nie wybuchnąć histerycznym śmiechem. Zresztą wszystko tu było na swój sposób śmieszne i nijak nie pasowało do Vernona.

Wśród żałobników była jej matka, elegancka, trzymająca się z boku, był wujek Sydney z odpowiednio „żałobną” twarzą, w czarnym płaszczu uszytym z sukna w najlepszym gatunku, z trudem powstrzymujący się od podzwaniania swoją kieszenią. Myra Deyre, płacząca obficie i niepohamowanie, miała na sobie grubą krepe. Lecz to pani Levinne zdominowała wszystko i wszystkich. Kiedy nabożeństwo dobiegło końca, wróciła z nimi do salonu w miejscowej gospodzie, tym samym utożsamiając się z rodziną.

— Biedny chłopiec. Kochany, dzielny chłopiec. Zawsze myślałam o nim jak o drugim synu.

Była szczerze przygnębiona. Łzy, jedna po drugiej, skapywały na czarny stanik. Pogłaskała Myrę po ramieniu.

— No, no, moja droga, nie trzeba tak rozpaczać. Naprawdę nie trzeba. Nie poddawać się rozpacz, to nasza powinność, wszystkich nas. Oddała go pani ojczyźnie. Nie można zrobić więcej. Proszę popatrzeć na Nell, jaka jest niezwykle dzielna.

— Wszystko, co miałam na tym świecie — łkała Myra. — Najpierw mąż, teraz syn. Nic mi nie zostało. — Wpatrywała się przed siebie czerwonymi od płaczu oczami, z czymś w rodzaju żałobnego uniesienia.

— Najlepszy syn, byliśmy dla siebie wszystkim. — Schwyciła panią Levinne za rękę. — Wiedziałyby pani, jakie to uczucie, gdyby tak Sebastian...

Przez twarz pani Levinne przebiegł skurcz strachu. Zacisnęła rękę.

— Widzę, że podano jakieś kanapki i trochę porto — powiedział

wujek Sydney dla odwrócenia uwagi. — Bardzo rozważnie. Bardzo.

Kropelkę porto, Myro, kochana. Jesteś w ciągłym napięciu, sama wiesz.

Jego siostra skwitowała ten pomysł gwałtownym ruchem ręki. Wujek Sydney powinien zrozumieć, że przejawia brak delikatności.

— Musimy się trzymać, wszyscy — powiedział. — To nasz obowiązek.

Mimowolnie sięgnął ręką do kieszeni. Zadzwończył pieniądze. — Syd!

— Przepraszam, Myro.

Nell znów poczuła szaloną ochotę do śmiechu. Nie chciała płakać.

Chciała się śmiać i śmiać, i śmiać... To okropne uczucie, pomyślała.

— Uważam, że wszystko wypadło bardzo ładnie — rzekł wujek Sydney.

— Bardzo ładnie, nie ma co. Zjawiała się cała masa tutejszych wieśniaków. Przytłaczająca liczba. Nie zrobilibyśmy sobie małego spacerku dookoła Moźnych Opactw? To byłby miły akcent po dzisiejszej smutnej uroczystości.

— Nienawidzę tego miejsca — wybuchnęła Myra. — Zawsze nienawidziłam.

— Przypuszczam, Nell, że widziałaś się z prawnikami? Jak mi wiadomo, Vernon przed wyjazdem do Francji jasno wyraził swoją wolę i wszystko zostawił tobie. Nie miał spadkobiercy, a w związku z tym, że nie istnieją żadni inni Deyre'owie, Moźne Opactwa są twoje.

— Dziękuję, wujku Sydneyu — powiedziała Nell. — Widziałam się z jednym prawnikiem. Był bardzo uprzejmy i wszystko mi wytłumaczył.

— Miałaś szczęście — stwierdził wujek Sydney. — Oni z reguły potrafią najprostszą rzecz przedstawić w niejasny sposób. Może niepotrzebnie się wtrącam, lecz wiem, że w twojej rodzinie nie ma żadnego mężczyzny. Stąd moja rada: sprzedać, sprzedać i jeszcze raz sprzedać. Nie ma pieniędzy na utrzymywanie tak dużej posiadłości. Mam nadzieję, że się rozumiemy, hę? Nell rozumiała. Wujek Sydney dostatecznie jasno postawił sprawę: nie może liczyć na pieniądze Bentów. Pieniądze Myry wrócą do jej rodziny. To oczywiście rzecz całkiem naturalna. O niczym innym Nell nawet by nie pomyślała.

W istocie, wujek Sydney, jako praktyczny człowiek, od razu przystąpił do akcji i zapytał Myrę, czy przypadkiem dziecko nie jest w drodze. Myra odparła, że nie wie. Wujek Sydney powiedział, że byłoby lepiej, gdyby się upewniła. „Nie orientuję się dokładnie, co w tym wypadku mówi prawo, lecz w obecnej sytuacji wygląda to mniej więcej tak, że gdybyś miała jutro zamknąć oczy, to twoje pieniądze przechodzą na nią, jako na żonę twojego jedyne go syna. Nie zapominaj o tym”.

Myra powiedziała przez łzy, że to bardzo nieładnie z jego strony sugerować, że ona wybiera się na tamten świat.

— Nic podobnego. Wy, kobiety, wszystkie jesteście jednakowe.

Carrie dąsała się przez tydzień, kiedy nalegałem, by rozporządziła tym, co ma. Chodzi o to, by całkiem niezła sumka nie dostała się w cudze łapska.

Przede wszystkim wujek Sydney nie chciał, by „niezła sumka” przypadła w udziale Nell. Nie lubił Nell, bo to Nell jego zdaniem wyrugowała Enid z należnej jej pozycji. No i nienawidził pani

Vereker, która zawsze wprawiała go w zakłopotanie i na której — widok stawał się niezgrabny i nie wiedział, co począć z rękami.

— Nell oczywiście zasięgnie porady prawnej — zauważyła słodko pani Vereker.

— Proszę nie myśleć, że się wtrącam — zachnął się.

Nell ogarnął rozpaczliwy żal. Że też nie mają dziecka. To dlatego, że Vernon tak bardzo się o nią obawiał. „Byłoby dla ciebie okropne, kochanie, gdybym zginął, a ty zostałąbyś ze wszystkimi kłopotami i z troską o dziecko, i to prawie bez pieniędzy. Poza tym (tego się przecież nigdy nie wie), poza tym mogłabyś umrzeć. Nie zniósłbym takiego ryzyka”.

I rzeczywiście, odłożenie momentu narodzin dziecka zdawało się lepszym i bardziej rozważnym krokiem.

Teraz jednak ogarnął ją żal. Słowa, które w pojęciu matki miały przynieść jej córce ukojenie, w gruncie rzeczy zabrzmiały wyjątkowo brutalnie.

— Chyba nie spodziewasz się dziecka, co, Nell? I dzięki Bogu.

Przecież to oczywiste, że wyjdiesz drugi raz za mąż, a w tym wypadku lepiej nie mieć tego rodzaju obciążeń. — W odpowiedzi na gwałtowny protest, pani Vereker uśmiechnęła się i powiedziała: — Cóż, nie powinnam mówić tego teraz, lecz ty wciąż jeszcze jesteś młodziutką dziewczyną. Vernon sam życzyłby ci szczęścia.

Nell pomyślała: Nigdy, przenigdy! Ona niczego nie rozumie!

— Tak, tak, żyjemy w smutnych czasach — powiedział pan Bent, ukradkiem sięgając po kanapkę. — Kwiat naszej męskiej młodzieży pada jak podcięte kłosa. A jednak jestem dumny z Anglii. Jestem dumny z tego, że jestem Anglikiem. I lubię mieć uczucie, że ze swej strony robię dla Anglii tyle samo ile ci chłopcy tam, na froncie. W

przyszłym miesiącu podwoimy produkcję naszych materiałów wybuchowych.

Zmianyienne i nocne. Jestem dumny z Benta, powiem to bez żenady.

— Pańska fabryka musi przynosić wspaniały dochód — zauważyła pani Vereker.

— Och, bynajmniej nie patrzę na to od strony zysków. Wolę myśleć, że w ten sposób służę swojemu krajowi.

— Mam nadzieję, że wszyscy próbujemy robić to, co do nas należy —

po swojemu zasepleniła pani Levinne. — Ja urządzam pracujące przyjęcia dwa razy w tygodniu. No i interesuję się tymi biednymi dziewczętami, które spodziewają się nieślubnych dzieci.

— Powiedziałbym, że ten problem jest zbyt swobodnie traktowany —

obruszył się pan Bent. — Nie możemy być rozwiązli. Anglia nigdy nie była rozwiązła.

— No cóż, bez względu na punkt widzenia trzeba się tymi dziećmi zająć — powiedziała pani Levinne. — A co słyhać u Joe? — dodała. —

Myślałam, że zobaczę ją dzisiaj.

Oboje, wujek Sydney i Myra sprawiali wrażenie zakłopotanych. Było wyraźnie widać, że Joe jest dla rodziny tak zwaną „delikatną kwestią”. Oboje zręcznie prześliznęli się po temacie. Wojna, praca w Paryżu, nawał zajęć, żadnych szans na przyjazd do kraju. Pan Bent popatrzył na zegarek. — Myro, nie mamy wiele czasu do odejścia pociągu. Musimy wrócić jeszcze tego wieczoru. Przyznaję, Car—rie, moja żona, daleka jest od stanu zdrowia, który można by nazwać zadowalającym. To dlatego nie mogła wziąć udziału w dzisiejszej uroczystości. — Westchnął. — To dziwne, jak czasami wszystko wychodzi na dobre. Zawsze byliśmy głęboko rozzarowani tym, że nie mamy syna.

Teraz widzę, że na swój sposób los nas oszczędził. Mam na myśli niepokój dzisiejszych matek i ojców. No cóż, niezbadane są wyroki boskie.

Pani Vereker i Nell wróciły do Londynu samochodem pani Levinne.

Kiedy się z nią pożegnały, pani Vereker powiedziała:

— Mam jedynie nadzieję, Nell, że nie sądzisz, iż twoim obowiązkiem jest częste składanie wizyt swoim powinowatym. Wprost nie potrafię wyrazić, jak bardzo nie podoba mi się sposób demonstrowania uczuć przez tę kobietę. Była absolutnie z siebie zadowolona, chociaż przypuszczam, że chyba wołałaby prawdziwą trumnę.

— Och, mamó, ona naprawdę jest nieszczęśliwa. Tak bardzo kochała Vernona. Sama słyszałaś: był dla niej wszystkim na świecie.

— To frazes, którym kobiety jej pokroju bardzo chętnie się posługują. To puste słowa. I nie próbuj mi wmawiać, że Vernon uwielbiał swoją matkę. Ledwo ją tolerował. Nie mieli z sobą nic wspólnego. Vernon był Deyre'em z krwi i kości.

Nell nie mogła temu zaprzeczyć.

Została u matki przez trzy tygodnie. Pani Vereker była miła, oczywiście w granicach swoich możliwości. Nie miała współczującego serca, lecz potrafiła uszanować żalobę Nell i starała się nie narzucać córce. Jej osądy dotyczące praktycznej strony całej sytuacji, były, jak zwykle zresztą, nadzwyczaj trafne. Potwierdziły to liczne spotkania z prawnikami, na których pani Vereker była zawsze obecna.

Możne Opactwa nadal były wynajęte. Umowa dzierżawna miała wygasnąć za rok i trzeba było się zastanowić, co dalej. Prawnik usilnie doradzał sprzedaż. Pani Vereker, ku zaskoczeniu Nell, nie zdawała się podzielać takiego poglądu: sugerowała podpisanie kolejnej umowy dzierżawnej na niezbyt długi okres.

— W ciągu pięciu lat może się wiele wydarzyć — powiedziała.

Pan Flemming popatrzył na nią wnikliwie i chyba zrozumiał jej intencje. Spojrzał na Nell, kruchą i bardzo dziecinną w swej żałobie.

— To prawda — przyznał. — Wiele może się zdarzyć. Tak czy inaczej, możemy poczekać z decyzją do następnego roku.

Po załatwieniu spraw formalnych, Nell wróciła do szpitala w Wiltsbury. Zdawało jej się, że jeśli ma dalej żyć, to tam, i jedynie tam. Pani Vereker nie protestowała. Była praktyczną kobietą i miała własne plany.

Miesiąc po śmierci Vernona Nell na powrót znalazła się na swoim oddziale. Była wdzięczna siostrze, że słowem nie nawiązywały do straty, którą poniosła. Mottem chwili było „żyć, jakby nigdy nic”.

Nell żyła, jakby nigdy nic.

— Ktoś pyta o panią, siostrę Deyre.

— O mnie? — zdziwiła się Nell.

To na pewno Sebastian. Nikomu innemu nie wpadłoby do głowy, żeby przychodzić do niej, i to do szpitala. Tylko czy ona chce go widzieć?

Sama nie wiedziała.

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu jej gościem był George Chetwynd.

Wyjaśnił, że Wiltsbury leżało na trasie jego podróży, zatem nie mógł pominąć okazji, aby jej nie zobaczyć. Zapytał, czy zjadłaby z nim lunch.

— Myślałem, że masz dziś popołudniowy dyżur.

— Zamieniłam się wczoraj na ranny. Zapytam siostrę przełożoną. Nie jesteśmy zanadto zajęte.

Dostała pozwolenie i pół godziny później siedziała naprzeciw George'a Chetwynda w hotelu „County”. Przed nią stał talerz z rostbefem, a przy niej uwijał się kelner z wielkim półmiskiem kapusty.

— Zdaje się, że to jedyna jarzyna, jaką się tu podaje — zauważył

Chetwynd.

Prowadził rozmowę w interesujący sposób i nie nawiązywał do jej straty. Stwierdził jedynie, że kontynuowanie takiej pracy wymaga nie lada poświęcenia i że on o kimś tak dzielnym jak ona jeszcze nigdy nie słyszał.

— Brak mi słów, by opisać, jak bardzo podziwiam wszystkie kobiety.

Żyć, jak gdyby nigdy nic, podejmować się jednej pracy po drugiej.

Żadnego zamieszania, żadnego heroizmu, po prostu praca i jeszcze raz praca, jak gdyby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie.

Uważam, że Angielki są wspaniałe.

— Coś przecież trzeba robić.

— Wiem. Potrafię zrozumieć to uczucie. Wszystko jest lepsze od siedzenia z założonymi rękami, mam rację?

— No właśnie.

Była mu wdzięczna. George zawsze wszystko potrafił zrozumieć.

Powiedział jej, że za kilka dni wyjeżdża do Serbii, gdzie ma się zająć organizowaniem tamtejszych służb pomocniczych.

— Mówiąc szczerze — kontynuował — wstydzę się za mój kraj, że nie przystępuje do wojny. Ale jestem przekonany, że w końcu Amerykanie się zdecydują. To tylko kwestia czasu. Na razie robimy, co możemy, żeby złagodzić okropieństwa wojny.

— Dobrze wyglądasz.

Wyglądał młodziej, niż go zapamiętała. Masywny, opalony. Siwizna we włosach niekoniecznie musiała się wiązać z wiekiem.

— I dobrze się czuję. Nie ma nic lepszego, jak dużo zająć. Praca w służbach pomocniczych potrafi dać człowiekowi w kość.

— Kiedy wyjeżdżasz?

— Pojutrze. — Zrobił przerwę. Kiedy podjął rozmowę, jego głos miał

już inną barwę. — Powiedz mi, Nell. Czy nie jesteś zła, że cię odszukałem? Nie zdaje ci się, że wtrącam się w nie swoje sprawy?

— Nie, naprawdę nie. To było miłe z twojej strony. Zwłaszcza po tym, kiedy ja... kiedy...

— Przecież wiesz, że nigdy nie żywiłem o to urazy. Wręcz przeciwnie, podziwiałem cię, że poszłaś za głosem serca. Kochałaś jego, nie kochałaś mnie. To wszystko. Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie mielibyśmy się nadal przyjaźnić?

Patrzył na nią tak życzliwie, tak bardzo zwyczajnie, a przy tym ani odrobinę sentymentalnie, że Nell z radością przyznała, że nie istnieje.

— To świetnie. A zatem, chyba pozwolisz, bym zrobił dla ciebie wszystko, co przystoi przyjacielowi? Powiedzmy, bym pomógł ci, gdybyś miała jakieś kłopoty. No jak?

Nell odparła, że będzie mu za to jedynie wdzięczna. I na tym stanęło. Odjechał swoim samochodem zaraz po lunchu. Przedtem mocno uściskał jej dłoń i wyraził nadzieję, że spotkają się za sześć miesięcy. Jeszcze raz poprosił, żeby zwracała się do niego z każdym problemem.

Nell obiecała, że na pewno tak zrobi.

To była zła zima dla Nell. Nie dbała o siebie należycie, przeziębila się i chorowała dość ciężko przez tydzień albo trochę dłużej. Po chorobie absolutnie nie nadawała się do podjęcia pracy w szpitalu i pani Vereker zabrała ją do siebie, do Londynu. Tam powoli wracała do zdrowia.

Kłopotom nie było końca. Moźne Opactwa sprawiały wrażenie, że nie pociągną długo. Dom wymagał położenia nowego dachu. Trzeba było wymienić rury kanalizacyjne. Waliło się ogrodzenie.

Nell po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak ile kosztuje utrzymanie posiadłości. Niezbędne naprawy dawno pochłonęły pieniądze z wynajmu i doszło do tego, że pani Vereker musiała pomóc córce wybrnąć z kryzysowej sytuacji. Żyły bardzo skromnie. Dawno minęły dni zewnętrznego blasku, pozornej zasobności, a także kredytów. Pani Vereker starała się jakoś wiązać koniec z końcem, choć doprawdy z trudem by jej to przychodziło, gdyby nie wygrane przy stoliku do brydża. Była pierwszej klasy graczem i dzięki grze znakomicie powiększała swe dochody. Większość dnia spędzała w jednym klubie brydżowym, który jeszcze się zachował.

Dla Nell było to nudne, nieszczęśliwe życie. Wieczna troska o pieniądze, brak sił do podjęcia nowej pracy, żadnego zajęcia; nic, tylko siedzieć i rozmyślać. Ubóstwo w połączeniu z miłością w małym domku to jedna sprawa. Ubóstwo bez miłości, która by je łagodziła, to coś zupełnie innego. Czasami zastanawiała się, jak miała iść przez życie, które kreśliło się przed nią tak ponurą i niewesołą perspektywą. Chybaby nie mogła tego znieść. Po prostu by nie mogła.

Nadszedł czas, że pan Flemming coraz usilniej prosił o podjęcie ostatecznej decyzji w sprawie Moźnych Opactw. Obecna umowa dzierżawna miała wygasnąć za miesiąc czy dwa. Pora coś postanowić, mówił, i dodawał, że byłby nieuczciwy, robiąc nadzieje na wynajęcie domu za wyższą cenę. Nie ma chętnych na wielkie domy bez centralnego ogrzewania i innych nowoczesnych wygód. Pan Flemming stanowczo doradzał sprzedaż.

Tak, on wie, że jej mąż darzył to miejsce uczuciem. Ale ponieważ ona nie jest w stanie tam zamieszkać...

Nell przyznawała mu rację, lecz nadal prosiła o czas do namysłu.

Wzbraniała się przed sprzedażą, choć z drugiej strony nie mogła oprzeć się uczuciu, że jeśli raz pozbędzie się kłopotu w postaci Moźnych Opactw, zrzuci ze swych barków najcięższe brzemie. Parę dni później pan Flemming zadzwonił, aby powiedzieć, że można wyjątkowo korzystnie sprzedać posiadłość. Wymienił sumę o wiele przekraczającą jej (a w gruncie rzeczy nawet jego) oczekiwania. Bardzo gorąco radził

przyjąć ofertę, i to bezzwłocznie.

Nell wahała się minutę, potem powiedziała „tak”.

To nadzwyczajne, jak od razu poczuła się szczęśliwsza. Wolna od tej strasznej zmory! Czy gdyby Vernon żył, nie postąpiliby tak samo?

Domy i posiadłości ziemskie sprawiają więcej kłopotu niż przyjemności, kiedy kogoś nie stać na utrzymanie ich na właściwym poziomie.

Nie zdenerwował jej nawet list, który nadszedł z Paryża, od Joe.

Jak możesz sprzedawać Moźne Opactwa, wiedząc, co czuł do nich Vernon? Ktoś by pomyślał, że to ostatnia rzecz, którą kiedykolwiek zrobisz.

Nell pomyślała natomiast, że Joe niczego nie rozumie i odpisała tak:

A niby co miałam zrobić? Już nic wiedziałam, do kogo mam się zwrócić o pieniądze. Raz był dach, raz kanalizacja, raz woda i tak bez końca. Nie mogę się wciąż zadłużać. Jestem wszystkim tak bardzo zmęczona, że chyba wolałabym umrzeć...

Trzy dni później dostała list od George'a Chetwynda, w którym George prosił o spotkanie. Chciałby jej coś wyznać.

Pani Vereker nie było w domu. Przyjęła go sama. Zaczął dość niepewnie. To on jest tym, który nabył Moźne Opactwa.

Najpierw się zachnęła. Gorąco zaprotestowała. Nie George! W

Moźnych Opactwach mógłby się znaleźć każdy, tylko nie George! Wówczas on, z godnym podziwu zdrowym rozsądkiem, przystąpił do uzasadniania swoich racji.

Jest pewien, że lepiej, by posiadłość przeszła w jego ręce, niż w zupełnie obce. Ma nadzieję, że ona i jej matka zechcą czasami zatrzymać się tam na kilka dni.

— Chciałbym, żebyś miała poczucie, że dom twojego męża jest dla ciebie otwarty o każdej porze. Zamierzam dokonać jedynie niezbędnych zmian. Będziesz moim doradcą. Chyba wolisz, żebym to ja był

właścicielem posiadłości, niż jakiś parweniusz, który zapełni dom złoceniami i falsyfikatami starych mistrzów?

W końcu sama zaczęła się dziwić swoim obiekcjom. Lepiej George niż ktoś inny. George jest bardzo miły i zawsze wszystko potrafi zrozumieć. Ona jest zmęczona, ma tyle zmartwień. Nagle się załamała.

Płakała na jego piersi, podczas gdy on otoczył ją ramieniem, głaskał

jej dłoń i powtarzał raz za razem, że wszystko będzie dobrze i że jej zdenerwowanie bierze się

jedynie z tego, że była chora.

Nikt nie mógłby być miłszy czy bardziej braterski. Kiedy opowiedziała to matce, pani Vereker rzekła: — Wiedziałałam, że George rozgląda się za jakimś miejscem. Szczęśliwie się złożyło, że wybrał

Możne Opactwa. Prawdopodobnie nie targował się za długo z tej prostej przyczyny, że kiedyś był w tobie zakochany.

Słowa. — „kiedyś był w tobie zakochany”, były wyprane z wszelkich emocji. Samopoczucie Nell znacznie się poprawiło. A już gotowa była sobie wyobrazić, że jej matka nadał ma „swoje zamiary” w stosunku do George’a Chetwynda.

Na lato przeniosły się do Moźnych Opactw. Były jedynymi gośćmi.

Nell zawitała do nich po raz pierwszy od czasów dzieciństwa.

Ogarnął ją głęboki żal, że nie może żyć tutaj z Vernonem: dom był

prawdziwie piękny i tak samo piękne były majestatyczne ogrody i ruiny opactwa.

Prace porządkowe były w toku i George w każdej sprawie był ciekaw jej zdania. Nell mimowolnie wchodziła w rolę właścicielki. Wolna od dotychczasowych niepokojów, nieomal szczęśliwa, rozkoszowała się wygodą i zbytkiem.

Prawdę powiedziawszy, z chwilą, kiedy dostała pieniądze ze sprzedaży Moźnych Opactw i zainwestowała je, mogła liczyć na wcale niezłe zabezpieczenie finansowe, lecz wciąż wzdragala się na myśl o podjęciu decyzji co do przyszłego mieszkania i zajęcia. Nie była prawdziwie szczęśliwa u boku matki, a dawni przyjaciele nie zdawali się dążyć do odnowienia kontaktów. Nie bardzo wiedziała, dokąd pójść ani co zrobić z własnym życiem.

Moźne Opactwa dawały jej po prostu spokój i odpoczynek, czyli to, czego najbardziej potrzebowała. Czowała się tu bezpiecznie i z lękiem myślała o powrocie do Londynu.

Nadszedł ostatni wieczór. George cały dzień nalegał, aby zostały dłużej, lecz pani Vereker oświadczyła, że one naprawdę, ale to naprawdę nie mogą nadużywać jego gościnności.

Nell i George wybrali się na długi spacer. To był cichy wieczór, kładący się balsamem na serce.

— Tak tu ładnie — westchnęła Nell. — Cierpnę na myśl o wyjeździe.

— A ja cierpnę na myśl, że wyjeżdżasz. — Po krótkiej przerwie zapytał cicho: — Chyba nie mam na co liczyć, prawda Nell?

— Nie wiem, o czym mówisz. Lecz wiedziała, wiedziała od razu.

— Kupiłem tę posiadłość, ponieważ miałem nadzieję, że pewnego dnia w niej zamieszkasz. Chciałem, żebyś miała swój dom. Czy zamierzasz spędzić całe życie na pielęgnowaniu wspomnień? Czy sądzisz, że Vernon pragnąłby tego? Nie uważam, by zmarli zazdrościli szczęścia żywym.

Myślę, że teraz, kiedy sam nie może się tobą zajmować, chciałby, żeby robił to ktoś inny.

— Nie mogę... nie mogę — szepnęła.

— Nie możesz o nim zapomnieć, tak? Rozumiem to. Lecz ja byłbym dla ciebie bardzo dobry, Nell. Byłabyś zewsząd otoczona miłością i troską. Sądzę, że mógłbym uczynić cię szczęśliwą, w każdym razie szczęśliwszą, niż gdybyś sama musiała mierzyć się z życiem. Jestem szczerze przekonany, że

Vernon życzyłby sobie tego...

Czy naprawdę? Zamyśliła się. George na pewno ma rację. Ludzie mogą nazwać takie postępowanie wiarołomstwem, lecz to nie to. Jej życie z Vernonem było czymś wyjątkowym... nic nie może go zniszczyć...

Lecz, och! Mieć kogoś, kto by się nią opiekował, kto by o nią dbał, rozpieszczał i kto by ją rozumiał, Zawsze, ale to zawsze lubiła George'a.

Bardzo cicho powiedziała „tak”.

Rozzłościło to Myrę. Pisała do Nell długie, obraźliwe listy.

Tak prędko o nim zapomniałaś. Vernon miał tylko jeden dom: w moim sercu. Ty nie kochałaś go nigdy.

Wujek Sydney zakręcił młynka palcami i powiedział: „Ta młoda dama umie się urządzić w życiu” i przesłał Nell szablonowe gratulacje.

Niespodziewanym sojusznikiem okazała się Joe, która przelotnie gościła w Londynie i przyszła odwiedzić Nell w mieszkaniu jej matki.

— Bardzo się cieszę — powiedziała, całując ją na powitanie. — I jestem pewna, że Vernon też by się cieszył. Ty nie jesteś z tych kobiet, które potrafią same zmierzyć się z życiem. Nigdy taka nie byłaś. Nie przejmuj się tym, co mówi ciocia Myra. Już ja sobie z nią porozmawiam. Życie to paskudny interes dla każdej z nas, no a poza tym myślę, że z George’em będziesz szczęśliwa. Vernon życzyłby ci szczęścia, wiem to dobrze.

To, że Joe stanęła po jej stronie, podniosło ją na duchu bardziej niż cokolwiek innego. Joe od zawsze była dla Vernona kimś najbliższym. W noc przed ślubem uklękła przy łóżku i popatrzyła na wiszącą nad wezgłowiem szpadę Vernona. Przycisnęła dłonie do oczu.

— Rozumiesz mnie, najdroższy? Rozumiesz? To ciebie kocham i zawsze będę kochała... Och, Vernonie, gdybym tylko miała pewność, że mnie rozumiesz.

Z chęcią oddałaby duszę, aby go znaleźć i zapytać o to wprost. Ale on na pewno, na pewno wie i rozumie...

ROZDZIAŁ CZWARTY

W mieście A... w Holandii, niedaleko niemieckiej granicy, jest nie rzucająca się w oczy gospoda. Tutaj pewnego wieczoru, w 1917 roku, miody, wymizerowany mężczyzna o ciemnych włosach otworzył drzwi jednym pchnięciem i w łamanym holenderskim języku poprosił o nocleg.

Oddychał z trudem, a w jego oczach czaił się niepokój. Anna Schlieder, gruba właścicielka gospody, swoim zwyczajem najpierw przyjrzała się dokładnie nowo przybyłemu, a dopiero potem odpowiedziała. Tak, mógłby dostać pokój. Jej córka Freda zaprowadzi go na piętro. Kiedy Freda wróciła, Anna Schlieder rzuciła lakonicznie:

— Anglik, zapewne zbiegły jeniec.

Freda kiwnęła głową bez słowa. Jej porcelanowoniebieskie oczy były łagodne i rozmarzone. Miała swoje powody, by zainteresować się Anglikiem. Niebawem znów weszła po schodach i zapukała do jego drzwi.

Pukanie było lekkie, czysto formalne, toteż młody człowiek wcale go nie słyszał. Był tak wyczerpany, że to, co się działo poza nim, niewiele go obchodziło. Od dni i tygodni musiał być w stałym pogotowiu, cały czas groziło mu niebezpieczeństwo, nie pozwalał więc sobie nawet na chwilę snu, z obawy przed zaskoczeniem. Teraz wreszcie czuł, że stan psychicznego napięcia powoli mija. Leżał tak, jak padł, w poprzek łóżka. Nie słyszał pukania do drzwi i nie widział stojącej nad nim i obserwującej go Fredy. — Przyniosłam ci wodę — powiedziała w końcu.

— Och! — poderwał się. — Przepraszam. Nie słyszałem, jak wchodziłaś.

— Jesteś Anglikiem, tak? — powiedziała w swoim języku, wolno i starannie wymawiając każde słowo.

— Tak. Tak, to znaczy... — Urwał nagle. Ogarnęły go wątpliwości.

Powinien być bardziej ostrożny. Niebezpieczeństwo wprawdzie minęło, był poza granicami Niemiec, ale powinien mieć się na baczności.

Poczuł zawrót głowy. Żywienie się surowymi ziemniakami, wykopywanymi na przydrożnych polach, nie wpływało pobudzająco na umysł. Mimo to miał jeszcze tyle świadomości, by powtarzać sobie raz po raz, że lepiej być ostrożnym. To było trudne, trudne, bo teraz, kiedy to przeraźliwie długie napięcie było poza nim, odczuwał szaloną potrzebę mówienia. Mówić, wreszcie mówić...

Młoda Holenderka pokiwała nad nim głową z rozwagą i ze zrozumieniem.

— Wiem — rzekła. — Przychodzisz stamtąd... — pokazała ręką w stronę granicy.

On patrzył na nią, nadal niezdecydowany.

— Uciekłeś, wiem. Już takiego jednego mieliśmy.

Wróciło mu zaufanie. Ta dziewczyna jest w porządku, pomyślał.

Nagle nogi się pod nim ugięły i opadł na łóżko.

— Jesteś głodny? Tak, na pewno. Zaraz ci coś przyniosę.

Czy jest głodny? Prawdopodobnie tak. Od jak dawna nie jadł? Dzień, dwa? Nie pamięta. Ostatni odcinek drogi był koszmar, po prostu marsz na oślep. Miał mapę i kompas. Znał miejsce, w którym chciał

przekroczyć granicę, takie, które wydawało mu się w miarę bezpieczne.

Tysiąc do jednego, przeciwko niemu, że uda mu się przekroczyć granicę, a mimo to ją przekroczył. Strzelali do niego, lecz niecelnie. A może to był tylko sen? Przepływał rzekę, tak, przepływał. Nie, chyba wszystko mu się myli. Dosyć. Lepiej o tym nie myśleć. Uciekł i tylko to się liczy.

Pochylił się do przodu i ujął w dłonie tętniącą bólem głowę.

Freda wróciła bardzo prędko, niosąc tacę z jedzeniem i z wielkim kuflem piwa. Przyglądała mu się w niemym podziwieniu, jak zmiata wszystko po kolei. Ale efekt był nadspodziewany. W miarę jak jadł, wracała mu zdolność myślenia. Zawroty głowy mijały. Uśmiechnął się do Fredy.

— Znakomite — rzekł. — Bardzo dziękuję.

Zachęcona jego uśmiechem, dziewczyna usiadła na krześle.

— Znasz Londyn?

— Tak, oczywiście. — Znow się uśmiechnął, tym razem dlatego, że to pytanie dziwnie zabrzmiało w jej ustach.

Freda nie odwzajemniła uśmiechu. Była nadzwyczaj poważna.

— Znasz tam pewnego żołnierza? Kaprała Greena?

Potrząsnął głową, trochę poruszony.

— Obawiam się, że nie — powiedział łagodnie. — Wiesz, z jakiego był pułku?

— To był londyński pułk fizylierów. Nie miała więcej informacji.

— Kiedy wrócę do Londynu, spróbuję go odnaleźć. Jeśli chcesz, napisz list.

Przyglądała mu się niezdecydowanie. Zaufać mu czy nie, zdawały się mówić niebieskie, porcelanowe oczy. W końcu jej wątpliwości rozwiały się. — Dobrze, napiszę. Podniosła się do wyjścia.

— Mamy tu jakieś angielskie gazety — powiedziała pośpiesznie. —

Dwie — dodała. — Mój kuzyn przyniósł je z hotelu. Pewnie chciałbyś je przejrzeć.

Wróciła prawie natychmiast, przynosząc ze sobą postrzępionego

„Sketcha” i taką samą „Eve”. Wręczyła mu je z niejaką dumą.

Kiedy ponownie opuściła pokój, położył czasopisma obok siebie i zapalił papierosa, ostatniego. I cóż by robił bez tych papierosów, kradzionych na dodatek! Może teraz dostanie jakieś od Fredy, ma pieniądze, żeby za nie zapłacić. Sympatyczna dziewczyna z tej Fredy, mimo grubych kostek u nóg i niezbyt pociągającej powierzchowności.

Wyjął z kieszeni mały, wciąż jeszcze nie używany notes. Zapisał w nim: „Kapral Green, londyńscy fizylierzy”. Zrobi, co będzie mógł.

Zastanawiał się leniwie, jaka historia się za tym kryje. Co kapral Green robił w Holandii, w A...? Biedna Freda, pomyślał. Jeszcze jedna wojenna miłość.

Green — to nazwisko przypomniało mu własne dzieciństwo. Pan Green.

Wszechmogący, cudowny pan Green, towarzysz jego zabaw i opiekun.

Śmieszne rzeczy się wymyśla, kiedy jest się dzieckiem!

Nigdy nie powiedział Nell o panu Greenie. Możliwe, że miała swojego pana Greena. Możliwe, że wszystkie dzieci mają.

Nell, och, Nell... Serce w nim zamarło. Lepiej nie poddawać się takim wzruszeniom, pomyślał, to już niedługo, bardzo niedługo...

Biedactwo, jakże musiała cierpieć, wiedząc, że dostał się w Niemczech do niewoli. Ale teraz jest po wszystkim. Już niedługo będą razem.

Bardzo niedługo. Musi przestać o tym myśleć. Trzeba działać, nie myśleć.

Wziął do ręki „Sketcha” i leniwie przeglądał stronę po stronie.

Wygląda na to, pomyślał, że wystawiają dużo nowych sztuk. Co za radość, znów znaleźć się w teatrze... Zdjęcia generałów... jakie srogie i wojownicze miny. Zdjęcia młodych par... jedno, drugie, żadnego byle jakiego tłumu. Jeszcze jedno... Przecież... To nieprawda. To nie może być prawda... To chyba sen... koszmarne sen...

Pani Nell Deyre, która wychodzi za pana George’a Chetwynda.

Pierwszy mąż pani Deyre poległ w boju rok temu. Pan George Chetwynd jest Amerykaninem. Jego wielką zasługą było zorganizowanie służb pomocniczych w Serbii.

Poległ w boju, no tak, tak to mogło wyglądać. Mimo wszelkich środków ostrożności tego rodzaju pomyłki jednak się zdarzały. On sam ma znajomego, o którym krążyły pogłoski, że już nie żyje. Jeden na tysiąc przypadków, a jednak to się zdarza.

Naturalnie, Nell uwierzyłaby i, naturalnie, całkiem naturalnie, mogłaby wyjść powtórnie za męża. Tylko że to nonsens! Nell? Powtórnie wyjść za męża? Tak prędko? Tak, tak prędko. I do tego za George'a. Za George'a z tymi jego siwymi włosami... Przeszył go nagły skurcz bólu.

Potrafił wyobrazić sobie George'a bardzo wyraźnie. Cholerny George...

niech go wszyscy diabli.

Lecz to nieprawda. Nie, to nie może być prawda!

Podniósł się, mimo że nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Każdemu, kto by go teraz zobaczył, mogłoby się wydawać, że jest trochę wstawiony.

Był spokojny. Tak, był absolutnie spokojny. O czymś, co jest nie do wiary, nie trzeba myśleć. Trzeba to odsunąć od siebie, i to daleko. To nieprawda. To nie może być prawda. Jeśli raz pozwolisz sobie na myśl, że może jednak, uwierzysz w to na dobre.

Wyszedł z pokoju, zszedł ze schodów. Minał Fredę, która wybałuszyła na niego oczy. Powiedział cicho i bardzo spokojnie (zdumiewające, że stać go było na taki spokój!):

— Wychodzę się przejść.

Wyszedł z gospody, nie zwracając uwagi na starą Annę Schlieder, która obrzuciła go obojętnym spojrzeniem. Freda, powiedziała do niej:

— Przeszedł obok mnie na schodach jak... jak sama nie wiem co. Czy mu się coś stało?

Anna popukała się znacząco w czoło. Tej nic nie mogło zaszokować.

Vernon szedł drogą. Szedł bardzo prędko. Musi odejść. Musi odejść od tego, co idzie za nim. Jeśli się obejrzy, jeśli o tym pomyśli... Ale nie, on na pewno o tym nie pomyśli.

Wszystko w porządku, wszystko. Tylko nie trzeba myśleć. Ta dziwna, mroczna myśl, która podążała za nim... deptała mu po piętach... Jeśli nie będzie myślał, wszystko będzie w porządku.

Nell. Nell ze złotymi włosami i słodkim uśmiechem. Jego Nell. Nell i George... Nie, nie, NIE! To się jeszcze nie stało, on zdąży w samą porę.

I nagle zobaczył wszystko jasno: ta gazeta jest sprzed pół roku, co najmniej. Oni są małżeństwem od pięciu miesięcy.

Zachwiał się. Nie zniosę tego, pomyślał. Nie, tego na pewno nie zniosę. Coś się musi zdarzyć...

Przywarł ślepo do tego jednego— , coś się musi zdarzyć, Ktoś musi mu pomóc. Pan Green. Co to było? To coś, co go prześladowało?

Oczywiście, Bestia. Bestia. Słyszał, jak nadchodzi. Owładnięty panicznym strachem, rzucił spojrzenie przez ramię. Był już za miastem, droga prowadziła prosto, wzdłuż grobli. Bestia zbliżała się ociężale, wielkimi krokami, z turkotem i stukotem.

Bestia... Och, gdyby tak wrócić... wrócić do Bestii i pana Greena, do dawnych wygodnych łęków. One nie raniły tak jak te nowe, jak Nell i George Chetwynd. Zwłaszcza Nell, należąca teraz do George'a...

Nie. Nie, to nieprawda. To nie może być prawda. Nie mógłby temu stawić czoła raz jeszcze. Nie temu, nie temu...

Jest tylko jedno wyjście, aby skończyć z tym wszystkim... aby mieć spokój... tylko jedno wyjście... Vernon Deyre sfuszerował swoje życie, więc lepiej niech z nim skończy...

Jego mózg przeszył ostatni paroksyzm dojmującego bólu... Nell...

George... Nie! Ostatnim wysiłkiem odsunął od siebie tę myśl. Pan Green, dobry pan Green.

Zrobił krok ku środkowi drogi, tuż przed zataczającą się ciężarówkę, która starała się go ominąć... za późno... odbił się od niej...

raz... i jeszcze raz... Potworny, suchy trzask... Bogu dzięki, to śmierć...

KSIĘGA V

GEORGE GREEN

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Na dziedzińcu hotelu „County” w Wiltsbury koło samochodów uwijało się dwóch szoferów. George Green skończył pracę przy silniku wielkiego daimlera, wytarł ręce w kawałek zatłuszczonego materiału i wyprostował się z westchnieniem ulgi. Był pogodnym młodzieńcem, a teraz uśmiechał się, ponieważ poradził sobie jak trzeba z całą robotą. Podszedł niedbałym krokiem do kumpla po fachu, który kompletował zestaw narzędzi do minervy.

— I co, George, skończyłeś? — zapytał ten ostatni.

— Tak.

— Twój szef jest jankesem, tak? Co o nim powiesz?

— Porządny gość. Chociaż zrzęda. A ma dopiero czterdziestkę.

— Dziękuj Bogu, że nie jeździsz z kobietą — powiedział ten drugi.

Nazywał się Evans. — Kobiety wciąż zmieniają zdanie, a do tego nie mają pojęcia o właściwej porze posiłków. Nic, tylko pikniki, a wiesz, co to znaczy: jajka na twardo i liść sałaty.

Green przysiadł na stojącej obok beczce.

— Rzuć wszystko w diabły.

— To się tak mówi, ale spróbuj dzisiaj znaleźć robotę. — To prawda

— zgodził się Green, choć chyba błędził myślami gdzie indziej.

— Mam swoją panią i dwójkę dzieciaków — kontynuował tamten. —

Człowiek nasłuchał się banialuk, jak to kraj potrzebuje bohaterów, I co teraz? Nie, nie w 1920 roku. Mówię ci, jeśli masz robotę, choćby była jaką, to się jej kurczowo trzymaj. — Milczał przez chwilę, po czym mówił dalej: — Wojna to paskudna sprawa. Oberwałem szrapnelem, dwa razy. A wystarczy, że raz oberwiesz, żeby było z tobą coś nie tak. Moja pani powiada, że czasami to aż się mnie boi. Niby że coś mi się przestawia w głowie, że budzę się z krzykiem w środku nocy i nie wiem, gdzie jestem.

— Znam to — przyświadczył Green. — Ze mną jest tak samo. Kiedy mój patron podniósł mnie z ziemi (to było w Holandii), pamiętałem tylko swoje imię.

— Kiedy to się stało? Po wojnie?

— Sześć miesięcy po zawieszeniu broni. Którejś nocy jacyś pijani faceci najechali na mnie ciężarówką. Miałem niezłe poharataną głowę, mozesz sobie wyobrazić. Wytrzeźwieli natychmiast, zabrali mnie ze sobą, a potem zaopiekowali się i dali robotę. To byli porządni faceci. Pracowałem u

nich dwa lata, aż do czasu, kiedy zjawił się pan Bleibner. Wynajmował u nas samochód, a ja go wozilem. Nic, tylko brał

mnie na spytki, ale widać spodobałem mu się, bo zabrał mnie do Anglii i jeszcze się mnie nie pozbył.

— Chłopie, to samemu nie przyszło ci do głowy, żeby przeprowić się przez wodę na drugą stronę?

— Nie, jakoś nie przyszło. Bo i po co, nie miałem tam żadnej rodziny. Tylko tyle wiedziałem o sobie, i jeszcze to, że chyba wpadłem w jakieś kłopoty.

— Nie wyglądasz mi kolego na kogoś, kto może mieć jakiegokolwiek kłopoty — zaśmiał się Evans.

George Green zawtórował mu. Wysoki, z ciemnymi włosami i szerokimi barami, wiecznie uśmiechnięty, istotnie sprawiał wrażenie najpogodniejszego na świecie młodego człowieka.

— Bo to prawda. Nigdy się niczym nie martwię — powiedział z przechwałką. — Pewnie taki jestem od urodzenia.

Odszedł, śmiejąc się wesoło. Kilka minut później meldował swemu pracodawcy, że daimler jest gotowy do drogi.

Pan Bleibner, Amerykanin, był wysoki i szczupły. Miał taki wyraz twarzy, jakby cierpiał na niestrawność. Kiedy mówił, wydawało się, że jest rodowitym Anglikiem.

— Bardzo dobrze. Teraz, Green, udaję się na lunch do lorda Datcheta. Abingworth Friars. To mniej więcej sześć mil stąd.

— Tak, proszę pana.

— Po lunchu wybieram się do posiadłości, zwanej Moźnymi Opactwami.

Ta posiadłość przylega do wioski Brody Opackie. Czy znasz ją?

— Zdaje się, że o niej slyszalem, proszę pana. Choć nie wiem dokładnie, gdzie leży. Sprawdzę to na mapie.

— Zatem proszę to zrobić. To nie może być, jak myślę, więcej niż dwadzieścia mil, chyba w kierunku na Ringwood.

— Dobrze, proszę pana.

Green przyłożył palce do daszka i odszedł.

Nell Chetwynd wyszła z salonu przez francuskie drzwi i przystanąła na tarasie. Był jeden z tych wczesnojesiennych dni, kiedy wszystko, co żyje, zdaje się zastygać w bezruchu, jak gdyby przyroda lada chwila miała popaść w omdlenie. Niebo było bladoniebieskie, a powietrze powleczone delikatną mgiełką.

Nell oparła się o wielki kamienny wazon i powędrowała spojrzeniem ponad milczącym krajobrazem. Wszystko tu było bardzo piękne i bardzo angielskie. Klasyczne ogrody były wypielęgnowane, a dom, po starannym i bardzo rozsądnym remoncie, znów świecił dawnym blaskiem.

Choć poddawanie się emocjom nie leżało w jej zwyczaju, to jednak patrząc na różowoczerwoną cegłę, starych murów, poczuła, jak jej serce wzbiera dumą. Perfekcja, absolutna perfekcja. Gdyby tak Vernon mógł to zobaczyć. Gdyby.

Cztery lata małżeństwa dobrze na nią wpłynęły, choć, oczywiście, na swój sposób ją odmieniły. Teraz nie było w niej nic z dawnej nimfy. Z uroczej dziewczyny Nell przedzierzgnęła się w piękną kobietę, stała się zrównoważona i pewna siebie. Jej uroda miała bardzo określony charakter i zanosilo się na to, że Nell będzie się nią cieszyć przez długie lata. Trochę przytyła, trochę spowolniała, a to sprawiło, że znikła gdzieś bez śladu jej uprzednia niedojrzałość.

Była piękną, w pełni rozkwitłą różą. Jakiś głos zawołał z głębi domu:

— Nell!

— Jestem tutaj, George, na tarasie.

— W porządku. Zaraz tam będę.

Jaki kochany jest ten George! Uśmiechnęła się kącikiem ust. Mąż doskonały! Czyżby dlatego, że jest Amerykaninem? Zawsze się słyszy, pomyślała, że Amerykanki mają doskonałych mężów. Jeśli tak, to George jest jednym z nich, bo jej małżeństwo to absolutny sukces. To prawda, że nigdy nie darzyła George'a takim samym uczuciem jak Vernona, lecz przyznawała, choć dość niechętnie, że to może i dobrze. Burzliwe uczucia, które porywają człowieka i rozdzierają mu serce i tak nigdy nie trwają wiecznie. Przecież każdy dzień dowodzi, że nie trwają.

Stłumiła w sobie wszystkie stare bunty. Już nie dociekała usilnie przyczyn, dla których los odebrał jej Vernona. Bóg wie lepiej. Można się buntować, lecz ktoś tu w końcu powinien sobie powiedzieć, że cokolwiek się zdarzyło, obróciło się na lepsze.

Ona i Vernon przeżyli pełnię szczęścia i nic na świecie już im tego szczęścia nie zniszczy ani nie odbierze. Pozostało w niej na zawsze, ukryte głęboko, zazdrośnie strzeżone niby drogocenny klejnot.

Teraz mogła myśleć o Vernonie bez żalu czy tęsknoty. Kochali się i zrobili wszystko, aby być razem. Później przyszedł potworny ból rozłąki, a jeszcze później — spokój.

Tak, w jej obecnym życiu spokój był czynnikiem dominującym, a wszystko to za sprawą George'a, który otoczył ją dobrobytem, luksusem i czułością. Jej pozostawało żywić nadzieję, że jest dla niego dobrą żoną, nawet jeśli nie darzy go takim samym uczuciem, jakim darzyła Vernona. Ale naprawdę jest mu oddana, oczywiście, że jest! Nie mówiąc o przywiązaniu, a czyż może być coś pewniejszego w życiu niż czyjeś przywiązanie? Bezpieczna i szczęśliwa, właśnie tak się czuła i brakowało jej tylko tego, żeby Vernon o tym wiedział. Byłby zadowolony, na pewno byłby.

George Chetwynd zjawił się na tarasie. Wyglądał jak typowy angielski właściciel ziemski. Nie zestarzał się ani trochę, wręcz przeciwnie, wydawało się, że jest młodszy, niż był w istocie. Trzymał w ręku parę listów.

— Zgodziłem się wziąć udział w polowaniu u Drummonda. Mam nadzieję, że przyjemnie spędzimy czas. — Cieszę się, George.

— Musimy zdecydować, kogo chcemy zaprosić. — Zostawmy to na potem.

Nawet dobrze się składa, że państwo Hay nie przyjdą na kolację. To miłe, mieć od czasu do czasu wieczór dla siebie.

— Obawiam się, że zmęczyły cię ciągle przyjęcia w Londynie, Nell.

— No, trochę przesadziliśmy. Ale myślę, że warto było. Tak czy inaczej, tutaj mamy cudowny spokój.

— Masz rację, skarbie. — George spojrział z uznaniem na otaczający ich pejzaż. — Wolę Mołne Opactwa od wszystkich innych miejsc w Anglii. Tu się wspaniale oddycha.

Nell skinęła głową.

— Wiem, co chcesz przez to powiedzieć.

— Nie potrafię spokojnie myśleć o tym, że mogłyby się dostać w ręce ludzi niewłaściwych, no, chociażby takich Levinne'ów.

— Rozumiem twój punkt widzenia, aczkolwiek Sebastian to kochany chłopiec i bądź co bądź jego gust jest doskonały.

— Sebastian zna się dobrze na gustach publiczności — George zauważył zgryźliwie. — Jeden sukces po drugim, a od czasu do czasu succ²s d'estime, żeby udowodnić, że nie jest jedynie fabryką pieniędzy. Zaczyna nabierać wyglądu biznesmena; jeszcze co prawda nie jest wystarczająco gruby, lecz jak się nosi! W ostatnim „Punchu” jest jego karykatura. Bardzo udana.

— Sebastian doskonale się do tego nadaje — zaśmiała się Nell. —

Olbrzymie uszy i te zabawne wysokie kości policzkowe. Jako chłopiec wyglądał niesamowicie.

— I pomyśleć tylko, że bawiliście się w dzieciństwie wszyscy razem. A wiesz, mam dla ciebie niespodziankę. Przychodzi dzisiaj na lunch przyjaciółka, której nie widziałas od jakiegoś czasu.

— Nie Josephine?

— Nie. Jane Harding.

— Jane Harding! Ależ skąd, na Boga...

— Wpadłem na nią wczoraj w Wiltsbury. Odbywa tournée po kraju z jakąś trupą teatralną, choć bliższych szczegółów nie znam.

— Jane! No wiesz, George, to ty ją znasz?

— Poznałem ją przypadkowo w Serbii, gdzie oboje pracowaliśmy w służbach pomocniczych. Często się widywaliśmy. Pisałem ci o tym.

— Naprawdę? Nie pamiętam.

Coś w jej głosie go uderzyło. Zapytał niespokojnie:

— Na pewno wszystko w porządku, kochanie? Myślałem, że zrobię ci miłą niespodziankę. Zdawało mi się, że jesteście ze sobą zaprzyjaźnione. Jeśli chcesz, już odwołuję jej wizytę...

— Nie, nie. Oczywiście, zobaczę ją z przyjemnością. Po prostu mnie zaskoczyłeś.

George uspokoił się.

— Zatem wszystko w porządku. Przy okazji, Jane powiedziała mi, że pewien człowiek, Bleibner, ktoś, kogo doskonale znałem w Nowym Jorku, również przebywa w Wiltsbury. Chciałem pokazać mu ruiny opactwa.

Ruiny to jego specjalność. Nie masz nic przeciwko temu, żeby i on był

na lunchu? — Naturalnie, że nie. Zaproś go. — Spróbuję zaraz zadzwonić. Miałem zamiar zrobić to wczoraj wieczorem, ale cała sprawa uleciała mi z pamięci.

Nell została sama na tarasie. Ściągnęła brwi.

George miał rację. Z kilku powodów nie cieszyła ją myśl, że spotka się z Jane. Co więcej, nie chciała jej spotkać. Już sama wzmianka o tej kobiecie zburzyła jej ład poranka. Byłam taka spokojna, pomyślała. A teraz...

Irytujące. Tak, to jest irytujące. Jak zawsze, tak i teraz bała się Jane. Pomyślała, że Jane jest tego rodzaju osobą, której nigdy nie można być pewnym. Ona... jakby to powiedzieć? Ona wprowadza niepokój. Tak, jest niepokojąca.

Nell nie chciała być niepokojona. Dlaczego, u licha, pomyślała niemądrze, George musiał spotkać w Serbii właśnie ją? Jakże mnie to wszystko męczy. Lecz bać się Jane, to przecież absurd. Jane teraz nie mogłaby jej zranić. Biedactwo, musi mieć nieźle poplątane życie, jeżeli jeździ po kraju z jakąś wędrowną trupą.

Powinno się być lojalnym wobec starych przyjaciół, myślała dalej.

A Jane to właśnie taka stara przyjaźń. Niech zatem zobaczy, jak lojalna potrafi być ona, Nell. Nie zwlekając dłużej, w całkiem dobrym nastroju, poszła na górę i przebrała się w jasnoszarą, żorzetową suknię, do której tak znakomicie pasował sznur pereł, prezent od George'a na ostatnią rocznicę ich ślubu. Dołożyła szczególnych starań, by wyglądać jak najlepiej, zaspokajając tym samym jakiś mroczny kobiecy instynkt.

Przynajmniej będzie ten mężczyzna, pomyślała, ten Bleibner, a to ułatwi sytuację. Choć dlaczego spodziewała się kłopotliwej sytuacji, tego sama sobie nie potrafiła wytłumaczyć.

George przyszedł po nią właśnie w chwili, kiedy kończyła pudrować twarz.

— Przyjechała Jane — powiedział. — Czeka w salonie.

— A pan Bleibner?

— Niestety, kiedy dzwoniłem, był już umówiony z kimś innym.

Zapowiedział się na popołudnie.

— Och!

Powoli schodziła na dół. To absurdalne, myślała przy tym, że jestem takim małym, tchórzliwym stworzeniem. Biedna Jane, po prostu trzeba być dla niej miłą. Żeby tak stracić głos i z konieczności robić to, co robi? Okropny pech!

Jane jednakże nie wyglądała jak ktoś, kogo prześladowuje pech. W

niedbalej pozie, półleżąc na sofie, ze szczerym uznaniem rozglądała się po pokoju.

— Witaj, Nell. Widzę, że potrafiłaś się całkiem wygodnie urządzić.

To była odrażająca uwaga. Nell zeszywniała. Trzeba było coś powiedzieć, lecz nie mogła zebrać myśli. Oczy Jane, pełne urągającej złośliwości, nie dodawały jej odwagi. Wyciągnęła rękę do powitania.

— Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi — powiedziała.

— O to wszystko. Mieszkanie jak pałac, przystojny lokaj, dobrze płatna kucharka, bezszmerowa służba, prawdopodobnie francuska pokojówka, woda do kąpieli z najmodniejszymi olejkami i solami, pięciu, a może sześciu ogrodników, luksusowe limuzyny, kosztowne stroje i, jeśli się nie

myślę, prawdziwe perły! Czy bardzo cię to wszystko cieszy? Jestem pewna, że tak.

— Powiedz mi coś o sobie — rzekła na to Nell, siadając obok Jane na sofie.

Oczy Jane zwięzły się.

— To bardzo zręczna odpowiedź. I w pełni sobie na nią zasłużyłam.

Przepraszam cię, Nell. Zachowałam się nieludzko. Lecz weszłaś tutaj jak łaskawa królowa, a cudza łaskawość zawsze wprowadza mnie z równowagi.

Wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju. — A więc to jest dom Vernona — powiedziała, łagodniejąc. — Nigdy przedtem go nie widziałam. Słyszałam jedynie, co Vernon o nim mówił. — Milczała chwilę, a potem zapytała szorstko: — Jak wiele tu zmieniliście?

Nell wyjaśniła, że w miarę możliwości starali się zachować poprzedni wygląd. Zasłony, pokrycia mebli, dywany i tak dalej są oczywiście nowe: stare były zbyt zniszczone. No i dodano kilka bezcennych mebli. George kupił je, bo uznał, że harmonizują z całością.

Oczy Jane przez cały czas spoczywały na niej nieruchomo. Nell czuła się nieswojo, nie potrafiła rozszyfrować ich wyrazu.

Nim skończyły wymieniać uwagi o domu, wszedł George i wszyscy troje udali się na lunch.

Najpierw rozmawiano o Serbii, o kilku tamtejszych wspólnych przyjaciółach. Potem o sprawach Jane. George nawiązał delikatnie do jej głosu, do żalu, który czuje z tego powodu, żalu, który niewątpliwie czują wszyscy, nie tylko on. Jane nie sprawiała wrażenia zbyt zmartwionej.

— Och, to moja wina — powiedziała. — Brałam się za śpiewanie utworów, do których mój głos nie jest stworzony.

Sebastian Levinne, mówiła dalej, to wspaniały przyjaciel. Chce obsadzić ją w głównej roli w teatrze w Londynie, lecz ona najpierw wolałaby nauczyć się sztuki aktorskiej.

— Śpiewanie w operze oczywiście też wymaga tego typu umiejętności, lecz to jeszcze nie wszystko. Mam przed sobą tyle do nauczenia, że wspomnę tylko o ustawieniu głosu, o dykcji. Teatr wymaga od aktora więcej subtelności, zachowania umiaru, tu nie można pozwalać sobie na zbyt szerokie gesty, na zbyt dużą impulsywność.

Dodała, że następnej jesieni planuje wystąpić w Londynie w teatralnej wersji Toski, po czym przeszła do rozmowy o Możnych Opactwach. Oboje z George'em przedyskutowali plany i pomysły związane z całą posiadłością, przy czym George bez przerwy podkreślał swoją rolę jako właściciela ziemskiego.

Ani w oczach Jane, ani w jej głosie nie było śladu kpiny, lecz mimo to Nell czuła się skrępowana. Niechby George przestał się wreszcie popisywać. Niechby się przestał pysznić Możnymi Opactwami tak, jak gdyby on i jego przodkowie żyli tu od wieków.

Po kawie wyszli na taras, lecz niebawem George został wezwany do telefonu. Rzuciwszy słowo przeprosin, zostawił je same. Nell zaproponowała spacer po ogrodzie, a Jane przystała na to z przyjemnością. — Chciałabym wszystko zobaczyć — powiedziała. Ona chce zobaczyć dom Vernona, pomyślała Nell. To dlatego tu przyjechała.

Niech jej będzie. Vernon i tak nigdy nie znaczył dla niej tyle, ile znaczył dla mnie!

Gorąco pragnęła dowieść swojej słuszności, udowodnić Jane... Co udowodnić, tego sama dokładnie nie wiedziała, lecz czuła podświadomie, że Jane ją osądza, co więcej, że ją potępia.

Szły wzdłuż długiego klombu, na którym teraz, na tle starych, czerwonych murów, wesoło jaskrawiły się michałki. Nell nagle przystanąła.

— Jane. Chcę ci powiedzieć... chcę wyjaśnić... — przerwała, próbując zebrać się w sobie.

Jane rzuciła jej szybkie, badawcze spojrzenie.

— Pewnie myślisz o mnie bardzo źle... tak prędko wyszłam za męż...

— Ależ skąd — odparła Jane. — To było bardzo rozsądne.

To nie tak, pomyślała Nell. Ona chce mnie zbyć byle czym.

— Uwielbiałam Vernona, tak, uwielbiałam. Kiedy zginął, serce rozdzierało mi się z bólu. Mimo to wiedziałam, byłam przekonana, że on sam nie życzyłby sobie mojego smutku. Zmarli nie chcą, byśmy byli smutni...

— Skąd wiesz?

Nell popatrzyła na nią zaskoczona. — Głosisz wygodne poglądy —

powiedziała Jane. — Zmarli chcą, abyśmy byli dzielni, nie tracili ducha i tak dalej. Nie życzą sobie żadnych łez. Tak mówią wszyscy, lecz ja nie potrafię pojąć, skąd się bierze w ludziach ta ich ufna wiara. Przypuszczam, że oszukują sami siebie, by łatwiej im było żyć.

Żywi bywają różni. Nie wszyscy chcą tego samego, więc może podobnie jest z umarłymi. Są na pewno setki samolubnych zmarłych (jeśli w ogóle istnieją jacyś zmarli), którzy są tacy sami, jacy byli za życia. I na pewno daleko im do wspaniałego altruizmu. Przynajmniej na początku. Śmiech mnie ogarnia, kiedy widzę, jak pogrążony w smutku wdowiec obżera się nazajutrz po pogrzebie i zapewnia uroczyście, że jego Mary nie chciałaby, by się umartwiał. Skąd on o tym wie? Mary może właśnie lamentuje i zgrzyta zębami, widząc, jak jej mąż używa sobie jak zwykle, jak gdyby ona nigdy nie istniała. Za życia tuziny kobiet robią wokół siebie zamieszanie. Dlaczego miałyby zmienić swój charakter po śmierci?

Nell milczała. Nie mogła zebrać myśli. — To nie znaczy, że Vernon miałby być taki sam — kontynuowała Jane. — On istotnie mógłby nie chcieć, żebyś nosiła po nim żałobę. Ty to wiesz najlepiej, bo ty znałaś go tak jak nikt inny.

— Tak — podchwyciła czym prędzej Nell. — Właśnie tak. Wiem, że życzyłyby mi szczęścia, i wiem, że podobałoby mu się, że tu jestem. On chciał za życia, żebym miała Możliwe Opactwa.

— On chciał mieszkać w nich razem z tobą. A to co innego.

— Tak, co innego, lecz także moje życie z George'em nie jest takie, jakie byłoby z nim. Och, Jane, tak bardzo chcę, żebyś mnie zrozumiała. George jest kochany, lecz on nie jest i nigdy nie będzie dla mnie tym, czym był Vernon.

Zapadło długie milczenie. Przerwała je Jane:

— Jesteś szczęśliwą kobietą, Nell.

— Czyżbyś myślała, że ja naprawdę kocham ten cały przepych? Dla Vernona rzuciłabym wszystko w jednej chwili!

— No, nie wiem.

— Jane! Ty...

— Tobie tak się zdaje, lecz ja... ja mam pewne wątpliwości.

— Już raz to zrobiłam.

— Nie, ty tylko przestałaś myśleć o dostatniej przyszłości. To co innego. Tym razem połknęłaś haczyk.

— Jane!

Oczy Nell wypełniły się łzami. Odwróciła twarz.

— Moja droga, jak zwykle jestem nieuczynna. W tym, co zrobiłaś, nie ma nic złego. Przypuszczam nawet, że postąpiłaś słusznie i zgodnie z ewentualnym życzeniem Vernona. Ty potrzebujesz dobroci i opieki, choć skądinąd wygodne życie każdego wciąga. Kiedyś się przekonasz. A nawiasem mówiąc, źle mnie zrozumiałaś, kiedy powiedziałam, że jesteś szczęśliwa. Być szczęśliwym, to umieć pogodzić sprawy duchowe ze sprawami cielesnymi, co się ludziom rzadko udaje, lecz tobie i owszem; tobie się udało. Gdybyś wyszła za George'a za pierwszym razem, szłabyś przez życie ze skrywanym żalem, z tęsknotą za Vernonem, z poczuciem, że los cię okpił przez twoją własną tchórzliwość. Gdyby Vernon żył, możliwe, że po pewnym czasie odsunęlibyście się od siebie, skłócenie, z nienawiścią w sercach.

Stało się jednak, jak się stało. Miałaś Vernona, a ponosząc ofiarę, zachowałaś go na zawsze w sercu, tam, gdzie już nic go nie dotknie.

Miłość już na zawsze pozostanie dla ciebie czymś pięknym. No a przy tym masz te wszystkie rzeczy. Te oto! Rozpostarła szeroko ramiona.

Nell nie słuchała uważnie do końca. Widać było po jej oczach, że się rozrzewniła.

— Wiem. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Słyszysz się to, kiedy się jest dzieckiem, a później samemu się to mówi. Wszystko jest w ręku Boga. — A co ty wiesz o Bogu, Nell Chetwynd? W

postawionym pytaniu krył się tak wielki ładunek okrucieństwa, że Nell popatrzyła na Jane w zdumieniu. Tak, niewątpliwie Jane rzucała pod jej adresem gwałtowne oskarżenie. W jej twarzy nie było śladu łagodności sprzed ostatnich kilku chwil.

— Bóg i jego wola! Pewnie mi zaraz powiesz, że twoje dzisiejsze bogactwo jest ci nadane wola Boga, tak? Nie wiesz nic o Bogu, inaczej nie mówiłabyś tak, jak mówisz, a mówisz tak, jakbyś poklepywała Boga po plecach, oczekując, że uczyni twoje życie wygodnym i dostatnim.

Czy znasz pewien werset z Biblii, taki, który mnie zawsze przeraża?

Jeszcze tej nocy zażądają twojej duszy od ciebie. Kiedy Bóg zażąda twojej duszy, bądź pewna, że mu ją oddasz! — Zamilkła. Chwilę później jej głos brzmiał zupełnie inaczej. — Pójdę już. Wiem, nie powinnam tu przychodzić, ale chciałam zobaczyć dom Vernona. Przepraszam, że mnie poniosło. To dlatego, że jesteś tak diabelnie z siebie zadowolona.

Zadowolona, właśnie tak. Życie dla ciebie zaczyna się i kończy na tobie samej. A co z Vernonem? Czy to najlepsze, co mogło go spotkać?

Czy myślisz, że chciało mu się umierać, kiedy życie stało przed nim otworem?

Nell wyzywającym gestem odrzuciła głowę do tyłu. — Uczyniłam go szczęśliwym. — Nie myślałam o jego szczęściu. Myślałam o jego muzyce.

Co znaczysz ty, razem z Możliwymi Opactwami? Vernon miał talent, nie, to źle powiedziane, Vernon należał do swego talentu. A talent to najsurowszy mistrz, najbardziej wymagający. Trzeba mu poświęcić wszystko, łącznie z własnym tandetnym szczęściem, gdyby ono stanęło mu na przeszkodzie. Talentowi trzeba stale służyć. Świat muzyki potrzebował Vernona, a on umarł. Śmierć kogoś takiego to zbrodnia wołająca o pomstę do nieba, podczas gdy ty jego muzyki nigdy nie chciałaś choćby zauważyć. Wiem dlaczego: ty jej się bałaś, Nell.

Muzyka Vernona nie zapewniała ci spokoju ani szczęścia, ani bezpieczeństwa. Lecz powtarzam ci, talentowi trzeba służyć... — Napięta twarz Jane nagle złagodniała, a w jej oczach na powrót pojawiły się ironiczne błyski, których Nell tak bardzo nienawidziła. — Nie przejmuj się, Nell — powiedziała. — Jesteś najsilniejsza z nas wszystkich. Kolory ochronne! Sebastian powiedział mi to dawno temu i miał rację. Nikogo z nas już nie będzie, a ty nadal będziesz trwała.

Żegna], przykro mi, że jestem taka okropna, ale nie potrafię być inna.

Nell wpatrywała się w odchodzącą postać. Zacisnęła dłonie i szepnęła:

— Nienawidzę cię. Zawsze cię nienawidziłam...

Dzień zaczął się tak spokojnie, a teraz wszystko się zepsuło. Oczy Nell wezbrały łzami. Dlaczego ludzie nie zostawią jej w spokoju? Jane i ta jej okropna drwina. Jane jest nieludzka, niesamowicie nieludzka.

Wie, gdzie uderzyć. Zna miejsca najbardziej podatne na ból.

Przecież nawet Joe powiedziała jej, Nell, że dobrze robi, wychodząc za George'a! Joe rozumie ją doskonale. Nell poczuła się skrzywdzona i zraniona. Dlaczego Jane jest taka nieznośna? No i mówienie takich rzeczy o zmarłych, bezbożnych rzeczy, podczas gdy wszystkim wiadomo, że zmarli lubią, kiedy się jest dzielny i kiedy się zachowuje pogodę ducha.

To bezczelność ze strony Jane ciskać jej w twarz cytaty z Biblii.

Kobieta taka jak Jane, która żyła z jakimiś osobnikami i robiła te wszystkie nieprzyzwoite rzeczy, nie powinna powoływać się na Biblię.

Nell przepelniło uczucie godności — zawsze starała się iść drogą cnoty. Na przekór wszystkiemu, co się dzisiaj mówi, są dwa rodzaje kobiet, pomyślała. Ja należę do jednego, a Jane do drugiego. Jane jest pociągająca, ten rodzaj kobiet zawsze jest pociągający, i to dlatego w przeszłości ona zawsze się Jane obawiała. Jane ma nad mężczyznami jakąś dziwną władzę; może dlatego, że jest zepsuta do szpiku kości.

Pełna takich myśli, chodziła niespokojnie tam i z powrotem. Nie miała ochoty wracać do domu. W każdym razie tego popołudnia nie miała nic szczególnego do roboty. Były jakieś listy do napisania, lecz, doprawdy, teraz nie mogłaby do nich zasiać.

Do tego czasu zdążyła zapomnieć o amerykańskim przyjacielu męża i widok George'a, prowadzącego ze sobą pana Bleibnera, zaskoczył ją całkowicie. Amerykanin okazał się wysokim, szczupłym mężczyzną o nienagannych manierach. Z poważną miną pogratulował jej domu.

Wyjaśnił, że właśnie idą obejrzeć ruiny opactwa, a George dodał, że mogłaby pójść z nimi.

— Idźcie sami — odparła Nell. — Niebawem do was dołączę. Muszę wziąć kapelusz, słońce zbyt mocno przygrzewa.

— Może ja po niego pójde, kochanie?

— Nie, dziękuję. Ty idź z panem Bleibnerem. Spędzicie tam całe wieki, już ja to wiem.

— Skłonny byłbym podzielać pani przekonanie, pani Chetwynd. Jak rozumiem, mąż pani ma pewien pomysł na odrestaurowanie opactwa. To bardzo interesujące.

— To tylko jeden z naszych licznych pomysłów, panie Bleibner.

— Zapewne jest pani szczęśliwa, będąc właścicielką takiej posiadłości. A propos, ufam, że nie ma pani nic przeciwko temu, by mój szofer przeszedł się po państwa gruntach. Pozwoliłem mu na to, naturalnie za zgodą pani męża. To bardzo inteligentny, a nawet, powiedziałbym, najwyższej klasy młody człowiek.

— Oczywiście, panie Bleibner. A gdyby chciał obejrzeć wnętrze domu, wystarczy, by zwrócił się do kamerdynera. Ten go oprowadzi.

— To bardzo miło z pani strony, pani Chetwynd. Uważam, że powinno się doceniać wartość wszystkich klas społecznych. Idea, która legła u podstaw Ligi Narodów...

Nell nagle poczuła, że wysłuchanie poglądów pana Bleibnera na temat Ligi Narodów byłoby dla niej nie do zniesienia. Z pewnością mają swoją wagę i odpowiednią do niej długość. Zatem, wymawiając się zbyt gorącym słońcem, zostawiła obu panów samych.

Niektórzy Amerykanie są doprawdy szalenie nudni, pomyślała. Jakie to szczęście, że George nie jest taki. Kochany George, przecież on jest prawie doskonały. Znow doświadczyła ciepłego, rozkosznego uczucia, jakie ogarnęło ją tego ranka.

Że też była taką straszną idiotką i pozwoliła Jane wyprowadzić się z równowagi. Właśnie jej! Czy to ważne, co taka Jane myśli czy mówi?

Oczywiście, że nieważne, lecz jest w niej coś takiego... ta Jane jest w stanie... tak, to prawda, ona jest w stanie każdego zdenerwować.

Lecz zło minęło. I oto Nell znow dała się porwać dobrze znanej fali, niosącej ze sobą poczucie bezgranicznego bezpieczeństwa. Można Opactwa, George, czuła pamięć o Vernonie. Wszystko wróciło na swoje miejsce.

Z kapeluszem w ręku zbiegła w radosnym nastroju ze schodów.

Zatrzymała się jeszcze na chwilę, aby założyć go przed lustrem. Teraz mogłaby już dołączyć do obu panów. Mogłaby nawet być absolutnie czarująca dla pana Bleibnera.

Zeszła po schodach tarasu. Przemierzyła ogród. Było później, niż jej się zdawało. Słońce chyliło się już ku zachodowi, ku pięknemu zachodowi na oblanym purpurą niebie.

Przy stawie ze złotymi rybkami stał, tyłem do niej, młody mężczyzna w liberii szofera. Słyszając, że ktoś nadchodzi, obrócił się i uniosł palce do daszka.

Stanąła jak wryta. Jej ręka powoli, nieświadomie, uniosła się ku sercu. Nell patrzyła...

George Green też patrzył.

— A to dziwna historia! — zawołał sam do siebie.

Po przybyciu do celu podróży, jego pan powiedział mu:

— To jedno z najstarszych i najbardziej interesujących miejsc w Anglii, Green. Zostanę tu co najmniej przez godzinę, może dłużej.

Zapytam pana Chetwynda, czy możesz przejść się po jego gruntach.

Stary niedołęga, pomyślał Green pobłażliwie, choć trzeba przyznać, piekielnie zapalony do tego, co się nazywa „dodawaniem ducha”. Nikogo nie potrafiłby zostawić własnemu losowi. No i ma w sobie tę nadzwyczajną amerykańską cześć dla wszystkiego, co choćby pachnie starożytnością.

Niemniej Green musiał przyznać, że znalazł się w całkiem przyjemnym miejscu. Przyglądał się okolicy z rosnącym uznaniem.

Widział już gdzieś podobny krajobraz, był tego pewien. Jego dusza przestała się buntować przeciw nadmiernej troskliwości pana Bleibnera. Już nie miał nic przeciwko spacerowi, jaki mu ten zalecił.

Wszędzie rzucało się w oczy, że posiadłość jest zadbana jak należy. Kto jest jej właścicielem? Jakiś gość z Ameryki? Ach, ci Amerykanie, każdy z nich ma pieniądze. Ciekawe, do kogo należała przedtem. Ktokolwiek to był, na pewno rozstawał się z nią z ciężkim sercem. Szkoda, że nie urodziłem się w eleganckim świecie, pomyślał

Green z westchnieniem. Chciałbym mieć coś takiego.

Po jakimś czasie znalazł się w ogrodach. W pewnej odległości od niego widniało zwałowisko jakichś ruin, a pośród nich kręciły się dwie postaci. W jednej z nich rozpoznał swego pracodawcę. Śmieszny stary narwaniec. Nic, tylko by myszkował po ruinach.

Zabawnie jest myśleć o czymś tak, jakby to coś już się przedtem zdarzyło. Green mógłby przysiąc, że kiedyś stał w miejscu, w którym teraz stoi, i że tak samo wpatrywał się w zarysy domu na tle purpurowego nieba. Mógłby także przysiąc, że odczuwał ten sam ostry ból, jakby coś dotkliwie go zraniło. Lecz brakowało mu tu kogoś —

kobiety, której rude włosy miały barwę zachodzącego słońca.

Za jego plecami rozległy się czyjeś kroki. Drgnął i odwrócił się.

Przez chwilę doznawał męczarni bliżej nie sprecyzowanego rozczarowania, ponieważ wymykające się spod kapelusza włosy młodej, smukłej kobiety, która przed nim przystanąła, były złote, nie rude.

Z szacunkiem dotknął daszka czapki.

To jakaś dziwna młoda dama, pomyślał. Patrzy na mnie, a jej twarz robi się coraz bledsza. Jakby zobaczyła zjawę.

Trwało to chwilę. Młoda kobieta chwyciła łyk powietrza, odwróciła się i ruszyła alejką prawie biegiem.

To wtedy Green zawołał: „A to dziwna historia!”, następnie uznał, że ta dama, kimkolwiek jest, ma trochę nie po kolei w głowie i podjął

swój spacer bez celu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Sebastian Levinne siedział w swoim biurze i właśnie zagłębiał się w szczegóły pewnego „delikatnego” kontraktu, kiedy przyniesiono mu telegram. Otworzył go nieuważnie, ponieważ otrzymywał czterdzieści do pięćdziesięciu telegramów dziennie. Jednak po przeczytaniu nie odłożył go byle gdzie na biurko, tylko zmiął i wsunął do kieszeni.

— Wychodzę, a sprawę tego kontraktu zostawiam panu. Niech pan się nim zajmie najlepiej, jak potrafi — rzucił krótko do Lewisa, swojej prawej ręki, i nie zważając na głośnie protesty, opuścił pokój.

W biegu polecił sekretarce, by odwołała wszystkie umówione spotkania, następnie udał się do domu, spakował neseser, wsiadł do taksówki i kazał się wieźć na dworzec Waterloo. W taksówce sięgnął do kieszeni, rozprostował zmięty telegram i jeszcze raz go przeczytał.

Przyjedź natychmiast jeśli możesz bardzo pilne Jane Wilts Hotel Wiltsbury.

Nie wahając się ani chwili, dał dowód na to, jak bardzo ufa Jane i jak ją szanuje. To prawda: ufa jej jak nikomu na świecie, więc jeśli Jane mówi, że pilne, to pilne. Usłuchał wezwania, nie trwoniąc myśli i czasu na przewidywanie komplikacji, jakie ono ewentualnie spowoduje, a trzeba tu zaznaczyć, że nie zrobiłby tego dla nikogo innego na świecie.

Po przybyciu do Wiltsbury kazał się zawieźć prosto do hotelu. Jane wynajmowała prywatny apartament i tam właśnie wyszła mu naprzeciw z otwartymi ramionami.

— Sebastianie, mój drogi, zjawiasz się nadspodziewanie prędko.

— Wyruszyłem od razu. — Zdjął płaszcz i rzucił go na oparcie krzesła. — Co się stało, Jane?

— Chodzi o Vernona. Sebastian był zaskoczony.

— To znaczy?

— On nie zginął. Widziałam go.

Sebastian wpatrywał się w nią intensywnie przez minutę, następnie przysunął krzesło do stołu i usiadł.

— Co prawda to do ciebie niepodobne, Jane, ale myślę, że raz w życiu wolno ci się omylić.

— Nie, nie myślę się. Przypuszczam, że zaszła omyłka w raportach wojskowych.

— Błędne informacje się zdarzały, nie raz i nie dwa, lecz bardzo prędko je dementowano. Jest rzeczą zrozumiałą, że na wojnie o nie nietrudno. Lecz jeśli istotnie Vernon żyje, to co porabiał przez cały ten czas?

Jane potrząsnęła głową.

— Tego nie umiem powiedzieć. Lecz wierzę, że Vernon żyje tak samo jak w to, że ty jesteś tutaj.

Mówiła zwięźle, przeświadczona o prawdziwości swych słów.

Sebastian przyglądał jej się chwilę surowym wzrokiem, po czym skinął głową.

— Mów, proszę.

— Jest tutaj Amerykanin — Jane zaczęła snuć swą opowieść spokojnym, opanowanym głosem — niejaki pan Bleibner. Spotkałam go kiedyś w Serbii, a teraz rozpoznaliśmy się na ulicy. Powiedział mi, że zatrzymał się w hotelu „County” i zaprosił mnie dzisiaj na lunch.

Poszłam. Później się rozpadało. Nawet nie chciał słyszeć, żebym wracała pieszo. Zabrał mnie do swego samochodu. Sebastianie, szoferem okazał się Vernon. Jednak nie poznał mnie. Słyszysz?! Nie poznał

mnie!

Sebastian przystąpił do rozważania całej sprawy.

— Czy jesteś pewna, że nie jest to po prostu uderzające podobieństwo?

— Absolutnie pewna.

— To dlaczego on cię nie poznał? Może udawał? — Nie, nie sędzę.

Zresztą, na pewno nie. Na pewno coś bym zauważyła, czymś by się zdradził, choćby mimowolnym drgnięciem ust. Przecież się nie spodziewał, że mnie zobaczy, a skoro tak, to nie potrafiłby zapanować nad spontaniczną reakcją. A poza tym wyglądał... wyglądał... inaczej.

— Inaczej? Jak inaczej? Jane zastanowiła się.

— To trudno wytłumaczyć. Był taki pogodny i radosny, i... i chyba przypominał mi swoją matkę.

— Zdziwiałe — rzekł Sebastian. — Cieszę się, że mnie wezwałaś.

Bo jeśli to istotnie jest Vernon... No nie, przecież to niesamowita historia. Wprost nie z tej ziemi. Nell z tym swoim drugim małżeństwem i cała reszta. Dobrze byłoby powstrzymać całą tę zgraję reporterów, którzy jak nic rzucą się na niego jak wilki na owce. Choć, przypuszczam, nie da się całkiem uniknąć rozgłosu. — Wstał i zaczął

przechadzać się tam i z powrotem. — Na początek nie pozostaje nam nic innego, jak spotkać się z Bleibnerem.

— Telefonowałam do niego i umówiłam się z nim o wpół do siódmej.

Nie chciałam zwlekać, choć z drugiej strony bałam się, że możesz nie zdążyć. Bleibner będzie tu lada moment.

— Dobrze się spisałaś, Jane. Ciekawe, co nam powie.

Rozległo się pukanie do drzwi i boy zaanonsował pana Bleibnera.

Jane podniosła się, aby go powitać.

— To miło, że raczył się pan do mnie pofatygować, panie Bleibner — zaczęła.

— Cała przyjemność po mojej stronie — powiedział Amerykanin. —

Zawsze do usług pięknych pań. A poza tym podobno ma pani do mnie pilną sprawę.

— To prawda. Najpierw jednak chcę panu przedstawić pana Sebastiana Levinne'a.

— Czyżby sławnego Sebastiana Levinne'a? Bardzo mi miło poznać szanownego pana.

Dwaj panowie uścisnęli sobie ręce.

— Zatem pozwoli pan, panie Bleibner — powiedziała Jane — że przejdę do sprawy, o której chcemy z panem porozmawiać. Chodzi o pańskiego szofera. Od jak dawna pracuje u pana i co mógłby nam pan o nim powiedzieć?

Pan Bleibner był pełen zaskoczenia i nie omieszkał tego okazać.

— Green? Chcecie państwo coś wiedzieć o Greenie?

— Tak.

— No cóż... — Amerykanin zastanowił się. — Oczywiście nie widzę powodu, dla którego nie miałbym zdradzić się z tym, co sam wiem, bo jak zgaduję, nie pytają państwo bez istotnej przyczyny. No i znam panią wystarczająco, panno Harding, bym nie żywił niepotrzebnych podejrzeń. Otóż natknąłem się na Greena w Holandii niedługo po zawieszeniu broni. Pracował w jakimś lokalnym warsztacie samochodowym. Kiedy okazało się, że jest Anglikiem, zacząłem się nim interesować. Usiłowałem wypytywać go o jego dzieje, lecz za każdym razem odpowiadał wymijająco. Początkowo nawet przypuszczałem, że ma coś do ukrycia, lecz niebawem uwierzyłem w jego szczerość. Ten człowiek miał jakieś kłopoty z pamięcią. Znał swoje imię i to, skąd pochodzi, a poza tym niewiele więcej.

— Amnezja — powiedział Sebastian półgłosem. — Rozumiem.

— Powiedział mi jeszcze, że jego ojciec poległ w Afryce Południowej. Ponadto pamiętał, że ojciec śpiewał w wiejskim chórze oraz że miał brata, którego zwykł nazywać Wiewiórką.

— A czy był pewien swojego nazwiska?

— O tak. Prawdę mówiąc, miał je zapisane w kieszonkowym notesie.

Nim go poznałem, uległ jakiemuś wypadkowi, to znaczy uderzyła go ciężarówka. Dzięki temu notesowi tamci ludzie wiedzieli, kim jest.

Zapytali go, czy ma na nazwisko Green, a on powiedział tak, George.

Cieszył się w warsztacie dużą sympatią, ponieważ tryskał pogodą ducha. Ja też nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział go ze skwaszoną miną.

No cóż, polubiłem tego chłopaka. Zetknąłem się już wcześniej z przypadkami nerwic wojennych i jego stan nie był dla mnie czymś niezwykłym. Pokazał mi notatkę w swoim notesie, a ja wykorzystałem ją do przeprowadzenia małego śledztwa. Wkrótce znalazłem powód, za pozwoleniem, zawsze jest jakiś powód utraty pamięci. Kapral George Green z londyńskiego pułku fizylierów okazał się dezerterem.

I to wszystko. Stchórzył. A jako z gruntu przyzwoity młody człowiek, nie mógł spojrzeć prawdzie w oczy. Kiedy mu to usiłowałem wytłumaczyć, powiedział, i to raczej z niedowierzaniem: „Nigdy bym nie pomyślał, że mógłbym być dezerterem. Kimkolwiek, tak, lecz nie dezerterem”. No więc tłumaczyłem dalej, że taki właśnie punkt widzenia stał się powodem, dla którego stracił pamięć. Nie pamiętał, bo nie chciał pamiętać.

Green przysłuchiwał się, lecz nie wyglądał na przekonanego. Było mi go wówczas niewypowiedziane żal. Zresztą żałuję go nadal. Nie uważałem, by ciążyła na mnie powinność zgłoszenia jego przypadku do władz wojskowych. Wziąłem go do siebie na służbę, wierzyłem bowiem, że pracując u mnie, ułoży sobie życie. Jest znakomitym szoferem: punktualny, inteligentny, a poza tym dobry mechanik, że nie wspomnę, o czym już mówiłem, to znaczy o wrodzonej pogodzie ducha, a także miłym sposobie bycia.

Pan Bleibner przerwał i popatrzył pytająco na Jane i na Sebastiana. Ich poważne, pobladłe twarze zrobiły na nim wrażenie.

— To przerażające — powiedziała Jane swoim niskim głosem. — To najbardziej przerażające ze wszystkiego, co się mogło wydarzyć.

Sebastian ujął jej dłoń w mocny uścisk.

— Wszystko w porządku, Jane.

Jane podniosła się, drżąc lekko, i zwróciła się do Amerykanina.

— Sądzę, że teraz kolej na nasze wyjaśnienia. Widzi pan, panie Bleibner, w pańskim szoferze rozpoznałam dawnego przyjaciela, lecz on się do mnie nie przyznał.

— Coś podobnego!

— On nie nazywa się Green — rzekł Sebastian.

— Nie? Czy to znaczy, że zaciągnął się do wojska pod innym nazwiskiem?

— Nie. W całej historii jest jeszcze coś niezrozumiałego, choć przypuszczam, że pewnego dnia i to da się wyjaśnić. Tymczasem, panie Bleibner, bardzo proszę, by nie powtarzał pan nikomu naszej rozmowy.

Nikomiu. Cóż, jest żona i... och, jest tyle innych względów.

— Mój drogi panie — odrzekł pan Bleibner. — Może mi pan zaufać: zachowam całkowite milczenie. Lecz co dalej? Czy chcecie zobaczyć Greena?

Sebastian popatrzył na Jane, a ta potakująco skinęła głową.

— Tak — powiedział Sebastian wolno, z namysłem. — To chyba na razie najlepszy pomysł.

Amerykanin wstał.

— Jest na dole. Przywiózł mnie. Zaraz go tu przyślę.

George Green wspinał się po schodach swym zwykłym sprężystym krokiem. Zastanawiał się przy tym, co tu takiego zaszło, co wyprowadziło z równowagi starego narwańca. „Stary narwaniec” to był nie kto inny jak jego pracodawca. Bardzo dziwną miał minę ten niedołęga.

„Drzwi u szczytu schodów”, tylko tyle mu powiedział. George Green zastukał energicznie i czekał. Ktoś w środku powiedział „Wejść”, więc wszedł.

W pokoju było dwoje ludzi: kobieta, którą odwoził wczoraj do domu (a którą określił sobie jako tip-top) i duży, grubawy mężczyzna z bardzo żółtą twarzą i odstającymi uszami. Ta żółta twarz zdawała się szoferowi nieuchwytnie znajoma. Stał chwilę przy drzwiach, podczas gdy tamtych dwoje wprost wytrzeszczało na niego oczy. Coś mi się zdaje, że chyba wszyscy dzisiaj dostali bzika, pomyślał.

— Słucham, proszę pana — zwrócił się do żółtego dżentelmena z całym szacunkiem. — Pan Bleibner powiedział mi, że bym tu przyszedł...

Żółty dżentelmen zdawał się zbierać w sobie. — Tak, tak —

powiedział. — Istotnie. Siadajcie... hm, hm... Green. To wasze nazwisko, tak? — Tak, proszę pana. George Green. Pełen szacunku dla swego rozmówcy usiadł na brzeжку wskazanego krzesła. Żółty dżentelmen podsunął mu papierośnicę i powiedział: „Poczęstujcie się, Green”, ani na chwilę nie przestając przyglądać mu się małymi, świdrującymi oczkami. To baczne spojrzenie wprawiało szofera w zakłopotanie. No więc? Co się dzisiaj ze wszystkimi dzieje?

— Chciałem zadać wam kilka pytań. Na początek: czy widzieliście mnie już kiedyś? Green potrząsnął przecząco głową.

— Nie, proszę pana.

— Na pewno? — nie ustępował tamten.

W głosie Greena zadrżała nuta niepewności.

— Nie... chyba nie — powiedział niezdecydowanie.

— Nazywam się Sebastian Levinne.

Twarz szofera pojaśniała.

— Ależ tak, proszę pana. Widziałem pańskie zdjęcie w gazetach. Tak sobie myślałem, że skądś pana znam. Na chwilę zapadło milczenie, a następnie Sebastian Levinne zapytał ostrożnie:

— Czy słyszeliście kiedykolwiek nazwisko Deyre? Vernon Deyre?

— Vernon Deyre — powtórzył Green wolno, jakby z namysłem, po czym zmarszczył czoło w

zakłopotaniu. — To nazwisko zdaje mi się w jakiś sposób znajome, proszę pana, choć nie wiem skąd. — Przerwał.

Zmarszczki na czole pogłębiły się. — Chyba je gdzieś słyszałem. — I dodał jeszcze: — Ten dżentelmen nie żyje, tak?

— A więc to takie odnosicie wrażenie. Hm. Ten dżentelmen nie żyje.

Rozumiem.

— Tak, proszę pana, i dobrze... — urwał w pół słowa. Twarz mu spurpurowiała.

— Mówcie dalej — zachęcił go Levinne. — No więc, co dobrze? —

Nagle pojął, czego obawia się Green i dodał uspokajająco: — Możecie mówić bez ogródek. Pan Deyre nie był moim krewnym.

Szofer wziął słowa Levinne'a za dobrą monetę. — Chciałem powiedzieć, że i dobrze się stało. Nie wiem, czy powinienem tak mówić. Przecież nawet go nie pamiętam. Jednak odnoszę wrażenie, że to był ktoś, kto zszedł z właściwej drogi, żeby tak powiedzieć. Narobił

chyba sporo zamieszania. Prawda to? — Znaliście go?

Zmarszczki pogłębiły się jeszcze bardziej. Najwyraźniej szofer wszelkimi siłami próbował odświeżyć swoją pamięć.

— Przykro mi, proszę pana — powiedział przepaszająco. — Od wojny wszystko mi się trochę miesza. Nie zawsze potrafię przypomnieć sobie to, co bym chciał. Nie wiem, w jakich okolicznościach spotkałem pana Deyre'a i dlaczego go nie lubię, za to wiem jedno: jestem wdzięczny za wiadomość o jego śmierci. To nie był dobry człowiek, daję słowo.

Zapadła cisza, przerywana jedynie czymś, co przypominało stłumione łkanie, a dochodziło z miejsca, gdzie siedziała trzecia osoba.

Levinne zwrócił się do niej.

— Zadzwoń do teatru, Jane — powiedział. — Nie możesz się tam dzisiaj pojawić.

Jane skinęła głową i wyszła z pokoju. Levinne popatrzył w ślad za nią, po czym zapytał z zaskoczenia: — Czy widzieliście pannę Harding przedtem? — Tak, proszę pana. Odwoziłem ją wczoraj do domu.

Levinne westchnął.

— Czy to już wszystko, proszę pana? Przykro mi, że nie na wiele się przydałem. Wiem, że od wojny jestem trochę... no, trochę dziwny.

Możliwe, że pan Bleibner powiedział panu... bo ja... ja proszę pana, nie do końca wypełniłem swój żołnierski obowiązek.

Twarz mu poczerwieniała, mimo to dzielnie wyrzucił z siebie te słowa. Czy ten stary narwaniec powiedział im, czy też nie? Tak czy inaczej, lepiej wszystko powiedzieć. Tu zalał go rumieniec wstydu.

Był dezerterskim — człowiekiem, który uciekł! Paskudna sprawa. Jane Harding wróciła do pokoju i na powrót zajęła swoje miejsce przy stole. Jest teraz bledsza niż przed chwilą, pomyślał Green. Jakże ona ma dziwne oczy, takie głębokie i tragiczne. Ciekawe, o czym teraz myśli. Możliwe, że była zaręczona z panem Deyre'em. Nie, pan Levinne nie zachęcałby go do mówienia bez ogródek, gdyby to o to chodziło.

Pewnie wszystko sprowadza się do pieniędzy, testament lub coś w tym rodzaju.

Pan Levinne rozpoczął swoje przepytывanie od nowa. Nie nawiązał ani słowem do ostatniej kwestii.

— Wasz ojciec został zabity w wojnie burskiej, czy tak?

— Tak, proszę pana.

— Pamiętacie go?

— O, tak, proszę pana.

— Zatem jak wyglądał?

Green uśmiechnął się. To było przyjemne wspomnienie.

— Kawał krzepkiego chłopca. Bokobrody. Bardzo niebieskie, jasne oczy. A najbardziej ze wszystkiego pamiętam, jak śpiewał w chórze.

Barytonem. — Uśmiechnął się, uszczęśliwiony.

— I poległ w wojnie burskiej?

Na twarzy Greena pojawił się cień wątplenia. Zdawał się zmartwiony i przybity, a w jego oczach pojawiła się rzewna nuta, jak w oczach psa, który zawiódł swego pana.

— To dziwne — rzekł. — Nigdy na to nie wpadłem. Byłby za stary.

On... a jednak przysięgłbym... tak, jestem pewny...

Smutek, wyzierający z jego spojrzenia, był tak głęboki, że Levinne rzekł: „Nieważne” i przeszedł do kolejnego pytania.

— Jesteście żonaci, Green?

— Nie, proszę pana — padła natychmiastowa odpowiedź”.

— Zdaje się, że tego jesteście bardzo pewni — powiedział pan Levinne, uśmiechając się.

— Jestem, proszę pana. Zadawanie się z kobietami prowadzi jedynie do kłopotów. — Urwał, spojrzawszy na Jane. — Za przeproszeniem, proszę pani.

Ta się uśmiechnęła i powiedziała:

— Nic nie szkodzi.

Nastąpiła przerwa. Levinne odwrócił się do Jane i powiedział coś, co w uszach Greena zabrzmiało jak: „Zadziwiające podobieństwo do Sydneya Benta. Nigdy przedtem tego nie zauważyłem”.

Następnie znów zaczęli się w niego wpatrywać.

I nagle zaczął się bać, po dziecinnemu bać, tak samo jak jako dziecko, bał się ciemności. Niewiele rzeczy pamięta, ale tamtego strachu nie potrafi zapomnieć nigdy. O coś tu idzie, on to czuje, a tamtych dwoje wie. O coś, co dotyczy jego.

Pochylił się do przodu i zapytał ostrym głosem:

— O co chodzi? Bo przecież widzę, że o coś chodzi...

Nie zaprzeczyli, po prostu patrzyli na niego.

Strach w nim narastał. Wiedzą coś, czego on nie wie. Coś strasznego... Powtórzył pytanie, lecz tym razem jego głos był wysoki i piskliwy.

— O co chodzi?

Kobieta wstała (zauważył podświadomie, jak wspaniale się porusza).

Przypominała mu rzeźbę, którą gdzieś widział), obeszła stół i położyła mu dłoń na ramieniu. Powiedziała łagodnie, uspokajająco:

— Wszystko w porządku. Nie musicie się niczego bać, Green.

Lecz oczy Greena nadal sondowały twarz Levinne’a. Ten człowiek wie, ten człowiek zamierza mu coś powiedzieć. Cóż to za straszna rzecz, o której oni wiedzą, a on nie wie?

— Na wojnie zdarzają się bardzo dziwne rzeczy — zaczął mówić Levinne. — Ludzie czasami zapominają własnych nazwisk.

Zrobił znaczącą przerwę, lecz jej znaczenie uszło uwagi Greena.

Odzyskując na chwilę pogodę ducha, powiedział:

— Ze mną nie jest aż tak źle. Ja nigdy nie zapomniałem swojego.

— A jednak. — Levinne znów zrobił przerwę. Po chwili kontynuował:

— Wasze prawdziwe nazwisko brzmi Deyre. Vernon Deyre.

Ta informacja powinna była mieć dramatyczny wydźwięk, ale nie miała. Dla Greena powyższe słowa zabrzmiały po prostu niemądrze.

Wyglądał na rozbawionego.

— Ja jestem Vernonem Deyre'em? Chyba myśli pan o jego sobowtórze, czy coś takiego?

— Myślę to, co przed chwilą powiedziałem. Jesteś nim. Po prostu nim jesteś.

Green szczerze się roześmiał.

— Z taką manipulacją nie chcę mieć nic wspólnego proszę pana.

Nawet jeśli oznaczałaby dla mnie tytuł czy majątek! Będę zobowiązany, jeśli pan wykaże jakiegokolwiek podobieństwo między mną a tym dżentelmenem.

Sebastian Levinne pochylił się nad stołem i mocnym głosem wymówił

oddzielnie każde słowo.

— Ty — jesteś — Vernon — Deyre...

Green zapatrzył się w niego. Był pod wrażeniem emfazy, jaka przebijała z każdego słowa.

— Pan mnie nabiera., tak?

Levinne wolno potrząsnął głową.. Wówczas Green spojrział na stojącą obok niego kobietę. Oczy, w których malowała się powaga i całkowita pewność, oddały mu spojrzenie. Kobieta powiedziała spokojnie:

— Vernon Deyre to twoje prawdziwe imię i nazwisko. My oboje nie mamy co do tego wątpliwości.

W pokoju zaległa martwa cisza. Greenowi zdawało się, że cały świat zawirował. To przypominało mu bajkę, bajkę fantastyczną i niemożliwą do urzeczywistnienia. A jednak w tym obojgu było coś, co mogło wzbudzać wiarę. Powiedział niepewnie:

— Lecz... lecz podobne rzeczy nigdy się nie zdarzają. Nie można zapomnieć własnego nazwiska!

— Jak widać po tobie, można.

— Ale... ale proszę tylko posłuchać... ja wiem, kim jestem. Jestem George Green. Wiem to, po prostu wiem!

Popatrzył na nich triumfująco, lecz Sebastian Levinne potrząsnął głową wolno i bezlitośnie.

— Nie wiem, jak to się stało — rzekł. — Być może lekarz miałby tu coś do powiedzenia. Natomiast wiem jedno: jesteś moim przyjacielem, Vernonie. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

— Ale... ale, jeśli to jest prawda, ja też powinienem o tym wiedzieć.

Poczuł się dezorientowany i bezradny. To potwornie obrzydliwe uczucie, kiedy się nie jest niczego pewnym, pomyślał. Tych dwoje wygląda na ludzi przy zdrowych zmysłach, to prawda, i on im ufa, i na pewno jest tak, jak mówią, a jednak coś w głębi jego duszy nie chce się dać przekonać. Współczują mu, to widać.

A jednak on się ich boi. No i jest coś jeszcze, coś, czego mu nie powiedziano.

— Kim on jest? — rzucił szorstko. — Ten Vernon Deyre.

— Pochodzisz z tych stron. Urodziłeś się i większą część dzieciństwa spędziłeś w miejscu o nazwie Moźne Opactwa...

Green przerwał mu, zdziwiony.

— Moźne Opactwa? Przecież nie dalej jak wczoraj wozilem tam pana Bleibnera. I pan twierdzi, że to mój dom? Przecież gdyby tak było, tobym go rozpoznał! Nagle poczuł, że jest górą. Spojrzał na swych rozmówców z pogardą. Cała rzecz to nic innego jak stek kłamstw! Nie inaczej! Wiedział to od pierwszej chwili, kiedy znalazł się w tym pokoju. Możliwe, że ci ludzie są uczciwi, lecz, co też możliwe, dali się komuś nabrać. Poczuł się podniesiony na duchu, szczęśliwszy.

— Następnie mieszkałeś w pobliżu Birmingham — ciągnął Levinne. —

Uczyłeś się w Eton, a potem w Cambridge. Następnie przeniosłeś się do Londynu, gdzie studiowałeś muzykę. Skomponowałeś operę.

George roześmiał mu się w twarz.

— No, co to, to nie. Tu się pan na pewno myli, proszę pana.

Przecież ja nie odróżniam jednej nuty od drugiej.

— Wybuchła wojna. Dostałeś przydział do kawalerii. Byłeś żonaty... —

Sebastian Levinne zawiesił głos, lecz widząc, że ze strony Greena nie ma żadnej reakcji, mówił dalej — i wyjechałeś do Francji. Wiosną następnego roku zostałeś uznany za „poległego w boju”.

Green wpatrywał się w niego z niedowierzaniem w oczach. I po co to puste gadanie? Przecież on nie przypomina sobie ani jednej z tych rzeczy, o których się tutaj mówi.

— Na pewno zaszła jakaś pomyłka — powiedział stanowczym głosem. —

Pan Deyre na pewno miał sobowtóra.

— Nikt się tu nie myli, Vernonie — wtrąciła Jane Harding.

Green odwrócił wzrok od Sebastiana i spojrzał na nią. Łagodna poufałość jej tonu bardziej go przekonywała niż cokolwiek innego. To straszne, pomyślał. To koszmar. Takie rzeczy nie mogą się zdarzać.

Chwyciły go potworne dreszcze, nad którymi nie mógł zapanować.

Levinne podniósł się, zmieszał jakiś alkohol, stojący na tacy w rogu pokoju, i postawił go przed nim.

— Wypij to — rzekł. — Od razu poczujesz się lepiej. Po prostu jesteś w szoku.

Green łyknął wszystko jednym haustem. To go uspokoiło. Przestał

dygotać.

— Na miły Bóg, proszę pana! — zawołał. — Czy to prawda?

— Tak, klnę się na Boga. To prawda. Przyniósł krzesło i usiadł tuż obok przyjaciela. — Vernonie, mój stary, ty naprawdę mnie nie pamiętasz?

Green popatrzył na niego udręczonym wzrokiem. Coś w nim chyba drgnęło. Jakie to bolesne, to szperanie na dnie pamięci, pomyślał.

Tak, coś tam jest, tylko co? Zauważył niepewnie:

— Ty... ty wydorostałeś. — Wyciągnął rękę i dotknął ucha Sebastiana.

— Zdaje mi się, że pamiętam...

— On pamięta twoje uszy, Sebastianie! — zawołała Jane. Podeszła do kominka, oparła głowę o gzyms i zaczęła się śmiać.

— Przestań, Jane. — Sebastian wstał, znów nalał kieliszek i podał

go jej. — Tym razem lekarstwo dla ciebie.

Wypiła duszkiem, oddała kieliszek Sebastianowi, uśmiechnęła się delikatnie i powiedziała:

— Przepraszam. Więcej tego nie zrobię. Green posuwał się dalej w swych odkryciach. — Ty... ty nie jesteś moim bratem prawda? Nie, ty mieszkałeś po sąsiedzku. Właśnie tak. Po sąsiedzku...

— Właśnie tak, mój stary — powtórzył za nim Sebastian i poklepał

go po ramieniu. — Nie myśl za wiele i nie przejmuj się: pamięć sama do ciebie wróci.

Green popatrzył na Jane i odezwał się nieśmiało:

— A czy ty... czy ty jesteś moją siostrą? Chyba miałem jakąś siostrę.

Jane potrząsnęła przecząco głową; nie była w stanie mówić. Green poczerwieniał.

— Przepraszam. Nie powinienem...

Sebastian nie dał mu dokończyć.

— Nie miałeś rodzonej siostry. Miałaś cioteczną, która u was mieszkała. Miała na imię Josephine, ale nazywaliśmy ją Joe.

Green zamyślił się.

— Josephine... Joe. Tak, coś mi się kojarzy z tym imieniem. —

Przerwał, aby zacząć od początku to samo: — Jesteście pewni, że nie nazywam się Green?

— Absolutnie. A ty nadal tak uważasz?

— Tak.. I mówicie, że komponowałem muzykę... moją własną? Poważną?

Nie żaden ragtime?

— Tak.

— To wszystko zakrawa na czyste szaleństwo. Na szaleństwo, na nic innego!

— Nie przejmuj się — powiedziała Jane cicho. — My sami nie wiemy, czy postąpiliśmy słusznie, mówiąc ci to wszystko w ten oto sposób.

Green, krańcowo oszołomiony, przenosił wzrok z jednej osoby na drugą.

— I co mam teraz zrobić? — zapytał bezradnie.

Sebastian powziął natychmiastową decyzję.

— Musisz zostać z nami. Jesteś w szoku, sam wiesz. Ja udam się do pana Bleibnera i załatwię z nim twoje sprawy. To przyzwoity gość. Na pewno wszystko zrozumie.

— W żadnym wypadku nie chciałbym mu sprawić kłopotu. Był dla mnie bardzo dobrym szefem.

— On naprawdę wszystko zrozumie. Już mu co nieco powiedziałem.

— A co z samochodem? Nie podoba mi się myśl, że ktoś inny mógłby go prowadzić. Chodzi tak równo...

Na powrót był Greenem, na powrót był szoferem, oddanym swojej służbie.

— Wiem, wiem — zniecierpliwiał się Sebastian. — Lecz ty jesteś ważniejszy od samochodu, i masz się pozbierać tak prędko, jak to możliwe. Znajdziemy dla ciebie najlepszego lekarza.

— A co lekarzowi do mnie? — zjeżył się Green. — Jestem w porządku.

— Możliwe, mimo to nie zaszkodzi, jak cię obejrzy. Nie tutaj oczywiście, w Londynie. Tu nie obyłoby się bez ludzkiego gadania.

W głosie Sebastiana zabrzmiało coś takiego, co przyciągnęło uwagę Greena. Poczzerwieniał któryś raz z rzędu.

— Chodzi ci pewnie o tamtą dezercję...

— Nie, nie. Mówiąc prawdę, nawet nie wiem, kto zdezerterował i skąd, i dlaczego. Chodzi mi o coś zupełnie innego.

Green popatrzył na niego badawczo.

No, pomyślał Sebastian, kiedyś powinien się o tym dowiedzieć.

— Bo widzisz — powiedział — twoja żona, uważając cię za zmarłego...

cóż... twoja żona powtórnie wyszła za mąż.

Był niespokojny o efekt swoich słów, lecz wyglądało na to, że Green potraktował tę informację z humorem.

— To rzeczywiście drobny szkopuł — powiedział, uśmiechając się od ucha do ucha.

— Widzę, że wcale się tym nie przejmujesz.

— Jak można się przejmować czymś, czego się nie pamięta? — Tu przerwał, jak gdyby chciał wziąć cały problem pod rozwagę. — Czy pani Deyre... czy ona dla mnie wiele znaczyła?

— I owszem, tak.

Green znów się szeroko roześmiał.

— No i proszę, a ja byłem głęboko przekonany, że udało mi się wywinąć od żeniaczki! Niemniej — tu zmienił się na twarzy — wszystko to raczej mnie przeraża. — Popatrzył na Jane, jakby u niej szukał

ratunku.

— Drogi Vernonie — Jane zapewniła go gorąco — na pewno wszystko dobrze się ułoży. — Po czym dodała, jakby od niechcienia. — Powiadasz, że byłeś wczoraj z panem Bleibnerem w Możnych Opactwach. Czy widziałeś tam kogoś? Kogoś z tamtego domu?

— Widziałem pana Chetwynda. No i jeszcze jakąś panią, w ogrodach nad stawami. Wziąłem ją za panią Chetwynd, bo była taka jasnowłosa i taka przystojna.

— A czy ona... czy ona też cię widziała?

— Tak. I chyba... no, chyba się czegoś wystraszyła, bo ni z tego, ni z owego zbladła jak ściana i poderwała się do ucieczki. Zupełnie jak królik. — Green relacjonował spotkanie z panią Chetwynd na chłodno, niby postronny świadek. — Może jej się zdawało, że skądś mnie zna.

Może jest jedną z tych, którzy go, to znaczy mnie, znali w dawnych czasach. Tak, to na pewno o to poszło.

Green był zadowolony, że zagadka wczorajszego dnia znalazła tak łatwe wytłumaczenie.

I nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

— Czy moja matka miała rude włosy? — zapytał.

Jane potaknęła ruchem głowy.

— Więc to było to... — Popatrzył na nich przeproszająco. —

Wybaczcie, po prostu o czymś sobie pomyślałem.

— Idę porozmawiać z panem Bleibnerem — oznajmił Sebastian. — Jane się tobą zajmie.

Opuścił pokój. Green pochylił się w krześle i ujął twarz w obie dłonie. Czuł się bardzo nieszczęśliwy, a do tego krępowała go obecność Jane. Wszystko wskazywało na to, że powinien ją znać — a nie znał. Przed chwilą powiedziała „Drogi Vernonie”. To diabelnie niezręczna sytuacja, kiedy ludzie cię znają, a ty bierzesz ich za obcych. Gdyby tak chciał się do niej odezwać, chyba powinien nazwać ją po imieniu, lecz czy przeszłoby mu to przez gardło? Może z czasem, nie teraz, teraz Jane była dla niego obcą osobą. Wszyscy troje powinni zwracać się do siebie po imieniu: — Sebastian, Jane i George

— nie, nie George, Vernon. Głupie imię, Vernon. Prawdopodobnie i on sam, ów Vernon, był niewiele mądrzejszy.

On, pomyślał, rozpaczliwie usiłując wejść w nową rolę, on czyli ja. To ze mnie był pewnie kawał cholernego głupca.

Czuł, że jest przeraźliwie samotny, że znajduje się poza wszelkim miejscem i czasem, odcięty od

rzeczywistości. Podniósł wzrok ku obserwującej go Jane: było w niej tyle współczucia i zrozumienia, że cienie, które go otaczały od chwili przekroczenia progu tego pokoju, wreszcie zaczęły błędnąć.

— Początki zawsze bywają okropne, jak przypuszczam — powiedziała.

— Raczej trudne — odparł grzecznie. — Człowiek gubi się we wszystkim.

— Rozumiem.

Nie powiedziała nic więcej, po prostu usiadła obok niego, a jemu głowa poleciała do przodu. Zapadł w drzemkę. Jane pogasiła wszystkie światła oprócz jednego. Spał zaledwie kilka minut, lecz kiedy się zbudził, zdawało mu się, że przespał Bóg wie ile czasu. Zerwał się na równe nogi.

— Wszystko w porządku — powiedziała czym prędzej Jane.

Patrzył na nią, z trudem łapiąc oddech. A więc jeszcze się nie obudził, jeszcze wciąż trwa w jakimś niesamowitym koszmarze. Co więcej, wiedział, że nie skończy się na tym jednym koszmarze, wiedział, że przyjdzie coś jeszcze gorszego, choć sam nie wiedział

co. Tak, nie wie co, ale wie, że przyjdzie. Jest tego pewien. To dlatego oni wszyscy przyglądają mu się z tak wielkim współczuciem.

Kiedy Jane nieoczekiwanie podniosła się z krzesła, krzyknął z szaleńczym przest్రachem:

— Zostań ze mną! Och, proszę, zostań ze mną! Nie potrafił

zrozumieć, dlaczego na jej twarzy nagle pojawił się grymas bólu. Czy ten ból spowodowały jego słowa? Cóż takiego w nich się kryło?

Powiedział raz jeszcze:

— Nie opuszczaj mnie. Zostań ze mną.

Na powrót usiadła przy nim i ujęła w dłonie jego dłoń. Powiedziała bardzo łagodnie:

— Wcale nie chcę odchodzić.

To go uspokoiło. Poczł się bezpieczny i po kilku minutach znów zapadł w drzemkę. Tym razem obudził się spokojnie. Tkwił w tym samym miejscu co przedtem, a jego ręka nadal spoczywała w dłoniach Jane.

Podjął niepewnie:

— Ty... ty nie jesteś moją siostrą, prawda? A zatem... Czy jesteś moją przyjaciółką? Czy tak?

— Tak, Vernonie.

— Oddaną przyjaciółką?

— Oddaną, Vernonie.

Zrobił przerwę. Chciał mieć pewność, chciał mieć absolutną pewność... W końcu wyrzucił z siebie:

— Czy jesteś moją żoną?

Był przekonany, że padnie twierdząca odpowiedź.

Jane cofnęła dłonie i wstała. Nadal nie potrafił zrozumieć wyrazu jej twarzy. Przerzął go.

— Nie — rzekła. — Nie jestem twoją żoną.

— Och! Przepraszam. Myślałem...

— Nic nie szkodzi.

W tym momencie wrócił Sebastian. Skierował wzrok ku Jane. Ta, krzywiąc usta w ledwo widocznym uśmiechu powiedziała:

— Cieszę się, że już jesteś... Och, jak się cieszę...

Jane i Sebastian rozmawiali długo w nocy. I co teraz? Co należy zrobić? Komu należy powiedzieć?

Nell, Nell i sytuacja, w jakiej się znalazła. Przypuszczalnie to ona, jako osoba najżywotniej zainteresowana, powinna się dowiedzieć pierwsza, sugerował Sebastian.

Jane była tego samego zdania.

— Jeśli jeszcze nie wie — dodała.

— Myślisz, że wie?

— Tak, bo to nikt inny, tylko ona spotkała Vernona twarzą w twarz.

— Zgoda, lecz przecież mogła pomyśleć, że to po prostu nadzwyczajne podobieństwo.

Jane milczała.

— No, co ty na to?

— Sama nie wiem.

— Do licha, Jane, jeśli by go rozpoznała, toby do tej pory coś zrobiła. Spotkałaby się z nim lub z Bleibnerem. Już mija druga doba od tego czasu.

— Wiem.

— W takim razie zgódź się ze mną: nie rozpoznała go. Natknęła się na szofera Bleibnera, a jego podobieństwo do Vernona tak ją wstrząsnęło, że nie mogła tego znieść i uciekła.

— Powiedzmy, że tak było.

— Powiedzmy? Zatem jak, według ciebie, było naprawdę? No, słucham!

— My go rozpoznaliśmy, Sebastianie.

— Masz na myśli siebie. Ja uległem twojej sugestii.

— Ale ty też byś wiedział, że to on, gdybyś go gdzieś spotkał.

Chyba mi nie zaprzeczysz?

— Tak, wiedziałbym... Ale ja go znam od dawna, i to bardzo dobrze.

— Nell również — rzuciła ostrym głosem. Sebastian popatrzył na nią przenikliwie i powiedział:

— Do czego zmierzasz, Jane?

— Nie wiem.

— Wiesz, i to dobrze. Jak myślisz, co tam się stało? Jane zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

— Myślę, że Nell nieoczekiwanie natknęła się na niego w ogrodzie i uwierzyła, że to Vernon. Potem wyperswadowała to sobie. Woląca myśleć, że przeraziło ją jedynie przypadkowe podobieństwo.

— No więc? Przecież ja powiedziałem prawie to samo.

Kiedy zgodziła się, mówiąc potulnie „Tak, w istocie”, był, i owszem, dość mocno zaskoczony.

— No więc? Pytam dalej, widzisz w tym jakąś różnicę?

— W rzeczywistości nie, tylko że...

— Słucham?

— Ty i ja chcielibyśmy wierzyć, że to Vernon, nawet gdyby tak nie było.

— A Nell by nie chciała, tak? Przecież nie ma co do tego wątpliwości, że nie zależy jej na George’u Chetwyndzie tak bardzo...

— Nell jest bardzo przywiązana do George’a, lecz Vernon jest jedynym człowiekiem na świecie, którego kiedykolwiek kochała.

— No to wszystko w porządku. A może sądzisz, że nie? Poplątanie z pomieszaniem... A co z jego rodziną? Z panią Deyre i z Bentami?

— Nell musi się dowiedzieć przed nimi — stwierdziła Jane kategorycznie. — Pani Deyre rozgłosi to po całej Anglii natychmiast, kiedy się dowie, a wówczas Vernon i Nell znajdą się w niezręcznej sytuacji.

— Tak, chyba masz rację. Zatem mój plan jest następujący: zabieram jutro Vernona do Londynu i odwiedzamy specjalistę, a dalej będziemy postępować zgodnie z jego zaleceniami.

Jane powiedziała, że się z tym zgadza, i wstała, aby udać się do łóżka. Na schodach zatrzymała się jeszcze i powiedziała do Sebastiana:

— Zastanawiam się, czy mamy rację. To znaczy, czy słusznie postępujemy, chcąc za wszelką cenę przywrócić mu dawną tożsamość.

Wyglądał na takiego szczęśliwego. Och, Sebastianie, on naprawdę wyglądał tak szczęśliwie...

— Jako George Green, tak?

— Tak. Jesteś pewien, że mamy rację?

— Tak. Absolutnie. Taki nienaturalny stan, w jakim on się znajdował, nie jest dla nikogo wskazany.

— Przypuszczam, że to istotnie był nienaturalny stan. Tylko że Vernon wyglądał tak normalnie, tak zwyczajnie i szczęśliwie. Wciąż stoi mi przed oczami ta jego szczęśliwa twarz, Sebastianie. Vernon wyglądał na szczęśliwego... A chyba żadne z nas nie jest zbyt szczęśliwe, prawda?

Sebastian pozostawił to pytanie bez odpowiedzi.

ROZDZIAŁ TRZECI

Dwa dni później Sebastian przyjechał do Moźnych Opactw. Kamerdyner nie był pewien, czy pani Chetwynd może go przyjąć. Pani Chetwynd leży. Pani Chetwynd nie czuje się dobrze.

Sebastian podał swoje nazwisko i powiedział, że jest przekonany, że pani Chetwynd może go przyjąć. Został wprowadzony do salonu i kazano mu czekać. Dom zdawał się bardzo pusty i cichy, za to niezwykle luksusowo urządzone — zupełnie inaczej niż ten, który zapamiętał z dzieciństwa. Wtedy to był prawdziwy dom, pomyślał w duchu, choć sam nie wiedział, co ma przez to rozumieć. Niebawem zrozumiał. Ten, któremu teraz się przyglądał, w pewnym sensie przypominał muzeum. Wszystko tu było pięknie zaaranżowane i tworzyło zgraną całość; wszystkie drobiazgi były starannie dobrane, wręcz doskonałe. Dywany, pokrycia mebli i zasłony były nowe.

I kosztowały ciężkie pieniądze, pomyślał Sebastian z uznaniem, po czym oszacował je z dokładnością co do pensa. Sebastian zawsze wiedział, ile co kosztuje.

Musiał przerwać swoje finansowe rozważania, ponieważ otworzyły się drzwi. Weszła Nell, z zaróżowionymi policzkami i wyciągniętymi ramionami.

— Sebastianie! Co za niespodzianka! Sądziłam, że jesteś zbyt zajęty, aby wyjeżdżać z Londynu w środku tygodnia!

— Toteż przez ostatnie dwa dni straciłem dwadzieścia tysięcy funtów — burknął Sebastian, potrząsając jej ręką. — A wszystko przez to, że włóczę się tu i tam, zamiast dbać o własne interesy. Jak się masz, Nell?

— Och, czuję się znakomicie.

No, bardzo znakomicie to ona nie wygląda, pomyślał, gdy jak rumieniec wywołany jego niespodziewanym najściem odpłynął z jej twarzy. Zresztą czyż kamerdyner nie powiedział, że leży, gdyż nie czuje się dobrze? Spostrzegł też, że jej twarz jest lekko napięta i wymizerowana.

Nell mówiła dalej:

— Usiądź, Sebastianie. Wyglądasz tak, jakbyś się śpieszył na pociąg. George jest w Hiszpanii. Ma tam do załatwienia jakieś ważne sprawy. Nie będzie go co najmniej tydzień.

— Istotnie?

W każdym razie dobrze się składa, pomyślał. To naprawdę paskudna sprawa. Nell nie ma o niczym pojęcia...

— Masz bardzo posępną minę, Sebastianie. Czy coś się stało?

Rzuciła to pytanie lekko, lecz on skwapliwie skorzystał ze sposobności: potrzebował jakiegoś wstępu.

— Tak, Nell — odrzekł poważnie. — Prawdę mówiąc, stało się.

Nell wzięła głęboki oddech. Jej oczy stały się czujne.

— Co takiego? — rzuciła szorstko.

— Obawiam się, że to, co powiem, może być dla ciebie wielkim wstrząsem. Chodzi o Vernona.

— O Vernona?

Odczekał minutę, potem powiedział: — Vernon żyje, Nell.

— Żyje? — szepnęła. Jej dłoń mimowolnie spoczęła na sercu.

— Tak.

Nie zareagowała tak, jak Sebastian się spodziewał: nie zemdląca, nie krzyknęła ani nie zasypała go pytaniami. Po prostu pstrzy przed siebie. W jego bystrym żydowskim umyśle natychmiast zbudziło się podejrzenie.

— Wiedziałaś o tym?

— Nie, nie.

— Pomyślałem sobie, że być może widziałaś go kilka dni temu, kiedy był tutaj.

— A więc to jednak był Vernon? — To pytanie wyrwało się z niej jak krzyk.

Sebastian skinął głową. Było tak, jak uważał i jak powiedział

Jane. Nell nie dowierzała własnym oczom.

— Co wówczas pomyślałaś? Że to jest uderzające podobieństwo, tak?

— Tak... oczywiście. Bo i jakże inaczej? Jak mogłam pomyśleć, że to Vernon? Patrzył na mnie jak na obcą osobę.

— Vernon stracił pamięć, Nell.

— Stracił pamięć?

— Tak.

Opowiedział jej całą historię, łącznie ze wszystkimi szczegółami.

Przysłuchiwała się jego słowom, lecz z mniejszą uwagą, niż mógłby się spodziewać. Kiedy skończył, zapytała:

— I co teraz? Co z tego wyniknie? Czy Vernon będzie taki jak przedtem? No i co my mamy robić?

Wyjaśnił jej, że Vernon jest pod opieką specjalisty, że został

poddany hipnozie i już częściowo odzyskał pamięć oraz że ten proces nie potrwa długo. Nie wchodził w techniczne szczegóły, sądząc słusznie, że nie zainteresowałyby jej.

— A potem? Czy potem będzie pamiętał wszystko?

— Tak.

Skurczyła się w krześle

— Vernon nie może cię obwiniać, Nell — powiedział, nagle ogarnięty litością. — Nie wiedziałaś, nikt nie wiedział. Zawiadomienie o jego śmierci było całkowicie jednoznaczne. To prawie jedyny w swoim rodzaju przypadek. Poza nim słyszałem tylko o jednym. Na ogół

oczywiście niezgodne z prawdą doniesienia były w miarę możliwości natychmiast dementowane. Vernon kocha cię aż nadto, by zrozumieć wszystko i przebaczyć.

Nie powiedziała nic; ukryła twarz w dłoniach.

— Myślmy, i mamy nadzieję, że się z nami zgodzisz, że na razie lepiej zachować wszystko w tajemnicy. Oczywiście powiesz Chetwyndowi, a wówczas ty on i Vernon możecie to między sobą rozważyć...

— Nie! Nie! Nie wchodź w szczegóły. Zostaw to tak jak jest do czasu, aż zobaczę się z Vernonem.

— Chcesz go zobaczyć od razu? Może w takim razie pojedziesz ze mną do Londynu?

— Nie, nie zrobię tego. Każ mu przyjść tutaj. Tu się zobaczymy.

Służba jest nowa, więc nie ma obawy, by ktoś go rozpoznał.

— Bardzo dobrze — powiedział Sebastian powoli. — Bardzo dobrze...

powiem mu to.

Nell podniosła się.

— Idź już sobie, Sebastianie. Nie zniosę tej rozmowy ani chwili dłużej. Wierz mi. To wszystko jest takie przerażające. A jeszcze dwa dni temu byłam tak bardzo szczęśliwa i spokojna...

— Posłuchaj, Nell, Vernon na pewno wróci do siebie.

— Tak, wróci, lecz ja nie to miałam na myśli. Ty niczego nie rozumiesz, Sebastianie. To wspaniała wiadomość, oczywiście. Och!

Idźże już. To okropne, że cię wyrzucam, lecz nie potrafię dłużej... nie potrafię. Idźże już sobie.

Sebastian wyszedł. W drodze powrotnej do Londynu miał o czym rozmyślać.

Kiedy Nell została sama, wróciła do sypialni, położyła się do łóżka i szczerze otuliła puchową kołdrą.

Więc jednak to prawda. To był Vernon. Powiedziała sobie, że tak nie może być, że to śmieszna omyłka, a mimo to od tamtej chwili nieustannie targał nią niepokój.

I co teraz będzie? Co powie na to wszystko George? Biedny George.

Jest dla niej taki dobry.

Oczywiście, były kobiety, które powtórnie wychodziły za mąż, a potem okazywało się, że ich pierwsi mężowie żyją. Nie najciekawsza sytuacja. Ona w gruncie rzeczy nigdy nie była prawdziwą żoną George'a.

Och, to nie może być prawda. Takie rzeczy się nie zdarzają. Bóg nie pozwoliłby...

Choć może lepiej by było nie myśleć o Bogu. To przypomina jej te wszystkie nieprzyjemne rzeczy, które powiedziała jej Jane kilka dni temu. Tego samego dnia kiedy...

Nagle zrobiło jej się żal samej siebie: byłam taka szczęśliwa...

Czy Vernon cokolwiek zrozumie? Czy też, być może, będzie ją obwiniał? Naturalnie, zechce, by do niego wróciła. A może nie zechce?

Może teraz, kiedy ona i George... Jakimi drogami wędrują myśli mężczyzn?

Najpierw powinien być rozwód, a potem mogłaby znów poślubić George'a. Można się spodziewać, ile będzie ludzkiego gadania. Jakże trudne jest to wszystko.

Nagle pomyślała, wstrząśnięta, że przecież ona kocha Vernona. Więc jak może rozmyślać o rozwodzie i powtórnym poślubieniu George'a, kiedy kocha Vernona? Wrócił do niej, żyje.

Wierciła się niespokojnie z boku na bok w pięknym empirowym łóżku.

George kupił je w jakimś starym zamku we Francji. Było doskonałe i jedyne w swoim rodzaju. Rozejrzała się po pokoju — jaki czarujący, jak tu wszystko ze sobą harmonizuje — doskonały gust, doskonały, bezpretensjonalny przepych.

Nagle przypomniała sobie sofę z końskiego włosia i zagłówek w wynajmowanym mieszkaniu w Wiltsbury.

...Okropność! Lecz tam byli szczęśliwi.

A teraz? Popatrzyła na pokój innymi oczami. Oczywiście, Możne Opactwa należą do George'a. A może nie, teraz, kiedy wrócił Vernon?

Tak czy inaczej, Vernon nadal byłby tak samo biedny jak zawsze, nie stać by ich było na zamieszkanie tutaj... tyle tu nowych rzeczy, które sprowadził tu George... myśl biegła za myślą, myśl za myślą...

Musi napisać do George'a. Musi poprosić, by wrócił do domu. Po prostu napisze, że wynikło coś pilnego, nic więcej. On jest taki inteligentny. Może coś wymyśli. A może nie powinna pisać. Nie przed spotkaniem z Vernonem. Czy Vernon będzie na nią zły? Czy potrafi być na nią zły? Jakie to wszystko straszne.

Jej oczy wezbrały łzami. To niesprawiedliwe, szlochala, to niesprawiedliwe, nie zrobiłam nic złego. Dlaczego właśnie mnie się to wszystko przytrafia? Vernon będzie mnie oskarżał, a ja przecież nie mogłam wiedzieć. Jak mogłam wiedzieć?

Byłam taka szczęśliwa, pomyślała raz jeszcze. Byłam...

Vernon wsłuchiwał się w słowa lekarza, usiłując połapać się w ich sensie. Lekarz siedział po drugiej stronie biurka i bacznie mu się przyglądał. Wysoki, przystojny mężczyzna o oczach, którymi zdawał się przewiercać swojego pacjenta na wylot i czytać w nim to, czego tamten sam o sobie nie wiedział.

Co więcej, mógł widzieć w nim to, czego on dostrzec nie chciał.

Mógł grzebać się w tym, co było najgłębiej skrywane. Właśnie mówił:

— Teraz, kiedy już pan to sobie przypomniał, proszę wrócić raz jeszcze do chwili, w której patrzy pan na zawiadomienie o ślubie pańskiej żony.

— Czy musimy powtarzać tę scenę bez końca?! — zawołał Vernon. — To wszystko było takie okropne. Nie chcę o tym więcej myśleć.

Lekarz tłumaczył, poważnie i uprzejmie, choć z właściwym naciskiem. Właśnie z powodu gorącego pragnienia, aby nie myśleć o

„tym” więcej, „to” może powracać w myślach raz za razem. Trzeba

„temu” raz spojrzeć w twarz, trzeba raz się z „tym” rozprawić...

W przeciwnym wypadku może nastąpić powtórny zanik pamięci.

Wrócili do tamtej sceny.

A potem, kiedy Vernon czuł, że jest na granicy wytrzymałości, okazało się, że przyszła właściwa pora na to, aby się położyć na kozetce. Lekarz dotknął jego czoła, rąk i nóg, powiedział mu, że ma się rozluźnić i odpocząć, bo odpoczynek przywróci mu siły i radość życia. Ma odpocząć... odpocząć... odpocząć... Vernona ogarnęło uczucie spokoju. Zamknął oczy...

Trzy dni później zjawił się w Moźnych Opactwach. Przyjechał

samochodem Sebastiana Levinne'a i przedstawił się kamerdynerowi jako pan Green. Czekala na niego w małym, wyłożonym jasną boazerią pokoju, w którym zwykle rankami siadywała jego matka. Nell wyszła mu na spotkanie, zmuszając się do konwencjonalnego uśmiechu. Kamerdyner zamknął za nim drzwi w tej samej chwili, kiedy zatrzymała się przed nim z wyciągniętą do powitania dłonią.

Patrzyli jedno na drugie. Potem Vernon powiedział „Nell...” i Nell znalazła się w jego ramionach. Całował ją... całował... całował..

W końcu osunęła się. Usiedli. Vernon był odrobinę smutny, spokojny, bardzo powściągliwy, poza tym szaleńczym powitaniem. W

ciągu kilku ostatnich dni przeszedł tak wiele, tak wiele...

Czasami pragnął, by go zostawiono w spokoju, by pozwolono mu żyć życiem George'a Greena. Och, jakie to było wspaniałe być George'em Greenem.

— W porządku, Nell — powiedział, jękając się. — Nie myśl sobie, że cię obwiniam. Rozumiem wszystko... Tylko że to boli. Boli jak wszyscy diabli.

— Ja przecież nic... — zaczęła, lecz jej przerwał. — Wiem i jeszcze raz powtarzam, wiem! Nie mów o tym. Nie chcę o tym słyszeć. Nawet nie chcę o tym myśleć... — Po chwili dodał zmienionym głosem: — Oni mi mówią, że sam sobie jestem winien. To znaczy temu, że straciłem pamięć.

— Powiedz mi o tym. Opowiedz mi o wszystkim — poprosiła Nell bez większego entuzjazmu.

— Niewiele tego jest — zaczął mówić nieuważnie, z roztargnieniem.

— Byłem jeńcem. Jak dostałem się do rejestru zabitych, nie wiem, choć coraz bardziej utwierdzam się w swoich podejrzeniach. Wśród Szwabów był taki jeden gość, bardzo do mnie podobny. Nie mam na myśli sobowtóra czy czegoś w tym rodzaju, jedynie ogólne zewnętrzne podobieństwo. Podle znam niemiecki, mimo to rozumiałem komentarze, jakie padały pod moim i jego adresem. Zabrali mi mój tornister i mój znaczek identyfikacyjny. Myślę teraz, że chodziło im o podstawienie kogoś, kto penetrowałby nasze szeregi pod moim nazwiskiem. Byliśmy zasilani oddziałami kolonialnymi, o czym oni wiedzieli, toteż ów gość, licząc na to, że nikt go nie rozpozna, mógłby przez parę dni szwendać się po naszej stronie i zdobywać potrzebne informacje.

Oczywiście, wszystko to leży w sferze moich domysłów, choć po części wyjaśnia, dlaczego nie wciągnięto mnie na listę jeńców, lecz wysłano do obozu, i to takiego, w którym przebywali prawie wyłącznie Francuzi i Belgowie. Przypuszczam, że ów Szwab został trafiony, kiedy przechodził przez nasze linie i pochowano go pod moim nazwiskiem. Nie najlepiej mi się wiodło w Niemczech; ledwo wywinąłem się śmierci z powodu jakiejś gorączki, która mną trzęsła po postrzale. Ostatecznie uciekłem. Och, lecz to długa historia. Nie warto wchodzić w szczegóły. W każdym razie przeszedłem

piekło na ziemi. Bez jedzenia, bez picia, czasami po kilka dni z rzędu. Można powiedzieć: cud, że przeżyłem. Przedostałem się do Holandii. Trafiłem do jakiejś gospody.

Byłem wyczerpany, a przy tym nerwy miałem napięte do ostatnich granic. I myślałem tylko o jednym: o powrocie do ciebie.

— Naprawdę?

— No i wtedy zobaczyłem to; w jakimś potwornym ilustrowanym czasopiśmie. Twój ślub. Tak, to był koniec. Choć ja za nic nie chciałem spojrzeć prawdzie w oczy. Powtarzałem sobie, że to nie może być prawda. Wyszedłem z gospody, nie wiem po co i nie wiem dokąd.

Wszystko mi się w głowie pomieszało. Drogą pędziła olbrzymia ciężarówka. Doskonała okazja, by skończyć ze sobą, usunąć się wszystkim z oczu. Zatrzymałem się tuż przed nią.

— Och, Vernonie. — Przeszły ją ciarki.

— I to był koniec. To znaczy dla mnie jako Vernona Deyre'a. Kiedy przyszedłem do siebie, w mojej głowie tłukło się jedno imię: George.

George szczęściarz. George Green.

— Dlaczego Green?

— To postać z czegoś w rodzaju bajki, którą wymyśliłem sobie w dzieciństwie. A poza tym Holenderka, dziewczyna z tamtej gospody, poprosiła mnie, bym się rozejrzał za jakimś jej przyjacielem o nazwisku Green, więc zapisałem to nazwisko w notesie.

— I niczego nie pamiętałeś?

— Niczego.

— Ciężko ci było?

— Nie, ani trochę. Wyglądało tak, jakbym nie miał żadnych zmartwień. — Dodał tęsknie: — Byłem nadzwyczaj szczęśliwy i wesoły.

Popatrzył na nią.

— Lecz teraz nic się nie liczy. Nic oprócz ciebie Nell uśmiechnęła się do niego, lecz był to uśmiech drżący i niepewny. Prawie tego nie zauważył, mówił dalej.

— Powrót do tożsamości Vernona Deyre'a w istocie stał się dla mnie niegorszym piekłem. To przypominanie sobie wszystkiego. Absolutnie wszystkiego. Wszystkiego, czemu, wierz mi, nie chciałem przedtem spojrzeć w twarz. Wygląda na to, że przez całe życie byłem potwornym tchórzem. Zawsze odwracałem się od tego, czego nie chciałem zauważać.

Nie chciałem przyznać przed sobą, że to coś istnieje... — Poderwał się z miejsca, podszedł do niej, ukląkł i złożył głowę na jej kolanach. —

Kochanie, Nell, wszystko w porządku. Wiem, że jestem dla ciebie najważniejszy. No powiedz, jestem?

— Oczywiście — przytaknęła dziwnie mechanicznym głosem.

Był kiedyś. Teraz, z jego ustami na swoich, poczuła się jak za tamtych cudownych dni na początku wojny. Nigdy czegoś takiego nie przeżywała przy George'u, nigdy nie zatopiła się w uczuciu do niego, nigdy nie dała się temu uczuciu ponieść...

— Powiedziałaś to tak dziwnie, jak gdybyś sama w to nie wierzyła.

— Oczywiście, że wierzę.

— Przykro mi z powodu Chetwynda; ma gość pecha. Jak to zniósł?

Bardzo ciężko?

— Nie powiedziałam mu.

— Co takiego?

— Widzisz, George wyjechał. Jest w Hiszpanii. Nawet nie mam jego adresu — zaczęła się usprawiedliwiać.

— Rozumiem... To przykre, Nell, lecz nie ma rady, musisz mu to powiedzieć.

— Wiem, Vernonie.

Vernon rozejrzał się dokoła.

— W każdym razie Chetwyndowi zostanie to miejsce. Choć przyznam, nawet mu go zazdroszczę. Widzisz, jaki ze mnie niehonorowy gość?

Lecz, u diabła, to przecież mój dom. Należał do rodziny od pięciuset lat. Zresztą, jakie to ma znaczenie. Jane powiedziała mi kiedyś, że nie mogę mieć wszystkiego. Mam ciebie, i to się liczy. Znajdziemy dla siebie jakiś domek, choćby miał tylko dwa pokoje.

Oplótł ją ciasno ramionami. Dlaczego na słowa „dwa pokoje” przeniknął ją chłód, dlaczego się zmieszała?

— Do diabła z tym wszystkim! To mi tylko przeszkadza!

Porywczym gestem, na pół ze śmiechem, zerwał jej z szyi sznur pereł i rzucił go na podłogę. Jej piękne perły! Och, nieważne, w końcu dadzą się naprawić. Taka piękna biżuteria, pomyślała. To od

George'a. Kolejne igielki chłodu.

Że też ona jest tak grubiańska; myśleć o takich rzeczach w takiej chwili, skarciła siebie w duchu.

W końcu Vernon coś zauważył. Wyprostował się i popatrzył jej prosto w twarz.

— Nell... czy coś się stało?

— Nie, oczywiście, że nie.

Nie mogłaby mu spojrzeć w oczy. Była zbyt zawstydzona.

— Coś jednak jest nie tak. Powiedz mi, proszę.

Potrząsnęła głową.

— Nie, nic takiego...

Ona nie mogłaby być na powrót biedna, nie mogłaby, nie...

— Nell, musisz mi powiedzieć...

Nie, on nie musi wiedzieć, on nigdy nie powinien się dowiedzieć, jaka ona jest tak naprawdę. Za bardzo się siebie wstydzi.

— Nell, ty mnie kochasz, prawda?

— O tak! — zapewniła żarliwie. Przynajmniej to było prawdą.

— Zatem o co chodzi? Wiem, że coś jest nie tak... Ach!

Wstał z klęczek. Twarz mu pobleadła. Nell spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

— A może o to? — zapytał cichym głosem. — Tak, na pewno o to.

Spodziewasz się dziecka...

Nell siedziała jak wykuta z kamienia... Że też sama na to nie wpadła. Gdyby to była prawda... Tak, gdyby to była prawda, dziecko rozwiązałoby wszystko. Vernon nigdy by się nie dowiedział, jaka ona jest w istocie...

— A więc? Prawda to?

Zdawało się, że upływają godziny. W głowie Nell kłębiły się myśli.

To nie ona sama, to coś poza jej świadomością sprawiło, że skinęła głową. Lekko, lecz skłoniła...

Vernon odsunął się o krok. Powiedział twardym, oschłym głosem:

— To wszystko zmienia... Moja biedna Nell... Nie możesz... Nie możemy...

Posłuchaj mnie, nikt nie wie... nie wie o mnie... poza lekarzem, Sebastianem i Jane. Oni mnie nie zdradzą. Byłem na liście zmarłych, a więc niech tak zostanie. Ja nie żyję, Nell...

Chciała wstać, lecz on zrobił znak dłonią, by została w miejscu, i ruszył do drzwi.

— Nic nie mów, na litość boską, nic nie mów. Nic tu po słowach.

Odchodzę. Nawet nie śmiem cię pocałować, nawet dotknąć. Ja... bywaj...

Słyszała otwieranie drzwi. Zrobiła ruch, jakby chciała go zawołać, lecz z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Drzwi się zamknęły.

Jeszcze było cicho... Jeszcze nie słychać było warkotu silnika... Ale ona nadal siedziała nieruchomo...

Poczuła w ustach smak goryczy, kiedy spoglądając w głąb swojej duszy, pomyślała: oto, jaka naprawdę jestem. Lecz i teraz nie zrobiła żadnego gestu, nie podniosła się, nie zawołała.

Cztery lata wygodnego życia skępowały jej wolę, zdusiły jej głos, sparaliżowały ciało.

ROZDZIAŁ CZWARTY

— Panna Harding chce się z panią widzieć, proszę pani.

Nell drgnęła. Upłynęły dwadzieścia cztery godziny od jej spotkania z Vernonem. Myślała, że na tym się skończyło. A teraz Jane! Bała się Jane... Mogła jej nie przyjąć.

— Proszę ją tu wprowadzić — powiedziała jednak. Tu, w jej salonie, jest przytulniej, mniej oficjalnie... Jakże długo przyszło jej czekać.

Czyżby Jane odjechała? Nie, oto jest.

Wyglądała na bardzo wysoką. Nell skuliła się na sofie i może dlatego Jane sprawiła na niej wrażenie takiej wysokiej. Zawsze ma złośliwą twarz, pomyślała Nell. Lecz tym razem twarz Jane była w istocie twarzą anioła zemsty.

Kamerdyner wyszedł z pokoju. Jane, niebotyczna, przystanęła nad Nell, odrzuciła głowę do tyłu i zaśmiała się.

— Nie zapomnij zaprosić mnie na chrzciny — powiedziała.

Nell cofnęła się odruchowo.

— Nie wiem, o czym mówisz — powiedziała wyniośle.

— Rodzinny sekret, tak? Nell, ty cholerna mała kłamczucho, ty wcale nie spodziewasz się dziecka. Nie uwierzę, byś miała je kiedykolwiek: zbyt wiele ryzyka i bólu. Skąd ci przyszło do głowy takie nieczne, takie niegodziwe kłamstwo?

— Ja mu tego nie powiedziałam — rzekła posępnie. — On... cóż, on po prostu tak przypuszcza.

— Tym bardziej zasługujesz na potępienie.

— Nie rozumiem, co też sobie myślisz, przychodząc tutaj i mówiąc mi takie rzeczy.

Jej protest zabrzmiał słabo i nieprzekonująco. Za nic nie była w stanie wykrzesać z siebie stosownego oburzenia. Wobec każdej innej osoby tak, lecz nie wobec Jane. Jane zawsze była nieprzyjemnie przenikliwa. To straszne! Gdybyż ona sobie poszła.

Podniosła się z sofy, usiłując nadać głosowi zdecydowane brzmienie.

— Nie wiem, po co przyszedłaś. Jeśli tylko po to, żeby zrobić scenę...

— Posłuchaj, Nell. Posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. Posłuchaj prawdy o sobie. Już raz rzuciłaś Vernona i wtedy on przyszedł do mnie. Tak, do mnie. Mieszkał ze mną przez trzy miesiące. Mieszkał ze mną wówczas, kiedy zjawiłaś się w moim mieszkaniu. Ach, to cię rani!

Jeszcze masz w sobie odrobinę prawdziwej, prymitywnej kobiecości, miło mi to widzieć. Zabrałaś mi go wtedy. Poszedł za tobą i nigdy nie poświęcił mi choćby jednej myśli. Teraz jest twój, jeśli tylko go chcesz. Lecz wiedz, że gdybyś rzuciła go po raz drugi, znów przyjdzie do mnie. O tak, przyjdzie. Myślisz sobie o mnie to i owo, kręcisz na mnie nosem jako na „kobietę pewnego rodzaju”. Cóż, takie kobiety bywają silne. Ja wiem więcej o mężczyznach, niż ty kiedykolwiek zdołasz się nauczyć. Mogę mieć Vernona, kiedy tylko zechcę. A ja go chcę. Zawsze go chciałam.

Nell zadrżała. Odwróciła twarz i wbiła paznokcie w dłoń.

— Po co mi to wszystko mówisz? Jesteś szatanem.

— Mówię po to, żeby cię zranić! Zranić jak wszyscy diabli, nim będzie za późno. Nie, nie odwracaj głowy. Nie wzdragaj się przed tym, co ci mówię. Masz patrzeć na mnie i masz widzieć, tak, widzieć, oczami i sercem... Jeszcze kochasz Vernona, choć już ostatnimi resztkami twojej godnej politowania duszy... Zatem myśl o tym, jak go obejmuję, myśl o jego ustach na moich ustach, o jego pocałunkach rozpalających moje ciało... Tak, myśl właśnie o tym... Wkrótce nie będzie cię to obchodziło. Ale teraz obchodzi... No więc? Cóż z ciebie za kobieta, że oddajesz mężczyznę, którego kochasz, innej kobiecie?

Kobiecie, której nienawidzisz? Z wyrazami miłości, prezent dla Jane od Nell?

— Odejdź — powiedziała cicho Nell. — Odejdź...

— Już odchodzę. Jeszcze nie jest za późno, pamiętaj. Możesz odwołać swoje kłamstwo.

— Odejdź... odejdź...

— Zrób to prędko, bo w przeciwnym wypadku nie zrobisz nigdy. —

Jane zatrzymała się przy drzwiach i spojrzała przez ramię. —

Przyszłam tu dla Vernona, nie dla siebie. O nie, nie dla siebie. Ale ja chcę go mieć i będę go miała... — zawiesiła głos — chyba że...

Wyszła.

Nell siedziała z zaciśniętymi dłońmi. On nie może należeć do niej...

szeptala do siebie w zapamiętaniu. Chciała Vernona. Pragnęła go. Już raz kochał ona, więc może odejść do niej i teraz. Co takiego ona powiedziała? „Jego usta na moich ustach... jego pocałunki rozpalające moje ciało...” Och, Boże, to nie do zniesienia. Poderwała się, szła prosto do telefonu.

Ktoś otworzył drzwi. Obróciła się powoli... Wszedł George. Wyglądał

bardzo zwyczajnie i pogodnie.

— Jak się masz, kochanie. — Zbliżył się do niej z powitalnym pocałunkiem. — Proszę, oto jestem.

Wróciłem, choć z trudem. Ach, te przeprawy przez kanał! Zdecydowanie wolę Atlantyck.

Zupełnie zapomniała, że George wraca dzisiaj do domu! Nie mogła powiedzieć mu w tej chwili, to byłoby zbyt okrutne. A poza tym w środku banalnej rozmowy niezręcznie jest występować z tragicznymi wiadomościami. Może wieczorem... później... Tymczasem powinna grać swoją rolę.

Oddała uścisk na pół świadomie, usiadła i zamieniła się w słuch.

— Mam dla ciebie prezent, skarbie. Coś, co mi ciebie przypominało.

Wyjął z kieszeni aksamitne puzderko. Wewnątrz, na białym aksamicie, spoczywał duży, różowy brylant bez skazy — sama rozkosz —

i do tego zawieszony na pięknym, długim łańcuszku. Nell westchnęła z zachwytem.

George wyjął klejnot z puzderka i włożył go na szyję Nell.

Popatrzyła w dół, a cudowny różowy kamień mrugnął do niej spomiędzy piersi. Było w nim coś, co ją zahipnotyzowało.

Teraz George poprowadził ją do lustra. Nell zobaczyła piękną złotowłosą kobietę, bardzo opanowaną i bardzo elegancką. Zobaczyła ufryzowane, przycięte na chłopczyce włosy, wypielęgnowane dłonie, elegancki szlafroczek z delikatnej koronki, siatkowe jedwabne pończochy i haftowane ranne pantofelki. Zobaczyła surową, chłodną urodę różowego brylantu.

A za tym wszystkim, w tle, zobaczyła George'a Chetwynda — stał tam uprzejmy, wielkoduszny, tchnący spokojem...

Drogi George, nie mogę go zranić. Pocałunki... Czym ostatecznie są pocałunki? Nie trzeba o nich myśleć. Lepiej nie myśleć. Vernon... Jane...

Nie powinna myśleć o nich. Na dobre czy na złe — ona dokonała wyboru. Pewnie nie obejdzie się bez trudnych chwil, lecz w sumie wszystko powinno się obrócić na dobre. Dla Vernona też będzie lepiej.

Gdyby ona nie była szczęśliwa, nie potrafiłaby uszczęśliwić jego...

— Jesteś kochany, obdarowując mnie takim ślicznym prezentem. Och, to już dzwonek na herbatę. Wypijemy ją tutaj — powiedziała łagodnym głosem.

— Świetnie. Lecz czy nie zamierzałaś gdzieś zadzwonić? Przerwałem ci swoim wejściem.

Potrząsnęła głową.

— Nie, zmieniłam zdanie.

LISTY OD VERNONA DEYRE'A DO SEBASTIANA LEVINNE'A 1

Moskwa

Drogi Sebastianie,

Czy wiesz, że w Rosji istniała niegdyś legenda o bezimiennej bestii?

Wspominam o tym nie z powodu jakichś politycznych odniesień (przy okazji, osobliwa jest histeria tego antychrysta, nieprawda?), nie, la legenda przypominała mi mój wiosny paniczny strach przed „moją Bestią”. Wiele o niej myślałem od czasu przyjazdu do Rosji, usiłując zgłębić, co się tak naprawdę za nią kryło. W gruncie rzeczy chodzi tu o coś więcej niż o sam lęk przed fortepianem. Tamten lekarz w Londynie otworzył mi oczy na mnóstwo spraw. Zacząłem dostrzegać, że przez całe życie byłem tchórzem. Myślę, że ty o tym wiedziałeś, Sebastianie. Nigdy nie zrobiłeś jakiejś obraźliwej aluzji, lecz pewnego razu dałeś mi to odczuć. Zbaczam z tematu... Zawsze zbaczam, z wszystkiego.

Rozmyślając teraz nad swoją Bestią, widzę ją jako pewien symbol, a nie jako zwykły mebel, wykonany z drewna i strun. Czyż matematycy nie mówią, że przyszłość jest jednocześnie przeszłością, że podróżujemy w czasie, tak jak podróżujemy w przestrzeni od jednej rzeczy do drugiej? Czyż nawet pamięć nic zdaje się zwykłym nawykiem rozumu? Czy nic moglibyśmy pamiętać o tym, co będzie, tak jak pamiętamy o tym, co było, gdyby tylko ktoś nauczył nas takiej sztuczki? To brzmi nonsensownie, wiem, lecz wierzę w istnienie podobnej teorii.

Wierzę, że jest taka część nas, która zna przyszłość, która zawsze jest tej przyszłości dokładnie świadoma.

To wyjaśnia, dlaczego czasami kurczymy się w sobie czyż nie?

Brzemie naszego przeznaczenia staje się za ciężkie i cofamy się już przed samym tylko jego cieniem... Próbowałem uciec od muzyki, lecz ona i tak mnie dopadła. Dopadła mnie na tamtym koncercie w taki sam sposób, jak religia zawładnęła duszami owych ludzi, zgromadzonych na wiecu, zorganizowanym przez Armię Zbawienia.

Czy to rzecz diabelska, czy też boska? Jeśli by dać wiarę Staremu Testamentowi, to Bóg jest zazdrosny — zatem powinienem wy mieść z mej duszy wszystko, czego się tak kurczowo trzymam. Wymieść Moźne Opactwa, Nell...

Lecz, u diabła, co mi w takim razie zostanie? Nic. Nawet ta piekielna muzyka... bo widzisz, niczego nie komponuję, nie mam ochoty.

Niczego nie słyszę... niczego nie czuję... Czy kiedykolwiek to się odmieni? Jane mówi, że tak... Chyba nawet jest tego pewna. Przy okazji, masz od niej pozdrowienia.

Uściski,

Vernon

Moskwa

Jesteś cholernie wyrozumiały, Sebastianie. Nie skarzysz się, że nie opisuję ci samowarów ani sytuacji politycznej czy życia Rosji w ogóle. Kraj oczywiście to jeden piekielny nieład. Bo i jak mogłoby być inaczej? Mimo to niezmiernie interesujący...

Ukłony od Jane,

Vernon

Moskwa

Drogi Sebastianie,

Jane miała rację, przywożąc mnie tutaj. Po pierwsze, niepodobna, by ktoś mnie tutaj odkrył i radośnie obwieścił moje zmartwychwstanie.

Po drugie, z mojego punktu widzenia Rosja, jest chyba najbardziej interesującym miejscem na świecie. Swoiste laboratorium, do którego każdy ma swobodny dostęp i w którym każdy może eksperymentować w najbardziej niebezpieczny sposób. Cały świat wydaje się skupiony na tym kraju ze względów czysto politycznych. Gospodarka, głód, obyczaje, brak wolności, chore i występne dzieci i tak dalej...

Lecz czasami z występuku, plugastwa i anarchii powstaje coś zdumiewającego. Ostatnie trendy w sztuce rosyjskiej są wprost nadzwyczajne... część z nich to kompletna dziecinada, o jakiej nigdy nawet nie słyszałeś — a mimo to przeziiera spod niej cudowne światło, jak wypucowane ciało spod żebraczych łachmanów...

Bezimienna Bestia... Kolektywny Człowiek... Czy kiedykolwiek widziałeś szkic monumentu poświęconego rewolucji komunistycznej? Tego kolosa z żelaza? Mówię ci, to pobudza wyobraźnię.

Urządzenia mechaniczne — ... epoka wszelkich mechanizmów. .. Jak bardzo bolszewicy czczą wszystko, co ma związek z mechanizmami, i jak mało o nich wiedzą! Przypuszczam, że stąd ta cześć; z braku wiedzy.

Wyobraź sobie jakiegoś mechanika z Chicago, opisującego w dynamicznych strofach swoje miasto jako „zbudowane na śrubie!

Elektrodynamiczne! Spiralne kształty... Stalowe dyski... Za każdym wybiciem godziny obraca się wokół własnej osi... pięć tysięcy drapaczy chmur...” Nic bardziej obcego duchowi Ameryki! A przecież... Czy widzi się rzecz, jeśli stoi się zbyt blisko? To właśnie ludzie, którzy nie znają mechanizmu, potrafią dostrzec jego duszę i jego znaczenie...

Bezimienna Bestia... Moja Bestia? Ciekawe...

Kolektywny Człowiek, kształtujący samego siebie na podobieństwo ogromnej maszyny... Ten sam instynkt stadny, który w dawnych epokach pozwalał przetrwać rodzajowi ludzkiemu, wraca raz jeszcze, tylko w innej formie...

Życie jednostki staje się zbyt trudne, zbyt niebezpieczne. Co takiego powiedział Dostojewski w jednej ze swoich książek? „Motłoch zbierze się raz jeszcze i raz jeszcze się podporządkuje, i tak już będzie zawsze, zawsze. A my damy mu spokojne, skromne szczęście”.

Instynkt stadny... Ciekawe...

Uściski,

Vernon

Moskwa

Myślę, że chodzi ci właśnie o ten fragment z Dostojewskiego:

„A my sami, my, którzy strzeżemy tajemnicy, my będziemy nieszczęśliwi. Będą tysięczne miliony szczęśliwych dzieci i tylko sto tysięcy męczenników, którzy wezmą na siebie przekleństwo dobra i zła”.

Chodzi ci, tak samo jak i Dostojewskiemu, o to, że świat nie może się obyć bez indywidualistów. To indywidualiści przekazują dalej pochodnię. Ludzie zespoleni w jednym ogromnym mechanizmie muszą ostatecznie wyginać, a to dlatego, że maszyna jest bezduszna i jej żywot kończy się na złomowisku.

Ludzie oddawali cześć kamieniom i budowali Stonehenge — lecz dzisiaj nie ma już tamtych budowniczych, choć Stonehenge jeszcze stoi. A przecież, paradoksalnie, tamci ludzie żyją w tobie i we mnie, ich potomkach, a Stonehenge i to, w imię czego zostało wzniesione, jest martwe. Jest coś, co umierając, trwa i coś, co umierając, ginie na zawsze.

To człowiek trwa zawsze. (A może nie? Może to tylko niczym nie usprawiedliwiona arogancja? Może, lecz obyśmy w to zawsze wierzyli!) A zatem, oprócz naszej ogromnej maszyny muszą być jacyś indywidualiści. Tak mówi Dostojewski i ty tak mówisz, choć trzeba wziąć poprawkę na to, że obaj jesteście Rosjanami. Jako Anglik jestem bardziej pesymistyczny.

A wiesz, co mnie ten fragment z Dostojewskiego przypomina?

Dzieciństwo. Setkę dzieci pana Greena, a także Pudła, Wiewiórkę i Drzewo. Przedstawicielei tych stu tysięcy męczenników...

Uściski,

Vernon

Moskwa

Drogi Sebastianie,

Prawdopodobnie masz rację. Nigdy nie myślałem za wiele. Myślenie zawsze zdawało mi się nieproduktywnym zajęciem, choć chyba zaczynam zmieniać zdanie.

Kłopot, niestety, polega na tym, że nie mogę tego myślenia przełożyć na muzykę. Do diabła z tym wszystkim! Dlaczego nie mogę?!

Muzyka to moja praca. Jestem tego pewien, po stokroć pewien. A mimo to — nie robienie...

To piekło...

Vernon

6

Drogi Sebastianie,

Nie wspomniałem o Jane? A niby o czym miałbym wspominać? Jest wspaniała i o baj o tym wiemy. Dlaczego sam do niej nie napiszesz?

Uściski jak zawsze,

Vernon

Drogi Staruszk,

Jane mówi, że być może przyjedziesz tutaj. Przyjedź, na litość boską. Przepraszam, że nie pisałem przez sześć miesięcy, lecz czego można się po mnie spodziewać? Nie jestem światowej stawy epistolografem.

Czy masz jakieś wieści o Joe? Cieszę się, że Jane i ja wpadliśmy do niej, przejeżdżając przez Paryż, i że przynajmniej ona wie o moim istnieniu. Joe jest lojalna w przyjaźni i nigdy mnie nie zdradzi. Nie pisujemy do siebie, nigdy tego nie robiliśmy. ..Jednak ciekaw jestem, co u niej. Nie zdaje mi się, by wyglądała kwitnąco... Biedna stara Joe.

Narobiła tyle zamieszania... Słyszałeś może coś o projekcie Tallina* w związku z III Międzynarodówką? Projekcie monumentu, składającego się z trzech wielkich pomieszczeń połączonych w jedno systemem wertykalnych osi i spiral? Za pomocą specjalnej maszyneryi będzie to wszystko utrzymywane w ciągłym ruchu, choć przy zmiennej prędkości.

A wewnątrz, jak przypuszczam, będą się rozlegać hymny ku czci Świętej Dmuchawy Do Acetyleny!

Pamiętasz, dawno temu, pewnej nocy wracaliśmy samochodem do Londynu i gdzieś w plątaniu torów tramwajowych na Lewisham Road pomyliliśmy drogę i zamiast w cywilizowanym świecie, znaleźliśmy się przy dokach w Surrey, a tam, między jednym a drugim domem zalatującym stęchlizną, wyłonił nam się spośród kłębow pary kubistyczny obraz dźwigów i wszelkiego innego żelastwa. Twoja artystyczna dusza natychmiast uznała ten widok za wspaniały pomysł na kurtynę do teatru, czy coś w tym rodzaju (daruj, ale nie znam się na waszych technicznych terminach).

Mój Boże, Sebastianie! Cóż za wspaniale widowisko mógłbyś wyczarować tutaj. Masa żelastwa, maszyny, efekty sceniczne, światła i masy ludzi o nieludzkich twarzach — masy, nie indywidualności.

Myślałeś kiedyś o czymś takim, pamiętasz?

Ten architekt, Tallin, powiedział coś, co mi się nawet spodobało, choć w gruncie rzeczy to po prostu stek bzdur.

„Jedynie rytm metropolii, fabryk i maszyn, w połączeniu z proletariackimi organizacjami może dać impuls nowej sztuce...” Poza tym nie przestaje rozprawiać o „pomniku maszyny”, jako o jedynym symbolu dzisiejszych czasów.

Oczywiście, wiesz na pewno wszystko o współczesnym teatrze rosyjskim. To twoje zajęcie. Myślę, zgodnie zresztą z tym, co się tu mówi, że Mayerhold jest wspaniały. Lecz czy można mieszać teatr z propagandą?

Niemniej to cudowne przeżycie, wybrać się tutaj do teatru i być natychmiast zmuszonym do włączenia się w maszerujący tłum: tam i z powrotem, tam i z powrotem — równaj krok — aż do rozpoczęcia przedstawienia. No i te dekoracje: fotele bujane i armaty, i obrotowe przesła, i Bóg wie

co! To dziecinne, to absurdalne, a jednak czuje się podskórnie, że to dziecko dostało w swoje ręce jakąś niebezpieczną i dość interesującą zabawkę, która w innych rękach...

W twoich, Sebastianie... Jesteś Rosjaninem. Choć być może należy dziękować niebu i geografii, że nie przypadło ci w udziale zajmowanie się propagandą, lecz po prostu teatrem.

Rytm metropolii... obrazowo powiedziane.

Mój Boże, gdybym mógł tworzyć muzykę... Tu jest potrzebna muzyka.

Nieba! Te ich „głośnie orkiestry”, ich symfonie na fabryczne syreny! Było takie przedstawienie w 1922 w Baku — działa, karabiny maszynowe, chóry, morskie rogi mgłowe. Śmieszne? Śmieszne. Lecz gdyby mieli jakiegoś kompozytora...

Żadna kobieta nie tęskni tak do dziecka, jak ja do komponowania muzyki...

A jestem jałowy. Jestem bezpłodny.

Vernon

Drogi Sebastianie,

Przyjechałeś i wyjechałeś — skończył się sen... Czy rzeczywiście przygotowujesz Baśń o oszuście, który przechytrzył trzech innych oszustów?

Dopiero teraz zaczynam zdawać sobie sprawę z tego, jak niebywały odniosłeś sukces. Pojmuję w końcu, że jesteś dzisiaj KIMS. No dobrze, zbudowałeś to swoje wiekopomne gmaszysko — a Bóg jeden wie, jakie dzisiaj mamy czasy — lecz czego ty w nim szukasz? Czego ty szukasz w operze? Opera to coś archaicznego, martwego, to jakieś śmieszne romanse...

Dotychczasowa muzyka zdaje mi się niby dom na rysunku dziecka: cztery ściany, drzwi, dwa okna i komin. Proszę— czego więcej można chcieć!

Chociaż Feinberg i Prokofiew wychodzą poza to.

Czy pamiętasz, jak kpiliśmy sobie z kubistów i futurystów? A przynajmniej ja...? A teraz, wyobraź sobie, sam o czymś takim myślę.

No więc pewnego dnia — w kinie — zobaczyłem widok jakiegoś dużego miasta w ujęciu z powietrza. Wieże się przewracają, budynki pochylają

— zupełnie jakby nie były zrobione z betonu, stali i żelaza. I po raz pierwszy wreszcie zrozumiałem jako tako to, co stary Einstein miał na myśli, mówiąc o względności.

Nie wiemy nic o kształcie muzyki... Nie wiemy nic o kształcie czegokolwiek, jeśli już jesteśmy przy tym... Nie wiemy, ponieważ zawsze jedna strona pozostaje otwarta na przestrzeń...

Któregoś dnia zrozumiesz, co to znaczy... co może znaczyć muzyka... i co ja zawsze o niej sądziłem...

Ileż bałaganu było w tamtej mojej operze. A właściwie można by powiedzieć, że był tam tylko i wyłącznie bałagan. Myliłem się, jeśli chodzi o muzykę. Wziąć na warsztat jakąś historyjkę i dopisać do niej melodię to takie samo zło jak wymyślić jakiś pasaż muzyczny, a potem szukać instrumentu, który byłby zdolny go odtworzyć. Kiedy Strawiński pisze pasaż na klarnet, nawet nie przyjdzie ci na myśl, że ów pasaż mógłby być zagrany na jakimś innym instrumencie!

Muzyka powinna być jak matematyka: wolna od wszelkich dramatów czy romantycznych uniesień, wyprana z wszelkich emocji — poza tymi, które powstają z czystego, nie skażonego żadną ideą dźwięku.

Zawsze byłem głęboko przekonany, że muzyka powinna być absolutem.

Co nie znaczy, że osiągnę swój ideał. Stworzenie czystego dźwięku, nie skażonego ideą to jedynie perfekcyjny zamysł.

Moja muzyka będzie muzyką mechaniczną. Jej wystrój pozostawiam tobie. To wiek choreografii, choreografia wzniesie się na wyżyny, o jakich nam się nie śniło. Wiem, że mogę ci zaufać, jeśli chodzi o wizualną stronę mojego arcydzieła, które, jak na razie, jeszcze nie powstało i które według wszelkich znaków na niebie i ziemi nigdy nie powstanie.

Muzyka powinna być czterowymiarowa, powinna mieścić w sobie barwę dźwięku, wysokość tonu, odpowiednie tempo i cykliczność.

Teraz się zastanawiam, czy dostatecznie doceniamy Schönberga* i tę jego czystą, bezlitosną logikę, która jest niczym innym jak duchem czasu. On i tylko on miał odwagę odrzucić tradycję, dotrzeć do istoty muzyki, objawić prawdę.

Według mnie jedynie on się liczy. Nawet jego sposób zapisywania nut przyjmie się powszechnie. To jest absolutnie konieczne, jeśli partytura ma być zrozumiała.

Jedynie, co mam mu do zarzucenia, to ta jego pogarda dla instrumentów. Schönberg boi się popaść w ich niewolę. Stara się, by to one służyły jemu, bez względu na to, czy tego chcą, czy też nie.

Ja chcę słać swoje instrumenty, chcę je gloryfikować. ..chcę dać im to, o co się upominają, o co zawsze się upominały...

Do diabła z tym, Sebastianie. Bo i czymże jest ta dziwna rzecz, muzyka? Wiem coraz mniej i mniej...

Uściski,

Vernon

Wiem, że nie pisałem. Byłem zajęty. Eksperymentowałem. Szukałem środków wyrazu dla Bezimiennej Bestii. Innymi słowy, robiłem instrumenty. Metale są niezwykle interesujące, właśnie eksperymentuję z ich różnymi stopami.

Jak fascynującą sprawą jest dźwięk.

Jane przesyła ci pozdrowienia.

W odpowiedzi na twoje pytanie: nie, nie sądzę, bym kiedykolwiek wyjechał z Rosji, nawet po to, by wystąpić w twoim nowo wybudowanym gmachu opery, i nawet w tak doskonałym przebraniu, jakim jest moja broda!

Jest jeszcze bardziej barbarzyńska i jeszcze piękniejsza niż wtedy, kiedy ją widziałeś! Gęsta i szeroka, przydaje mi wyglądu prawdziwego słowiańskiego bobra!

Lecz mimo puszczańskiego kamuflażu, tu jestem i tu zostanę aż do czasu, kiedy załatwi się ze mną jedna z tutejszych band zdziczałych dzieci.

Uściski,

Vernon

Telegram od Vernona Deyre'a do Sebastiana Levinne'a: Joe samotna w Nowym Jorku niebezpiecznie chora zagrożenie śmiercią Jane i ja płyniemy Resplendentem do zobaczenia w Londynie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

— Sebastian!

Joe poderwała się w łóżku, po czym na powrót opadła na poduszki.

Wpatrywała się w niego niedowierzająco. Sebastian, ten zawsze opanowany i wszechwiedzący Sebastian, spowity w obszerne futro, uśmiechał się do niej pogodnie.

Nie pokazał po sobie bólu, jaki nim szarpnął na jej widok. Joe, biedna mała Joe.

Urosły jej włosy; były splecione w dwa warkocze spuszczone na ramiona. Miała przeraźliwie wymizеровaną twarz, a na policzkach chorobliwe wypieki. Przez cienką nocną koszulę przezierały kościste ramiona. Wyglądała jak złożone gorączką dziecko. I jak dziecko zdawała się zaskoczona, uradowana, przejęta wizytą. Pielęgniarka zostawiła ich samych.

Sebastian usiadł obok łóżka i ujął wychudzoną dłoń.

— Vernon telegrafował do mnie. Nie czekając na niego, wsiadłem na pierwszy odpływający do Ameryki statek.

— I to wszystko dla mnie?

— Oczywiście.

— Kochany Sebastian!

Oczy Joe wypełniły się łzami. Sebastian, chcąc ochronić ją przed niepotrzebnym wzruszeniem, dodał pośpiesznie:

— Oczywiście, nie obędzie się bez tego, bym przy okazji nie rozejrzał się w interesach. One mnie tu często sprowadzają i w gruncie rzeczy tym razem też mam kilka na oku.

— Tylko niczego nie spartacz.

— Pewnie mi nie wierzysz?

Joe usiłowała się zaśmiać, lecz śmiech zamienił się w kaszel.

Sebastian obserwował ją z niepokojem, w każdej chwili gotów przywołać pielęgniarkę. Ostrzegano go, nim tu wszedł, lecz na szczęście atak nie trwał długo.

Joe uspokoiła się i na powrót wsunęła rękę w dłoń Sebastiana.

— Moja mama umarła w ten sam sposób — szepnęła. — Biedna mama.

Zdawało mi się, że będę od niej o wiele rozsądniejsza, a narobiłam tyle samo zamieszania co i ona.

Och, ile zamieszania...

— Joe, staruszko.

— Nie masz pojęcia, jak dużo, Sebastianie.

— No, potrafię to sobie wyobrazić. Zawsze wiedziałem, na co cię stać.

Joe milczała dłuższą chwilę.

— Nie zdajesz sobie sprawy, jak mnie twój widok podnosi na duchu —

mówiła dalej. — Widywałam i znałam tylu drani. Niegdyś miałam ci za złe to, że jesteś silny, że odnosisz sukcesy i że jesteś taki zadufany w sobie, lecz teraz... och, teraz to jest wprost cudowne!

Sebastian ścisnął jej dłoń.

— Nie ma na świecie nikogo poza tobą, komu by się chciało przebyć tysiące mil, i to natychmiast. Vernon, oczywiście, ten by to zrobił, lecz Vernon jest moim krewnym, kimś w rodzaju rodzzonego brata. Ale ty...

— Ja jestem kimś więcej niż bratem. Od czasów Możnych Opactw zawsze byłem gotów trwać przy tobie, gdybyś mnie tylko chciała...

— Och, Sebastianie. — Oczy Joe otworzyły się szeroko ze szczęścia.

— A ja nawet w marzeniach nie przypuszczałam, że mógłbyś wciąż żywić dla mnie to samo uczucie.

Sebastian drgnął. Nie to chciał powiedzieć, niezupełnie to. Miał

na myśli coś, czego nie potrafiłby wyjaśnić, a już na pewno nie jej.

Było to uczucie szczególne i typowo żydowskie: dozgonna wdzięczność Żyda, który nigdy nie zapomina wyświadczonego mu dobra. Jako dziecko był banitą, a Joe stanęła przy nim i dla niego była skłonna rzucić wyzwanie swojemu światu. Dziecko Sebastian nigdy nie zapomniało, nigdy nie potrafiłoby zapomnieć. Poszedłby za nią na koniec świata, niechby go tylko, jak powiedział, chciała. Mówiła dalej:

— Przenieśli mnie tutaj z tamtego straszego oddziału. To za twoją przyczyną?

Skinął głową.

— Tak, depeszowałem.

Joe westchnęła.

— Jesteś potwornie skuteczny, Sebastianie.

— No cóż, jak widać.

— Nie ma nikogo takiego jak ty, nikogo. Często o tym ostatnio myślałam.

— Naprawdę?

Pomyślał o latach spędzonych samotnie, o tęsknocie aż do bólu, o nie spełnionych pragnieniach. Dlaczego wszystko przychodzi do człowieka w niewłaściwym momencie?

Mówiła dalej:

— Nawet mi się nie śniło, Sebastianie, że jeszcze mógłbyś o mnie myśleć. Zawsze sobie wyobrażałam, że pewnego dnia ty i Jane...

Poczuł w sercu ukłucie bólu. Jane...

On i Jane...

— Jane — burknął — w moim przekonaniu jest najwspanialszym tworem, jaki udał się panu Bogu, Niestety, ciałem i duszą należy do Vernona i tak już zawsze będzie.

— Chyba tak, choć szkoda. Ty i ona jesteście tacy sami. Jesteście silni; jesteście dla siebie stworzeni.

Rzecz osobliwa, lecz tak w istocie było. Sebastian wiedział, co Joe ma na myśli.

— To mi przypomina książki z dzieciństwa — powiedziała Joe, z drżącym uśmiechem. — Budujące sceny przy łożu śmierci. Przyjaciele i krewni zebrani wokół. Omdlewające uśmiechy bohaterki.

Sebastian powziął decyzje. Dlaczego to, co czuł, nie miałooby być miłością? Było nią. Była nią ta żarliwość czystego, bezinteresownego współczucia i czułość, było nią to głębokie przywiązanie, trwające latami. A wszystko razem tysiąc razy bardziej warte zachodu niż burzliwe albo ledwo ciepławe romanse, które zdarzały mu się z monotonną regularnością i które ani go nie wzruszały, ani nie miały prawdziwej głębi.

Jego serce wybiegło naprzeciw tej dziecięcej postaci, a on sam dobił do stałego lądu.

— Nie będzie żadnych scen przy łożu śmierci, Joe — powiedział

łagodnie. — Wydobrzejesz i wyjdiesz za mnie.

— Kochany Sebastianie, miałbyś się związać z suchotnicą?

Oczywiście, że nie.

— Nonsens. Zrobisz jedną z dwóch rzeczy: albo wydobrzejesz, albo umrzesz. Jeśli umrzesz, to umrzesz i wszystko się skończy. Jeśli się wyleczysz, wyjdiesz za mnie. A na to, żeby cię wyleczyć,

Jestem gotów wydać wszystkie pieniądze.

— Ze mną jest naprawdę źle, mój drogi.

— Możliwe. Lecz z gruźlicą nigdy nic nie wiadomo. Każdy lekarz ci to powie. Po prostu dałaś folgę swoim uczuciom, rozczuliłaś się nad sobą. Ja natomiast uważam, że wyzdrowiejesz. Nie od razu, ale na pewno.

Popatrzyła na niego. Sebastian widział, jak jej policzki to zapalają się, to bledną. Zrozumiał, że Joe go kocha i w jego sercu drgnęła jakaś czuła struna. Jego matka umarła dwa lata temu. Od tamtej pory nikt go nie obchodził.

— Sebastianie — powiedziała Joe cichym głosem — czyżbym naprawdę była ci potrzebna? Narobiłam tyle zamieszania...

— Czy jesteś mi potrzebna? Jestem najbardziej samotnym człowiekiem na ziemi — wyznał szczerze.

I nagle się załamał. Pierwszy raz w życiu. Załamał się, a przecież było to do niego zupełnie niepodobne. Ukląkł przy łóżku Joe z rozpaloną twarzą, z drżącymi ramionami.

Joe pogłaskała go po głowie. Wiedział, że jest szczęśliwa; jej dumny duch wreszcie znalazł ukojenie. Kochana Joe, taka impulsywna, taka serdeczna, taka uparta. Mogą sobie nawzajem pomóc.

Weszła pielęgniarka, dając do zrozumienia, że pora kończyć wizytę, i wycofała się, by Sebastian mógł się pożegnać.

— Przy okazji — powiedział. — Jak się nazywa tamten Francuz?

— François. On nie żyje.

— W porządku. Oczywiście, mogłabyś dostać rozwód, lecz stan wdowi ułatwia sprawę.

— Ty naprawdę myślisz, że wyzdrowieję? No, to dopiero zabrzmiało wruszająco! — Oczywiście.

Pielęgniarka pojawiła się ponownie. Sebastian nie zwlekał dłużej; wyszedł i zażądał widzenia z lekarzem. Rozmowa była długa. Lekarz nie ukrywał, że stan jest poważny, lecz zgodził się, że jest jakaś szansa. Wybrali Florydę.

Sebastian wyszedł na ulicę. Pochłonięty własnymi myślami obojętnie rzucił okiem na nagłówek jakiejś gazety, krzyczący wielkimi literami o „straszliwej katastrofie „Resplendenta”. Co tak naprawdę byłoby najlepsze dla Joe? Życ dalej czy umrzeć? No właśnie, co...

Miała takie marne życie. Niechby raz los się do niej uśmiechnął.

Poszedł do łóżka i natychmiast zapadł w twardy sen.

Obudził się z uczuciem dziwnego niepokoju. Coś się stało... coś uszło jego uwagi, coś, o czym powinien wiedzieć. Ale co? Za nic w świecie nie mógł tego czegoś nazwać...

Nie Joe. Nie. Joe zajmowała w jego myślach czołową pozycję, podczas gdy to coś zostało machinalnie zepchnięte na dalszy plan.

Niebawem sobie przypomnę, pomyślał, ubierając się. I tak najważniejsza jest Joe. Pragnął całym sercem, by jak najprędzej wyjechała na Florydę. Potem, być może, do Szwajcarii. Jest bardzo słaba, lecz nie na tyle, by nie nadawała się do podróży. Wyjadę natychmiast po przyjeździe Vernona i Jane...

Powinni lada moment przyplłynąć. Kiedy? To miał być Resplendent, tak? Resplendent...

Brzytwa wypadła mu z ręki. Już wiedział! Tamten nagłówek w gazecie!

Resplendent — straszliwa katastrofa... Na Resplendencie byli Vernon i Jane. Wybiegł w pośpiechu. Kilka minut później przebiegał wzrokiem stronice porannej gazety. Katastrofa... szczegóły... coraz więcej szczegółów. Szukał dalej. Resplendent wpadł na górę lodową. Lista tych, którzy utonęli...

Nie, najpierw lista tych... tych, którzy przeżyli. Zobaczył na niej nazwisko „Green”. Żyje! Vernon żyje. Następnie, przerażony, skierował

wzrok na tę drugą i ostatecznie znalazł to, czego szukał... nazwisko Jane Harding.

Stał zupełnie cicho, wpatrując się tępym wzrokiem w trzymaną w ręku gazetę. W końcu złożył ją dokładnie, położył na brzegu stołu i nacisnął dzwonek. Kilka minut później, posłuszna przekazanemu przez boya lakonicznemu poleceniu, zjawiła się w pokoju sekretarka Levinne'a.

— O dziesiątej mam spotkanie, na które bezwzględnie muszę się udać. Nim wrócę, proszę dowiedzieć się paru rzeczy.

Wprowadził ją zwięźle w istotę zagadnienia. Polecił jej zebrać najbardziej szczegółowe informacje co do Resplendenta i wysłać pewne depesze radiowe.

Sebastian sam zatelefonował do szpitala i zastrzegł sobie, by do pacjentki nie dotarły żadne wzmianki o Resplendencie. Zamienił także kilka słów z Joe, starając się, by ich wydźwięk był jak najbardziej naturalny. Jeszcze tylko wstąpił do kwaciarni, gdzie polecił

przesłać Joe bukiet, i od tej pory zaczął się dla niego długi dzień konferencji i spotkań w interesach. Wątpliwe, czy ktokolwiek zauważył, że tego dnia wielki Sebastian Levinne w najmniejszym szczególe nie przypominał samego siebie; wielki Sebastian Levinne nigdy przedtem nie wykazał się większą jasnością umysłu przy ubijaniu interesów, a jego upór, by w każdej sprawie postawić na swoim, nigdy przedtem nie rzucał się bardziej w oczy.

Wrócił do hotelu „Biltmore” o szóstej po południu.

Sekretarka, zgodnie z zaleceniem, przedstawiła mu zebrane w ciągu dnia informacje: rozbitkowie zostali zabrani przez jakiś norweski okręt i w Nowym Jorku powinni się znaleźć za trzy dni.

Sebastian wysłuchał wszystkiego z kamienną twarzą i wydał dalsze polecenia.

Wieczorem trzeciego dnia, po powrocie do hotelu, został

powiadomiony, że przybył pan Green i że zakwaterowano go w apartamencie obok.

Tam właśnie Sebastian skierował natychmiast swe kroki.

Vernon stał przy oknie. Kiedy się obrócił twarzą do Sebastiana, ten przeżył coś w rodzaju szoku. Dziwne, lecz nie rozpoznawał

przyjaciela. Coś się z nim stało.

Stali, patrząc na siebie. Sebastian przemówił pierwszy. Powiedział

to, o czym przez cały dzień nie przestawał myśleć.

— Jane nie żyje.

Vernon skinął głową, poważnie, potakująco.

— Tak — rzekł cicho. — Jane nie żyje i to ja ją zabiłem Dawny, nieskory do objawiania swych uczuć Sebastian, nagle ożywił

się i zaprotestował.

— Na litość boską, Vernonie, nie mów tak. To naturalne, że płynęła z tobą, nie zadręczaj się tym.

— Niczego nie rozumiesz. Nie wiesz, co się stało. — Przerwał. Po chwili mówił dalej w wielkim skupieniu. — Nie potrafię ci tego opisać. To stało się zupełnie nieoczekiwanie, wiesz, w samym środku nocy. Nie było wiele czasu. Statek się przechylił pod zatrważająco niebezpiecznym kątem... One obie były razem... razem ześlizgiwały się po pokładzie... nie było dla nich żadnego ratunku.

— Jakie obie?

— Nell i Jane, oczywiście.

— Nell? Dlaczego Nell?

— Była na statku...

— Co takiego?!

— Tak. Była, choć nie wiedziałem o tym. Jane i ja płynęliśmy oczywiście drugą klasą i nie sądzę, by interesowała nas lista pasażerów. Tak, Nell i George Chetwynd byli na statku. Powiedziałbym ci to od razu, gdybyś mi nie przerywał. To wszystko działo się jak w jakimś sennym koszmarze, nie było czasu na pasy ratunkowe, na nic. Ja trzymałem się kurczowo jakiejś belki, czy czegoś w tym rodzaju, byleby tylko uchronić się od wypadnięcia za burtę. A one, one dwie zsuwały się po pokładzie, tuż obok mnie, coraz prędzej i prędzej, tam, gdzie czekało na nie morze. Nie miałem pojęcia, że Nell płynęła razem z nami, dopóki jej nie zobaczyłem, dopóki nie zobaczyłem, jak podąża w dół ku zgubie i woła „Vernonie!” Nie było czasu do namysłu, wierz mi. W grę wchodził jedynie instynkt. Mogłem chwycić jedną z nich... Nell albo Jane... Chwyciłem Nell i trzymałem ją rozpaczliwie.

— A Jane?

— Jeszcze teraz widzę jej twarz... widzę, jak patrzy na mnie, odchodząc w czarną kipieli... — odparł cicho Vernon.

— Mój Boże — powiedział Sebastian zduszonym głosem.

I nagle jego kamienny spokój gdzieś przepadł. Sebastian ryknął z całych sił:

— Ocaliłeś Nell? Nell? Ty cholerny głupcze! Ocalić Nell i pozwolić utonąć Jane. Niech cię wszyscy diabli! Przecież Nell nie jest warta czubka małego palca Jane.

— Wiem.

— Wiesz? A zatem...

— Wiedza nie ma tu nic do rzeczy, Sebastianie. Liczy się ślepy instynkt...

— Niech cię diabli, niech cię diabli...

— Daj sobie spokój, i tak jestem przeklęty. Pozwoliłem utonąć Jane, tej, którą kocham.

— Ty ją kochasz?!

— Tak. Zawsze ją kochałem... Teraz to rozumiem... Zawsze, od pierwszej chwili. Bałem się jej, bo ją kochałem. Byłem tchórzem tam, na statku, i byłem tchórzem zawsze, bo uciekanie od rzeczywistości to nic innego jak tchórzostwo. Walczyłem z nią, wstydziłem się, że ma nade mną władzę, zgotowałem jej piekło na ziemi... A teraz pragnę jej... pragnę...

Och, powiesz, że to do mnie podobne: chcieć czegoś natychmiast po tym, kiedy to coś wymyka mi się z rąk. Może to prawda, może taki właśnie jestem. Wiem jedno: kocham Jane. Kocham ją, a ona odeszła ode mnie na zawsze. Usiadł na krześle i powiedział swoim zwykłym tonem: —

Chcę pracować. Wyjdź, Sebastianie, bądź tak dobry i wyjdź.

— Mój Boże, Vernonie, nigdy mi nie przyszło na myśl, że mógłbym cię znienawidzić.

— Chcę pracować — powtórzył Vernon. Sebastian okręcił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Vernon siedział bez ruchu. Jane...

To potworne, tak cierpieć, tak bardzo kogoś pragnąć...

Jane... Jane...

Tak, on zawsze ją kochał. Już po pierwszym spotkaniu nie potrafił

trzymać się od niej z daleka... Przyciągało go ku niej coś, co było silniejsze od niego...

Bać się, zawsze się bać — jakie to głupie i tchórzliwe. Bać się wszystkiego, co rzeczywiste, bać się każdego gwałtownego wzruszenia.

A ona wiedziała... ona zawsze to wiedziała i mimo to nie mogła mu pomóc. Jak to kiedyś określiła? Rozłączeni w czasie? Tamtego pierwszego wieczoru, na przyjęciu u Sebastiana, kiedy śpiewała...

I wodną zjawę tam ujrzałem

Włosy przemokłe, dłonie białe...

Włosy przemokłe... nie, Tylko nie to. Dziwne, że śpiewała tę właśnie pieśń. I tamta rzeźba, rzeźba topielicy... To także dziwne, także.

A co jeszcze śpiewała tamtej nocy?

J'aiperdu mon amie— elle est morte

Tout s'en va cette fois pour jamais

Pour jamais, pour toujours elle emporte Le dernier des amours que j'aimais...

Stracił Możliwość, stracił Nell...

Lecz tracąc Jane, rzeczywiście stracił le dernier des amours que j'aimais.

Przez resztę życia będzie pamiętał tylko jedną kobietę — Jane.

Kochał Jane. Kochał i jednocześnie zdręczał, jednocześnie lekceważył, aż w końcu oddał zielonemu, bezlitosnemu morzu...

Rzeźba w muzeum w South Kensington...

Boże, nie wolno mu o tym myśleć...

O tak, myśleć o czymkolwiek innym... Tym razem nie uciekałby od myślenia...

Jane... Jane... Jane...

Pragnął jej... Jane...

Nigdy już jej nie zobaczy...

Teraz stracił wszystko... wszystko...

Te dni, miesiące, lata w Rosji... Stracone lata...

Głupiec — żyć obok niej, trzymać jej ciało w ramionach i cały czas bać się... Bać się własnej namiętności, namiętności do niej...

Ten dawny paniczny strach przed Bestią...

I nagle, kiedy pomyślał o Bestii, zrozumiał...

Zrozumiał, że w końcu wszedł w posiadanie własnego dziedzictwa...

To było tak jak tamtego dnia, kiedy wrócił z koncertu, z tamtego koncertu. To była ta sama Wizja, jaką miał wówczas. Nazwał ją Wizją, ponieważ zdawała się czymś więcej niż dźwiękiem. Widzenie i słyszenie stopiło się w jedno: w łuki i spirale dźwięku: wznoszące się, opadające, powracające.

A teraz wiedział, teraz zrozumiał, że ma w sobie potrzebną wiedzę.

Schwycił kartkę papieru i zaczął pośpiesznie kreślić na niej jakieś znaczki, coś w rodzaju szaleńczego zapisu stenograficznego. I choć były przed nim lata pracy, śpieszył się, aby niczego nie uронić z pierwszej i niepowtarzalnej świeżości i czystości swojej Wizji.

To na pewno jest tak... i tak... cały ten ciężar metalu... mosiądz... cały mosiądz świata.

A teraz pojawia się dźwięk szkła, czysty jak dzwoneczek...

Był szczęśliwy...

Minęła godzina... minęły dwie...

Na chwilę opuściło go szaleństwo: o czym to przedtem myślał? Ach tak, o Jane. O Jane!

Poczuł mdłości... mdłości i wstyd... Czy nie mógłby jej oplakiwać przynajmniej przez jeden wieczór?

W tym, jak zamieniał w dźwięki swoje smutki, swoje pragnienia, było coś nikczemnego, coś okrutnego.

Bezwzględność, chęć wykorzystania wszystkiego — oto, co znaczy być twórcą...

A ludzie pokroju Jane zawsze są ofiarami... Jane...

Poczuł się rozdarty: tu śmiertelna udręka, tam szalone uniesienie radości.

Możliwe, że kobiety czują to sarno, kiedy mają dziecko, pomyślał.

Niebawem znów pochylił się nad kartkami papieru. Zapisywał je, jedną po drugiej, w obłądnym tempie i jedną po drugiej rzucał na podłogę.

Nie słyszał, kiedy otworzyły się drzwi. Był głuchy na szelest sukni. Dopiero kiedy przestraszony głosik powiedział „Vernonie”, uniósł wzrok.

Roztargnienie, malujące się na jego twarzy, nijak nie chciało ustąpić miejsca należnemu zainteresowaniu niespodziewanym gościem.

— Halo, Nell — powiedział wreszcie. Stała przed nim z pobladłą, mizerną twarzą, nerwowo splatając dłonie.

— Vernonie — zaczęła, z trudem łapiąc oddech — dowiedziałam się, gdzie się zatrzymałeś... no i przyszłam...

Kiwnął głową.

— Aha — powiedział nieprzytomnie — przyszłaś? Oboje, nie, nie oboje... zbyt łagodne... to musi być ostry, przeraźliwy ton, to musi być mosiądz. No i harfy, tak, potrzebował płynności ich dźwięku... harfy płyną jak woda, potrzeba ci, Vernonie, wody jako źródła siły. A niech to, ona znów coś mówi i on powinien jej słuchać.

— Vernonie, teraz, po tej potwornej ucieczce od śmierci... ja wiem...

wiem, Vernonie, jedyne, co się liczy, to miłość. Zawsze cię kochałam i tym razem przychodzę do ciebie już na zawsze.

— Och! — wyrwało mu się całkiem nedorzecznie.

Nell podeszła bliżej, z wyciągniętą ku niemu ręką.

Patrzył na nią jak z najdalszej dali. Doprawdy, Nell jest niezwykle piękna. To zrozumiałe, dlaczego niegdyś ją kochał, choć także dziwne, że teraz nie kocha jej ani trochę. Jakie to wszystko było kłopotliwe. Najlepiej by było, gdyby już sobie poszła, bo on wtedy mógłby dalej robić swoje. A co z puzonami? Można by to wzbogacić puzonami...

— Vernonie — głos Nell stał się ostry, jakby się nagle czegoś przestraszyła. — Czyżbyś już mnie nie kochał?

Najlepiej być w zgodzie z prawdą.

— Strasznie mi przykro — powiedział dziwnie oficjalnie. — Obawiam się, że nie. Widzisz, ja kocham Jane.

— Jesteś na mnie zły... na pewno... z powodu tamtego kłamstwa o dziecku...

— Jakiego kłamstwa? O jakim dziecku?

— Nawet nie pamiętasz? Powiedziałam, że spodziewam się dziecka, lecz to nie była prawda... Och, Vernonie, wybacz mi, wybacz...

— W porządku, Nell. Nie przejmuj się. Wszystko obróci się na dobre. George to niesamowicie równy gość i wierz mi, przy nim zawsze będziesz szczęśliwa. A teraz, na litość boską, odejdz już. Nie chcę być niegrzeczny, lecz jestem potwornie zajęty. Stracę całą rzecz, jeśli natychmiast nie wezmę się do roboty...

Popatrzyła na niego, a potem wolno ruszyła ku drzwiom. Zatrzymała się jeszcze i wyciągnęła ku niemu ramiona wymownym gestem.

— Vernonie...

To było ostatnie rozpaczliwe błaganie.

Nawet na nią nie spojrzął, tylko potrząsnął niecierpliwie głową.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Vernon odetchnął z ulgą.

Już nic nie mogło stanąć między nim a jego pracą...

Pochylił się nad stołem...

* Wojna burska — białe pióro wręczano młodzieńcowi, który ościągał się z wyjazdem na wojnę (przyp. tłum.).

* Chef d'oeuvre (fr.) — arcydzieło.

* Tytuł jednej z powieści A. Christie Come, Tell Me How You Live (przyp. tłum.).

* Voluntary Aid Detachment — Towarzystwo Niesienia Pomocy Rannym (przy. tłum.).

* Władimir Tallin (1885–1953) — roś. malarz, rzeźbiarz i scenograf; tu mowa o pomniku zaprojektowanym przez Tatlina w latach 1919–1920 ku czci III Międzynarodówki (przyp. tłum.).

* Arnold Schönberg (1874–1951) — kompozytor austriacki; nowator w dziedzinie środków brzmieniowych, twórca wiedeńskiej szkoły dodekafonicznej (przy. red.).